



ALEKSANDRA RUDA

ODNALEŹĆ  
SWĄ DROGĘ

*tłumaczyła*  
*Monika Jasudowicz*

fabryka słów

Lublin 1010

# Prolog

*Ja i mój przyjaciel półkrasnolud*

*Twierdzicie, że półkrasnoludy nie istnieją?*

*Otóż mój przyjaciel z Uniwersytetu Nauk Magicznych, a zarazem najlepszy kompan od kieliszka, Otto der Szwart, jest właśnie półkrasnoludem. To niemożliwe! – możecie wykrzyknąć. – Słyszeliśmy o półorkach, tłukliśmy się z półtrollami w sąsiedniej karczmie, widywaliśmy półelfy, ale półkrasnoludy? Akurat!*

*Oczywiście, wielu twierdzi także, że wśród krasnoludów nie ma kobiet. Kto je niby widział? A same krasnoludy rozmnażają się jakoby w sposób bardzo tajemny i pojawiają na świecie od razu z brodą i toporem w ręku.*

*Tej akurat pogłoski roztrzonie nie chcą dementować same krasnoludy, w obawie, że tłumy chętnych ruszą po ich niewiasty, które po prostu porażają oszałamiającym pięknem i wielką roztropnością. Tak to w każdym razie wyłuszczył nam profesor Swingdar der Kirchechast, wykładający magię rzemiosł.*

*Wszyscy chrząkali z niedowierzaniem, ale głośno nikt tego nie skomentował, ponieważ profesor miał żonę krasnoludkę oraz trzech synów. Jego żony nikt nigdy nie widział, gdyż żyła w domu położonym gdzieś w beskidzkich wąwozach. Za to siły pięści młodych Kirchechastów nie doświadczyli wyłącznie niemrawcy i superpacyfiści.*

*–Rozumiesz, Ola – objaśniał mi Otto podczas wspólnej degustacji nowego koktajlu – kobieta powinna siedzieć w domu, chować dzieci i wspierać we wszystkim męża. To dlatego mamy takie mocne rodziny i silne związki rodzinne, nie to co...*

*Nie dokończył, zakaszłał i wypluł na talerz coś podejrzanego.*

*–Co to???*

*–Marynowana mysz.*

*–Ze co?!*

*–Chciałeś przecież coś niezwykłego. Koktajl nazywa się „Pikantny Ogonek”.*

*Sposobem zarobkowania, który zasilął nasze portfele po roztrwonieniu mizernego stypendium, był nielegalny handel wyrobami spirytusowymi. Otto odziedziczył po przodkach krasnoludach umiejętność przygotowywania wspaniałego bimbru, a ja, studentka – teoretyk magii, opracowywałam receptury na koktajle. Degustację na ogół przeprowadzaliśmy wspólnie albo w gronie takich samych lubiących ryzyko eksperymentatorów.*

–To jest okropne świństwo!

–Ale mysz dodaje napojowi pikantnego zapachu – obraziłam się, że mój przepis nie został należycie doceniony.

–No dobra, ale wyciągaj ją chociaż przed sprzedażą, bo jeszcze będziemy musieli płacić kary za szkody moralne.

– Nasze kobiety są przepiękne – ciągnął Otto z rozmarzeniem. –Jedyny minus, że ich jest niewiele. Dlatego 11 nas żenią się tylko ci wysoko postawieni.

Z jego opowieści wynikało, że w standardowej krasno- ludzkiej rodzinie zwykle rodziło się czworo lub pięcioro dzieci, wśród których, jeśli rodzina miała szczęście, były dwie dziewczynki. Tak zadecydowała sama natura – wcześniej śmiertelność w kopalniach była bardzo wysoka.

Zresztą wydawało mi się, że i bez tego męska część krasnoludzkiej rasy ma tendencje zniżkowe – większość krasnoludów jest bardzo zadziorna i pospolite bijatyki zabierały więcej istnień, niż wypadki w podziemnych sztolniach!

Na przykład, pewnego razu Otto nie pojawił się na wykładach wspólnych dla naszych fakultetów. Pierwszego dnia sądziłam, że się po prostu przeziębził, ale drugiego już ogarnął mnie niepokój i poszłam po zajęciach do jego akademika. Zastałam go leżącego na łóżku z bolesciwym wyrazem oblicza, na którym nawet przez gęstą brodę prześwitywały sińce.

Przyłożywszy mu okład na owe znamiona bitewne i wydawszy z siebie odpowiednią porcję ochów i achów, czekałam na wyjaśnienia. Otto wiedział, że o cudzych sekretach milczę jak grób, pożalił się więc, że oberwał podczas Święta Obfitości, obchodzonego zwyczajowo w końcu listopada przez krasnoludzką wspólnotę. Otóż podczas tradycyjnego konkursu piękności aktywnie zainteresował się niejaką Writte, nie wiedząc, że ma ona narzeczonego „zazdrośnika z ciężką ręką”. I teraz Otto cierpiał zarówno z powodu niespełnionej miłości, jak i jej skutków.

–Sę w tym, że hormony ci szaleją. Wypijesz nale- weczkę i przejdzie.

–Nie rozumiesz, Ola! Ona jest prześliczna! Nawet Ptrońka by się jej nie oparł.

Ptrońka słynął na całym uniwerku z tego, że interesował się nie dziewczynami, a wyłącznie „przystojnymi i dzielnymi trollami”, cierpiąc permanentnie z powodu nieszcześliwych miłości.

Moja bogata wyobraźnia od razu podsunęła mi obraz szatowej blondynki, wraz z jej delikatnymi erotycznymi wypukłościami i nogami po samą szyję. Z jakiegoś powodu w jednej ręce dzierżyła topór, drugą zaś trzymała Ottona za brodę.

–Nie słuchasz mnie! – oburzył się Otto. – Zobacz sama!!!

Wyciągnął spod poduszki jakiś długi wymiętolony zwój. Po pewnym czasie rozszyfrowałam nagłówek: „Portrety miss tegorocznego konkursu piękności Święta Obfitości”. Na samej górze zwoju widniał konterfekt Writte. Rację miałam tylko w tym, że była blondynką.

Miała małe oczka i obfite blond bokobrody wokół szerokiej twarzy, pełne policzki i małe usta, oraz wiechę jasnych włosów z mnóstwem warkoczyków. A figura! Jakie tam 90–60–90! W najlepszym razie miała w obwodach 150–120–150, a i to naciągane. I należy przy tym pamiętać, że zwyczajny krasnolud sięga człowiekowi do ramienia. W masywnych rączkach dzierżyła owa piękność nie toporek, a zwykły watek.

–Co to? – spytałam oszołomiona.

–Writte, esencja krasnoludzkiej piękności.

–A gdzie ta esencja ma figurę, co?

–Niczego nie pojmujesz. Kobieta powinna być śmiała, dobrze zbudowana, mądra i silna. Po to, by wydawać na świat zdrowe dzieci, w razie potrzeby pomóc mężowi w kuźni i nie bać się życia w górach.

Z wielką uwagą oglądałam portrety wszystkich mis- sek. Różniły się one tylko obfitością i kolorem baczek oraz objętością ciał. Dotarło do mnie, skąd wzięła początek pogłoska o braku kobiet u krasnoludów – niezwykle łatwo pomylić taką z chłopakami.

–A dlaczego one trzymają wałki, patelnie i inne naczynia?

–Bo kobieta powinna być przede wszystkim dobrą gospodynią, dopiero potem jest miejsce na całą resztę! – zezłościł się Otto. – Widzę, że nie jesteś w stanie tego ogarnąć tym swoim ludzkim rozumkiem! A moja mama to zrozumiała, chociaż jest człowiekiem. Wiesz, kim jest moja mama? Jest wspaniałą kobietą! Zaraz ci opowiem...

Ottorn der Szwart, ojciec Ottona, pojechał kiedyś w interesach do pewnego dużego miasta na północy kraju. Z powodu bliskości elfich miasteczek nie było tam żadnej wspólnoty krasnoludów i dlatego też szanse rozwoju interesów na tym terenie mogły być po prostu kolosalne. Po dobieciu wszelkich targów i postawiwszy kropkę nad i w sprawach biznesowych, gospodarze zaprosili Ottorna do cyrku osobliwości, który akurat stacjonował w mieście. Podczas przedstawienia klauni zaczęli kpić z krasnoludów.



(„Jak rozmnażają się krasnoludy? – Przez beczkowanie. Wypił beczkę piwa – i już jest ich dwóch”).

Rozsierdzony do białości Ottorn przedarł się do kierownika cyrku. Facet, widząc prawdziwego, żywego krasnoluda, porządnie się przestraszył i zwałił całą winę na właścicielkę, niejaką Walinę. Ottorn wszedł do jej pokoju i zamarł. Za stołem siedziała bardzo duża kobieta, będąca jednocześnie posiadaczką bujnej brody. Powoli wyszła na środek pokoju i podniosła stukilogramowego krasnoluda za kołnierz, jak piórko.

–Czego pan tu sobie życzy? – rozbrzmiał jej głos.

Ottorn zachrypiął z zachwytu. Gdy znowu poczuł pod stopami podłogę, utknął nosem w obfitych piersiach nieznajomej, westchnął i osunął się na kolana. – Ręka, serce i biznes...

Nieznajoma nie zrozumiała.

Ottorn odwrócił wzrok od uwodzicielskiej postaci, zastanowił się i rzekł:

–O cudne, niedościgłe marzenie mojego życia! Pozwól sobie ofiarować do całkowitego rozporządzenia moją rękę, serce i biznes: dwa sklepiki z bronią magiczną i trzy kuźnie! Obiecuję kochać cię po kres moich dni i usuwać każdy pyłek spod stóp twoich, tylko proszę, zostań moją żoną.

Walina oczywiście odmówiła.

Scharakteryzowawszy Ottorna dość dobitnie („psy- chol”), wyrzuciła go za drzwi.

Ottorn jednak nie poddał się. W karczmie podduśił trochę pewnego młodzieńca, który lekkomyślnie wypowiadał się o jego cudnym marzeniu jako o „babochłopie z brodą”, a potem rozpoczął oblężenie Waliny. Jako krasnolud inteligentny, nabył poradnik „Jak zdobyć ludzką dziewczynę. 50 kroków”. Obliczywszy koszty od kroku pierwszego („ofiaruj jej bukiet róż”) do pięćdziesiątego („podaruj jej kolię wykonaną przez krasnoludy, na poduszce z elfickich róż”), Ottorn podniósł ceny w najbardziej dochodowym ze swoich sklepów i poszedł do Waliny.

Bukiet róż wylądował za oknem. W ślad za nim poleciał krasnolud.

Zwój z hymnami ku czci nieziemskiej piękności został podarty w drobny mak.

Wynajęci do śpiewania miłosnych pieśni minstrele wzięli prysznic z pomysł z Waliniego balkonu.

Zaproszenie na romantyczną przejażdżkę łódką zostało pogardliwie odrzucone.

Ottorn nie poddawał się.

Członkowie rodziny desperata znacząco pukali się w czoło. Matka Ottorna stała tragiczne w tonie listy dopóty, dopóki on nie wystawił jej portretu swojej wybranki. Po tym wydarzeniu przybyło wsparcie.

W mieście szalały plotki. Zwarty oddział krasnoludów był atakowany przez powabne kusicielki, które zresztą niczego nie wskórały. Bo czyż mogły równać się z powabną stu pięćdziesięciokilową brodatą Waliną, która w dodatku potrafi być taka twarda?

Do Waliny zaczęły ciągnąć tabuny interesantów z nadzieją otrzymania przepisu na napój miłosny. Na każde przedstawienie w cyrku bilety były wyprzedane ze sporym wyprzedzeniem.

Partnerzy biznesowi podarowali Ottornowi „Podbój elficy. Cenne porady”, „Młotem po głowie czyli troll – zwycięzca” i, nie wiadomo dlaczego, „Rozmnażanie widm. Podręcznik III roku Uniwersytetu Nauk Magicznych”.

Walina poddała się na czterdziestym kroku („przedstaw jej walory wspólnego życia”). Ottorn napisał całą listę takich korzyści. Owo wyznanie uczuć przestał przez swoich trzech kuzynów, którzy otrzymali srogi nakaz dopilnowania, by lista została przez Wahnę dokładnie przeczytana.

Walina zaprosiła wówczas Ottorna, aby omówić „warianty współpracy”.

– A rezultat współpracy siedzi tutaj – dumnie podsumował Otto. – Mam jeszcze brata i trzy siostry, nasz interes kwitnie, a małżeństwo moich rodziców jest bardzo udane. A ty mi o figurze gadasz!

A wy twierdzicie, że półkrasnoludy nie istnieją...

# *Rok pierwszy*





## Początek dorosłego życia

Dorośle samodzielne życie nie rozpoczęło się lekko.

Cichutko skradałam się po domu, piastując w objęciach ogromniastą walizę. Władowałam do niej tylko najniezbędniejsze rzeczy, a i tak nie mogłam jej podnieść, bałam się jednak wlec po podłodze – zgrzytanie walizki po parkiecie na pewno zbudziłoby całą moją rodzinę. W salonie postawiłam oporny bagaż na podłodze, podeszłam do stołu i wyciągnęłam z kieszeni list pożegnalny.

–Widzę, że mimo wszystko zdecydowałaś się uciec? – dobiegł głos z kąta.

Wzdrygnęłam się.

–Mama? A co tu robisz? Myślałam, że śpisz!

–Śpię. Tu, na fotelu.

–A jak się domyśliłaś, że...

–Córcia, urodziłam cię i wychowałam. Zapomniałaś?

–To nie jesteś przeciwna?

–Jestem. Ale co mogę zrobić?

–Mamusi, nie chcę gnuśnieć w tej dziurze! Chcę zdobyć wyższe wykształcenie, zostać wielkim magiem.

–Wykształcenie zdobyłaś w Liceum Magii. Po co ci więcej? Przecież do prowadzenia własnej praktyki to zupełnie wystarczy. A później wyjdiesz za mąż...

–Nie chcę wychodzić za mąż! Nie chcę! Nie chcę przeżyć całego życia tak, jak ty.

–Czyli jak? W otoczeniu kochającej rodziny? Uważasz, że to takie złe?

–Właśnie tak! Niczego nie widzisz, nigdzie nie bywasz, co może być gorszego?

–Złe cię wychowaliśmy. Nie trzeba było pozwolić ci na czytanie tych wszystkich książek przygodowych.

Zamilkłyśmy, przypomniawszy sobie, że odkąd ukończyłam Liceum Magii, maglowaliśmy ten temat już nie raz i nie dwa, i nawet nie dziesięć razy.

–Nie mamy pieniędzy na twoją naukę – przypomniała mama.

–Postaram się o stypendium i za moją naukę zapłaci królestwo. A tak w ogóle, to jestem człowiekiem samodzielnym i samowystarczalnym.

Mama milczała. Położyłam list na stole, hardo złapałam rączkę walizki i mocno pociągnęłam.

Walizka niespodziewanie lekko pojechała po nawoskowanej podłodze, wpadła pod mój tyłek i razem ze mną runęła przez drzwi.

–Przynajmniej, nim zdasz na ten cały uniwersytet, spróbuj się nie zabić, ty samodzielny człowieku – powiedziała mama.

–Nie zabiję się – obiecałam. – Do zobaczenia, mammo.

–Jeśli noga ci się powinie, to pamiętaj, ostrzegałam – odpowiedziała. – I wróć.

–Wróć, ale wtedy, kiedy osiągnę to, co chcę!

Mama pokiwała głową. Jakoś nie wierzyła w moją zawrotną karierę na polu magii. Oczywiście, najbardziej życzyłyby sobie, żeby każda z jej pięciu córek była zawsze w zasięgu ręki, potem wyszła za mąż i żyła, jak wszyscy w tym zapyziałym miasteczku.

Wytaszczyłam walizę na ganek. Ciężkie drzwi trzepnęły mnie po grzbiecie, wyrzucając na drogę. I w ten oto „tryumfalny” sposób porzuciłam dom rodzinny.

Podniosłam się z kolan, spojrzałam na brudną sukienkę i westchnęłam. Po przybyciu na miejsce zamierzałam się oczywiście przebrać, jednak perspektywa pokonania całej drogi w brudnej kiecce nie napawała mnie radością. Dorosłe życie zaczynało się parszywie.

Dowlokłam walizkę do poczty, gdzie już stał dylizans. Zająłam swoje miejsce i wyciągnęłam z kieszeni zmie- te ulotki reklamowe, które wzięłam jeszcze w liceum. Najbliższy Uniwersytet Magii znajdował się w Czystiakowie. Pogrążyłam się w studiowaniu prospektu, chcąc wybrać dla siebie najlepszy kierunek.

Nie wiedziałam, na co się zdecydować. Nie chciałam przeżyć całego swojego życia w malutkim miasteczku, trwoniąc umiejętności przy wyrabianiu okładów na zapalenie korzonków, maści przeciw hemoroidom i sprze- daży lubczyku klientom „z własnymi naczyniami”. Nie chciałam do końca życia pozostać dzieckiem w oczach moich rodziców i służyć wcale nie najlepszym przykładem moim czterem siostram. Nie zamierzałam wyjść za mąż za jakiegos pospolitego faceta, który nigdy nie zrozumie moich pragnień, marzeń i dążeń. A poza tym, miałam w ręku dyplom ukończenia Liceum Magii, w dodatku z niezłymi ocenami. Bez dyplomu zaś wstąpienie na wyższą uczelnię byłoby niemożliwe.

Zamierzałam stać się słynną i jeśli nie bogatą, to chociaż dobrze sytuowaną damą, która sama kieruje swoim życiem. Chciałam, żeby się mną zachwycano i żeby nikt już nie kpił z tego, jak jestem ubrana i z tego, że nie mam chłopaka. „Czekamy na młode talenty! Wstępujcie w nasze szeregi! Zdobędziecie dobrze opłacany zawód, z perspektywami na przyszłość!” – wołały slogany na ulotkach. Schowałam je. Przyjadę do miasta, a tam na pewno się zorientuję, co należy zrobić!

Czystiakowo przywitało mnie gwarem, szerokimi ulicami, mnogością przeróżnych sklepów i sklepików oraz tłumami młodzieży — okres rekrutacji na wyższe uczelnie trwał w całej pełni. Przebrałam się w swój najlepszy kostium i prosto z dylizansu wylądowałam przed wejściem Uniwersytetu Nauk Magicznych. Przyciskając do siebie walizę, jako jedyną rzecz łączącą mnie z tym, co znałam i dającą mi poczucie bezpieczeństwa, zaczęłam się rozglądać. Nie miałam zielonego pojęcia, dokąd iść i co robić dalej.

— Przepraszam! — zawołałam do przechodzącego obok chłopaka. — Czy mógłbyś mi pomóc? Przyjecha-łam, żeby zapisać się na uniwersytet...

Student zmierzył mnie wzrokiem i pogardliwie skrzywił wargi.

— I znowu jakaś prowincjuszka przyjechała. Dziewczyno, takich ciuchów nikt już od roku nie nosi!

Zmieszałam się, a on ciągnął:

— Jaka długa spódnica! Co, wstydzisz się nogi pokazać? Żakiet nie podkreśla biustu! A włosy! Co to za okropny pęczek na głowie!

Przełknęłam łzy napływające mi do gardła.

— Nie przyjechałam na wybory miss, tylko się uczyć!

— Mam nadzieję, że nie na Wydział Jasnowidzów? Nie masz tam najmniejszych szans! Komisja rekrutacyjna siedzi w budynku głównym, to tam — machnął ręką i poszedł.

Pogładziłam dla dodania sobie otuchy szorstki bok mojej walizy i poszłam we wskazanym kierunku.

Nie wybierałam się na Wydział Sędziów i Jasnowidzów! Miejsce w sądowym systemie mogłabym zająć tylko niskie — moi rodzice nie byli zamożni, ani tym bardziej nie należeli do arystokracji. Miałabym tylko przekładać papierki i usługiwać takim typom, jak ten snobek? A daru prekognicji nie posiadałam.

Zatrzymałam się przy tablicach, reklamujących rozmaite kierunki studiów. Najbogatszą z nich — jaskrawe obrazki, połączone litery — była oczywiście ta Wydziału Sędziów i Jasnowidzów. Stały przy niej dwie dziewczyny w obłędnych sukienkach — do tej pory widziałam takie tylko na okładce magazynu „Dworskie Życie Królestwa”. Stoisko Rzemiosł Magicznych minęłam bez namysłu, choć i ono przyciągało uwagę kolorami, gustownymi literami i kwiatami, tak podobnymi do prawdziwych, że trudno było zgadnąć, że są wykute z kamienia. Ten kierunek obierały najczęściej krasnoludy, rzadko elfy i ludzie. Perspektywa spędzenia pięciu lat najpierw w pracowni uniwersyteckiej, a potem całego życia w swojej własnej, nie bardzo mnie zachwycała.

Wydział Magii Teoretycznej i Przekształceń Magicznej Energii... Nie, tu też nie chcę iść. Magowie-teoretycy – wysuszeni staruszkowie, przesiadujący w bibliotekach. A co to jest przekształcenie magicznej energii? Aha, „ukierunkowanie energii do prawidłowego łożyska”. O ile pamiętam, to głównie magia wykreślna. Koszmar! W liceum mieliśmy podstawy magii wykreślnej. W tej dziedzinie wlokłam się na szarym końcu – wykreślenie równej linii w pentagramie (i to jeszcze pod dokładnym kątem do poprzedniej!) do dziś jest dla mnie awykonalne.

Fakultet Magii Praktycznej. Trzy specjalizacje: nekromancja – brrr!, magia bojowa i magia praktyczna. Magowie wojownicy! Brzmi zachęcająco! Najbardziej opłacalna z magicznych profesji. Magowie bojowi służą w armii Jego Wysokości, uczestniczą w bitwach, chronią spokój obywateli. Wszyscy chcieliby zostać bojowymi magami. Przyjrzałam się spisowi egzaminów. No tak, rozmarzyłam się niepotrzebnie, egzaminu sprawnościowego nie zdałabym nigdy w życiu. Jestem leniwa i nie wysportowana. Szkoda, szkoda... Magowie-praktycy. Zajmują się unicestwianiem wszelkiej maści upiórów i widm, pojawiających się w pewnych okresach niczym grzyby po deszczu, we wszelkich wioskach i zakątkach królestwa. Można niezłe zarobić i jeszcze podróżować! Jeśli tylko nie wyślą mnie w pobliże Gór Zmierzchowych, z których upiory ciągną do ludzi jak muchy do miodu. Chociaż nie, nie wyślą. Jest tam miejscowy uniwersytet, a to oznacza, że mają dosyć swoich magów. Trzeba się zastanowić. Nie muszę zdawać egzaminu sprawnościowego, cudownie! A inne jakoś zdam!

Wydział Uzdrawicielstwa. Można wziąć pod rozwagę. I zarobić można, i szacunek zdobyć. Godne zastanowienia.

Weszłam do środka i skierowałam się do sali, na której drzwiach dyndała karteczka z inskrypcją „Wydział Uzdrawicielstwa”.

– Dzień dobry! – zawołałam do starszawej uzdrawicielki, drzemiącej za stołem.

– Wybrałaś nasz wydział, skarberku? – zapytała.

Kiwnęłam twierdząco głową.

– Trochę się spóźniłaś. Przyjdź w przyszłym roku. Przyjmujemy kandydatów na uzdrawicieli z końcem wiosny, żeby popracowali do jesieni w Domu Uzdrawień i upewnili się, czy są gotowi pomagać cierpiącym. Jeśli chcesz, to zostaw zgłoszenie, zawiadomię cię o naborze w przyszłym roku.

No, ciekawostka! I co mam niby robić przez cały rok? Bo przecież nie wrócę do domu z niczym!

Podziękowałam uzdrawicielce i poszłam szukać szczęścia na Wydziale Magii Praktycznej.

Pod drzwiami audytorium, w którym siedziała komisja rekrutacyjna, kłębili się abiturienti. Strapiony młody człowiek w szacie z emblematem uniwersytetu od czasu do czasu wykrzykiwał:

– Po kolei, proszę ustawić się w kolejce! Nowo przybyli, zapisujemy się. Zapisujemy się u mnie!

Jakoś udało mi się przepchać do dysponenta i przedstawiłam się. Zapisał moje dane i wręczył do przestudiowania cienką kartkę z niewyraźnie wydrukowanym tekstem.

„W związku ze zbyt dużą liczbą chętnych, pragnących wstąpić na Wydział Magii Praktycznej, administracja Uniwersytetu wprowadza następujące dodatkowe kryteria naboru...”. Dodatkowe warunki zwały się przed moimi oczami w jedną czarną plamę, pozwalając mi jednak dostrzec jedną linijkę: „zaliczenie egzaminów sprawnościowych na jakąkolwiek specjalizację według podwyższonych norm”. Podwyższonych! A ja w liceum z trudem zdałam z wuefu według norm minimalnych, stworzonych dla słabeuszy! Drzwi do sławy przyszłej orlicy – specjalistki od zwalczania sił nieczystych zatrasnęły się przed moim nosem z wielkim hukiem.

Co robić? Wracać do domu na tarczy? Zostało tylko jedno wyjście.

Niczym skazaniec powlokłam się do sali, na drzwiach której widniało: „Wydział Magii Teoretycznej”. Postąpiłam przed nimi. W końcu bycie bibliotekarzem, nauczycielem albo i specjalistą od magii wykreślnej jest lepsze niż wyraz twarzy mojej mamy, który miałabym okazję ujrzeć, gdybym wróciła do domu z podkulonym ogonem.

Drzwi były uchylone, więc mogłam dostrzec jak dziewczyna z komisji rekrutacyjnej kokietowała sympatycznego czarnowłosego chłopaka. Stałam w drzwiach, lecz rozflirtowana para nie zwracała na mnie najmniejszej uwagi. Długa grzywka chłopaka cały czas spadała mu na oczy, więc bezustannie potrząsał głową, a jego towarzyszka zanosila się perlismym śmiechem. Czarna koszula młodziana była rozpięta na piersiach, a wąskie czarne spodnie podkreślały, że ma obłędnie zgrabne nogi.

„Tani macho!” — pomyślałam. Nigdy, nigdy żaden tego typu facet tak się do mnie nie uśmiechał i nigdy nie miałam okazji śmiać się tak, jak ta dziewczyna — dźwięcznie, wyzywająco. Rozzłościłam się na mój gorzki los i powiedziałam głośno:

— Hej, słuchajcie, potrzebujecie abiturientów?

— A pani chce zostać teoretykiem? — zapytała dziewczyna. — A zresztą, przecież to widać!

Zasmiała się, ale chłopak jej nie zawtórował. Uważnie mi się przyglądał, unosząc przy tym jedną brew. Uchwyciłam spojrzenie nieoczekiwanie błękitnych oczu i spochmurniałam, starając się włożyć w swoją wzrokową odpowiedź całą pogardę dla tego rodzaju przystojniaczków. Chłopak wzruszył ramionami.

— Tak, chcę — powiedziałam wyzywająco. Nie miałam nic do stracenia. Jeśli i na ten wydział mnie nie przyjmą, pozostanie mi tylko samobójstwo, najlepiej przez utopienie. — A pani czym się tu zajmuje?

— Komisja rekrutacyjna jest na obiedzie — skrzywiła wargi dziewczyna. — Jestem tylko sekretarką.

— Jeśli jest pani sekretarką, to proszę ich zawołać! — powiedziałam, z łomotem stawiając walizę na podłodze. — Widzę, że nie jest pani zbyt zapracowana.

— Wredna małpa! — rzuciła dziewczyna, mijając mnie.

— Wypacykowana lalunia — nie pozostałam jej dłużna.

Wyszła, a ja najbardziej ze wszystkiego zapragnęłam usiąść na posadzce, przytulić się do walizki i głośno zapłakać. Nikt nie czekał na mnie w tym wielkim mieście i nikomu nie byłam potrzebna. Ale w domu na mnie czekano. I to jak jeszcze! Myśl ta trochę mnie pokrzepiła, wyprostowałam więc zgarbione plecy. Młody człowiek siedział na jednym z zepchniętych w kąt stołów i uśmiechał się.

— No, widzę, że chcesz coś powiedzieć, nie krępuj się — odezwałam się.

— Przypominasz mi mokre kociątko — odparł.

Rzeczywiście było mi gorąco w kostiumie, a szarpanina z ciężką walizą nie ułatwiała wymiany ciepłej. Byłam okropnie spocona, ale łudziłam się, że nie będzie to aż tak zauważalne. Nerwowo przełknęłam ślinę.

— Mam nadzieję — powiedziałam, starając się powstrzymać drżenie głosu — że nie jesteś jednym z tych sadystów, którzy topią małe kotki?

— Nie, nie topię ich — uspokoił mnie. — Ja je wskrzeszam. Jestem nekromantą.

Wzdrygnęłam się. Próba zażartowania nie wypaliła, więc milczałam, bojąc się znowu coś palnąć.

— No co tam? — zabrzmiał za moimi plecami srogi głos. — Dlaczego stoimy? Proszę usiąść za stołem, skoro pani już przyszła.

Odwrociłam się. W drzwiach stał wykładowca. Właśnie tak sobie wyobrażałam maga opiekuna — srogiego i poważnego.

— Jestem profesor Bef — przedstawił się, siadając. — Irronto, a pan co tu robi? Zdecydował się pan przekwalifikować na teoretyka?

— Nie — uśmiechnął się chłopak. — Zna pan moje powołanie. Czekam po prostu — kiwnął głową w moją stronę. — Trzeba będzie ją zaprowadzić.

Zacisnęłam usta. Obejdzie się bez jego pomocy. Ale Bef skinął głową:

— Dobrze, zapisujemy więc! — popatrzył w moje papiery i powiedział:

— Ale pani chciała wstąpić na Wydział Magii Praktycznej, zgadza się?

Kiwnęłam potakująco.

— To dlaczego zmieniła pani zdanie?

Wydawało mi się, że Bef widzi wszystko na wylot, odpowiedziałam więc uczciwie:

— Nie zdam testu sprawnościowego.

Irronto roześmiał się.

— A dlaczego zdecydowała się pani przyjść do nas?

— Chcę studiować, po prostu.

— Wie pani, bycie teoretykiem to nie taka zła sprawa. Gdyby nie było teoretyków, nie byłoby zaklęć. Gdyby nie było specjalistów magii wykreślnej, to praktycy nie mogliby korzystać z gotowych opracowań, nie byłoby tylu efektywnych wywoływań demonów i poskramiania widm.

Przytaknęłam niemrawo. Wszyscy znają nazwiska wielkich magów-praktyków, walczących z siłami nieczystymi lub też z sąsiednimi państwami. Lecz autorów zaklęć, którymi się posługują nawet najbardziej znani z nich, wymienić nie potrafiłam.

Bef oczywiście zrozumiał, że nie udało mu się przekonać mnie do plusów Magii Teoretycznej.

— Jest pewien zawód dobrze płatny i rzadki w Magii Teoretycznej — powiedział Bef w zamyśleniu — lecz pani ten wariant się raczej nie spodoba.

— A to dlaczego? — oburzyłam się, uważnie nadstawiając uszu. Określenie „dobrze płatny” w znacznym stopniu zwiększyło moją chęć studiowania na kierunku Magii Teoretycznej.

— Ta dobrze płatna, budząca podziw innych profesja — powiedział Bef — to Mistrz Artefaktów! Należy znać się na magii wykreślnej i umieć pracować rękoma...

Cała wysunęłam się do przodu. Zdobyć dobrze płatny zawód! Prestiżowy! Rzadki! Wrócić do domu na białym koniu! Ale nie umiem jeździć wierzchem... To nic, nauczę się.

— Chcę zostać teoretykiem! — oświadczyłam stanowczo.

— Zgoda — odrzekł Bef, wcale nie zaskoczony. — Stypendium wynosi jednego złociszka. Napiszę skierowanie i przydzielę pani miejsce w akademiku.

— A co z egzaminami wstępnymi?

— W tym roku przyjmujemy bez wstępnych — westchnął Bef. — Cierpimy na niedobór.

— Az jakiego powodu?

— Ponieważ studia na naszym kierunku wymagają dużego wysiłku, nie jest lekko. A wszyscy chcą osiągnąć sukces małym nakładem pracy, nikt nie chce się przemęczać.

Wstałam z myślą, że skoro już postanowiłam być dorosła i niezależna, to muszę w tym postanowieniu wytrwać.

— A czy można jakoś tu dorobić sobie przez lato? — zapytałam nieśmiało.

— Obawiam się, że wakat sprzątaczkki pani nie zainteresuje.

— Zainteresuje — szepnęłam, już wyobrażając sobie te wszystkie kpiny ze strony innych mieszkańców mojego akademika. — Po prostu boję się, że nie starczy moich oszczędności na całe lato, a chciałabym utrzymywać się sama.

No i bez pracy nie będę mogła pozwolić sobie na nową fryzurę i garderobę, żeby choć trochę upodobnić się do tych napotkanych wcześniej studentek. A zresztą, co za różnica? I tak te wszystkie laseczki będą się ze mnie śmiać, jeśli nie z powodu ciuchów, to ze sposobu zarabiania!

Łzy w końcu wydarły się na wolność. Było mi siebie bardzo, bardzo żal. Bef obserwował mnie w milczeniu, podczas gdy starałam się powściągnąć swoje emocje.

— Wie pani co — powiedział na koniec — proszę pójść do biblioteki. Tam zawsze kogoś potrzebują. Tym bardziej, że tak dobrze ukończyła pani liceum i posiada już pani pewien zasób wiedzy.

Skinęłam głową, łykając łzy i wzięłam skierowanie do kierownika domu akademickiego. Irronto bez wysiłku chwycił moją walizkę i wyszedł na korytarz, pogwizdując jakąś wesołą melodię. Bardzo wstydziłam się swoich łez, prędko wytarłam twarz chustką i spróbowałam się uśmiechnąć.

— To niedaleko — zwrócił się do mnie. — Mam na imię Irga, a nazwisko już słyszałaś.

Zamyśliłam się. Moi rodzice, owiewani jeszcze romantyzmem młodości oraz trawieni ogniem pożądania, obdarzyli swoje pierworodne dzieciątko dumnym i rzadkim dla dziewczuszek imieniem Olgerda. Szczerze go nienawidziłam. A to dlatego, że nazywano tak wielu zacnych bohaterów z przeszłości i w założeniu miałam ich naśladować. Weźmy chociaż taką Gerdę, która rzuciła się za swoim niewiernym ukochanym przez pól świata. Nie mogę jej ścierpieć. Wolał doświadczenie od młodości? To trudno, pies mu mordę lizał, szukaj innego. A nie cierpieć, męczyć się, wyrywać go z rąk kochanki (której było mi zresztą żal: miała ostatnią szansę na ułożenie sobie życia osobistego). Albo ten wielki bohater Olgerd, który zwyciężywszy hordy nieprzyjaciół, dał naszemu krajowi wolność i napłodził tłumy ślubnych, tudzież nieślubnych bachorów. Jakoś nie wywołuje on u mnie szczególnego podziwu! Poza tym nie jestem mężczyzną i bohaterem nie będę (chyba że bohaterką, a i to nie bardzo widzę się w tej roli).

— Jestem Ola — odpowiedziałam. — Nazywam się Ola Lacha.

Irga uśmiechnął się tak, że od razu nabrałam ochoty, by dać mu w gębę.

Szliśmy tak sobie alejką i miałam okazję się przekonać, jaką popularnością cieszy się mój przewodnik — praktycznie każdy przechodzący student uznawał za swój obowiązek, by się z nim przywitać, a od omdlałych westchnień i nieśmiałych „cześć” studentek zaczęło mi brzęczeć w uszach. Mnie również dostała się porcja uwagi — przyglądano mi się uważnie i podejrzliwie, najczęściej pogardliwie lub uśmiechano się ze

współczuciem. Szybko mi się to sprzykrzyło, lecz cierpiałam dzielnie, tłumacząc sama sobie, że będę żyć pośród tych ludzi i uczyć się z nimi przez najbliższe pięć lat.

—Cześć, Irga. — Wysoki, przystojny blondyn o arystokratycznej twarzy wyciągnął do nekromanty rękę. (Miał nienaganny manicure).

—Cześć, Blondas! — odpowiedział Irga, pokazując gestem, że ma zajęte ręce. — Chcesz czegoś?

—A niczego, tak tylko patrzę, jakie zwierzątko sobie przygarnąłeś. No co, brakowało ci takiego czupiradła do pełnej kolekcji?

„Jakie znowu zwierzątko?” — pomyślałam, patrząc na jasnowłosego przystojniaka. — „Czupiradło? On mówił o mnie?” Poczułam, że pąsowieję.

Blondyn niespiesznie obszedł mnie dookoła.

—Taa... — powiedział. — Biedna prowincjonalna dziewczynka! Czemu nie siedzisz w domu?

Milczałam.

—No nic, mała, najpierw przejdiesz przez łóżko wujka Irgi, potem przez moje. Albo na odwrót...

—Wystarczy, Blondas — ukrócił go Irga. — Trochę przesadzasz.

Poszliśmy dalej. Tuż za rogiem chwyciłam za walizkę.

—Oddawaj!

—Ale dlaczego? — zdziwił się.

—Dosyć już, wystarczy! Nie chcę już dłużej być obiektem drwin! — Szarpałam rączkę walizy, ale nekromanta nie wypuszczał jej z rąk.

—Ja się z ciebie nie śmieję — zauważył.

—Śmiałeś się! Wszyscy się ze mnie wyśmiewacie!

—Po prostu zabawnie teraz wyglądasz — usprawiedliwiał się.

—Nie życzę sobie być zwierzątkiem w twojej kolekcji!

—Wcale ci tego nie proponuję! Na to trzeba sobie zasłużyć!

Wściekła, zbyt mocno szarpnęłam, zatrzaski nie wytrzymały i puściły. Cała zawartość walizy posypała się na ziemię. Zaskoczony chłopak wypuścił ją z rąk. Nie skrywając łez wściekłości, wpychałam rzeczy z powrotem do walizki. Irga opadł na kolana, by mi pomóc.

—Zostaw! — krzyknęłam. — Nie chcę, żebyś jeszcze...

—Lubię grzebać w babskich ciuchach — zauważył.

Nie wytrzymałam i walnęłam go w papę spodnicą,

którą trzymałam w ręce. Klamra paska zostawiła czerwony ślad na jego policzku. Poderwał się, zaciskając pięści.

—Nienawidzę cię! — krzyczałam, zalewając się równocześnie łzami. — Nie jestem ani czupiradłem, ani zwierzątkiem! Ja tylko chcę się uczyć! Dlaczego wszyscy ze mnie się naśmiewacie?!

—Może dlatego, że tak histerycznie na to reagujesz? — odpowiedział Irga nieoczekiwanie spokojnym tonem.

—Nie potrzebuję twoich świątłych rad! — Pociągnęłam walizę po drodze.

—Akademik jest tam — wskazał nekromanta.

Wytarłam łzy, obciągnęłam żakiet i poszłam w tamty m kierunku.

Kierownicza, z pokreśloną bliznami, surową twarzą, wręczyła mi długi regulamin akademika.

—Za naruszenie zasad wyrzucamy — oznajmiła.

—Dobrze — odpowiedziałam pokornie.

—Nie urządzać orgii! Nie pić za dużo alkoholu! Nie posługiwać się magią!

—Jak to, w ogóle?

—Nie, potem doczytasz, w regulaminie są opisane ograniczenia. A za remont po twoich magicznych eksperymentach płacisz ty.

Kierownicza spojrzała na mnie srogo i na rzeczy wystające z walizki.

—Nie lubisz porządku?

Przestraszona, zaprzeczyłam.

—Brudasy w akademiku długo nie pomieszkają — ostrzegła kierownicza.

—Po prostu walizka mi się otworzyła — wyszeptalam.

—No dobrze, masz tu klucz. Będziesz mieszkać na drugim piętrze. Twoja współlokatorka to miła, spokojna dziewczyna. Dogadacie się.

Nieśmiało zastukałam do obdrapanych drzwi z przekrzywionym numerkiem „204”.

—Kogo tam przyniosło?! — rozległ się krzyk. — Śpię!

—Jestem twoją nową współlokatorką — odpowiedziałam.

—No to włącz.

Umeblowanie ciasnego pokoiku stanowił stół, szafa i dwa łóżka. Na jednym z nich wylegiwała się krótko ostrzyżona, czarnowłosa dziewczyna. Na półce nad łóżkiem stała czaszka w modnym kapeluszu. Z jej zębów sterczała wyschnięta bułeczka.

—Jestem na diecie — wyjaśniła współlokatorka, podążając za moim wzrokiem. — Bez powodzenia.

—Mnie też diety nigdy nie wychodziły — przyznałam.

—No, ale czemu stoisz?! — powiedziała czarnula. — Kładź się do wyrka, przecież od razu widać, jaka jesteś zmęczona.

—Jechałam całą noc i rano. A potem się zapisywałam...

—O, ja już rok się tu męczę — odrzekła dziewczyna, drapiąc się energicznie po brzuchu. — Mam na imię Lira, jestem uzdrowicielką. Mam wredny charakter, dlatego nikt ze mną nie mieszka.

—Jestem Ola, zamierzam zostać teoretykiem. Nie boję się twojego charakteru, bo mam cztery młodsze siostry.

Lira roześmiała się.

—To się zaprzyjaźnimy. Jestem jedynaczką, mam tylko mamę. Ale ona już piąty raz wyszła za męża, masz pojęcie? A ja jeszcze nigdy nie miałam chłopaka! Tak że czasami się zastanawiam, czy na pewno jestem jej córką...

Otworzyłam walizkę, żeby ukryć swoje zmieszanie. Bardzo chciałam poskarżyć się Lirze na powitanie, jakie zgotowało mi to wielkie miasto, opowiedzieć o tym, że ja też nigdy nie miałam chłopaka. Bałam się jednak otworzyć przed obcą jeszcze osobą.

No dobra — nieoczekiwanie odezwała się Lira. — Nie przejmuj się. Boję się, bo mi się zawsze jakieś głupoty przydarzają. Moja poprzednia współlokatorka nie była fajna. Bardzo lubiła trolle, szczególnie w naszym pokoju. W łazili do niej przez okno.

- Ja też się denerwuję — odpowiedziałam. — Ale trolle nie lubię, słowo honoru.

—Będziemy żyć w spokoju i zgodzie? — z nadzieją zapytała moja współlokatorka.

Wzruszyłam lekko ramionami, myśląc o tych, na których już czekała moja przyszła Straszna Zemsta, o tych, którzy mnie tak parszywie przywitani. A zwłaszcza o tym gogusiu Irdze, do którego haremu chciano mnie tak ochoczo dopisać.

„Jeszcze zobaczy, jaki to ze mnie zwierzączek” — obiecałam sobie.

—Zobaczymy, jak się ułoży — odpowiedziałam Lirze, wyciągając z walizki swoje rzeczy. Miałam wiele do zrobienia.



## 2

### Linia a raz. linia dwa

Hej, pobudka! — Lira potrząsała moim ramieniem. — Co się stało?

—Mmmm, nie szarp mnie! Śpię!

—Widzę — powiedziała. — A nie chcesz pospać sobie w łóżku?

—Tu mi tak miękko i przytulnie...

—No pewnie, w końcu leżysz w misce z sałatką! -Ja...?

—Ty! A ja tę sałatkę planowałam na kolację! Ty w ogóle spałeś dzisiaj? — Lira podała mi ręcznik.

—Spałam, dopóki mnie nie obudziłaś — wyburczałam i przeciągnęłam się słodko.

Studia na kierunku Magii Teoretycznej były naprawdę ciężkie. Zajęcia zaczynały się wczesnym rankiem, a kończyły późnym wieczorem. Z zawiścią patrzyłam przez okno, jak po pierwszym zimowym śniegu biegali na boisku studenci-praktycy. Różnili się od nas wyglądem tak, jak różni się rumiane jabłuszko wiszące na gałęzi od pomarszczonego mizeractwa, które całą zimę przeleżało w spiżarni.

Dlaczego, no dlaczego nie uprawiałam sportu? Biegałabym sobie teraz z rumianymi policzkami wśród tych sprężystych, pięknie zbudowanych młodych mężczyzn, a tak muszę siedzieć w audytorium przy marnym blasku świetlików i rozwiązywać kolejne nudne zadania!

Niestety, musiałam przyznać, że mama miała rację. Zawsze mi powtarzała: ucz się pilnie, ale nie zaniedbuj zajęć fizycznych! Szkoda, że jej nie posłuchałam.

Moje męki i nocna bezsenność zaczęły się po pewnym nieoczekiwanym spotkaniu. Pewnego zimnego wieczoru, gdy szłam okutana płaszczem po sam nos, wpadłam na kogoś na ulicy.

—Przepraszam — wymamrotałam i chciałam iść dalej.

—Olgierda? — znajomy, dźwięczny głos.

Podniosłam wzrok i oniemiałam. Eluwirieli! Przecudny, po prostu jak z obrazka, złotowłosego elf. Moja pierwsza miłość. Powód, dla którego codziennie rano biegłam tak chętnie do liceum. Śledziłam go na korytarzach. Miałam nadzieję, że moje uczucia pozostaną słodką tajemnicą, lecz oczywiście sposób, w jaki patrzę na szkolnego ulubieńca, nie umknął uwadze loży licealnych szyderców. Starałam się olewać wszelkie żarciki i kpiny, także głupie liściki pojawiające się w moich zeszytach, a nawet na plecach. Najważniejsze było to, że czasami się do mnie uśmiechał. A kiedyś nawet podał mi rękę, gdy schodziłam ze stopni dyżansu — jechaliśmy wtedy całą grupą na jakiś między licealny konkurs.

Stałam, w milczeniu patrząc na mój obiekt westchnień. Potem nie wytrzymałam i dotknęłam jego rękawa. Był całkowicie materialny, z mięsistej, przyjemnej w dotyku elfickiej tkaniny.

—Olgierda — uśmiechnął się El. — Nie spodziewałem się ciebie tu spotkać. Co tutaj robisz?

—Znasz moje imię? — wyszeptalam.

—No pewnie — odrzekł. — A ty znasz moje. Czy może zapomniałaś?

—Eluwirieli... — ze zmieszania ledwo mogłam mówić.

—Studiujesz?

—Tak. Na Wydziale Magii Teoretycznej.

—To świetny kierunek! — powiedział elf. — Ja też jestem teoretykiem magii. A tobie to pasuje?

Też jest teoretykiem! Czyli dobrze wybrałam fakultet, skoro El też go wybrał!

—Pasuje. — Cóż, gdyby powiedział, że na śniadanie wcina żywe karaluchy, i zapytał, co o tym myślę, odpowiedziałabym tak samo. I połknęłabym jeszcze parę dla podkreślenia swej prawdomówności. — Tylko ta magia wykreślana...

—To najwspanialsze zajęcie na świecie! — wykrzyknął mój umiłowany. — Uwielbiam zajmować się magią wykreślną! To takie ciekawe — ta doskonałość linii, piękno kątów, dokonywanie podziału strumieni energii, finezja formuł...

„Aha, jasne... — pomyślałam ponuro. — Nie widział piękna *moich* linii. Nieźle by się uśmieł! Albo raczej przeraził!”

—A właśnie... — powiedział El. — Chciałbym ci coś dać. To moja książka „Podstawy magii wykreślnej”.

—Twoja książka? — zdziwiłam się.

—Pisałem ją dwadzieścia lat — pochwalił się.

Dwadzieścia? Dwadzieścia?? Przecież ja krócej żyję na świecie!

—Dlatego właśnie uczyłem się w waszym liceum. Chciałem poznać podstawy ludzkiej magii. — Troskliwie wy dostał z torby egzemplarz swojej książki.

Do Liceum Magii mógł wstąpić każdy, niezależnie od rasy czy wieku, najważniejsze było to, by posiadał minimum wiedzy i wykazywał talent w kierunku magii. Dlatego też w naszej klasie uczyły się osoby różnych ras i pozycji. Wielu z nich uznawało za punkt honoru pokazać mi, gdzie jest moje miejsce i udzielić „przyjacielskiej rady”.

—Życzę ci wielu sukcesów w magii wykreślnej! — Elf szybko napisał coś na stronie tytułowej.

Drżącymi rękami przytuliłam do siebie książkę.

—No widzisz, jak się dobrze składa! — powiedział El. — Wkrótce trafi do sprzedaży, a ty już masz jeden egzemplarz. I to jeszcze z autografem autora! Cóż, mam jeszcze dużo spraw. Powodzenia!

Nachylił się i dotknął swoimi ustami moich. Pachniał miętą, słońcem i lasem. Zamarłam, nie mogąc uwierzyć w to, co się ze mną dzieje. Eluwriel poszedł dalej, a ja stałam na ulicy, przyciskając do siebie książkę i przeżywając pocałunek wciąż od nowa.

—Heeej! — Czyjaś ręka pomachała mi przed twarzą. — Żyjesz?

Zamrugałam parę razy i zobaczyłam przed sobą Irgę. Jego nieznośna maniera rozciągania samogłosek tak bardzo drażniła moje uszy po słuchaniu śpiewnego głosu elfa, że odkaszlnęłam i powiedziałam:

—Drażnisz mnie.

—Milutkie przywitanie! — odparł Irronto. — A przecież gdyby nie ja, to zamarzałabyś na tej ulicy! A tobie co jest, ten elf cię zaczarował?

—Nie, on tylko... tylko...

—Pocałował cię — dokończył Irga dziwnie ponuro.

—Podglądałeś! — oburzyłam się. Chciałam, żeby ten moment należał tylko do mnie i na pewno nie miałam ochoty, żeby jasne chwile mojego życia psuł ktoś taki, jak ten arogancki przystojniaczek.

—Skąd — zaprzeczył Irga. — Po prostu szedłem ulicą.

—No i mogłeś iść sobie dalej — odparłam. — Musiałeś się mnie czepić?

—Zmarzniesz, zachorujesz i umrzesz — rzekł Irronto. — I trafisz do mnie na stół, jako materiał naukowy dla nekromantów. Będę miał radochę.

Wzdrygnęłam się, wyobrażając sobie taką perspektywę i pobiegłam ulicą.

—On mógłby być moim ojcem! — płakałam wieczorem w mankiet Lirze. — A ja byłam w nim taka zakochana!

—„Olgierdzie — dziewczynie ze smutnymi i zakochanymi oczami” — przeczytała dedykację. — Jakie piękne pismo!

—Jest elfem — rzekłam ponuro. — Starym.

—"Według ich miary jest całkiem młody — zaprzeczyła moja współlokatorka, przeglądając książkę. — Skończył u siebie uniwersytet, potem zaczął pisać książkę, a potem wstąpił do waszego liceum. Ma jakieś siedemdziesiąt — osiemdziesiąt lat.

—No nie, mógłby być moim dziadkiem! — Złapałam się za głowę.

—Dobre sobie! A co on twoim zdaniem miał zrobić? Powiedzieć: moja droga, widzę, że mnie kochasz, ale jestem cztery razy starszy od ciebie? A ty byś się powiesiła. Nie trzeba daleko szukać, u nas w Domu Uzdrawień niedawno ratowaliśmy taką ofiarę pierwszej miłości. A teraz jesteś dla niego w sam raz. Zobacz, nawet cię pocałował!

Dotknęłam warg palcami i postanowiłam nie przyznawać się, że był to mój pierwszy pocałunek w życiu.

—A tak w ogóle — ciągnęła Lira — to nowa ukochana naszego króla ma piętnaście lat. W porównaniu z nią jesteś już nieco podstarzała.

—Wszyscy faceci to bydlaki — podsumowałam.

—Nie jesteś odosobniona w swoich sądach — ziewnęła moja przyjaciółka i rzuciła mi książkę.

Zwinność nigdy nie była moją mocną stroną. Tom uderzył mnie w brzuch, objęłam go rękami, usiadłam na łóżku i zamysliłam się. Nie mam pojęcia, jakie zakłęcie włożył elf w swój pocałunek, ale sposób, w jaki rozmawiałam z Irgą, zadziwił mnie samą. Byłam taka śmiała! Westchnęłam i zaczęłam czytać, walcząc z chęcią przewracania stron bez

zagłębiania się w treść. Zauważyłam, że wiele zagadnień z magii wykreślnej było już mi znanych — wyjaśniali je na zajęciach. Ale to, co w audytorium wydawało mi się takie nudne, w książce Eluwiriela przedstawione zostało w sposób nadzwyczaj interesujący! Jakby ze mną rozmawiał, jakby wersy tej książki powstały specjalnie dla mnie. Czasami przerywałam czytanie i wracałam do wspomnień o wydarzeniu na zaśniewanej ulicy. Och, El! Zobaczysz, że nie nadaremnie ofiarowałeś mi tę książkę!

Następnego dnia poprosiłam profesora Befa, który wykładał nam magię wykreślną, aby pozwolił mi pracować wieczorami w audytorium — do większości wykresów potrzebna była duża przestrzeń, strzeżona przed negatywnymi skutkami nieudolnego kreślenia. Zgodził się, tym bardziej, że moje dotychczasowe osiągnięcia w tym zakresie pozostawały wiele do życzenia.

Odtąd tyrałam każdego wieczora. Płakałam, patrząc na swoje krzywe linie, ścierałam kredę i znowu kreśliłam. Kiedy opadałam z sił, przywoływałam z pamięci zaśniewaną ulicę i pocałunek pachnący miętą. I kreśliłam znowu.

Oczywiście, nauki w pełnym wymiarze dobowym nikt nie przewidywał. Spać więc nie miałam kiedy. Chodziłam zła i cały czas patrzyłam tylko, gdzie by się tu na chwilę zdrzemnąć. Parę razy ktoś próbował mnie zaczepiać, ale odgryzałam się tak błyskotliwie, że zadziwiałam samą siebie.

W końcu moje linie zaczęły być podobne do linii. Zauważyłam, że Lira cichaczem dolewa mi do herbaty energetyzującej nalewki i postanowiłam kreślić mniej, a spać więcej.

Pewnego razu jak zwykle weszłam do sali, gdzie wieczorami kreśliłam. Wielka przestrzeń podłogi, na której rysowałam linie, była wspaniale widoczna z miejsc dla studentów, na podwyższeniu. Zwykle najpierw sporządzałam wykres, a następnie szłam wyżej i patrzyłam na niego z góry — ta metoda pozwalała zauważyć od razu wszystkie błędy.

Zapaliłam ogniki i rozłożyłam na stole wykładowcy swoje zadanie na dzisiejszy wieczór. Na górze coś zaszleściło. Przestraszona chwyciłam linijkę niczym miecz.

— Kto tam? Wychodź, albo...

— Hej, wojowniczo! — Głos był bardzo znajomy i natychmiast pożałowałam, że nie mogę zrobić z linijki stosownego użytku. — Co tutaj robisz?

— Pracuję, w przeciwieństwie do niektórych — powiedziałam, starając się nie spoglądać na cienie, płasające po ścianach.

— Kontynuujcie, nie będę wam przeszkadzać.

Wzięłam do ręki kredę i zaczęłam kreślić z obojętnym wyrazem twarzy. Na górze para kotłowała się i chichotała. Strasznie mnie to denerwowało, ale starałam się tego nie okazywać.

— Irga! — rozległ się obrażony kobiecy głos. — Ja tak nie mogę. Ona tu patrzy.

— Ale niczego nie widzi — głośnie echo hulało po audytorium. — Ola! Czy ty nas widzisz?

— Zostawcie mnie w spokoju, dobrze?

— Sama widzisz! — Nekromanta starał się uspokoić dziewczynę, jednak bez powodzenia. — Ola, nie mogłabyś pokreślić sobie gdzieś indziej?

—Nie — odpowiedziałam grzecznie. — A wy nie moglibyście... robić tego gdzie indziej? Bo mnie pasuje tylko to audytorium.

—Ale my już zaczęliśmy — odpowiedział Irga.

—Ja też — odparłam, starając się wyglądać na bardzo zajęętą pracą.

Po pewnym czasie dziewczyna zeszła na dół, otulając się płaszczem.

—Nie masz serca — oświadczyła.

Wzruszyłam ramionami.

—Jesteś zgorzkniałą starą cnotką! — Wściekła, szukała, czym by mnie tu najmocniej ukłuć. — Nigdy nie będzie ci dane doświadczyć, jakie to wspaniałe uczucie znaleźć się w silnych i czułych rękach. Jesteś zimna. I w ogóle nikomu nie jest potrzebna taka bezpłciowa ścierka jak ty.

—Aha... — przytaknęłam, kończąc wykres.

—Dasza! — krzyknął z góry Irga, biegnąc na dół, ale było już za późno. Wypowiedziałam zakłęcie i klasnęłam w dłonie.

W miejscu rysunku pojawiła się ogromna morda z wielkimi kiami. Rosła i rosła, a dziewczyna zakryła rękami twarz i cieniutko zakwiliła.

Irga przeleciał obok mnie niczym czarna błyskawica, w mgnieniu oka porwał dziewczynę na ręce i wyniósł na korytarz. Zatrzasnąwszy drzwi, odwrócił się do straszliwej paszczy i wykrzyczał anty zakłęcie. Zrobiła się mniejsza, ale nie znikła. Siedziałam na podłodze i z wielkim zaciekawieniem patrzyłam na wyczyny chłopaka. W końcu udało mu się upchać stwora z powrotem do pentagramu i dezaktywować go.

—Ty...! — Irga odwrócił się w moją stronę. Ciężko dyszał, a jego twarz błyszczała od potu — Ty...! Wiesz i chociaż, co zrobiłaś?

—Co? — zapytałam.

—Przyzywałaś demona! W dodatku bardzo krwiożerczego. Gdyby się wyrwał, zjadłby nas i nawet tego nie zauważył! — Irga zaczął szarpać mnie za ramiona. — To nic jest zabawa dla niedouczonego pierwszoz roczniaków! Nic masz ani krzty rozumu?!

Chwiałam się w jego rękach niczym szmaciana lalka. 1 )o licha, to bolało! Odetchnęłam i zebrawszy siły, przerwałam mu:

—Jak jesteś taki mądry, to mi powiedz, co to było!

—Chwila... — zastanowił się Irronto. — Wykres Nambgusa przyzywający demony z piekła.

Zaniosłam się radosnym, zwycięskim śmiechem. Szkoda, że rzadko mogłam się tak śmiać, ale tego momentu przegapić nie zamierzałam!

—To ty nie masz rozumu! — powiedziałam pogardliwie, a na twarzy Irgi odmalowało się zmieszanie. — To był zmienny wykres Nambgusa, wywołujący tylko iluzję demona. Jako niedouczona studentka pierwszego roku, nigdy nie odważyłabym się na pełne kreślenie bez swojego wykładowcy.

Strzepnęłam jego ręce z ramion, zebrałam swoje rzeczy i poszłam sobie.

Ów zmienny wykres, polecany „dla ćwiczenia precyzji kątów między liniami” znalazłam w podarowanej mi książce i po raz pierwszy udało mi się tak szybko, solidnie wykreślić nowy pentagram. Myśl ta mnie uskrzydliła.

Dziewczyna Irgi płakała na korytarzu.

— Nie łam się — powiedziałam do niej. — Niebezpieczeństwo minęło. A tak na marginesie, niektórym Niebiosia darują objęcia mężczyzn, a niektórym — rozum. Sądzę, że to drugie jest lepsze.

Zadowolona ze swojej malutkiej zemsty i z poczuciem wielkiego sukcesu, cicho podśpiewując, udałam się na spoczynek.

## Wszyscy mężczyźni to... ?

Czyja kasza się przypala?! — w korytarzu akademika rozległ się donośny krzyk.

Ocknęłam się. Ślęczałam nad ćwiczeniami w języku elfickim, z którym to stosunki nie układały mi się dobrze od samego początku. Kasza... Kasza! Kasza!!!

Wbiegłam do wspólnej kuchni, czując już z daleka zapach spalenizny. Jak mogłam zapomnieć o kaszy?! Szlag by trafił! I co ja teraz będę jeść?

Wsadziłam nos do garnka i powąchałam. Cholera! Ale gdyby posypać z wierzchu jakimś intensywnie pachnącymi ziołami, to może da się przelknąć. Teoretycznie. I będę musiała popijać miętą. Wysypałam na talerz wszystko, co nie zdążyło jeszcze stać się czarną gryczaną skorupą i poskrobałam dno paznokciem. Skorupa nie poddała się. Nalałam do rondla wody i postawiłam do odmoczenia.

Mojemu powrotowi do pokoju towarzyszył lekki zapaszek spalenizny. Ugarniowałam kaszę grubą warstwą przypraw, nie zaryzykowałam jednak wzięcia jej do ust, zostawiłam sobie ten proces na czasy, kiedy będę już desperacko głodna.

W holu na parterze zbierali się ludzie. Studenci żywo nad czymś radzili i popatrywali na drzwi.

—Co się stało? — zapytałam dziewczynę z mojego piętra.

—Przed wejściem jest pełno Szakali — westchnęła. — Wszystkich wychodzących oblewają wodą.

—A nie można wyjść przez okno?

—Zastawili tam pułapki.

Popatrzyłam na zebranych. Byli to głównie ludziska z niższych lat — starsi albo byli już po zajęciach, albo — co zdawało mi się bardziej prawdopodobne — odsypiali nocne hulanki.

Blondyn Lim — ten, którego spotkałam w dniu przyjazdu, był synalkiem zastępcy naczelnika stolicy, człowieka przebiegłego i nikczemnego, jak wszyscy politycy zresztą. Po matce Lim odziedziczył maluśki dar magii, więc ojciec wysłał syna na Wydział Sędziów i Jasnowiedzów, wróżąc mu karierę polityczną. Chłoptaş mieszał w głowach wszystkim wykładowcom, którzy nie mogli go wywalić (uczył się słabiusieńko, ale się uczył, i do tego płaćnie), ani ukarać za znęcanie się nad innymi studentami — Blondas był na tyle cwany, by nigdy nie dać się złapać na gorącym uczynku.

Lim zgromadził wokół siebie niezłą kompanię przydupasów, słabych magów, kapusiów i pochlebców. Ta oto zgraja (nazywana powszechnie Watahą Szakali) terroryzowała studentów słabszych moralnie i magicznie. Większość Szakali należała do złotej młodzieży i miała wysoko postawionych protektorów. Bano się ich i nienawidzono.

—Co robić? — spytał Ptrońka z rozpaczą w głosie. — Spóźnimy się na zajęcia. A ten przeklęty elf wytrzęsie / nas dusze!

Język elficki wykładał u nas profesor Łomitoriel. Nie lubił studentów, którzy nie byli elfami, a krasnoludów wręcz nienawidził. Nigdy nie żartował i nie uśmiechał się. Na popełniających błędy (a spróbuj się nie pomylić, skoro samych przypadków w elfickim jest dwadzieścia sześć!) patrzył zawsze z pogardą i litością, jak na małpy, które próbują udawać ludzi. Chodziły słuchy, że po dwóch wiekach pracy na uniwersytecie Łomitoriel wydał parę książek, cieszących się zresztą niemałym powodzeniem wśród jego rodaków, pod ogólnym tytułem „Ograniczenia rasy ludzkiej”, które należały do lektur omawianych w elfickich szkołach.

Postawiłam na szali gniew profesora oraz perspektywę spaceru w mokrej odzieży, smaganej przez zimny wiosenny wiatr i postanowiłam wyjść.

—Idziemy — powiedziałam do Ptrońki.

—Nieeee — zaskowyczał. — Boję się.

—Też mam stracha, ale elfa boję się bardziej.

—Zachorujemy — próbował odwołać się do mojego zdrowego rozsądku.

—Jeśli zachorujemy, to się potem wyleczymy — machnęłam ręką i zdecydowanie otworzyłam drzwi.

Wataha przywitała mnie radosnym wyciem. Już im się sprzykrzyło tak siedzieć i czekać, kiedy „koty” zdecydują się w końcu wyjść na dwór. Wtuliłam głowę w ramiona i nie zwracając uwagi na obraźliwe okrzyki, pośpieszyłam w stronę alejki.

Plask! "Wodna kula trafiła mnie w plecy. Zrobiło mi się zimno i mokro. Mocno przycisnęłam do siebie książki i zeszyty.

—Jeszcze! — zabrzmiał pełen zachwytu głos Blondasa. — Celuj w tyłek!

Plask, plask! Mokra spódnica lepiała się do nóg. Uderzenia wodnych pocisków naprawdę bolały. Byłam pewna, że jutro będę paradować z siniakami na ciele.

—W głowę! — rozkazywał Blondas.

Udało mi się uchylić. Z tyłu rozległ się plusk.

—A ty co, masz krzywe łapy? Jeszcze raz!

Zrozumiałam, że nie mam nic do stracenia. Z akademika nie nadchodziła żadna grupa wsparcia (lub chociaż grupa odwrócenia uwagi), Szakale jeszcze długo mi nie odpuszczają, być może będą mnie tak prześladować do samego budynku, w którym odbywały się ćwiczenia.

Odwróciłam się i zawołałam do Blondasa:

—A ty co, sam nie rzucasz? Chowasz się tylko za cudzymi plecami?

Lim wpadł w furię. Wodna kula, którą zrobił, była mała i rozpadła się, nie przeleciawszy nawet połowy dystansu. Zawładnęła mną swoista odwaga skazańca.

—Mam podejść bliżej? — spytałam szyderczo.

Blondyn zamachnął się po raz drugi. Wśród zgrai

rozległy się chichoty, które zresztą szybko umilkły pod spojrzeniem Lima.

—Mam się sama oblać? — zapytałam.

Arystokrata zacisnął pięści.

—Teraz, mała, oblejesz się krwią!

Patrzyłam na niego w milczeniu i stałam w miejscu. Byłam tak przerażona, że nogi odmówiły mi posłuszeństwa, a rękoma tylko mocniej przycisnęłam do siebie książki.

—Myślę, Blondas, że nie będziesz rozmieniał się na takie drobne. — Ze stojącej nieopodal ławeczki wolno podniósł się Irga, którego wcześniej nie zauważyłam.

Często świadczył drobne magiczne usługi zgrai Lima, nigdy jednak nie brał udziału w podobnych rozrywkach.

—Nie rozkazuj mi!

—Nie będę — powiedział nekromanta. — Jeśli dowód twojej władzy opiera się na biciu tej smarkuli...

Blondas milczał.

—Hej, znajdźcie mi jeszcze jakiegoś idiotę, chcę się jeszcze pobawić! — zadysponował nagle.

Irga podążył dróżką prowadzącą do budynku, ja za nim. Z zimna i od niedawnych przeżyć szczękały mi zęby.

—Lubię obserwować ludzkie zachowania — rzekł Irga. — Dlaczego wyszłaś akurat ty, a nie jakiś chłopak?

—Boję się profesora Łomitoriela bardziej, niż Blondasa — przyznałam uczciwie.

—A czemu boisz się Blondasa? — zapytał Irga. — To zwykły chwast.

Nagle naszła mnie ochota, by mu opowiedzieć, jak to jest słuchać głupich docinków, powiedzieć mu, jak się czuje człowiek, gdy na jego plecach dynda kartka z obraźliwym epitetem, jak to jest upadać, potknąwszy się o niewidzialną linę, naciągniętą w poprzek korytarza, dostawać po grzbiecie wodną kulą... Chociaż... To poniżające, owszem, ale Irga ma rację — w sumie nic strasznego. Dziwne, że nigdy wcześniej nie myślałam o tym w ten sposób. A więc i Blondasowi można się przeciwstawić! Ze też wcześniej tego nie rozumiałam!

Zatrzymałam się, porażona tą myślą. Nekromanta także przystanął, popatrzył na mnie i roześmiał się.

—Wybrałaś emploi mokrego kociątka? Chcesz, to cię wysuszę.

—Niczego od ciebie nie chcę! — odpowiedziałam dumnie, przyspieszając jednocześnie kroku. Dogoniła mnie fala ciepłego powietrza, ale nawet się nie odwróciłam.

Profesor Łomitoriel nawet nie mrugnął okiem, widząc mój fatalny wygląd, chociaż na pewno ranił on jego delikatne elfickie poczucie estetyki. Poczekał, aż wszyscy usiądą i powiedział:

—Zapamiętałem, kto jest nieobecny. Pożaluję tego.

W audytorium zapanowała kompletna cisza. Można

było wyraźnie usłyszeć czkającą ze strachu w ostatniej ławce Tomnę, która nie odrobiła zadania domowego.

—Dzisiejsze zajęcia będą nietypowe. Zaprosiłem na nie mojego starego przyjaciela Eluwiriela z Kwiatostanu Ormotylei. Będzie prowadził wykład, a wy macie zrobić konspekty. Potem oddacie mi notatki, sprawdzę wasze rozumienie słowa mówionego.

Eluwirieli! Moje serce zatrzepotało. Zobaczę znowu swojego ukochanego! Dotknęłam ust, wspominając pocałunek na zaśniewanej ulicy.

El wszedł do audytorium i uśmiechnął się do obecnych.

- Sam niedawno byłem studentem — powiedział — i wiem, że jest wam ciężko. I dlatego postaram się mówić 1.1 k najbardziej zrozumiale.

Możliwe, że rzeczywiście mówił w sposób zrozumiały. Możliwe też, że mówił coś interesującego. Nie mam pojęcia. Patrzyłam na niego, słuchałam jego mowy jak piękniejszej melodii, patrzyłam jak się porusza, jak kołyszą się jego długie jedwabiste włosy. Czas się dla mnie zatrzymał.

—Wykład skończony — obwieścił głośno profesor. — Oddajemy pracę.

Z przerażeniem spojrzałam na swoją pustą kartkę. Nie było czasu, żeby zapytać kogoś, o czym był wykład. Podpisałam się tylko, głośno westchnęłam i powlokłam się na tortury.

—Co to jest? — spytał Łomitoriel.

—Moja praca — wymamrotałam, nie podnosząc oczu.

—A dokładniej, jej brak — zauważył wykładowca. — Nie przypuszczałem, że aż tak słabo rozumie pani język mówiony.

Nie mogłam się przyznać, że po prostu nie słuchałam, więc tylko w milczeniu skinęłam głową. Znałam elficki — w słabiusieńkim stopniu, ale znałam. Podstaw nauczyłam się jeszcze w liceum, uskrzydłona tą moją miłością.

—Nie trzeba aż tak ostro, Łomitorielu — powiedział El po elficku.

—Znasz ją? — Moja wyostrzona przez strach uwaga z jakimś trudem przetłumaczyła elfickie słowa.

—Razem się uczyliśmy. — Eluwirieli pomilczał chwilę i dodał: — Wyobraź sobie, ona była we mnie zakochana.

—Zakochana? — zapytał profesor z przerażeniem. — Była w tobie zakochana ludzka kobieta? O, Panie! Ależ koszmar! Nie wiedziałem, że coś takiego może przydarzyć się mojemu przyjacielowi! Mam nadzieję, że nie odwzajemniałeś tych uczuć? I nie dawałeś do nich powodu?

Poczułam, że moje uszy płoną. Zajęte rozmową elfy nie zwracały na mnie uwagi, były pewne, że ich nie rozumiem. Łomitoriel wymachiwał pustą kartką, na której było krzywo napisane moje nazwisko. Teraz El przyzna się, że mnie pocałował i podarował mi swoją książkę, a wtedy profesor już nie da mi żyć.

—Nie, no co ty, za kogo ty mnie uważasz? — obruszył się El.

—Olgierdo, dlaczego pani tu jeszcze stoi? — zwrócił się do mnie wykładowca w języku wspólnym. — Proszę iść.

Czując się jak przekłuty balon, z którego uszło całe powietrze, skłoniłam tylko głowę w pożegnalnym geście i ruszyłam do wyjścia. Przy samych drzwiach usłyszałam:

—Wybacz, jak mogłem tak pomyśleć. Przecież ludzkie kobiety są do niczego.

—No właśnie — przytaknął Eluwirieli. — I nawet nie potrafią się całować...

Elfy roześmiały się, całkowicie pewne swojej wyższości nad innymi rasami.

Doszłam do biblioteki jak we śnie, powtarzając sobie po elficku to, co usłyszałam. Zapiisałam w zeszycie i przetłumaczyłam. Wszystko rozumiałam prawidłowo!

Oczywiście, każde elfickie słowo ma wiele różnych emocjonalnych odcieni, jednak nie zamierzałam się w to wgłębiać. Nie chciałam być ani „niegodną” ani, na przykład, „pyłem pod nogami Pierworodnego” czy „nic niewartymi przegniłymi liśćmi”.

Wewnątrz mnie powstała pustka — absolutna i wszechogarniająca. Podparłam głowę rękami i bezmyślnie wpatrywałam się w książki, stojące na regałach.

Z tego odrętwienia wyrwało mnie pytanie Tomny:

—Ola, nie wiesz może, jak po elficku będzie „młody wiosenny kwiatek”? Wiem, że to jest tylko jedno słowo, ale za nic nie mogę sobie przypomnieć. Nie chce mi się grzebać w słowniku, może pamiętasz?

„No przecież to proste!” — chciałam wykrzyknąć, milczałam jednak. Nie miałam pojęcia, jak po elficku będzie „młody wiosenny kwiatek”. Nie wiedziałam nawet, jak po elficku brzmi słowo „mama”. Cała moja znajomość tego języka po prostu uleciała z wiatrem.

—Nie wiem — odpowiedziałam, podając Tomnie słownik. I znowu zagapiłam się na regały.

—Wstawaj, wstawaj, dosyć tego cierpiętnictwa — usłyszałam głos Liry. — Wszyscy już śpią w swoich domach, a ty siedzisz tu w tej czytelnicy, zmarznięta i mokra. Przyniosłam ci futro.

—Już wyschłam — powiedziałam. — Dawno temu.

—Tomna mi mówiła, że opuściła wszystkie zajęcia po elfickim. A potem znalazła cię w bibliotece i zauważyła, że jakoś dziwnie się zachowujesz. Co się stało?

—Nic — wzruszyłam ramionami i wstałam. Świat zawirował mi przed oczami...

—Otwórz buźkę, no już! — perswadował mi czyjś miły głos. — No! A teraz połykaj!

Gorący płyn wleciał mi do gardła. Zakaszałam i otworzyłam oczy.

—O! — ucieszyła się Lira, tak że prawie wypuściła z rąk filiżankę. — Otworzyłaś oczy! Cudownie!

—Co...? — próbowałam zapytać, ale w gardle miałam pustynię.

—Nic nie mów! — Lira zamachała ręką. — Pij, a ja ci wszystko opowiem. Zachorowałaś, i to ciężko! Przeziębiałaś się jak nie wiem co! Moja opiekunka powiedziała, że przebieg choroby zaostrzył jakiś psychiczny wstrząs. Nic nie wiem o żadnym wstrząsie, ale jej uwierzyłam. I byłaś moją pierwszą pacjentką! Nawet mnie z zajęć zwolnili i obiecali mi zaliczenie z jednego przedmiotu, pod warunkiem, że wstaniesz na nogi w czasie krótszym niż tydzień! A minęły ledwie trzy dni!

—Trzy...

—Tak, bredziłaś, coś tam wykrzykiwałaś o miłości. No cóż, dzisiaj na nogi jeszcze nie wstaniesz, ale jutro... A, i jeszcze jedna dobra wiadomość. — Lira wprawdzie wlewała we mnie rosół przy pomocy łyżki. — Dostało się za ciebie watasze Blondasa. Ptrońka powiedział Befowi, że zachorowałaś po tym, jak Blondas oblał cię wodą, i Bef się wściekł. Oczywiście temu kretynowi nic nie mógł zrobić — Blondas powiedział prawdę, że to nie on zlał cię wodą. Za to nieźle dostało się jego najlepszemu kumpłowi, Riakowi! Bef zmusił go do kreślenia, aż cały uniwersytet się zebrał, żeby popatrzeć na to przedstawienie.

Moja przyjaciółka zaśmiała się i poszła myć naczynia.

Ułożyłam się wygodniej i zaczęłam dumać. We wnętrzu nie miałam już tej okropnej pustki — w żołądku przyjemnie trawił się rosół z kury, kiszki burczały niezadowolone, że już trzy dni obywają się bez normalnego jedzenia, skóra swędziała od długiego leżenia. Wszystko wróciło na swoje miejsce i było mi dobrze.

— Aha, zapomniałam ci powiedzieć — obwieściła Lira, wracając z kuchni. — Nie zaryzykowałam mycia twojego przypalonego rondla, czeka na ciebie. I wybacz, ale wyrzuciłam już tę kaszę. Strasznie śmierdziała.



Rok Drugi

## Niezapomniana libacja

Szłam długim korytarzem akademika, będąc w stanie głębokiej melancholii: życie wydawało mi się szare i nijakie, nic mnie nie cieszyło. Do pokoju wracać nie chciałam — Lira, będąc ostatnio w najwspanialszym z nastrojów, nuciła tam przeróżne pioseneczki — zakochała się i to z wzajemnością. Nie czułam się na siłach patrzeć na jej rozpromienioną twarz, teraz, kiedy tak wyraźnie odczuwałam wszelkie życiowe niegodziwości.

Coś jednak robić musiałam. Potrząsnęłam sakiewką. Zadzźwięczały monety — te przeznaczone na wydatki w tym tygodniu. Do wypłaty stypendium zostały jeszcze dwa tygodnie. Żadnych innych wpływów nie przewidywałam. Dno.

„Ola, otrząśnij się — próbowałam przekonać samą siebie. — W końcu jesteś prawie magiem-teoretykiem, nie wolno ci wpadać w jakies depresje, moja droga! Jesień na dworze, do sesji daleko, liście pięknie się złocą”.

Autoterapia nie pomogła.

Monety brzęknęły radośnie i zachęcająco. Cały czas prześladowała mnie myśl, że nasi mistrzowie celowo zaczarowują monety stypendium, żeby dzwięczały prowokująco, popychając tym studentów do ich trwonienia. Zresztą, trwonić je mogliśmy tylko w akademickim kompleksie lub na terenie znajdującym się pod kontrolą wykładowców. Nie było żadną tajemnicą, że wszystkie pobliskie knajpy należą do dziekanów i innych wyższych magów, a jeśli któryś z profesorów uważał, że narusza to jego godność i wizerunek, knajpa przechodziła oficjalnie w ręce któregoś z członków jego rodziny. Dobrze to wszystko sobie obmyślono — całe stypendium wypłacone studentom wraca na uniwersytet, czasami nawet z procentami (jeśli rodzice wykażą się hojnością i podrzucą komuś parę srebrniaków). Mnie na przykład już po raz czwarty trafił się pewien wredny miedziak z wyszczerbionym brzeżkiem. Jak on lubił się wydawać!

No cóż, w takim razie pozostaje tylko jedno wyjście.

Postanowiłam oddać się w ręce Losu i poszłam, gdzie oczy poniosą. Oczy gapiły się tylko na knajpy, ale trzeba było jeszcze zdecydować, w której z nich studentka drugiego roku Uniwersytetu Nauk Magicznych, Ola Lacha, zostawi swój tygodniowy budżet.

Szłam i szłam, aż trafiłam na cudowną knajpkę — maleńką, głośną, z tłumem ludzi w środku. Akurat to, czego było mi trzeba, żeby uwolnić się od chandry. Może nawet załapię się na jakąś bójkę?

Po sekundzie przebywania w środku zrozumiałam, że powietrza tu nie ma — powiedzieć, że dym tu stał, to za mało, można go było dosłownie kroić nożem. Widać było, że tę piwiarnię okupowali studenci fakultetu Rzemiosł Magicznych, z których większość to krasnoludy. A kimże jest krasnolud bez fajki? To albo krasnolud-niemowlę, albo młoda krasnoludka. Mówi się, że kiedy krasnolud zakończy żywot, chowa się go z ulubioną fajką w zębach i zapasową w kieszeni.

Zamówiłam pół litra piwa imbirowego u melancholijnego barmana stojącego za kontuarem i dosiadłam się do stolika, przy którym siedział samotnie krasnolud z rozczochraną szopą niebieskawo czarnych włosów. Obrzucił mnie bolesnym spojrzeniem i nic nie powiedział. Widać było, że jego też dopadła depresja — zwykle krasnoludy spinają włosy srebrnymi spinkami, a brodę zaplatają w warkocze.

— Życie jest do bani — ogłosił krasnolud po długiej chwili milczenia, podczas której każde z nas rozmyślało nad swoimi smutkami.

Zgodziłam się z tym twierdzeniem w stu procentach. Stuknęliśmy się kufłami i wypiliśmy.

Krasnolud nalał do mego kufła czegoś ze swojej butelki, rozcieńczając tym ostatki piwa. Oj, mam nadzieję, że to nie wódka, nie mogę się upić, robię się wtedy bardzo wesoła i buńczuczna.

— I jak uczciwy krasnolud może żyć w takich warunkach? — zapytał mnie mój towarzysz.

Niezdecydowanie wzruszyłam ramionami, wachając zawartość swojego kufła. Krasnolud pomilczał, ciągnąc wielkimi haustami ze swojego gigantycznego kufła, i raptem wykrzyknął z entuzjazmem:

— Wypijmy za to, żeby wszyscy, którzy nam źle życzą, zdychali w strasznych męczarniach!

Toast bardzo mi się spodobał i wypiałam. O, jak dobrze! Płynny ogień z posmakiem imbiru wpłynął do żołądka, zostawiając po sobie ostry posmak. A jednak wódka!

Po paru podobnych toastach, zawierających barwne opisy mąk krasnoludzkich nieprzyjaciół, zamówieniach kolejnych kufli piwa imbirowego oraz wódki jako dodatku, wywiązała się pomiędzy nami nader ożywiona rozmowa. Dowiedziałam się, że krasnoludowi nie dają spokojnie żyć jacyś dranie.

—Mama tak mnie wychowała, że nie wolno mi się nikomu skarżyć, jeśli nie mogę sam sobie z czymś poradzić. Może i problem jest błahy, ale jakże mi smutno, jak boli! — tłumaczył mi krasnolud, waląc kuflem w stół.

Widać było, że duma młodego krasnoluda została poważnie urażona — sam zmierzyć się z drabami nie miał sił (raczej tych duchowych), a uczucie „ja też już jestem dorosły” nie pozwalało iść na skargę do starszych.

—Jeszcze pić! — zażądał krasnolud.

Melancholijny krasnolud za kontuarem nawet się nie ruszył, natomiast ktoś przy sąsiednim stoliku powiedział:

—Otto, tobie i twojej damie już wystarczy.

—No i dobrze — obraził się krasnolud, niezdarne gramoląc się zza stolika. — Idziesz?

Skinęłam głową, chociaż nie byłam pewna, czy uda mi się zrobić choćby parę kroków. Musiałam sobie przypomnieć, że mimo wszystko jestem studentką-teoretykiem, wyteńczyć się i prawidłowo wypowiedzieć formułę oczyszczającą krew z alkoholu. W głowie mi zadzwoniło, w ciele

pojawiła się nadzwyczajna lekkość i radość. Naszła mnie chęć, by wypić jeszcze.

Zakłęcie to znalazłam zupełnie przypadkowo w bibliotece podczas ostatniej sesji, i postanowiłam je zapamiętać — a nuż się przyda! Cały pierwszy rok żyłam jak w zakonie, cały wolny czas poświęcałam na naukę całej masy zaklęć, podstaw wielu rozmaitych dziedzin, praktyk i rzemiosł. Teoretycy muszą znać wszystko po trochu, tłumaczyli nam wykładowcy. Teoretycy to ci, którzy pchają magię do przodu, opracowując i wprowadzając do użytku nową wiedzę; to ci, którzy nie pozwalają zapomnieć o tym, co już zostało wypracowane, podtrzymując fundamenty wiedzy magicznej. Niektórzy teoretycy pracują jako translatorzy magii, kierując źródła energii do odpowiednich łożysk. Nie udało mi się na pierwszym roku spróbować studenckiego życia — tańców, swawoli i tym podobnych przyjemności. Wakacje minęły mi na daremnych próbach nadrabiania zaległości w spaniu i ściboleniu letniej pracy domowej.

Teraz zamierzałam odbić sobie to wszystko w dwójnasób.

Mój nowy znajomy miał na imię Otto. Zataczaliśmy się razem po ulicach, aż zabrnęliśmy do knajpy „Pij Więcej!”. Wyglądało na to, że właściciel stosował się do nazwy knajpy nader pragmatycznie, urzeczywistniając w niej pragnienia zarówno pijących, jak i handlarzy trunkami.

—Dobrze wymyśliłaś to mieszanie piwa imbirowego z wódką — zauważył wnikliwie Otto, przeliczając pozostałe pieniądze.

—Ty to wymyśliłeś — zaprzeczyłam ze smutkiem.

Nie, trzeźwienie nie było dobrym pomysłem — zapas mej wewnętrznej energii dotkliwie się zmniejszył, a depresja atakowała z nową siłą.

—Nie smuć się — powiedział krasnolud, dodając mi otuchy. — Zaraz będzie nam wesoło.

Spojrzelśmy na cennik. Hurra, w tej knajpie jest tanio, szalejemy! Co prawda, towarzystwo w niej...! Mamusi kochana! W sensie, jak dobrze, mam kochana, że nie widzisz, w jakich miejscach spędza czas twoja najstarsza córka.

Krasnolud zamówił mieloną kawę, wódkę i sok z jagód.

—Bardzo pożyteczna rzecz: i witaminy, i rzeźkość — oznajmił Otto, mieszając ze sobą składniki. — Ludzie nie potrafią robić przyzwoitych koktajli, dlatego niszczą sobie zdrowie. No, to zdrówko!

"Wypiałam. Smaczne, gorzkawo-kwaśne. Naprawdę pokrzepiające. Po wypiciu napoju raptem zrozumiałam, że krasnolud mnie obraził — powiedział, że ludzie nie potrafią robić koktajli!

Wytrząsnęłam ostatnie monety z kieszeni i poczęstowałam mojego kompana „Krwawą Mary”. Krasnolud uśmiechnął się z wyższością, ale wypił.

Potem był siarczyście kwaśny koktajl cytrynowy.

Wzięłam kredyt u właściciela. Cukier, czerwone słodkie wino, konfitura z malin, nalewka na truskawkach.

Dalsze wydarzenia pamiętam jak przez mgłę, zagmatwały się w mojej głowie. Wiedziałam jedno — rozszalałam się. Któryś z napitków okazał się dla mnie katalizatorem sił magicznych — wszystko we mnie wrzało i żądało ujścia.

Aha, wypiliśmy znowu. Potem przyszli jacyś kolesie i zaczępili Ottona. Potem szłam do domu. Nie, najpierw odesłałam ich daleko za pomocą całej mojej magicznej energii. Poszli, bardzo niezadowoleni. Później szłam do domu. A dokładniej, Otto służył mi za podpórkę, inaczej daleko bym nie uszła.

O, twarz dyżurnego maga. Chyba coś tam wygaduje,  
stary zrzęda. Oj, niedobrze mi...

Ból głowy wdarł się w moje jestestwo nagle, jak cegła, spadająca znikąd. Czułam się tak, jakbym cała była jedynie ogromną, chorą, obolałą głową. W resztkach mózgu kręciło się tylko jedno zdanie: „mniej pić, należy mniej pić”. Pogratuluj sobie, Ola, to pierwsza w twoim życiu taka niezapomniana libacja i kac.

Zmysły wracały powoli. Zrobiło mi się zimno. W ustach miałam taki posmak, jakbym zjadła koci żwirek (choć właściwie nie mogę użyć takiego porównania, ponieważ nigdy czegoś takiego nie jadłam). Potem objawiła się lewa ręka i noga z tejże strony. Zdrętwiały okropnie, miałam wrażenie, że biegają po nich tłumy mrówek.

Zapach ogniska. Cudowny. Stop, od kiedy w moim pokoju jest ognisko? I dlaczego jest mi tak niewygodnie? Musiałam otworzyć prawe oko. Lewe uparcie odmawiało współpracy.

—To, co zobaczyłam, wstrząsnęło mną — dwie gołe pięty majtające nad ogniskiem. Co...?! — zachrypiałam. Do białej gorączki raczej było mi daleko i nie przypominałam sobie, żeby w traktatach o skutkach opilstwa było coś o piętach.

Lewą piętę poszturchał duży paluch prawej. Nie, nie pięty, stopy.

—To na komary — oznajmił ktoś skądś.

Nie wyjaśniło to jednak istniejącej sytuacji.

—Wędzę nad dymem, żeby komary nie żarły — powiedział Otto. — Żyjesz?

—Nie jestem pewna.

W milczeniu podał mi flaszkę. Od zapachu alkoholu zemdlilo mnie.

—Wstawaj i idź się umyć.

—Nie — oświadczyłam. Czułam się bardzo źle.

—Musisz.

Pomyślałam chwilę.

—Otto, a gdzie jest moja torebka, ta, co ją noszę przy pasku? Daj mi z niej lusterko, proszę cię.

—Ech, baby — wymruczał krasnolud, podając mi lusterko. — Nie zdążą jeszcze dobrze gałów otworzyć, a już — lusterko.

Biedne chłopczyśko! Nie wiedział, że lustro to wielka motywacyjna siła, która zadziałała i tym razem, wystarczyło tylko, żebym jednym okiem zobaczyła swą wymiętą, opuchniętą facjatę z rozmazanym makijażem.

Przeklinając swoją głupotę i nieumiarkowanie w piciu, podniosłam się na czworaki. Potem wyprostowałam się przy pomocy Ottona i powlokłam w stronę wody. Okolica powoli stawała się znajoma — to był Gaj Zakochanych, położony niedaleko uniwersytetu niewielki laszek,

w którym studenci większości szkół wyższych miasta wykorzystywali w praktyce energetyczny potencjał miłości.

Strasznie chciało mi się pić. Głowa pękała. Miałam uczucie, jakby mój mózg kipiał, wyciekając uszami, oczami, nosem i ustami. W dodatku całkiem zauważalnie się chwiałam.

—Otto, a ty nie masz kaca? — wyjęczałam.

—Mam — oznajmił krasnolud. — Ale, po pierwsze, mam mocniejszą głowę, po drugie, obudziłem się wcześniej od ciebie i już zdążyłem opłukać się w strumieniu, po trzecie, wypilem klina, a ty odmówiłaś, a po czwarte, wczoraj wyłożyłaś się do końca i będzie tobą telepać jeszcze parę dni.

Jedyna nadzieja — lżej ci, jeśli wiesz, że komuś jest jeszcze gorzej — zgasła.

—Napij się piwa, nie odmawiaj. — Krasnolud podsunął mi wzgardzoną flaszkę.

—Kawa byłaby lepsza — powiedziałam, przysłuchując się swojemu organizmowi.

Podeszliśmy do mętnej rzeczki. Napiłam się chciwie, niech te wszystkie bakterie wyzdychają w moim żołądku, gorzej już nie będzie.

—Wykąp się — poradził Otto.

Zawstydziłam się, ale nie na długo. Zimna woda strumienia wabiła, a rozwalający się arbuz, będący kiedyś moją głową, żądał natychmiastowej ulgi. Plułęm na przyzwoitość (dobrze, że mama jest daleko!) i zaczęłam się rozbierać. Okazało się, że krasnoluda nie interesowały moje mizerne krągłości, zapytał tylko, czy dojdę do ogniska sama i polecił szykować dla mnie kawę.

Gdy wlokłam się z powrotem, ciesząc się, że życie wraca do normy i zauważając w końcu kłusujące komary, natknęłam się na Irgę. Wryło mnie w ziemię. Przed letnią sesją wataha Blondasa straszyla młodych z pierwszego roku wspaniale ulepionymi fantomami zombie autorstwa Irgi. Powrót z późnych zajęć zaczął być swoistym sportem ekstremalnym. Bywało co prawda, że nekromanta wstawiał się za którymś z „młodych”, ale naszej delegacji, która przybyła do niego z prośbą, aby zaprzestał tych bezceństw, Irga wysłuchał z kamienną twarzą i nie zrobił nic. Załatwił sobie tym samym pierwsze miejsce na liście najbardziej

znieawidzonych osób w czasie sesji, przebijając nawet Befa — do tej pory lidera na tym stanowisku wśród studentów wszystkich kierunków.

Irga uśmiechnął się do mnie z ironią. Nie wiedziałam, czego mogę oczekiwać od niego tego ohydneho poranka, i postarałam się udać, że go nie zauważyłam. Nagle Irga uklonił się i oświadczył:

—Jestem zachwycony twoim męstwem.

Zamarłam. A to co, nowa forma znęcania się?

Irga wyciągnął z powietrza paśową różę na długiej łydźce, po czym mi ją wręczył. Opadła mi szczeka. Szakal uśmiechał się nader podejrzanie. Zamrugałam oczami, mając nadzieję, że to tylko poalkoholowa halucynacja i nie wiedziałam, jak się zachować, gdy nagle mój organizm zaryczał: „kawy!!!”.

—Dziękuję, ale nie lubię róż! — wrzasnęłam i pobiegłam w stronę, z której dochodził pociągający zapach tego wspaniałego napoju. (Otto jest prawdziwym cudotwórcą!)

Uspokoiwszy głowę i żołądek, opowiedziałam o spotkaniu z Irgą i zapytałam:

—Czyja tu czegoś nie rozumiem?

—Raczej nie pamiętasz — uśmiechnął się Otto. — A pamiętasz tych gości, których pogoniłaś?

—Jak przez mgłę.

—Tak myślałem. To przypomnę ci twoje wspaniałe wyczyny.

Wataha Szakali upatrzyła sobie Ottona na sezonowy obiekt szczucia. Chodziło o to, że mój nowy znajomy był w rzeczywistości półkrasnoludem. Najprawdopodobniej gdzieś we wnętrzu Ottona tkwiło niezadowolenie ze swojego pochodzenia i wataha, raz nadepnawszy na ten odcisk, już ofierze nie odpuściła. Powoli gromadziła się w nim odraza i złość na samego siebie za to, że nie umie im się przeciwstawić. Odraza przekształciła się w depresję, a wtedy właśnie nasze drogi się zeszyły.

Po tym, jak już nieźle daliśmy sobie w szyję w „Pij Więcej!”, pojawiła się tam banda Blondasa...

Riak, prawa ręka Blondasa i największa siła rażenia zgrai, radośnie wykrzyknął na całą knajpę:

—Patrzcie, ten półkrasnoludzki fajans znalazł sobie ludzką dziewczynę! A co, krasnoludki cię nie chcą?

Otto jak zwykle wtulił głowę w ramiona, czując się potwornie. Nie miał na tyle ciętego języka, by odgryźć się natrętowi. Nagle Ola, jego nowa znajoma, potrząsnęła głową i poprosiła:

—Podsadz mnie na stół.

Otto zdziwił się, ale pomógł jej wgramolić się na solidną konstrukcję. Ola odkasznęła i powiedziała tak głośno, żeby usłyszeli absolutnie wszyscy:

—Obywatele! Widzicie tych młodych ludzi? No, spójrzcie na nich! — Ola tupnęła nogą w blat. — Teraz będzie ciekawie!

Klienci, zaciekawieni bezpłatnym spektaklem, ucichli i odwrócili się w stronę Watahy. Właściciel knajpy wyćwiczonym ruchem aktywował amulet Tarczy (Otto domyślił się tego z jego gestów) — i także przyszykował się do obserwacji, by rozkoszować się bijatyką, a jednocześnie móc na bieżąco obliczać wyrządzone szkody.

—Ci młodzieńcy połączyli się w watahę — kontynuowała Ola głośno. — I krzywdzą słabszych. Postępują podle. Strzelają, że tak powiem, zza winkla.

Ola obrzuciła publikę taksującym spojrzeniem. Zmieszana banda milczała — Lima, umysłowego centrum, nie było, a Riak usilnie się zastanawiał: czy już czas obić mordę tej aroganckiej dziewczusze, czy jeszcze nie? Klienci słuchali z zainteresowaniem. Ola rozpięła parę guzików przy swojej bluzce, wywołując niejake ożywienie przy stolikach trolli, i machając w ich stronę ręką, powiedziała:

—Spójrzcie, drodzy współobywatele! Z nimi chciałaby być każda dziewczyna. Ponieważ oni nigdy nie strzelają zza rogu! Irr, lider trolli — najemnych zabójców, który strzelanie w plecy zza rogu uważał za najbardziej właściwą rzecz na świecie, wyprostował się godnie. Zrobiło mu się bardzo przyjemnie. Pulchna blondynka z sąsiedniego stolika spojrzała

na niego z zainteresowaniem, więc Irr, który nawet nie marzył o takim szczęściu, był gotów zrobić wszystko dla dziewczyny na stole.

—A czemu niby mamy jej słuchać?! — oburzył się któryś z watahy. — Znam ją, to teoretyczka z drugiego roku. Nic szczególnego, chodźcie czymś w nią walniemy.

Ola błyskawicznie się odwróciła, zachwiała (Otto zdążył utrzymać ją w pionie, zanim upadła) i krzyknęła: — Kiedy ja mówię, wszyscy milczą! — po czym rzuciła w bandę pociskiem powietrznym. Drabów rozrzuciło po knajpie. — Na czym skończyłam? Aha, te podłe bydlaki krzywdzą mnie, małą bezbronną dziewczynkę!

Klienci milczeli, próbując jakoś powiązać porzrzuconą bandę z „małą bezbronną dziewczynką”.

Ola rozszalała się na całego. Zniżywszy głos do scenicznego szeptu, zapytała publiczność:

—A wiecie, dlaczego oni krzywdzą słabszych? — wszyscy z ciekawością wychylili się do przodu. — Bo dziewczyny ich nie lubią! No to sami wiecie, jaki mają problem...

Trolle jako pierwsze zgodnie gruchnęły śmiechem. Ludzie nieco później, za to bardziej złośliwie. Skromnie prychała w garści para elfów, która przypadkowo trafiła w to bardzo malownicze towarzystwo.

Riak podniósł się z podłogi, aktywizował artefakt i rzucił w stronę Oli błyskawicami. Trzy odbiła Tarczą (kiedy zdążyła ją ustawić?), zachwiała się, a ostatnia przepaliła jej szeroką spódnicę. Ola spojrzała na dziurkę ze smutkiem i krzyknęła:

—Kto pomści moją zhańbioną spódnicę? Kto chce dostać za to kufel darmowego piwa?

*Trolle, tłocząc się, ruszyły ku watasze. Ta zebrała się jakoś w sobie i odparła pierwszy atak, potem zaczęła się banalna bijatyka, w której, jak się nagle okazało, chcieli uczestniczyć wszyscy obecni. Ola siedziała na stole i beznamiętnie popijała piwo. Otto szarpał ją za rękaw.*

—Chodź, bo będziemy płacić za szkody!

—Nie mogę! — wyjęczała Ola. — Nogi mi nie działają. I mdli mnie.

Otto westchnął i wziął ją na rękę...

—Potem zwymiotowałaś na dyżurnego w akademiku, a że twoja współlokatorka razem z kimś tam zajęła wasz pokój, to zdecydowałem, że póki jeszcze noce są ciepłe, można ponapawać się przyrodą.

Siedziałam, obejmując rękami głowę. Przede mną otworzyła się przepaść — wataha niewątpliwie okrutnie się zemści. I nawet bałam się pomyśleć, co powiedzą mi w dziekanacie.

—Obetną ci za karę dwa stypendia albo popracujesz społecznie parę tygodni. Dla dyżurnego maga to nie pierwszyna — usłyszałam czyjś głos nad głową.

Zerknęłam w bok i zobaczyłam Irgę.

—Przecież o tym właśnie myślałaś? — spytał, niedbale machając rózgą. — Chciałem zapytać, jak zdążyłaś postawić Tarczę?

—Automatycznie, bardzo szybko — wyjaśniłam posępnie. — W naszym liceum nauczyciel od czarów ochronnych znał tylko to jedno zaklęcie. Wbijał nam je do głowy przez rok.

—A retoryki też się uczyłaś w liceum?

—Jakiej retoryki?

—Przecież rozkręciłaś tę bijatykę w knajpie siłą słowa.

—Siłą piwa — wtrącił Otto.

—Po prostu wypłam nie to, co trzeba, i mnie poniosło. Zresztą wiadomo, że taka publiczność tylko czeka na jakąś bójkę. A ja jeszcze piwo za to obiecałam.

—Mądrała! — zachwycił się Irga. — Ale macie teraz problem, co zrobić. Chłopaki są na was wściekli.

—Sam do nich należysz, co tu debatujesz? — zapytał krasnolud ze złością.

—Ja, mój szanowny panie, po prostu sprzedawałem im swoje usługi. Sprzedałbym i wam, gdybyście mieli pieniądze i potrzebę.

—Nie mamy pieniędzy, spadaj więc.

—A ja tym razem gratisowo. Byłem wczoraj w knajpie i spodobało mi się przedstawienie. Jeśli banda was poharata, pozbawią mnie możliwości zobaczenia czegoś takiego w przyszłości. Radzę ci, Otto, zwróć się po pomoc do swojej wspólnoty — tu idzie o życie twoje i Oli. Jeśli wasz przywódca porozmawia z rektorem, nikt nie tknie was palcem — nawet tatuś Lima dobrze się zastanowi, zanim narazi się krasnoludom.

Otto zamyślił się, szarpiąc brodę. Przepaść pod moimi nogami zwięzła się i została tylko mała szczelina. Kac pomału odchodził.

—Miło było spędzić z wami poranek. — Irga uklonił się elegancko, położył rózgę na moich kolanach i odszedł.

—Już więcej się tak nie upiję! — obiecałam sobie i całej okolicy.

Krasnoludzka wspólnota dosyć poważnie przejęła się problemem naszej nietykalności — nie mam pojęcia, co Otto im napłół.

Ojciec Lima zapłacił za wszystkie szkody, myślę jednak, że obiecane przeze mnie kufle piwa w ową płatność nie wchodziły.

Wataha próbowała stwarzać mi jakieś problemy, ale delikatna ingerencja Irgi powstrzymała ich przed aktywnymi działaniami — zatargi z nekromantą były jeszcze bardziej niebezpieczne, niż kłopoty z krasnoludami.

Po tych wszystkich przejściach bardzo się z Ottonem zaprzyjaźniliśmy.

A obietnicy nie upijania się nie dotrzymałam, chociaż wytrzymałam w absolutnej trzeźwości całe dwa miesiące.

## 5

### Egzamin z magii wykreślnej

Jak zwykle w połowie miesiąca nie miałam już kasy.

Moi rodzice należą do gatunku tych nieugiętych — skoro powiedzieli, że będą raz w miesiącu wysyłać pięć srebrniaków, to prośby „przyślijcie jeszcze choćby parę miedziaków” ich nie wzruszą. Byłam szczęśliwa, że w ogóle coś przysyłają — widać moje dostanie się na uniwersytet jednak mile polectało ich próżność.

Ponure rozmyślanie na temat „i gdzież ty, głupia, roztrwonilaś pieniądze???” oraz medytację nad sucharami nie pierwszej świeżości przerwało mi stukanie do drzwi.

—Kto tam? — postarałam się, aby w moim głosie zabrzmiała uprzejmość, ale na głodniaka było to dosyć trudne.

—Potrzebujesz pieniędzy? — zaskakująco empatycznie zabrzmiało z korytarza.

Żołądek wykrzyknął: „No pewnie, że tak, dawaj je tutaj, chcę jeść!!! Mięsa!!!!” — ale głośno odparłam obojętnie:

—A kto ich nie potrzebuje? Wejź.

W drzwiach pojawiła się jasnowłosa postać.

—Jestem Stof Vernow, z drugiego roku Magii Praktycznej. Potrzebuję twojej pomocy z wykreślnej.

Magia wykreślna to rzecz poważna, opanowałam ją po długich nocach spędzonych w bibliotece na ćwiczeniach i szlochaniu nad nieudanymi wykresami. Często zwracano się do mnie o pomoc, więc prośba Stofa wcale mnie nie zdziwiła.

—Egzamin się zbliża — rzekł Stof ze smutkiem. — A mnie stale myślą się te wszystkie kąty i runy.

—To jak zamierzasz ganiać martwiaków? — zainteresowałam się leniwie. Musiałam rozciągać rozmowę w czasie — podenerwuje się, to może więcej zapłaci.

—Jestem magiem bojowym. Niepotrzebne mi pentagramy, żeby rąbać ludzi.

—A ile proponujesz za moją pomoc?

—Dwa złocisz.

Świetnie! Dwa stypendia! Dużo piwa, pieczonych kielbasek i czekoladek w sreberkach. Mniam!!!

—Dobra, pomogę ci.

—Obiecujesz? — Oczy Stofa błysnęły.

Powinno zwrócić uwagę na tę niedobrą radość, ale mój pusty żołądek zagłuszył instynkt samozachowawczy.

—Obiecuję — wyciągnęłam rękę, by ostatecznie dobić targu.

—Znaczy się tak — rzeczowo uściślał Stof. — Nie mam czasu, żeby przygotowywać się do egzaminu i po nocach wyrysowywać runy — mam obóz wojskowy.

Dlatego postaraj się, żebym za dwa tygodnie jakoś zdał ten egzamin. Tu masz jednego złociała jako zadatek.

Cofając chciwą rękę, która samowolnie chwyciła już za pieniądze, zainteresowałam się:

—Au kogo zdajesz?

—U Befa — oznajmił Stof radośnie.

Ogromnym wysiłkiem woli powstrzymałam okrzyk przerażenia. Bef słychać z tego, że nie dawało się u niego ściągać. Artefakty podpowiadające nie działały, zaczarowane pióra łamały się i tak dalej.

—Ale... — zaczęłam.

—Poprosiłem cię o pomoc, a ty się zgodziłaś. Jasno określiłem, na czym twoja pomoc ma polegać. Mam rację?

Nie da się ukryć. Och, ty bezmyślna łepetyno! (Już długo cierpię bez piwa i odmawiam współpracy — odgryzła się).

Stof uśmiechnął się milutko — w odpowiedzi udało mi się wyszczerzyć zęby w grymasie mającym przypominać uśmiech — i poszedł.

W najbliższej knajpce zjadłam ogromną porcję potrawy z kurczaka, zamówiłam piwo i zaczęłam rozmyślać. Na salę wpadł prosto z ulicy mój przyjaciel Otto, strząsając z brody kryształki lodu.

—Sesja zimowa to samo zło — oznajmił, posmakował mojego piwa i dodał: — Letnia zresztą też.

—Otto, potrzebuję pomocy — jęknęłam i wyłuszczyłam mojemu przyjacielowi problem.

—Taa, niezła zagwozodka. Odmów i oddaj zaliczkę, pożyczę ci kasę.

—Nie mogę tak!

—Jeżeli na egzaminie się wyda, że mu pomagasz, wylecisz z uniwersytetu.

Moja wyobraźnia podsunęła mi obraz głodu i ubóstwa, czekających maga-niedouczonek. Potrząsnęłam głową. Obraz przekształcił się w twarz mamy, reagującej na wieść o tym, że mnie wywalili. Haust piwa nieco polepszył sytuację.

—Otto! Dałam słowo — stwierdziłam poważnie. — Jeśli odmówię, stracę szacunek dla samej siebie, za to jeśli coś wymyślę, a dokładniej, my wymyślimy...



—No dobrze. — Otto uśmiechnął się szeroko. — My, krasnoludy, nie przyjaźnimy się z tymi, którzy nie dotrzymują obietnic. Na początek musieliśmy zobaczyć, jak dokładnie odbywa się egzekucja, zwana egzaminem. Sprawdziwszy rozkład zajęć praktyków, przygotowaliśmy się nader starannie. Ponieważ audytorium znajdowało się na pierwszym piętrze, musieliśmy zdobyć drabinę (by nie stwarzać zbędnych rozbłysków magicznych) i niezauważalnie, tuż przed rozpoczęciem, odchylić rąbek ciężkiej nieprzeźroczystej kotary, dając sprzątacze miedziaka za chwilową utratę wzroku.

Pozorując spacer po korytarzu, zaobserwowaliśmy, że przed wejściem do gabinetu każdego studenta oglądała asystentka wykładowcy — młodziutka magiczka, która dopiero co zrobiła dyplom. Wszelkie podejrzane amulety i artefakty należało zdjąć i odłożyć na kupkę na stole. Nie mniej dokładnemu prześwietlaniu podlegały również przyrządy dozwolone — linijki, ekierki i cyrkle.

Kiedy wszedł ostatni już student, Otto podszedł do stołu. Włączywszy swój urok na pełną moc, zapytał dziewczynę:

—Jestem studentem Magii Rzemieślniczej. Pani tak świetnie radzi sobie z artefaktami. Zachwycająco. Pewnie długo musiała się pani tego uczyć?

—Ależ skąd — zachichotała zarumieniona asystentka. — Mam magiczny skaner.

—Ale widziałem jednak, że niektóre artefakty pani zostawia. Na czym polega ta selekcja?

—Przedtem zdejmowało się wszystkie. A teraz zostawiamy tylko medyczne, dbające o zdrowie. Mamy surowego wykładowcę, zdarza się, że studenci płaczą i mdleją, a i serce może zacząć płać figle.

—Jednak jestem pewien, że pani nie jest nadmiernie delikatna i nerwowa... — Otto zaczął prawienie komplementów, ale uchwycił moje spojrzenie i szybko się wycofał.

Po paru minutach stałam na drabinie, smagana ostrym wiatrem i zaglądałam przez okno do sali tortur (czyli audytorium), w której odbywał się egzamin. Na dole, podtrzymując drabinę, kłął pod nosem Otto. Oto wszedł Bef, kredą narysował na podłodze okrąg, postawił na swojej katedrze piramidkę i usiadł. Studenci na miękkich nogach poszli po swoje zadania. W momencie, kiedy nie czułam już rąk ani nóg, do katedry podszedł pierwszy zdający, blady jak ściana. Ręce mu drżały. Stanąwszy w kręgu, zaczął coś mówić, nerwowo przetykając ślinę, kreśląc od czasu do czasu jakieś symbole i gubiąc przy tym bez przerwy kredę.

Wiedziałam już wszystko, co chciałam. Z trudem oderwałam od szyby przymarznięty nos i zdecydowałam się zejść na ziemię. W połowie niełatwej drogi w dół (musiłam na siłę odrywać palce od szczebli), usłyszałam gniewny okrzyk:

—A co tutaj się wyprawia?!

W jednej chwili znalazłam się na dole, przeliczając po drodze żebrami pozostałe do pokonania szczebelki, i zobaczyłam jakąś nieznaną profesorkę. Otto w milczeniu szarpał się za brodę. Musiałam działać szybko — nie miałam w planach spotkania z dziekanem, do którego rozgniewana magiczka na pewno by nas zaprowadziła. Przywołałam z pamięci obraz mojej młodszej siostry: „No co, to nie ja, jestem chodzącą niewinnością”, zatrzepotałam rzęsami i odezwałam się z największym szacunkiem:

—Szanowna pani profesor! — zziębnięte na wietrze wargi z trudem wymawiały poszczególne słowa. — Proszę nam wybaczyć, ale wszystkiemu winne jest nasze wścibstwo i nic więcej! — zabrzmiało to bardzo żałośnie.

Profesorka pokiwała głową z dezaprobatą. Zrozumiałam, że bury nie będzie, i ciągnęłam dalej:

—Pani wie, jak nas, teoretyków, praktycy krzywdzą! I co z tego, że boję się zombie! — do brzmienia głosu dodałam drzenie i minkę pełną odrazy. — Za to oni boją się profesora Bef'a i magii wykreślnej, a ja nie. I chciałam sobie popatrzeć, jak im drżą kolanka! — a teraz nutki przymilne.

—Praktycy boją się nie tylko magii wykreślnej — powiedziała magiczka protekcyjnym tonem. Coś chyba sobie przypomniała z czasów młodości, bo uśmiechnęła się i powiedziała tylko:

—Jeśli to się powtórzy, odprowadzę was do dziekana!

Zasypaliśmy ją podziękowaniami, chwyciliśmy drabinę i pobiegliśmy się ogrzać.

—Oto, co mamy... — Nasz sztab wojenny obradował w cieplej, przytulnej knajpcie, przy grzonym piwie. — Gdy Bef aktywizował piramidkę, przejawy magii w audytorium spadły do minimum. Czarować można tylko w kręgu, który nakreślił. Wniosek jest taki, że wszelkie warianty ściąg odpadają.

—Magicznych ściąg — uściśliłam, obserwując jednocześnie, jak przy sąsiednim stoliku łyżeczka sama miesza cukier w herbacie.

— Tak już przywykliśmy do magii, że na inne pomysły zabrakło miejsca.

—Co masz na myśli?

—To, że można przygotować zwykłe ściagi.

—Myślisz, że jesteś taka mądra? — zapytał Otto z drwiną w głosie. — Bef zaraz odnajdzie każdy podejrzany przedmiot. I odbierze.

—Otto, jesteś geniuszem! — Światła myśl spadła mi na głowę ciężarem cegły. — To nie będzie żaden podejrzany przedmiot. Pomysł prosty jak drut — ściągą będzie dozwolona linijka do kreślenia! Trzeba tylko nanieść na nią napisy.

—Które od razu ujawni pierwsze sprawdzenie! — skomentował Otto.

—Wcale nie! Z wierzchu będą pokryte maskującą powłoką.

—I jak Stof będzie ją zdejmował w czasie egzaminu, tuż pod nosem wykładowcy?

—Tego jeszcze nie wiem. Chodźmy do biblioteki. Jestem pewna, że magia w audytoriach występuje w takich ilościach, że na jej małutki wyciek piramidka nie zarea- guje.

Wyteżona praca w kopalni wiedzy, jaką jest biblioteka, doprowadziła nas po trzech dniach do upragnionego wyniku: znaleźliśmy pełen skład powłoki maskującej oraz aktywizujący ją artefakt. Teraz pozostał już tylko drobiazg — należało wprowadzić to wszystko w życie.

Na początek artefakt. Bierzymy standardowy artefakt, chroniący właściciela przed niebezpieczeństwem, stroimy go (koszt trzech srebrników w sklepiu Mistrzów Artefaktów, urażona chciwość pochlipuje w kąciку) i idziemy przeprowadzać lekcję wychowawczą ze Stofem.

—Stof, powiedz mi, a co się stanie, jeśli zavalisz ten egzamin i cię wywalą? — spytałam niedbale.

—Mama mnie zabije!

Ucieszyłam się.

—Jeśli chcesz, żebym spełniła swoją obietnicę, musisz mi pomóc! Rozbieraj się!

Przestraszony Stof wczepił palce w kołnierz koszuli i rzucił na Ottona zaszczute spojrzenie.

—Już zapłaciłem! Czego jeszcze chcecie?

Otto, wyciągając coś z torby, uśmiechnął się drapieżnie.

—No nie wiem — zamyśliłam się, patrząc na drżącego Stofa. — Wydawało mi się, że nie gustujemy w blondynach.

—Nie gustujeMY? — Stofem zatrzęsło. — Co to za liczba mnoga?

—No tak — odrzekł Otto z wielką uprzejmością. — Czasami w ciemnych kopalniach jest tak samotnie, ot i powstała tradycja. Chłopcy są tacy delikatni... mięciut- cy... Ola, ja z tyłu!

—Nie chcę! — Stof trząsł się jak galareta.

—No cóż, w takim razie nie mogę dotrzymać obietnicy. Chodź, Otto. On nas nie chce. A zadatku nie oddam, bo nie wypaliło nie z mojej winy.

—Stójcie! — Stof gwałtownie ściągał z siebie koszulę. — Tylko żeby nie bolało, dobrze? — i zaczął rozpinać spodnie.

—Nie trzeba — wymruczałam, biorąc do ręki szeroki nóż. — Zaczniemy w ten sposób. Odwróć się i podnieś ręce do góry.

—He he he, mięsko! — Od śmiechu Ottona nawet mnie zrobiło się nieswojo. Stof zaczął szczełkać zębami.

Po jego plecach spłynęła strużka potu.

—Lubię mężczyzn, którzy się poca. — Tępą stroną noża przesunęłam po skórze chłopaka, zbierając pot w jeden strumyczek, a Otto przyciskał do pleców Stofa specjalny zbiorniczek, żeby nie przepadła ani jedna kropla.

—Jest! Mamy wszystko, czego nam trzeba. Możesz się ubrać.

—Co to był za cyrk?! — Oho, wściekły mag bojowy, nawet początkujący, to poważna sprawa.

Wyjaśniłam w pośpiechu:

—Potrzebowaliśmy twojego potu, ale takiego wywołanego przez strach. Do aktywacji zaklęcia. Więcej nie będziemy.

—To znaczy, że krasnoludy nie...

—W ciemnych kopalniach narodziła się tradycja trwałej przyjaźni. I tyle. Ola wyłożyła plan, a ja się go trzymałem — dodał Otto.

Przez dwie następne noce wydrapywaliśmy igłą formuły i rysunki na zwykłych studenckich liniałach, w ciągu dnia zaś staraliśmy się nie zasypiać na wykładach. Przeważnie pracował Otto, jego sesja już się zakończyła, a ja swoją miałam jeszcze przed sobą. Jedyne dostarczałam materiał, a zresztą z dokładną ręką i idealnym pismem grawerskim tego rzemieślnika z dziada pradziada nie miałam się co równać. Potem przyszła moja kolej. Nałożenie zaklęcia. Nałożenie powłoki maskującej. Połączenie jednego z drugim...

Zmniejszenie magicznego szumu... Jest!

—Bądź ostrożny — udzielałam Stofowi ostatnich wskazówek przed egzaminem. — Artefakt przejdzie każdą kontrolę — jest dozwolony jako medyczny. Kiedy wyciągniesz karteczkę z zadaniem, pomyśl o tym, że matka cię zabije i jak będzie na ciebie

krzyczeć, jeśli zawalisz. Przestrasz się. Poszczękaj zębami. Niech spocą ci się dłonie, w których będziesz trzymać artefakt. Pot daje lekki bodziec i powłoka maskująca zejdzie. Bój się cały czas. Jeśli tylko się uspokoisz, powłoka wróci na swoje miejsce. Dlatego ściągnij jak najszybciej, pozorując kreślenie przy pomocy linijki.

—Iw imię Otchlani, w żadnym wypadku nie dotykaj artefaktu, gdy będą kontrolować twoje przyrządy! Jeśli formuły pojawią się w nieodpowiednim momencie, wyleją nas wszystkich! — ostrzegł Otto ponuro.

Stof pokiwał głową i udał się na egzamin.

Najgorsze jest czekanie. Siedzieliśmy w pokoju Ottona. Patrzył smętnie, jak mróz maluje wzory na szybach, a ja miotalam się od ściany do ściany.

—Siadaj! — ryknął Otto nagle. — Działasz mi na nerwy.

Usiadłam. Musiałam jakoś rozładować ten stres. Dlatego zaczęłam podskakiwać na łóżku, które zaczęło wydawać dwuznaczne dźwięki.

—Jeśli moi sąsiedzi pomyślą, że ja tu z tobą... hm... robię dzieci, to cię uduszę gołymi rękami — wysyczał mój przyjaciel. Z jakiegoś powodu moje stukanie palcami o blat stołu również go nie zachwyciło. Kołysanie się na boki — też nie. W końcu musiał się podzielić ze mną zadekowanym piwem. Po wypiciu przestałam się rzucać, zaczęłam natomiast zadawać pytania:

—Otto, jak myślisz, on nie wpadnie?

—Ty z nim się umawiałaś, nie ja. Trzeba było się wcześniej zastanowić.

—Otto, ale czy on wszystko zrozumie, co mu tam naskrobaliśmy?

—My? Ja! Narysowałam idealnie! Nawet ślepy zrozumie!

—Otto, a...

Na dziesiątym pytaniu Otto zarzyczał:

—Dosyć!! Nie będę czekać, aż nas wywalą za przygotowanie ściąg! Zabiję cię od razu i wyleją mnie za morderstwo! W spełnieniu tych krwawych planów przeszkodziło pukanie do drzwi.

—Kto tam? — głos Ottona zauważalnie drżał.

—Stof.

—Właż.

Patrzeliśmy na Stofa, zamierając w oczekiwaniu. Podszedł i położył na stole przede mną zlocisza.

—Zdałem celująco. Tylko dzięki wam.

—No... — Otto odkaslnął. — Jakbyś całkiem niczego nie umiał, to byś nie zdał celująco nawet z najlepszą ściągą. Oddaj tylko artefakt i liniał, zniszczymy je, że tak powiem, na wszelki wypadek.

—Dzięki. Jesteście uczciwi. Proszę, to jeszcze premia dla was. — Stof położył na stole jeszcze jedną monetę, przyrządy i poszedł. Poczułam taką ulgę i lekkość, jakbym latała nad łóżkiem.

—Otto, zrobiliśmy to! Zrobiliśmy!!!

Śmiał się razem ze mną, potem chwycił na ręce i kręcił w kółko po pokoju.

Minęło parę dni. Właśnie przepijaliśmy w knajpie resztki naszego honorarium, gdy do naszego stolika podszedł nieznajomy student.

—Słuchajcie, powiedziano mi, że można na was liczyć. Jestem z Wydziału Magii Praktycznej. Pomożecie mi?

Spojrzeliliśmy po sobie.

—Autorytet — rzecz wielka! — uroczyście oznajmił Otto i odwrócił się do zleceniodawcy. — Tak, za odpowiednią opłatą będziemy panu bliżsi niż rodzona matka. Czego pan sobie życzy i ile jest gotów za to zapłacić?

# 6

## P Chleb w płynie

rzebiśnieg, pierwszy miesiąc wiosny, wydał mi się w tym roku ohydny jak nigdy — mokry, szary i nudny. Siedziałam u siebie w akademiku, starając się oszukać siebie, że ta jedyna bułeczka na stole jest w rzeczywistości znacznie większa, niż mi się wydaje. W czasie sesji, razem z Ottonem, moim najlepszym przyjacielem — półkrasnołudem, sporo zarobiliśmy — pisaliśmy kolokwia i prezentacje za obiboków, robiliśmy ściagi. Ogólnie rzecz biorąc, nader aktywnie naruszaliśmy zasady nauki Uniwersytetu Nauk Magicznych. Lecz gdy sesja się zakończyła, skończyły się też zarobione pieniądze. Menu z kielbaską i piwem płynnie przeszło w kaszę z kompotem. Cóż, fortuna kołem się toczy.

— Oła, można wejść? — Nie doczekawszy się odpowiedzi, Otto wepchnął się do pokoju, potrząsając przy tym ciężką torbą. — Chcesz jeść?

Czyja kiedykolwiek nie chciałam jeść?

— Jest pomysł, jak zarobić pieniądze. I to naprawdę dobry! — zadudnił Otto, gdy tylko doczekał się naprzeciwno obrazu pt. „Syta kobieta — zadowolona kobieta”. — Wchodzisz w to?

Nie zastanawiając się, skinęłam twierdząco głową.

— Będziemy handlować bimberkiem w akademikach! Ty w swoim, ja w swoim.

Milcząc, wybałuszyłam oczy na mojego najlepszego przyjaciela. Za takie rzeczy mogą nas — zresztą, co tam mogą — na pewno wywalą nas z uczelni.

— Wszystko przemyślałem. — Ottona nie onieśmielił wyraz mojej twarzy. — Wieczorem, kiedy dusza potrzebuje zabawy, nie bardzo chce się jej biegać po rozweselacze w chłodzie i ciemności, opuszczając przy tym ciepły, przytulny pokój. I co? I wtedy potrzebujący puka do któregoś z nas i otrzymuje to, czego pragnie. Ceny trochę wyższe od rynkowych.

— Trochę? — wydusiłam z siebie.

— Zobaczymy, jaki będzie popyt. Może i więcej niż trochę. A propos, pamiętasz, jak zaczęła się nasza znajomość? Mieszaliśmy koktajle! Jeśli wszystko się uda, trwale wypełnimy niszę w przygotowywaniu koktajli i nalewek, i będziemy dostarczać je do knajp.

— Otto, ja rozumiem, że każdy szanujący się krasnołud powinien mieć własny interes, ale wyrzucą nas z uczelni.

— Oj, dobrze już. Pomyśl, jak możemy bezpiecznie dostarczyć samogon do akademika, a wszystko pozostałe biorę na siebie.

— To niemożliwe!

— Przecież jesteś geniuszem magii wykreślnej! Wierzę w ciebie.

Dopóki Otto biegał uzgadniać wszystko z babami, które w tajemnicy przed oficjalnymi władzami pędziły w mieście bimber — półkrasnołud dumnie nazywał je „dostawcami” — ja przesiadywałam w bibliotece.

— Potrzebne nam artefakty niewidzialności i zmniejszenia wagi — oznajmiłam przyjacielowi. — Przystosowane do naszych celów.

— Będą wytwarzać potężne zaburzenia w polu energetycznym i nas złapią.

— Nie będą wytwarzać żadnych potężnych zaburzeń. Zapomniałeś już, że specjalizuję się w magii wykreślnej? Ty lepiej zrób artefakty, to najważniejsze. W końcu kto z naszej dwójki zajmuje się magią praktyczną? Energią zaś pokieruję ja.

Po dwóch wieczorach spędzonych w pracowni Otto stwierdził:

— Z nas dwójga będzie przepiękna para Mistrzów Artefaktów.

— Będzie w dalekiej przyszłości — rzuciłam, ocierając z twarzy pot brudną ręką.

Najcenniejsze, najwyższej jakości artefakty i amulety zawsze robione są wspólnie — przez Mistrza Rzemieślnika i Mistrza Translatora. Rzemieślnik tworzy sam przedmiot, a translator (szkołą ich na moim Wydziale Magii Teoretycznej) napełnia przedmiot magią — dokładnie odmierzoną ilością energii odpowiedniego żywiołu, idealnie odpowiadającej wybranemu celowi.

No cóż, takie pary to prawdziwa rzadkość — mało tego, że Mistrzowie mogą po prostu się nie zgrać, to jeszcze i zysk trzeba dzielić na dwóch.

Potem przystąpiliśmy do najbardziej odpowiedzialnej fazy — kreślenia linii, które będą rozdzielać magiczne źródła na terenie studenckiego miasteczka. "Wymierzylismy wszystko wieczorem, troszkę udając romantyczny spacer.

Kreśliłam nocą, szcękając z zimna zębami, w jednej tylko koszuli sięgającej pięt oraz w lekkich sandałkach — żeby niczym nie zakłócać rozchodzącej się energii.

Obok mnie drałował Otto, uroczyście niosąc ciepłą odzież i oświetlając mi drogę malutkim ognikiem.

Najpierw chcieliśmy obejść wszystko bez światła, ale kiedy nawet w jasny dzień zahaczyłam o podstępnie wystający spod ziemi korzeń i poleciałam na łeb, na szyję, półkrasnolud postanowił nie ryzykować zdrowiem swojego biznesowego partnera.

—Ach! — rozległ się głos w ciemności. — Więc to tak!

Momentalnie zniknęłam za plecami Ottona.

Drżący płomyk oświetlił długą grzywkę opadającą na oczy, ostry nos i cienkie wargi.

—A co to za erotyczne show na zimnie? — zainteresował się nasz znajomy nekromanta, Irga, charakterystycznie rozciągając samogłoski.

—A ty czego się szlajasz po nocach? — niegrzecznie odburknął Otto, narzucając na mnie futro.

—Taką mam pracę — westchnął nekromanta teatralnie.

—My też mamy pracę — wycedziłam. — Idź, dokąd szedłeś!

Niezmieszany moją niegrzecznością, Irga wykonał szyderyczy półukłon i poszedł, rzuciwszy na pociechę:

—Ale nóżki masz niczego sobie.

—Nie ociągaj się. — Otto zdjął ze mnie okrycie. — Pracujemy.

Kiedy zsiniała z zimna i kompletnie osłabiona od utraty dużej dawki magicznej energii wpełzłam do akademika, Irga siedział na schodach.

—Przygotowałem ci leczniczą herbatę, bardzo dobrze stawia na nogi — rzucił niedbale.

Byłam w takim stanie, że wypiłabym nawet kielich trucizny, nie tylko herbatę z rąk studenta-nekromanty.

—Ty nie mieszkasz w tym akademiku! Jak tu wszedłeś? Jak poradziłeś sobie z dyżurną? — spytałam nieco później.

—Twoja dyżurna śpi snem wiekuistym.

Pusty kubek wypadł mi z rąk.

—Chciałem powiedzieć, słodkim — poprawił się Irga. — Idź już spać. Teraz jest ci to bardzo potrzebne.

Czyżby czekał na mnie tylko po to, by napoić mnie herbatą? Podejrzanie, które załęgło się w mojej głowie, musiało znaleźć ujście:

—Czy ty się czasami do mnie nie...? — Pocerwieniłam.

Irga uśmiechnął się łagodnie.

—Do dzieci się nie przystawiam.

—Już dawno nie jestem dzieckiem!

— Jesteś, jesteś. Dojrzała kobieta to ta, do której bym się przystawiał, ale ona raczej chciałaby obniżyć swój wiek. Dzieci natomiast — nekromanta arogancko trzepnął mnie po nosie — zawsze chcą wydawać się starszymi, niż są.

Następnego wieczora przybyła pierwsza partia towaru. Nastawiliśmy go na suszonej czarnej porzeczce. (Wybacz, mamusiu, ale nigdy nie lubiłam kompotów!) Otto szepnął co trzeba paru kolegom i tak oto wieczorem ściągnęli do nas pierwsi Klienci. Wszystkich, którym nalewiałam smorodinówkę do kubków, rondli, a nawet patelni, uprzedzałam o zasadzie tajności — opiekunowie rzadko wtrącali się do życia studentów, jednak pijackiej samowolki by nie ścierpieli.

Niestety, w akademiku zdarzały się też takie indywidualia, których absolutnie nie chciałam widzieć u swoich drzwi. Ostatecznie udany i sekretny biznes nie trwał długo.

Nasz krach spowodowała osobiście. To ja wpadłam na pomysł reklamy przez ulotki. Kilka tygodni udanego handlu spirytualiami stępiło moją uwagę, a obudziło chciwość. Przez dwa dni razem z Ottonem w natchnieniu pracowaliśmy nad arcydziełem o następującej treści: „Masz ochotę wypić? Nie wychodź z akademika! Przeważnie i pożyteczne dla twojego zdrowia nalewki kupuj u nas! Ola i Otto" — i nabazgraliśmy krzywe coś tam, co miało obrazować pełen kubek i szczęśliwy uśmiech zarazem. Wieczorem porozdawialiśmy owoc naszych wysiłków po akademikach.

Następnego ranka natomiast staliśmy pod gabinetem prorektora do spraw ekonomii. Był to malutki, pokręcony magister Buryk. Magiem był średnim, natomiast miał

oszałamiającego nosa do pieniędzy. Wcześniej był audytorem w pałacu królewskim, ale po piętnastym zamachu zdecydował, że uniwersytet to bardziej odpowiednie miejsce dla kogoś, kto pragnie żyć długo.

Otto jak oszalały targał swoją brodę, co było u niego oznaką głębokiego wzburzenia i niepokoju.

—Wybacz mi — prosiłam, ledwie hamując łzy. — To wszystko moja wina...

—Spokojnie, jesteśmy partnerami. Podjęliśmy decyzję wspólnie i obydwójce jesteśmy winni. Ale ty się nie odzywaj, ja sam przeprowadzę negocjacje.

—Co tu negocjować! — chlipnęłam. — Zabierajcie papiery i do domu.

—Nie panikuj przed czasem — pocieszył mnie półkrasnolud, chociaż jego rozwichrzona broda zdradzała, że nie jest tak spokojny, za jakiego chciałby uchodzić.

—Proszę wejść — chłodno zaprosił nas prorektor.

—Co to jest? — zapytał, dźgając palcem w wymiętą ulotkę reklamową.

Zaszlochałam.

—Reklama — oświadczył Otto.

—To widzę — jadowicie wycedził magister Buryk. — To wasza firma?

—Nasza.

—A czym handlujecie?

—Zdrowotnymi nalewkami — oznajmił półkrasnolud, nie mrugnawszy okiem.

—Zdrowotnymi? Taaak... A jeśli ja was za to wyrzucę? To poprawią one wasze zdrowie po rodzicielskim laniu?

Wyobraziłam sobie swój powrót do domu. Cała rodzina w komplecie. Mama surowo zacisnęła usta i stoi. Ojciec żałośnie kiwa głową — wszak tak wierzył, że osiągnę sukces. Młodsze rodzeństwo patrzy potępięczo, ale i ze współczuciem. A potem mama zaczyna mówić i...! O nie, lepiej od razu pójdę zarabiać po wsiach jako kabalarka, nie wracając wcale do domu.

—Obawiam się jednak, panie magistrze, że nasze nalewki przeznaczone są dla innych celów. — Otto dzielnie walczył dalej.

—Na przykład, nielegalnej zarobkowej działalności na terenie uniwersytetu!

—Zalegalizujmy ją w takim razie — zaproponował Otto.

—I tak wszyscy studenci będą myśleć tylko o własnych interesach — złośliwie dokończył prorektor. — A z uczelni zrobi się bazar.

—Możemy dostać monopol — powiedział Otto ostrożnie.

Magister zamyślił się. Chciał właśnie coś powiedzieć, gdy do drzwi zastukali Bef — specjalista magii wykreślnej i mój opiekun w tym semestrze oraz opiekun Ottona — Rolf.

—Właśnie tych dwoje byłych studentów organizowało handel napojami wysokowymi w domach akademickich naszej uczelni.

Zauważyłam słowo „byli” i zamierzałam wyjść, ale Otto mnie zatrzymał.

—Jeszcze powalczymy — szepnął.

—Nie interesuje mnie, co zrobili, ale jak — powiedział Bef, patrząc mi w oczy. — I dlaczego nikt z pracowników uniwersytetu nie zauważył, że do akademików trafia alkohol w takich ilościach.

Westchnęłam. Cała nadzieja w Befie — może roztkliwi go moja wiedza dotycząca magii wykreślnej.

—Wykres Manusjusa dla pól energetycznych. I dwa małe artefakty — wyjaśniłam.

—Wykres Manusjusa to program aspirantury magii wykreślnej, a nie drugiego roku magii teoretycznej — zauważył Bef. — I jakim sposobem po jego wykonaniu nie padłaś bez sił na cały tydzień?

—Wzmacniająca herbata — postanowiłam nie wdawać się w szczegóły.

—Świetnie! — Bef zatarł ręce. — Zaliczenie z wykreślnej dostaniesz automatycznie, jeśli opiszesz wszystkie zasady i właściwości zastosowania tego wykresu. Ale na wykłady chodź obowiązkowo, bo będzie dużo interesującego materiału.

—Zrobiliście to we dwójkę? — zainteresował się mistrz Rolf.

—Tak.

—I jak wam się razem pracowało?

—Nam zawsze się razem dobrze pracuje — stwierdził dumnie Otto. — To już nie pierwszy raz.

—Przecież to para Mistrzów Artefaktów! — radośnie wykrzyknął krasnolud. — Profesorze Bef! Proszę tylko spojrzeć! Idealnie! Człowiek i krasnolud! I możemy zacząć przygotowywać ich już teraz!

—Dobrze, pomyślimy o tym — wydawało się, że Bef nie był zdziwiony.

—Proszę wybaczyć, ale nie o tym teraz mówimy! — oburzył się magister Buryk. — Tych studentów należy wydalic z uczelni.

—Bzdura! — zachnął się Bef. — Pan, panie magistrze, nie wie, co się dzieje na pańskim terytorium. Każdy, podkreślam, każdy student, który jest cokolwiek wart, dorabia sobie na boku czymś, co narusza regulamin. Wyrzucimy zatem ich wszystkich i uniwersytet opustoszeje. Po prostu tych dwoje rozwinęło się bardziej niż inni.

—Ale pieniądze...

—Ja nie zajmuję się finansami, tylko uczę studentów. Zagadnienia finansowe zostawiam panu.

Bef odwrócił się i zdecydowanym krokiem wyszedł z gabinetu.

—Jutro po trzecim wykładzie we dwójkę do mojego gabinetu! — rozkazał mistrz Rolf, pożegnał się z magistrem Burykiem i ostrożnie zamknął za sobą drzwi.

—Dwadzieścia procent zysku! — oburzałam się na korytarzu pół godziny później. — Otto, oddałeś mi wszystko, co możemy zarobić.

—Podniesiemy ceny. — Otto starał się wypłacać srebrne spinki z wroniego gniazda, które wcześniej było jego misternie zaplecioną brodą. — Jesteśmy teraz monopolistami. I nie uwzględniłaś głównego źródła naszego dochodu!

—Koktajle! — rzuciłam pogardliwie.

—Pomyśl tylko, złotko! Większość pubów w miasteczku studenckim należy do ludzi z zarządu uczelni. A my będziemy dostarczać im na sprzedaż oryginalne koktajle.

—I dostaniemy za to parę miedziaków.

—Zawsze trzeba od czegoś zacząć — pouczył mnie Otto. — Cała moja rodzina zjadła zęby na handlu, mam to we krwi. A propos, pomyślałaś o tym, że magister Buryk nie będzie jedynym, który zechce dostawać swój procent od naszego zysku?

—Nie — przyznałam. — Byłam zbyt wystraszona, by myśleć.

—Mnie w akademiku nikt zaczepiał nie będzie — u nas przeważnie mieszkają krasnoludy, dla których prawo własności jest święte, a co do ciebie... O ile wiem, to właśnie u ludzi wymuszenia są najbardziej popularnym sposobem zarobku. A fakt, że tak głośno się rozreklamowaliśmy, oznacza, że jest od nas co wziąć.

Pomarkotniałam.

—Rzuć zakłęcie na drzwi — rozkazał Otto. — Niedługo będę.

Podczas gdy ja zajmowałam się przekształcaniem pokoju w niedostępną twierdzę za pomocą magii i szaf, moja współlokatorka Lira pobiegła do sklepiku po artefakty ochronne.

—Nie wiadomo, co może się nam przydać. Do ochrony od złodziei, złych intencji, klątw, złych ludzi, oszustów...

—Aktywizuj wszystkie — poradziłam. — I nie wychylaj się.

—Dziewczyny, wpuście, to ja. — Otto wtaszczył do pokoju wielką kuszę. — Umiecie strzelać?

Lira, milcząc, na przemian otwierała i zamykała usta.

—Znam główne zasady — wybąkałam. — Ale nie myślałam, że sprawy zajdą tak daleko.

—Mam tylko trzy strzały, a i te zdobyłem z trudem. Z takiego monstrum nikt nie strzela, nie można tego podnieść. Ale wystarczy, żeby kogoś nastraszyć.

—Otto...

—Raz pokażesz, kto tu rządzi i nikt już ci nie podskoczy. Chociaż nie sądzę, żeby sytuacja wymagała aż takich posunięć. Idę pogłótkować do mojego akademika. Jeśli coś się będzie działo, zawołajcie mnie na pomoc — i półkrasnolud oddalił się.

Wieczorem do drzwi zaskrobało kilka osób, które chciały sobie łyknąć. Śnieg już stopniał, ale na ulicy panowała taka chlapa, że niektórzy nawet nie wychodzili na zajęcia.

Uchylałam drzwi, zabierałam zapłatę z podsuniętego naczynia i chochlą nalewalam smorodiniówkę.

—Zawsze mnie interesowało, po co im samogon na patelni.

—Bo to tanie i mocne — odpowiedziała Lira, kartkując broszurkę „Strzec swojego domu”. — Podgrzewasz patelnię, spirytus zaczyna się ulatniać. Podwójna korzyść — i pokój się dezynfekuje, i upojenie następuje szybciej — alkohol dostaje się do krwi przez płuca.

—A ty skąd o tym wiesz? — spytałam podejrzliwie.

—Studiuję uzdrowicielstwo. Moim obowiązkiem jest to wiedzieć. Niektórzy tak się nawdychają, że potem nie mogą się obejść bez naszej pomocy.

Z korytarza doleciał jakiś hałas. Zatrzasnęłam drzwi.

—Ola! — wrzask z tamtej strony. — Nalej.  
Ostrożnie zrobiłam szparę.  
—Pieniądze poproszę.  
—Jakie pieniądze, głupia?! To ja ci robię zaszczyt, że chcę twoje wypić! — Zza drzwi ukazała się włochata łapa z wielkim kubkiem.  
—Poznałam po głosie — szepnęła mi do ucha Lira. — To Bronn z czwartego piętra.  
O Niebiosa! Ogromny jak byk, z piątego roku, mag bojowy... Moja prawa ręka sama uniosła się do beczki. Lewa trzepnęła zdraczkinię i usłyszałam swój własny głos:  
—Pieniądze.  
—Co??? — za drzwiami dało się słyszeć oburzone sapanie.  
Walnęłam rękę Bronna chochlą. Lira rzuciła się na drzwi i udało nam się je zamknąć.  
—Dosuń szafę.  
Zza drzwi dochodziły krzyki i stukania, ale w końcu wszystko ucichło.  
—A co tu za zamieszanie? — No, ten głos poznałam od razu. Jak by się mogło obyć bez Riaka, postrachu studentów z młodszych roczników?! — Ja też przyszedłem wypić. Ola, otwieraj, słyszałem, że wy teraz z półkrewkiem spirytusem handlujecie.  
—Spirytus kosztuje — odezwałam się.  
  
—A to ty mi jesteś dłużna, serdeńko. Jeszcze się z tobą nie rozliczyłem.  
Kiedyś w barze, jeszcze na początku naszej znajomości z Ottonem, napuściłam na bandę Riaka gromadę trolli — w odwecie za drwiny z półkrasnoluda. Jak widać, Riak nie mógł mi wybaczyć tamtych dwóch złamanych żeber.  
—To ty mi jesteś winien, do końca życia — odparłam bezczelnie, szepcząc do siebie w myśli: „pokaż, kto tu rządzi, pokaż, kto tu rządzi”.  
—Ach tak, ty arogancka, źle wychowana dziewczucho! — rozsierdził się Riak.  
—Moja mama mówi to samo — zgodziłam się z nim.  
Mocno załomotał w drzwi.  
—Riak się tu włamie i nas zabije — powiedziała Lira, siadając na podłodze.  
—Spokojnie — wygłosiłam ulubione słowo Ottona — za drzwiami jest jeszcze szafa.  
Posadziłam Lirę na łóżku i położyłam obok kuszę.  
—Strzelaj, jeśli będzie trzeba.  
Potem otworzyłam okno i krzyknęłam:  
—Pomocy!  
Nikt z ulicy nie zareagował. „Ach, ta dzisiejsza młodzież” — przypomniałam sobie gderaninę staruch. Trochę racji w tym było, nie ma co.  
—Pomóżcie! Gwałcą! Kto chce popatrzeć?  
Mieszkańcy miasteczka pokręcili głowami, nad słuchując, skąd dobiega wołanie i udali się do wejścia akademika.  
—Przyszedłem po swoją dolę z twojego handelku! — rozległ się głos naszego starosty.  
—Ja też — zaznaczył Riak.  
—A ja chcę sobie wypić — wybuchnął Bronn.  
—A żeby ich wszystkich... — mruknęłam.  
W gwarze dochodzącym z korytarza nie można było niczego zrozumieć.  
—Ola — u drzwi rozległ się znajomy głos. — Wpuść mnie, jestem negocjatorem. Daję słowo.  
Z trudem odsunęłam szafę i uchyliłam drzwi.  
Irga usiadł na moim łóżku, zakładając nogę na nogę.  
—Widzę, że cieszysz się niebywałą popularnością wśród męskiej części mieszkańców swojego akademika.  
Prychnęłam.  
—Nie tylko swojego, skoro przyszedłeś.  
—No cóż, założmy, że nie szedłem do ciebie, a od pewnej ślicznotki z trzeciego piętra. Ale wracając do obecnej sytuacji. Co zamierzasz zrobić?  
Wzruszyłam ramionami.  
—Chciałam zakomunikować wszystkim, którzy chcą spić śmietankę, że spija ją już magister Buryk.  
—Zła odpowiedź — rzekł Irga. — Słuchaj, pókim dobry.



—Dobry? — wysyczałam. — Chyba zaspokojony...

—No co taka jesteś? — odezwała się Lira oskarżycielskim tonem.

—Nie mam nic przeciwko prawdzie — powiedział nekromanta. — No, to co możecie mi zaproponować, jeśli rozprawię się z tymi stojącymi na korytarzu?

—Rozprawisz się na zawsze? — upewniłam się.

—Na zawsze, dziecino, to trochę za długo. Powiedzmy, dopóki tu mieszkasz.

—Nie mam nic cennego! — Byłam gotowa rozplakać się ze zmartwienia.

—Czyżby? — Irga uniósł znacząco brew.

—Ona nie tylko jest biedna, ale też uczciwa — wmieszała się Lira.

Irga milczał.

—Nie równam się ze ślicznotką z piątego piętra. — Skrzyżowałam ręce na piersiach, próbując ochronić się przed jego wzrokiem.

—No dobrze. — Irga wstał. — W takim razie wezmę sam.

Podszedł do mnie, dotknął szczupłymi długimi palcami mojej szyi. Przestałam oddychać, a Lira głośno westchnęła. Nekromanta wprawnie zdjął z mojej szyi chustkę.

—Ejże — oburzyłam się — to moja ulubiona apaszka!

—Kiedy ostatnio ją prałaś? — zapytał Irga, patrząc na materiał.

Poczerwieniałam. I co z tego, że dość dawno temu? Nie jest aż taka brudna! Z drugiej strony, jaka miałaby być, skoro noszę ją dzień w dzień, bo nie mogę się z nią rozstać?

—Ale nie będziesz tworzył żadnej czarnej magii? — Lira spróbowała wydobyć chustkę z rąk nekromanty. — Nie chciałabym, żeby moja sąsiadka dajmy na to... pokąsała mnie nocą!

—Nic się nie stanie, obiecuję. — Irga wyszedł, obdarowując nas uśmiechem.

—Trzeba się będzie dowiedzieć, do kogo chodził — odezwałam się do Liry. — I powiedzieć jej, że Irga jest zakaźnie chory. Do czego potrzebna mu moja apaszka?

—Będzie ją wachać na nocnym dyżurze, żeby nie chciało mu się spać? — zaproponowała Lira, po czym oberwała poduszką i przewróciła się na łóżko.

Zaczęłam podśluchiwać pod drzwiami. Irga mówił cicho, ale mogłam zrozumieć każde słowo.

—Każdy, kto będzie przeszkadzał Oli i Ottonowi w interesach, będzie miał do czynienia z władzami uczelni. A każdy, kto będzie przeszkadzał Oli, będzie miał problemy ze mną.

—Co ty gadasz?! — oburzył się starosta. — Jakie problemy z kierownictwem?

—Myślicie, że tych dwoje są głupi? Oni dają procent Burykowi — powiedział Irga. — A on troszczy się o swój zysk i wyrzuci wszystkich, którzy staną mu na drodze.

—Ciekawe, jak przeszkodzisz mi wychować tę arogancką smarkulę? — zapytał Riak.

—Chciałabym zobaczyć, jak Irga ich załatwi — wyszeptala Lira i uchyliła drzwi.

—Riak — zmęczonym głosem powiedział Irga. — My już to omawialiśmy. Bronn, powiedz mu.

—Nie tykaj Irgi, to mój przyjaciel — rzekł Bronn basem.

—Dobry chłopiec!

—Co tam? — nie wytrzymałam.

—On teraz ogonem zamacha, słowo honoru — odezwała się moja sąsiadka.

—Kto, Riak?

—Nie, Bronn. Zdaje mi się, że on Irgę adoruje.

—Uczą się na jednym roku. Jestem pewna, że 11 ),i ich tam wszystkich omotał — starałam się wcisnąć, żeby podejrzeć co nieco.

—Zapytaj Blondasa, czy warto ze mną zadzierać, czy jednak nie. To wszystko, ludziska. Rozejść się. Koniec występu — zakończył nekromanta.

—Blondas mocno trzyma Riaka w garści — zauważyłam. — I nie jest taki głupi, żeby robić sobie wroga z naj lepszego nekromanty na tym fakultecie.

—Irga, a po co ci to wszystko? — zapytał Bronn.- Spodobała ci się ta smarkula? Nawet figury nie ma.

„Za to ty masz samą piękną figurę, bez mózgu” — pomyślałam.

—Mniej wiesz, spokojniej śpisz — wymruczał nekromanta i rzucił Bronnowi monetę. — Kup sobie coś do picia, nie męcz się.

—Dziewczyny, nie dąsajcie się już — osiłek nadstawił kubek. — A jeśli zajdzie potrzeba, przychodźcie do mnie. Zawsze pomogę.

—Dzięki, Bronn. Nie trzeba pieniędzy, dziś cię częstujemy — odpowiedziałam miło.

Następnego wieczora Otto siedział u mnie na łóżku i narzekał na ciężkie życie. Co prawda nikt w drzwi nie walił, ale grzecznie zaproponowano mu, aby wstąpił do związku studentów-przedsiębiorców. Strata, czyli składka członkowska, wynosiła dwa złocisz.

—Płatna co kwarta! Ola, ty mnie wcale nie słuchasz!

—Na co mu moja apaszka...? — rozmyślałam na głos.

—Komu? Aaa, ty o Irdze. Cóż, kto go tam wie? Nekromanci już tacy są.

—Otto!

—Dobrze, dobrze, wszystko już zrozumiałem. Pójdę i się dowiem, skoro tak się boisz.

—Ja się nie boję. Po prostu mnie on tego nie powie. Odprowadzę cię.

Gdy szliśmy po schodach, Otto zastanawiał się, czy nie powinniśmy wziąć kogoś do pomocy, żebyśmy nie musieli siedzieć wieczorami w akademiku. Słuchałam w milczeniu — pomysł był dobry, ale moje myśli zajmowało co innego.

Na schodach wpadliśmy na Irgę. Już otwierałam usta, lecz nekromanta mnie uprzedził:

—Tak, ja do ślicznotki. A tu masz swoją chustkę. Wyprałem ją.

—Yy...y — wystękałam.

—A do czego ona ci była właściwie potrzebna? — zapytał Otto.

—Do złych i okrutnych czarów, po których Oli wypadną wszystkie włosy, a jej twarz stanie się cała zielona w czerwone kwiatki.

Złapałam się za głowę. Irga roześmiał się. Otto lojalnie próbował się powstrzymać, w końcu też parsknął śmiechem.

—Żartowałem — powiedział nekromanta ze spojrzeniem zawodowego proroka. — Uprzedzając twoje drugie pytanie: nie podoba mi się, kiedy krzywdzi się dzieci. Dlatego wziąłem cię pod swoją ochronę.

—Jestem starszy od ciebie — obraził się półkrasnolud.

—Ja o tobie nic nie mówię. Wszystkiego dobrego, muszę iść. — Irga poszedł schodami do góry.

—Po co mu...

—Ola, opanuj się. Jak będzie chciał, to powie. Ja bym jednak na twoim miejscu uważał na swoje zachowanie. Różnie to bywa...

—Ujadać i gryźć nie będzie — rozległ się z góry głos nekromanty.

## 7

### Zadanie praktyczne z nekromagii

A oto wasze zadanie domowe: praca „Badania wybranych aspektów pracy nekromanty w terenie”. — Wykładowca Uniwersytetu Nauk Magicznych obdarzył nas szerokim uśmiechem. — I proszę wziąć pod uwagę, że od razu ocenię, na ile ta praca będzie zgodna z rzeczywistością. No, no, bez hysterii! Autor najlepszej pracy będzie zwolniony z zaliczenia.

Profesor Partyk oddalił się, chichocząc diabolicznie. Siedzieliśmy w niejakim osłupieniu — skąd studenci drugiego roku magii teoretycznej mają wziąć materiały do tego typu pracy? Oczywiście, tylko od nekromantów, bo książki znalezione w bibliotece na pewno nie pomogą.

—Co zrobimy? — Ptrońka pierwszy przerwał posępne milczenie.

—Jest tylko jedno wyjście — odburknął ponuro nasz starosta. — Trzeba iść do praktyków, do grupy nekromantów. Ciekawe, ile zedrą z nas za pomoc.

—Myślę, że od dziesięciu do dwudziestu srebrniaków — oznajmił Trochim (przeszedł na wydział teoretyczny po trzech semestrach praktycznego, więc się znał na rzeczy).

—To przecież prawie całe stypendium — zafrasował się Ptrońka.

—Ale inaczej nie dostaniesz zaliczenia. To gorsze niż stracona kasa — wyburczałam. — Mówią, że tych, co nie zdadzą, Partyk bierze ze sobą na cmentarz i każe wykonywać najbrudniejszą robotę. I to nie raz. I preparować umarłych...

Ciężkie westchnienie całej grupy poruszyło papiery na katedrze wykładowcy.

— A co myślicie? Nikt nie przyjmie do pracy niedoświadczonego nekromanty — kto by chciał, żeby mu się zombie rozwalilo w pół drogi? Albo podduślo swojego twórcę? — obwieścił wieczorem Trochim w knajpie zainteresowanym słuchaczom. — No to Partyk kombinuje, jak może — i tak wiadomo, że pójdziemy po pomoc.

— Z pieniędzmi — wtrącił mój przyjaciel Otto.

— Z pieniędzmi — zgodził się Trochim — do jego ubóstwianych studentów — nekromantów.

— Trochim, a ty nie możesz zrobić tego zadania? Przecież byłeś praktykiem... — zainteresowali się słuchający.

— Nie uczyłem się nekromagii — skrzywił się. — Ja też będę musiał płacić.

Siedząc przy sąsiednim stoliku, podliczałam na karteczce swój budżet. Pieniądze by się znalazły, ale utrata tak dużej sumy znacznie ograniczyła mnie w moich zachciankach. Musiałabym na przykład postawić krzyżyk na dawno już upatrzonej jedwabnej spódnicy z haftem, która tak bardzo przydałaby mi się latem.

— Po co płacić, jeśli można nie płacić? — zapytał mnie Otto.

W jego półkrasnołudzkiej krwi zgodnie mieszały się krasnołudzka roztropność i ludzka miłość do tego, co darmowe.

— Co masz na myśli? — wytyżyłam uwagę. Wyobrażenie spódnicy zamajaczyło gdzieś na horyzoncie mojej świadomości.

Otto wskazał na drzwi.

Właśnie do knajpy wszedł Irga i zaczął rozglądać się w poszukiwaniu wolnego miejsca.

— Otto... — szepnęłam prosząco.

Nie bez przyczyny półkrasnołud był moim najlepszym przyjacielem już prawie rok — zauważył moje błagalne spojrzenie i zrozumiał wszystko.

— Irga, cześć! Chodź do nas! — jego donośny bas rozciął hałas w knajpie jak nóż masło.

Zauważywszy machającego ręką Ottona, nekromanta uśmiechnął się i ruszył w naszą stronę.

— Cześć! — obdarzyłam Irgę najpiękniejszym z uśmiechów (długo ćwiczyłam go przed lustrem).

Irga uśmiechnął się również i zaczął sączyć w milczeniu piwo. Nie zaprzętał sobie głowy prowadzeniem grzecznościowej rozmowy. Ja natomiast czułam niepokój — żadną miarą nie mogłam wymyślić, od czego zacząć rozmowę, aby w jej konsekwencji Irga płynnie zaofiarował mi swą nieodpłatną pomoc...

— Eeee... — zaczęłam, gorączkowo się zastanawiając.

Z pomocą przyszedł mi Otto:

— Słyszałem, że znalazłeś pracę. To prawda?

— Owszem, w departamencie spraw wewnętrznych.

— Och, to interesujące! — wykrzyknęłam, starając się skopiować piękną bohaterkę przedstawienia teatralnego, które niedawno obejrzałam. Widocznie przedobrzyłam, ponieważ Irga spojrzał na mnie z jakimś zdziwieniem. Otto zrobił straszne oczy.

Postanowiłam zacząć od nowa:

— Naprawdę, to bardzo interesujące! Jak ci się to udało? Przecież młodzi mają małe szanse na tak dobrą pracę.

— Może jestem taki utalentowany? — ironicznie zapytał Irga.

— Na pewno! — rzuciłam mu prawie zakochane spojrzenie.

— Ola niedawno mi mówiła, że bardzo chciałaby zobaczyć, jak pracuje prawdziwy nekromanta! — Otto przystąpił do ataku.

Nie byłam zachwycona tak szybkim przejściem do sedna sprawy, ale musiałam to podtrzymać:

— Prawdziwy nekromanta! Ach, Irga, jesteś taki mądry! Taki wspaniały. Już nawet przyjęli cię do pracy! A jeszcze nawet nie obroniłeś pracy dyplomowej! — i przymilnie spojrzałam mu w oczy.

Irga wzmógł czujność:

— Coś kręcicie, nie podoba mi się to. Hola, gołąbki, przyznawajcie się, o co chodzi.

Głęboko zastanowiłam się nad zastosowaniem wariantu „popłakać się”, ale zdecydowałam, że nekromanta się na to nie nabierze. Na wszelki wypadek moje oczy zaszyły łzami (widmo spódnicy pomachało w mojej wyobraźni na pożegnanie) i wybąkałam:

— Profesor Partyk zadał nam pracę... z nekromagii... a ja chciałam — wyjęczałam z tragizmem — kupić spódnicę! Nie mam w czym chodzić!

Irga chrząknął sceptycznie i schylił się pod stół, żeby obejrzyć spódnicę, którą miałam na sobie — moją najulubieńszą, i dlatego przypominającą już tylko „kosztowną ścierekę”. Przezornie przemilczałam, że w szafie mam pełno różnych ciuchów, a Otto w milczeniu gryzł wargi, żeby zachować spokój.

— No dobra, wezmę cię ze sobą — oznajmił nekromanta. — Ktoś musi nieść łopaty...

Następnego wieczora schowałam do torby plan pracy zaliczeniowej i czekałam na Irgę przy wejściu na cmentarz. W akademiku odprowadzali mnie tak, jakbym szła w swoją ostatnią drogę. Otto zapobiegliwie próbował wsunąć mi do torby parę pasztecików „na wszelki wypadek”, a moja współlokatorka uroniła łzę — tej to dobrze, uzdrowiciele mają do czynienia z nekromagią tylko w rozdziale „Leczenie obrażeń spowodowanych przez zombie”.

Irga pojawił się obładowany narzędziami, w starych spodniach i brudnych butach.

— A spódnicę masz dziś inną — zauważył, wręczając mi łopatę.

— Ale wygląda nie lepiej niż tamta — odpowiedziałam prędko.

— I kolczyki, taak, do tanich nie należą — ciągnął Irga. — A bluzeczka...

Z nadmiaru uczuć machnęłam łopatą, przyzywając mużę, ażeby wiarygodnie uzasadnić brak pieniędzy na zapłatę za pomoc.

— No dobrze — powiedział nekromanta, uchylając się przed ostrzem łopaty, która przeleciała niebezpiecznie blisko. — Wszystko rozumiem. Idziemy kopać.

— Irga, a dlaczego jesteś tak ubrany? — zapytałam, drobiąc za nekromantą pomiędzy mogiłami.

— A jak niby powinienem się ubrać?

— No... w szeroką czarną szatę, czarne kamasze z ostrymi noskami...

— No, no — zainteresował się Irga. — Mów dalej.

Wygodniej chwyciłam ciężką łopatę i przywołałam

z pamięci wygląd widzianych niegdyś nekromantów.

— Żółte paznokcie, długie i mocne, włosy — czarne, długie, rozczochrane... — Sceptycznie spojrzałam na krótką fryzurę Irgi. — Czarny kot na ramieniu... Nie, lepiej szczur, taki duży, z ogonem...

— Też czarny — podpowiedział nekromanta z powagą.

— Może i czarny! — powiedziałam wyzywająco. — I bez łopaty!

— No dobrze — Irga westchnął głęboko. — To jak w takim razie nekromanta wydobywa z ziemi ciało?

— A tak! — spróbowałam efekciarsko zrobić w powietrzu magiczny gest, ale przeklęta łopata zsunęła się z ramienia i uderzyła mnie w nogę.

— I on, i wszyscy widzowie stoją, przysypani ziemią — westchnął znowu nekromanta.

Wyobraziłam sobie scenę wylotu ciała potencjalnego zombie spod ziemi — grudy ziemi lecące w różne strony, kwiatki z grobu na głowie czarnego kota... tak, łopata mimo wszystko jest potrzebna.

— Szata powinna być szykowna i szeroka...

— Płacze się pod nogami i przeszkadza w pracy, rękawy zlatują na nadgarstki, nie można zrobić żadnego gestu, żeby rzucić zaklęcie...

— A włosy! Czarne i długie...

— I zombie w napadzie furii chwyta je ręką i odrywa ci głowę...

— One nie mają napadów furii!

— Mają! — oburzył się Irga. — Nikt, nawet sam twórca nie wie, w jakim zombie przebudzi się nastroju! Albo jaki nastrój będzie miało potem. Zombie są najczęściej nieprzewidywalne!

— Paznokcie... — uczepliłam się ostateków iluzji.

— Paznokcie! Czy ty takimi paznokciami próbowałabyś coś robić? Bardzo niewygodnie.

— Może niewygodnie jest długimi paznokciami dłubać w nosie? A nekromanci muszą je mieć!

— Tak — westchnął Irga — do walki z zombie. Nie podchodź — bo podrapię... No, jesteśmy na miejscu. Kop.

-Ja?

— Ty, ty. Powinnaś doświadczyć w praktyce, jak pracują nekromanci. A ja zajmę się pracą intelektualną.

— Boję się umarłaków — próbowałam wzbudzić litość.

— To nic — odgryzł się nekromanta, nie okazawszy ni grama współczucia. — Najpierw się do niego dokop.

Po czym zapalił ogienek, bezceremonialnie zaczął grzebać w mojej torbie, wy dostał stamtąd moje zadania z praktycznej, paszteciki (Otto jest jak prawdziwa matka kwoka! Zapakował je mimo wszystko!) i położywszy się wygodnie na sąsiednim grobie, zaczął coś skrobać piórem, przegryzając od czasu do czasu pasztecikiem.

Ziemia była dobrze ubita. Sucha — już dawno nie padało. Głęboko wrosnięte korzenie trawy scalały grunt lepiej niż klej. Napierając z całej siły na łopatę, przeklinałam w myślach swoją chciwość. W cholerę z tą spódnicą! Siedziałabym teraz razem z Ottonem w knajpie i piła piwo, zagryzając słonymi preclami...

— Jeśli korzenie są bardzo mocne, to podważ je gracą, będzie ci łatwiej — poradził Irga, nie odrywając oczu od swojego zajęcia.

— Po co w ogóle siać na grobie tyle trawy! — wkurzyłam się.

— To taki ludowy przesąd. Myślą, że jak nieboszczykowi zachciałoby się samowolnie wyjść, jeśli będzie mu ciężko przez tę trawę, to się rozmyśli. Kop, kop.

— A dlaczego akurat tutaj kopię? — Po jakimś czasie zrobiłam sobie małą przerwę.

— Bo taką mam robotę. Dostałem zadanie i potrzebny mi jest materiał. Synalek tego obywatela niedawno uszkodził paru ludzi i zbiegł. Próbujemy zorganizować zdalne poszukiwania — było nie było, połowę krwi ma po tatusiu. Może się uda.

Kopałam, wspominając, że co nieco wiem o zdalnym poszukiwaniu — cząsteczkę ciała, włosa lub paznokcia umieszcza się w specjalnej kolbie, mag odprawia rytuał i magiczny kompas pokazuje kierunek oraz przybliżoną odległość do miejsca pobytu poszukiwanego. Co prawda ten rytuał należało odprawiać dosyć często, ponieważ zbiegły przestępca rzadko przebywa długo w jednym miejscu.

Wyrzucać ziemię było coraz trudniej — wszak opuszczałam się niżej. Jutro będą mnie boleć wszystkie mięśnie.

„Będę leżeć na łóżku i kwękać! — pomyślałam mściwie — wszyscy będą skakać koło mnie, pocieszać i masować”. Myśl o dłoniach Irgi, masujących moje plecy zdusiłam w zarodku jako mało realną. Już przedziej moja współlokatorka — w końcu nawet zawód ma odpowiedni.

Wtem łopata natrafiła na coś z nieprzyjemnym chrzęstem. Spod ziemi wyrzwał kawałek materiału.

„Trup!” — momentalnie wygramoliłam się z mogiły, czepiając obsypujących się ścianek i marząc o silnych, długich, może nawet i żółtych paznokciach.

Na wierzchu zobaczyłam, że Irga podłożył pod głowę moją torbę i spokojnie uciął sobie drzemkę.

— Wstawaj, ej, słyszysz?! Dokopałam się!

Irga przeciągnął się sennie i podszedł do grobu.

— No, prawie. Może jeszcze trochę pokopiesz?

Kategorycznie odmówiłam.

— No jeszcze ciut-ciut. Mam szufelkę, oczyścisz...

— Ale tam jest trup...

— To nic, on jest zawinięty w całun, niczego nie zobaczysz.

— Zimny...

— A ty lubisz tylko gorących mężczyzn? — zainteresował się Irga złośliwie.

— Tak! — powiedziała, sadowiąc się na jego legowisku ze zdecydowaną miną. — A przynajmniej ciepłych. I miękkich, a nie zeszywniałych. Nawet ty jesteś lepszy od tego tam, na dole.

— Taaak? — mruknął Irga z niedowierzaniem. — Nawet jaaa? Jakoś, moja droga, niezbyt dobrze to zabrzmiało. Mogę się obrazić.

Zrozumiałam, że trzeba się zwijać. Wsunąwszy do torby zapisany zwój — podziękowania potem — chwacko skoczyłam na nogi.

— Czy to znaczy, że jestem aż tak nieatrakcyjny? — Irga zbliżał się do mnie, trzymając pochyloną łopatę.

— Teraz — owszem! — wrzasnęłam i puściłam się biegiem po cmentarzu, klucząc między grobami jak za- jąc.

Rozległ się demoniczny śmiech, nie mogłam powstrzymać ciekawości i zerknęłam do tyłu. Ściągał mnie prawdziwy nekromanta — w czarnej pelerynie, z rozwianymi włosami, długimi rękoma o żółtych paznokciach i z oczami płonącymi zielonym światłem. Prędkość mojego biegu wzrosła, nie było czasu, żeby patrzeć pod nogi. Oczywiście, potknęłam się o jakąś gałązkę i runęłam na ziemię jak długa.

Gdy otworzyłam oczy, stwierdziłam, że moja głowa spoczywa na kolanach Irgi, a on sam w zamyśleniu głaszcze mnie po włosach.

— Co to było? — wychrypiałam.

— Zwyczajna iluzja. Wszyscy nekromanci trzymają je na podporządku, żeby straszyć mieszczuchów. Po co uciekałaś?

— Myślałam, że dzielisz mnie łopatą za to, co powiedziałam.

— Dlaczego? — zapytał Irga z powagą.

Poruszyłam się. Było mi bardzo wygodnie i wcale nie chciało mi się wstawać.

— Przez to, że uraziłam twoje męskie ego. Otto zabiłby mnie za coś takiego.

Irga westchnął.

— Nie morduję małych dziewczątek tylko dlatego, że są głupiutkie. Wstawaj, mam robotę.

Podniosłam się i wzięłam do ręki torbę.

— Napisałem ci tę pracę — oznajmił Irga.

— Dziękuję — zmieszałam się, wzięłam go za rękę, zamknęłam oczy i wyszeptalam: — Wiesz, jesteś sympatyczny i pociągający, nawet bardzo. Ale jednocześnie jesteś złowieszczy i wredny.

Irga powoli przesunął dłoń po moim brudnym i podrapanym policzku.

—Chodźmy, odprowadzę cię do wyjścia z cmentarza. Bo jeszcze zabłądzisz... dzieciaku.

Obraziłam się.

—Trafię sama.

—I nie boisz się martwych? Coś takiego! — powiedział Irga zjadliwie.

—Tutaj należy bać się tylko ciebie — oznajmiłam i poszłam.

—Wyjście jest z drugiej strony! — zawołał Irga, roześmiał się i dodał: — Podziękuj Ottonowi za paszteciki.

—Wasze prace — Partyk patetycznie załamał ręce — są okropne! Jesteście skąpi i bezmyślni! I tylko praca Ol- gierdy Lachy zasługuje na pochwałę. Komu za nią zapłaciłaś?

—Nikommu — odpowiedziałam szczerze, wzruszając ramionami.

Partyk długo przewiercał mnie wzrokiem. Spokojnie patrzyłam mu w oczy. Sumienie miałam czyste, jak nigdy. Naprawdę nikomu nie zapłaciłam.

—Akurat! Nikomu! Mógłbym przysiąc... Ale on by nigdy bezpłatnie... Dobrze zatem! Automatyczne zaliczenie z nekromagii! Zuch dziewczyna!

Dla takiego wyniku stanowczo warto było spędzić te kilka godzin na kopaniu, a potem przez trzy dni męczyć się z zakwasami!

## 8

### *S Drastyczny środek*

esja zakończyła się i nagle zauważyłam, że lato rozkwitło już w pełni. Po gorących nocach woda w rzece już rano była ciepła i parowała jak poranny kubek mleka, a na brzegu demonstrowały swoje mięsne masy sympatycznych młodzieńców.

Ułożyłam się na plaży, czekając na Ottona i obserwowałam z uwagą, jak Irga uczy pływać swoją nową dziewczynę. Sama też pływałam, ale nie tak dobrze, jak on. Dlatego pierwotny plan: „Podpłynąć, obryzgać wodą tę blond wywłokę i szybko uciec bez uszczerbku na własnym ciele” był raczej niewykonalny w ostatniej części.

—Co tam? Zazdrościsz lasce, której się udało? — Właśnie nadszedł Otto.

—I co jeszcze?! — prychnęłam. — Raczej bym nie chciała, żeby ktoś mnie dotykał zimnymi łapskami. Czego tu zazdrościć?

—Tego, że nie potrafisz tak podniecająco piszczeć, i tego, że sama masz gorszy kostium kąpielowy, i tego, że pod tym strojem chowasz mniejsze krągłości — wyliczył Otto.

—Otto, zawałiłeś ostatni egzamin?

—Nie.

—To czego jesteś taki zły?

—No spójrz na mnie! — pożalił się półkrasnolud.

Popatrzyłam na jego niską, barczystą figurę, umięśnione ręce, najmodniejsze kąpielówki i krótkie, bujnie owłosione nogi. Kąpielówki — różowe spodenki w zielone kwiatki — pięknie podkreślały wszystkie niedostatki jego urody. Nogi wydawały się krzywe i jeszcze bardziej włochate. Nie wiadomo skąd pojawił się i brzuszek, wyglądając kokieteryjnie spod długiej, przykrywającej go do tej pory brody, a jeśli chodzi o jego symbol męskości, to nie było niestety o czym mówić. Zduśniony niestosowny okrzyk: „Co ty, do cholery, włożyłeś na siebie???", powiedziałam spokojnie:

—I co? Wyglądasz normalnie. Tylko te spodenki... hm... jakieś takie żarówiaste.

—Zabijają całą moją seksualność! — zasyczał Otto.

—To po co je nosisz?

—Prezent od mamy — odpowiedział mój przyjaciel krótko, pogrążając się w otchłani rozpacz.

—Uspokój się, to ostatni krzyk mody. Zobacz, w czym chodzą inni faceci.

Otto obrzucił plażę ponurym wzrokiem. Wszyscy mężczyźni paradowali w gatkach o najbardziej fantastycznych barwach. Faktem było, że na żadnym z nich nie wyglądały one jak drwina z przemysłu włókienniczego.

—Irga ma czarne.

—Nie zdradzi swojego ukochanego koloru. Dzień, w którym ujrę go w jakimś innym kolorze, uznam za dzień, w którym dostałam białej gorączki — oznajmiłam.

—Czasami jednak nienawidzę swojej matki — westchnął Otto.

—Stara się, jak może. Żebyś wyglądał modnie i atrakcyjnie...

—A wyglądam po prostu okropnie — zakończył pół-krasnod. — Chodź, pójdziemy się czegoś napić, póki nie dostałaś białej gorączki.

®

Przy piwku rozmyślałam: dlaczego rodzice, chcąc dla swoich dzieci jak najlepiej, tak często przesadzają? Moja mama ubierała mnie w modne kostiumy, które pasowały mi jak świni siodło. Mama Ottona także kupowała mi wszystkie modniarskie nowości, które nie pasowały ani do jego figury, ani charakteru.

—Kiedy zaczniesz letnie praktyki? — po paru kufelkach Otto poweselał i zmienił temat.

—Bef wezwał mnie do siebie na jutro. Ale co mogą nam zaoferować po drugim roku? Będziemy siedzieć w bibliotece.

—My mamy jeszcze gorzej. Będziemy pracować w kuźni — pożalił się półkrasnod.

—No nie wiem, kto z nas ma gorzej: siedzieć w zatęchłej bibliotece w ciepłe, letnie dni czy na słoneczku zajmować się przyjemną fizyczną pracą?

—Tak? To chodź, zamienimy się.

—Bardzo cenię sobie fakt, że tak starasz się ulepszać moje życie — powiedziałam grzecznie. — Ale jakoś trudno mi wyobrazić sobie siebie machającą młotem. Nie mój profil.

—Mięśnie dopompujesz, figurkę dostaniesz, że ho,

ho!

—Wtedy musiałabym zmieniać całą garderobę — roześmiałam się. — Już lepiej niech wszystko zostanie tak, jak jest.

Bef, jak zwykle, chodził po gabinecie z kąta w kąt.

—Razem z tobą będą pracować dwie praktykantki z Sofipilja.

—Co??? — Byłam bardzo zaskoczona. — Z mojego rodzinnego miasta?

—Myślałem, że się ucieszysz — zdziwił się.

—Niech pan jeszcze powie, że z Liceum Magii!

—Owszem. Uria Naut i Tiaka Cał.

Uderzyłam głową w jego stół. Sytuacja nie uległa poprawie. Uderzyłam ponownie i cichutko zajęczałam. Cały miesiąc z dziewczynami, które w liceum pastwiły się nade mną jak tylko mogły!

—Proszę przerwać tę histerię! — wrzasnął Bef, — Co się stało?

—Gwarantuję panu, że do końca praktyki wymordujemy się nawzajem. Czujemy do siebie niechęć już od pierwszej klasy liceum! A nawet nienawiść.

—To były nastoletnie wygłupy — nachmurzył się Bef. — Dawno już z tego wyrosłyście.

—Jasne, nastoletnie! One były ode mnie starsze! I uczyły się ze mną w jednej grupie! I drwiiiły zeee mnie- ee! — zawylałam.

—Jeśli są starsze od ciebie, to znaczy, że nie są magicznie utalentowane w takim stopniu jak ty. Fakt, że ty uczysz się u nas, a one tam, także o czymś świadczą. — Bef starał się przerwać moje jęki. — Jak chcesz zostać dobrym magiem, skoro boisz się dwóch dziewczuszek?

—Już lepsze byłyby dwa wściekłe zombie, aniżeli one!

—Skieruję cię na praktyki do nekromantów! — zagroził opiekun.

—Proszę skierować!

—Dosyć! — Befowi skończyła się cierpliwość. — Należy stanąć ze swoim strachem twarzą w twarz. Inaczej zje cię żywcem. Rozmowa zakończona.

—Kiedy one przyjeżdżają? — Moja współlokatorka Lira gładziła mnie po plecach.

—Jutro — powiedziałam wtulona w poduszkę. Ostatnie trzy dni upłynęły mi na jękach i w oczekiwaniu przyszłych udręk.

—Może poproś Ottona, żeby przyszedł do ciebie? Dla dodania otuchy? Albo wiesz co, jutro nie pójdę na praktyki, posiedzę z tobą w bibliotece.

—Jestem! — Do pokoju wpadł Otto z wielką butlą. — Nowy wynalazek specjalnie dla ciebie. Uspokajający. Dwa łyki — i już jesteś spokojna jak nieboszczyk w trumnie.

—Ale to nie trucizna? — zapytała Lira.

—Dawaj! — wyrwałam butelkę z rąk półkrasnoluda i przyssałam się do szyjki.

—Oddaj! Tylko dwa łyki! Przed samym wydarzeniem, którego się boisz! Ola, Ola, słyszysz mnie?

Świadomość odpływała miękka, ciepłą rzeką. Odgłosy rozmowy dochodziły do mnie jak przez watę.

—Za duża dawka! — Lira.

—To nic, prześpi się do jutra, tylko ją obudź. — Otto.

—Jutro też ma to wypić?

—Dwa łyki! I schowaj butlę, może ten napój uzależnia?

—Cooos tytyty tam zmieeszaaa...? — głosy oddalały się i tonęły w falach rzeki.

—Magia, waleriana, melisa, peonia...

—Ola, wstawaj, no wstawaj! — Lira szarpała mnie za ramię. — Już przyjechały, musisz iść na praktykę.

—Aha — przeciągnęłam się. Wyspałam się za wszystkie czasy. — A gdzie naleweczka na uspokojenie?

—Proszę. Odmierzyłam. Więcej nie wolno.

—Dawaj jeszcze! Albo nigdzie nie pójde! — Próbowалам wylizać filiżankę, ale język nie dosięgał dna.

Lira westchnęła, wydołała butlę spod łóżka i ostrożnie kapnęła do podstawionego naczynia.

—Tylko dlatego, że cię lubię i jestem z tobą duchem! Pamiętaj!

Szłam do biblioteki i uśmiechałam się do świata.

Stareńki bibliotekarz instruował dwie młode, dobrze ubrane dziewczyny.

—Olgerdo, proszę się do nas przyłączyć. Otóż będziecie pracować w dziale starych manuskryptów. Żadnej magii, bo się rozsypią. Ostrożność i jeszcze raz ostrożność! Jeżeli ucierpi choć jeden manuskrypt, skutki będą dla was opłakane.

Olgerdo, będzie pani odpowiedzialna za wszystko, pokaże pani naszym gościom co i jak. Dlaczego się pani uśmiecha?

—Ja? Och, proszę wybaczyć. — Nie zauważyłam, że usta same rozciągają się w uśmiechu.

—Do zadania należy podchodzić z powagą — skarcił mnie bibliotekarz i poprowadził nas do działu manuskryptów.

Moim zadaniem było klasyfikowanie starych magicznych zapisów: te odkrycia są przestarzałe, te jeszcze się przydadzą, a ta wiedza nie jest wykorzystywana w praktyce. Praca dosyć upierdliwa, żeby uściślić wiadomości, trzeba ciągle zaglądać do słowników i podręczników. No, dziękuję, opiekunie! Toś mnie pięknie urządził! Z żalem pomyślałam o siedzących teraz w głównej sali biblioteki kolegach i koleżankach z roku, którzy udają, że zajmują się katalogami, a tak naprawdę głównie śmieją się i plotkują.

—No dobra... — Wywaliłam z torby potrzebne do pracy przyrzady. — Wy róbcie swoje, a ja swoje. Zgoda?

—Olgerda, a ty nawet nie przywitasz się ze swoimi dawnymi koleżankami z klasy? Jak to tak? — słodziutko odezwała się Uria.

—Dziewczyny, bardzo miło mi was widzieć, jeśli jednak nie weźmiemy się do roboty, będę musiała zameldować o tym, że przeszkadzacie mi w pracy! — Wiem, że donosicielstwo jest rzeczą ohydną, ale nie miałam zamiaru wdawać się w słowne pojedynki.

Po dwóch godzinach usłyszałam za plecami szepty i chichoty. Czuliście kiedykolwiek, jak śmieją się z was w ukryciu? O, uwierzcie, to o wiele gorsze niż nabijanie się z was w sposób całkowicie jawny. Wtedy przynajmniej macie świadomość, co jest nie tak i na czym polega dowcip. Ale takie podśmiejki powodują, że tracicie rozum. Kiedy odwracacie się do szyderców, demonstrują oni pełną powagę i uważnie słuchają, co się do nich mówi. A potem znów następuje eksplozja śmiechu. Istnieje jeszcze kategoria „życzliwych”, którzy zawiadamiają cię z udawanym współczuciem: „Wiesz, że się tu z ciebie śmieją? Nie, nie mam pojęcia dlaczego, przecież nie jestem z nimi. Jestem twoim przyjacielem. Dawno już się tak śmieją. I na pewno sama wiesz, że nie masz co się tu pokazywać”.

To wszystko przeżyłam w liceum, dzięki tym doświadczeniom wyrobiłam w sobie pewną odporność, a dziś byłam dodatkowo pokrzepiona środkiem na uspokojenie, więc żadne głupie śmieszki nie były w stanie wyprowadzić mnie z równowagi. Pierwszy dzień pracy zakończył się stosunkowo spokojnie.

Kiedy wychodziłam z biblioteki, Uria wzięła mnie pod rękę.



—Olgierda, jesteśmy przecież twoimi koleżankami. Opowiedz nam, jak ci się tu żyje. Widzę, że zmieniłaś styl ubierania się. Czyżbyś nareszcie miała chłopaka?

—Moja droga — odpowiedziałam jej w tym samym tonie. — Moje życie osobiste absolutnie nie jest twoją sprawą. A koleżankami nie byłyśmy nigdy. Do jutra.

®

—I jak poszło? — zapytała Lira. Czekwała na mnie w pokoju z pudełkiem czekoladek.

—Lepiej niż oczekiwałam — wymamrotałam z pełnymi ustami. — Można jeszcze jedną?

—Jedz, jedz. Wszystkie są dla ciebie. Czekolada krzepi, mówię ci to jako lekarz.

Przez trzy dni nie musiałam brać nalewki na uspokojenie. Aktywnie pracowałyśmy, nie wyjaśniając wzajemnych stosunków. Trzeciego zaś dnia, wieczorem, moje „koleżanki” zobaczyły mnie z Ottonem.

Następnego ranka przywitała mnie pełna oczekiwania cisza.

—To był twój chłopak? — zapytała Tiaka.

—Który?

—Ten niziutki, z czarną brodą. Taki straszny.

—Otto nie jest straszny!

—Jest półkrasnołudem — wyjaśniła Uria. — Popytałam tu i ówdzie.

—A więc masz chłopaka półkrasnołuda?

—To nie jest mój chłopak — powiedziałam.

—To nawet półkrasnołud cię nie chciał?

—Tak, nawet półkrasnołud — współczuła mi Tia-ka. — Ona nie miała chłopaka przez całe dwa lata.

—Znowu jesteś outsiderką, biedaczko? — zapytała Uria z udawanym żalem.

—Nie znowu, a stale — słodziutko skomentowała Tiaka. — Nikt jej nie chce.

—Nigdy nikt jej nie chciał.

—Straszydło bez wycucia stylu.

—Ja bym od takiego życia zwariowała...

—Skończyła ze sobą...

—Na co komu taka beznadziejna wegetacja?

Dziewczyny jak drapieżniki, które poczuły krew, otaczały mnie, powoli zaganiając w kąt.

—Jestem bardzo zadowolona ze swojego życia — broniłam się.

—Jakiego życia?

—Ty masz jakieś życie?

—Ty to nazywasz życiem?

—Tak, to się nazywa życie! Życie! I ono mi się podoba! Podoba!!! — krzyknęłam, wydzierając się z kąta.

Uciekać, ratować się. Schować się ze wstydu i przerażenia. Dlaczego jestem takim tchórzem? Dlaczego, zamiast zmiażdżyć te chamidła jakąś trafną, zjadliwą repliką, wołałam uciekać?

—Wyłaż spod koca! — Otto potrząsnął mnie za ramię. — Zobacz sama, do kogo zrobiłaś się podobna. Dać ci lustro?

—Nie trzeba — wychlipałam. — I tak wiem dobrze, że jestem straszna i nikomu niepotrzebna.

—Kto ci powiedział, że jesteś straszna?

—Sama wiem!

—Nie jesteś straszna.

—Straszna. I nikomu niepotrzebna! W ogóle! Nikomu!

—Jasne, jasne. I to właśnie dlatego przyszedłem do ciebie, napluwszy na wolny dzień i możliwość wyjazdu do krewnych? Dylizans właśnie odjechał, to tak na marginesie. A może właśnie dlatego Lira stara ci się podsunąć pudełko chudorskiej czekolady?

Prawda, czekolada ze stolicy! Strasznie droga i bosko przepyszna! Podniosłam zapłakaną twarz z poduszki.

—Jesteś nam potrzebna — powiedział miękko Otto. — Nie poddawaj się tak szybko, jesteś przecież mądra, moje złotko. No, trzymaj chustkę. Wytrzyj łzy i jedz czekoladę. Wygadaj się, będzie ci lżej.

—Boję się ich — wyznałam. — W liceum było prościej. Nie byłam ich jedyną ofiarą. A teraz...

—A kto dał im prawo do znęcania się nad tobą? Wyśmiewać twoje wyobrażenia o życiu? Nie zgadzaj się na to.

—Dobrze ci mówić, Otto. O ile pamiętam, rok temu byłeś w takiej samej sytuacji.

Otto potargał brodę.

—Nie w takiej samej. Po pierwsze, to nie były cienie przeszłości, wredne smarkule, tylko banda. Po drugie, sprzeciwiłem się, a nie uznałem od razu, że wszystko stracone, tak jak ty teraz. A już na pewno nie szlochałem godzinami z przerażenia. No, wypij.

Łyknęłam uspokajającej nalewki.

—Coś wymyślę. — Otto nadal tarmosił brodę. — Tylko się nie poddawaj, dobrze? Pomyślisz, pokonasz je. W końcu kim one są?!

Potrząsnęłam butelką, żeby rozmieszać resztki na dnie, chlapnęłam sobie i zadowolona zmrużyłam oczy. Otto coś wymyśli. Jak dobrze, że mam przyjaciół! Nalewka rozlała się po ciele przyjemnym ciepłem. Życie wracało do normy.

—Powiem ci, jak dziewczyna dziewczynie — powiedziała Lira. — Jesteś sympatyczna, fajnie się ubierasz. To, że nie masz chłopaka, świadczy tylko o tym, że jesteś zbyt zajęta, by móc poświęcać mu czas. A teraz idę do kuchni, musisz coś zjeść.

W zadumie podrapałam się po głowie.

—Zarabiasz. — Otto podtrzymał tok myślenia Liry. — Dobrze się uczysz, zobacz, jak Bef cię ceni. Podsuwa ci najlepszą pracę!

—Najlepszą, akurat... — Drapałam się po plecach paznokciami, żałując jednocześnie, że nie jestem posiadaczką mocnych, krogulczych szponów zasłużonych wiedzm.

—No pewnie! Prastare manuskrypty! Znajdź, co tylko chcesz, przepisuj i stosuj!

Drapałam się po brzuchu obiema rękami.

—O tym nie pomyślałam.

—Podziękuj — chrząknął Otto — że masz przyjaciół, którzy myślą za ciebie. A propos, kiedy się ostatnio myślaś?

—A co? — Żałowałam, że nie mam dziesięciu rąk!

—Mówią, że mycie się jest bardziej skuteczne od drapania.

—Ola! — wykrzyknęła Lira, która właśnie wróciła z kuchni. Załamała ręce, a rondel z zupą upadł na podłogę z żalobnym dźwiękiem. — Co z tobą? O, Miłościwy Annie!

Miłościwego Anna, patrona magów-uzdrowicieli, moja przyjaciółka wspominała nadzwyczaj rzadko. Mówią, że jest on nadzwyczaj leniwy i do częstych wezwań odnosi się nieżyczliwie. Lekarze, rzecz jasna, odrzucają tę tezę, wysuwając wersję, że polegają wyłącznie na swoich siłach, a nie na pomocy bóstwa.

—Co? — przestałam się nawet drapać.

—Spuchłaś!

—Nie zauważyłem — powiedział z poczuciem winy mój najlepszy przyjaciel.

—No tak, nawet na nią nie spojrzełeś. Nie drap się tak, nie drap, bo będzie jeszcze gorzej!

—Rzuciły na nią urok! Pójdę i głowy poodrywam tym dwóm głupim babom!

—To nie urok, to alergja. Widać twoja nalewka plus czekolada dały taki efekt.

—Ale już jadłam czekoladki po wypiciu nalewki!

—To była miejscowa czekolada. Nie wiemy, co w stolicy dodają do swojej! — Lira grzebała w zapasach leków. — Dobrze chociaż, że było to rozłożone w czasie — nalewka rano, czekolada wieczorem.

—Czy ona umrze? — spytał Otto ze strachem.

Jego ton spowodował, że rzuciłam się do lustra. O,

Niebiosia!

—Sukinkot! — zakląłam.

—Nie przeklinaj! — upomniała mnie Lira. — Jeszcze przywołasz!

—Ożeż Sukinkot!!!! — Z lustra patrzyła na mnie rozdęta gęba w kolorze świńskoróżowym. Oczy-szpa- reczki prawie znikły, tonąc wśród ogromnych policzków i niskiego trollowatego czoła. Szyja spuchła mi do tego stopnia, że wiszące wcześniej luźno rzemyki z amuletami i artefaktami wrzynały się teraz w skórę. Ogromny biust napinał bluzkę. Ręce z palcami jak serdelki, a uszy, kiedyś małe i akuratne, przypominały teraz uszy goblina.

—Nie umrze! — Lira podtykała mi kieliszek. — Wypij to.

—Poczekaj! W nalewce była magia. A jeżeli moja skłóci się z twoją?

—To nic — powiedziała Lira bez przekonania. — Gorzej już nie będzie.

Przełknęłam jakieś gorzkie ziółka. Przystanąłam i wsłuchałam się w swój organizm.

—Trochę jakby lepiej.

Otto wydał stłumiony charkot i złapał się za brodę.

—Sukinkot... — wyszeptała Lira.

Było to pierwsze przekleństwo, które usłyszałam z jej ust. Powoli odwróciłam się do lustra. To, co zobaczyłam, zaparło mi dech w piersiach. Różowa skóra pokryła się pięknymi, asymetrycznymi niebieskimi kleksami.

—Nie Sukinkot — powiedziałam z resztkami spokoju. — Sukin w dupę kopany!!!

Otto, zanim przycisnął mnie do piersi, żeby pohamować moją histerię, zrobił ręką ochronny znak.

Rano wszystkie ozdoby na twarzy wyglądały jak zwykłe siniaki, objawiwszy światu liliowy środek purpurowych plam, okrążonych ciemnoniebieskimi szlaczkami.

—Przynajmniej drapać się przestałaś — pocieszyła mnie Lira. Po moim ataku histerii Lira zalała się rzewnymi łzami, obwiniając siebie o to, co się stało. Otto uspokoił mnie, uspokoił Lirę, a na końcu uspokoił sam siebie, wypiwszy cały alkohol, który był w pokoju. Spał teraz na moim łóżku, chrapiąc tak potężnie, że kwiat na moim parapecie wyraźnie podskakiwał.

—Dzisiaj ma wolne, nie będziemy go budzić — powiedziała moja współlokatorka. — A ty jak, zbierzesz się?

Uśmiechnęłam się ponuro. Było mi już wszystko jedno.

Urii i Tiace, które osłupiały na mój widok, wyjaśniłam:

—Urok. Od konkurencji. Jak będziecie się lenić, prześlę go na was.

Wieczorem, w drodze do akademika, spotkałam Irgę. Popatrzył na mnie w milczeniu, po czym, rozciągając samogłoski, powiedział miękko:

—Mówiłem ci już, że mi się podobasz?

Pokręciłam głową.

—Podobasz mi się — młody nekromanta przesunął dłonią po moim policzku. — Przypominasz mi moje najlepsze zombie, a sama wiesz, jak kocham swoją pracę. Świetna karnacja! Ej, ej! Ostrożnie! To moja ulubiona koszula! — Szybko zrzucił z siebie płonącą odzież.

Obserwując, jak koszula dogorywa na ziemi, Irga oznajmił:

—Ożenię się tylko z prostą kobietą. Żadnych magiczek. Będzie to chociaż jakaś gwarancja, że rodzinne awantury nie zakończą się kalectwem.

—Kalectwem? — Ruszyłam na nekromantę z zaciśniętymi pięściami. — To wspomniały pomysły!

—Ola! — Młodzieniec zrobił unik. — Ten organ jest mi drogi.

—Za chwilę będzie twoją drogą pamiątką! — nareszcie mogłam się na kimś odegrać. — A więc, jak zombie!

—Jak najlepszy zombie! — bronił się nekromanta. — To był komplement! Bez iskiei, proszę! Oj, nie jestem żaroodporny! Ola!

—Olgierdo, czy mogłaby pani nie spełniać swych erotycznych zachcianek na oczach całego studenckiego miasteczka? — rozległ się z tyłu suchy głos Befa.

—Proszę wybaczyć, ale Irga jako obiekt moich erotycznych zapędów zupełnie mnie nie interesuje! Chcę go zabić!

—Olgierdo, nie interesuje mnie prywatne życie moich studentów. Proszę oszczędzić mi szczegółów. Dodam tylko, że za zabójstwo najlepszego nekromanty na uczelni na sto procent usuną panią z uniwersytetu, radzę więc się jeszcze zastanowić.

Beł pomilczał chwilę i uważnie przestudiował mój wygląd, po czym zapytał z żywym zainteresowaniem:

- Co się stało z pani twarzą? I... hm... z panią w ogóle?
- Alergia. Pomnożona przez niezgrane ze sobą magię.
- Do uzdrowicieli.
- Nie chcę! — przestraszyłam się.
- Biegiem. To rozkaz. Irronto, pan zostanie.

Pokazałam Irdze język i pobiegłam do kompleksu zajmowanego przez uzdrowicieli.

®

Do rana moja twarz nabrała prawie normalnej barwy — jeśli można uznać za normalny równomierny liliowy kolor — najważniejsze, że miała już swój poprzedni rozmiar. Obecna przy leczeniu Lira zapisała do swojego notesu wszelkie czynności i zalecenia swojego opiekuna i pocieszyła mnie:

- Teraz możesz już pożerać czekoladę i popijać naleweczką. Zapisałam sobie, co trzeba robić.
- O nie, dziękuję bardzo — powiedziałam zdecydowanie. — Obejdzie się. Bo co poniekórym przypominam zombie, widzicie go! Pacan.

Pacan oczekiwał na mnie pod biblioteką, z małą czerwoną różyczką w ręku.

- Nie lubię róż.
- Wiem. To lizak. Jako forma przeprosin za nietrafiony komplement.
- Lizak... — Chciałam przybrać surowy wygląd, ale nie wyszło. — Daj!
- Wybaczysz mi?
- Wybaczę! No, daj już!

Irga uśmiechnął się i cmoknął mnie w dłoń.

- Kto to był? — zapytała mnie Uria.
  - Y? — zaryczałam, starając się rozewrzeć szczęki, sklezione lizako różą.
  - Wczorajszy półnagi przystojniak. Przecież to właśnie on podarował ci różyczkę?
- Yy.

- No, Olgierda! Spotykasz się z nim?
- Yyie!!!
- Poznaj nas z nim, dobrze?
- Jest taki cudny! — ciągnęła Tiaka z rozmarzonym wzrokiem. — Pół życia za takiego faceta!
- Yyycia?
- Olgierda, głupolku! Nic nie rozumiesz! To najwspanialszy mężczyzna ze wszystkich, jakich widziałyśmy! Jest mega przystojny! Jak przewodnik stada.

Próbowałam wyobrazić sobie Irgę jako głównego byka w stadzie, ale kiepsko mi to wyszło. Prędej już jako wilka samotnika. Takiego zuchwałego, który nie trafia we wnyki i terroryzuje całą okolicę.

- Olgierduniu! Błagamy cię! — Byłe koleżanki z klasy prosząco patrzyły mi w oczy.

Machnęłam ręką. Poznam, byleby dały mi już spokój!

@

Wieczorem Irga objawił się, siedząc na murku przed biblioteką z torbą herbatników, które melancholijnie przeżuwał.

—Irga! — podeszłam do niego zdecydowanym krokiem. — Poznaj, proszę, moje koleżanki ze szkolnej ławy — Urię i Tiakę.

—Bardzo mi miło. — Nekromanta był czarujący. I całowanie rączek, i komplementy... Uznałam, że nic tam po mnie.

Irga dogonił mnie przy akademiku.

—Mam dosyć dziewczyn, nie musisz mi jeszcze naganiać tych dwóch prowincjuszek.

Poczułam się urażona w imieniu mojego rodzinnego miasta.

—To znaczy, że ja też jestem prowincjuszką?

—Prowincjuszki to te, które zachowują się jak prowincjuszki. A ty się zachowujesz jak dziecko. Wystarczyłoby, żebyś pstryknęła palcami, a one...

—A one wskoczyłyby ci do łóżka — zakończyłam. — Możesz już nic nie mówić, one dziś cały dzień wszystko omawiały i planowały.

—Moja droga, jeszcze tego brakowało, żebyś zajmowała się stręczycielstwem. Dlaczego tak na mnie patrzysz?

—Próbuję zrozumieć, co w tobie zobaczyły — odpowiedziałam uczciwie.

Irga dumnie wypiął pierś.

—Nie chcę się przechwalać, ale większość znanych mi dziewczyn uważa mnie za przystojniaka.

Długa grzywka przy krótko ostrzyżonych czarnych włosach. Uszy — nie odstające, jak u wielu chłopców, w lewym mały kolczyk-kółeczko. Niebieskie oczy. Długi nos, wąskie usta. Wysoki i chudy, ale muskularny. Co w nim niby takiego niezwykłego?

—Muszę cię rozczarować, ale nie uważam, byś był szczególnie piękny. Ani nawet atrakcyjny — odpowiedziałam.

Nekromanta filozoficznie wzruszył ramionami.

—Otto też musi się komuś podobać.

—Mnie się Otto nie podoba, w każdym razie, nie podoba jako mężczyzna — zaczęłam.

—A kto ci się podoba? — zapytał Irga przymilnie. - Możesz powiedzieć, jakie masz preferencje?

Sama bym chciała wiedzieć.

—A po co?

—Mógłbym cię z kimś poznać — oświadczył nekromanta. — Żebyś nie czuła się tak samotna i pominięta przez mężczyzn, którzy obdzielają swoją uwagę kobitki.

—Pomijanie mnie przez facetów sprawia mi wielką frajdę.

—Twoje koleżanki tak mówiły. Że podarowałam i i tę różyczkę z litości.

Poczułam się tak, jakby ktoś wylał na mnie wiadro pomoy. Przedstawienie mnie Irdze jako kogoś biednego i nieszczęśliwego z powodu braku męskiej uwagi bardzo mnie obrażało.

—I co im powiedziałaś? — spytałam, ze zdenerwowania przetykając ślinę.

—Nic — powiedział Irga. — Przecież nie mogłem powiedzieć im prawdy. Że podarowałam ci różyczkę, żeby zobaczyć, jak szybko uda ci się rozkleić szczęki, ale nie dałaś mi zmierzyć czasu, bo uciekłaś do biblioteki.

Spojrzałam na niego podejrzliwie, ale on z beztroskim wyrazem twarzy strzepywał z koszuli topolowy puch.

—W takim razie, na przyszłość, zanim mi coś ofiarujesz, uprzedź mnie o swoich planach — powiedziałam złośliwie i poszłam do domu.

Przez cały tydzień dziewczyny nadszakiwały Irdze i knuły plany, jak wskoczyć mu do łóżka. Każdego dnia były coraz bardziej złe. Widać, nekromanta ignorował ich wszelkie starania.

- To twoja wina! — wyszczała do mnie Tiaka. — Czemu nam nie powiedziałaś, że serce Irgi jest już zajęte?
- A skąd miałam wiedzieć, że się zakochał? — zdziwiłam się. — On zmienia dziewczyny jak rękawiczki.
- Wiesz, o czym z nami rozmawiał?! „Co tam u was w bibliotece? Jak tam Ola? Opowiedzcie, jak uczyłyście się razem w liceum”. — Uria przedrzeźniała śpiewny głos nekromanty. — On się nami w ogóle nie interesuje.
- Wypytałyśmy jego znajomych. Okazuje się, że od wszystkich Irga woli ciebie!
- Mnie??? — zdziwiłam się.
- Oczywiście, ale nie uznałaś za stosowne powiadomić nas o tym. A teraz razem się z nas śmiejecie, co? Jasne, niech dwie dziewczyny z prowincji robią z siebie idiotki przed całym studenckim miasteczkiem!
- Każdy sądzi po sobie — powiedziałam oszołomiona. — Nigdy nie pomyślałam, że Irga...
- Nie udawaj, on naprawdę się tobą poważnie interesuje! Może nawet jest zakochany.
- Choć rzeczywiście trudno w to uwierzyć — dodała Tiaka szyderczo. — Ale na to wygląda.
- Ja nie...
- Jeszcze nam za to zapłacisz — oświadczyła Uria.

Moje życie przekształciło się w niekończący się koszmar. Trawione złością i zawiścią rodaczki dokuczały mi jak tylko mogły. Każdego dnia szłam do biblioteki jak na ścięcie. Lirze i Ottonowi niczego nie mówiłam — było mi wstyd, że nie potrafię się przeciwstawić bezpodstawnej złości tych dwóch wredot. Lira całymi dniami przesiadywała w klinice — rozpoczęła praktyki, a Otto w kuźni zranił się w rękę i sam teraz cierpiał, toteż przyjaciele nie zauważyli, co się ze mną dzieje. Żywiłam się praktycznie tylko nalewką na uspokojenie i chodziłam jak we mgle. Staruszek bibliotekarz parokrotnie radził mi pójść do uzdrowicieli, jednak tylko odmownie kręciłam głową. Postępowałam, jak postępuje większość zastraszonych ofiar terroru — milczałam i bezwolnie poddawałam się torturom.

Pewnego razu zatrzymałam się w dziale manuskryptów, patrząc sennym wzrokiem na zachód słońca. Uria i Tiaka wyszły już dawno temu. W rozmyślaniach o swoim gorzkim losie przeszkodził mi zapach dymu. Dymu...? DYMU??? Wzdrygnęłam się. W sali manuskryptów coś się paliło.

- O, Niebiosa! — wyjęczałam, kaszląc. Muszę znaleźć źródło ognia!

Otworzyłam okno, łyknęłam świeżego powietrza i runęłam w dymną głębinę. Otóż i on — płomyk! Leniwie pożera stary pergamin zwoju z zakłęciami. Resztkami sił, dusząc się i kaszląc, wyszeptalam zakłęcie wyczytane całkiem niedawno w jednym z manuskryptów. Na ogień runął wodospad.

- Dosyć! — krzyknęłam i straciłam przytomność.

Ocknęłam się na trawie obok biblioteki. Stary bibliotekarz łamiącym się głosem obliczał straty.

Uria i Tiaka krzyczały do dziekana, wskazując na mnie:

- To wszystko ona! Ostatnio cały czas chodzi półprzytomna! Ona jest w ogóle nienormalna, znamy ją już ładnych parę lat! Trzeba ją ukarać!
- To nie ja! — chciałam krzyknąć, ale kaszel mi nie pozwolił.
- Ukarzemy z całą surowością. — Dziekan gestykulował z przejęciem.

Nikt na mnie nie patrzył. Podniosłam się na czworaki i płacząc się w długiej spódnicy, poczołgałam się jak najdalej od biblioteki. Moje życie było skończone. Uczepiwszy się jakiegoś słupka, podniosłam się z trudem i powlokłam po ulicy, myśląc o tym, że trzeba się gdzieś schować, dopóki władze uczelni nie zmiażdżyły mnie za stratę kosztownych dóbr. Najpierw zmiażdżą, potem dopiero będą się zastanawiać.

- Tam jest — rozległ się głos, leniwie przeciągający samogłoski.

—Jesteś pewien? — odpowiedział znajomy bas.

Patrzyłam przez okienko sutereny niewykończonego

domu, w którym postanowiłam spędzić ostatnie chwile swojego życia, na dwie pary nóg. Jedna z nich obuta była w eleganckie czarne trzewiki ze sznurówkami, druga — w ciężkie kamasze, w których Otto chodził i zimą, i latem.

—Ola, wylaż! — powiedział Irga niecierpliwie.

Starłam się nawet nie oddychać.

—Wylaż, wiem, że tam jesteś.

Jak tu trafili? Rzadko ktoś zaglądał w tę okolicę, sama natknęłam się na ten budynek przypadkowo. Jakoś tak wczesną wiosną wysadzili mnie tu z powozu, kiedy okazało się, że zapomniałam pieniędzy. W tej suterenie przeczekałam spóźnioną, prawdziwie zimową jeszcze zamieć. A potem, borykając się z problemem „co zrobić, żeby nie zachorować”, zapomniałam opowiedzieć o swojej przygodzie.

Może zatrzymywali się kolo każdej sutereny? — zabłysła nadzieja.

—Ola, złoto ty moje, nie bój się, wylaż — czule powiedział Otto. — A może ona śpi? Albo jest nieprzytomna?

—Zaraz sprawdzimy — westchnął Irga i opadł na kolana. Jego zaniepokojony wzrok napotkał mój wylękony i nagle poweselał.

—Chodź tu, skarbie! Prędko!

—Ola, złotko! — Półkrasolud zamiatał ziemię długą brodą. — Wylaż, wszystko już się skończyło, nikt nie będzie na ciebie krzychał. I nie wyleją cię z uniwerku.

—Po co mnie oszukujecie? — od długiego milczenia zachryłam, w gardle mnie drapało.

—Przecież ci mówiłem — spokojnie powiedział do Ottona Irga. — Musi pocierpieć. Ola, jeśli wyleziesz, za- krzyczą cię na śmierć, a potem powieszą przy wejściu na uniwersytet, ku przestrodze innym studentom. A jeśli nie wyleziesz, twoje życie będzie miłe i spokojne, Otto raz w tygodniu przyniesie ci jedzenie i picie, a potem zostaniesz świętą, jak pewien znany asceta. Będziesz prekur- sorką nowej mody — umartwiania się w suterenie, do tej pory tylko jaskinie cieszyły się popularnością.

Byłam zła, że Irga kpi sobie ze mnie, ale nie przeciwstawiłam się mu.

—Opowiecie, jak było?

—Najpierw wyleż.

—Nie mogę.

—Dawaj ręce, wyciągniemy cię.

Otto objął mnie, pocałował w policzek, łaskocząc węsami i westchnął przerywanie.

—Już myślałem, że cię stracił. Bardzo się martwiłem. Nie rób tego więcej!

—Opowiedzcie mi wszystko!

Usiedliśmy na ziemi, Otto wręczył mi butlę z mlekiem i kawałek chleba. Dopóki jadłam, trzymał mnie za spódnicę, w strachu, że znowu gdzieś ucieknę.

—A co tu opowiadać? — Irga, zgodnie ze swoim zwyczajem, rozciągnął się jak długi na trawie i włożył ręce pod głowę.

— Twoje miłe koleżaneczki wzniciły pożar w bibliotece. Dobrze chociaż, że starczyło im na tyle rozumu, że wybrały wybrakowany już zwój. I oskarżyły ciebie.

—Ale dlaczego?

—Odniosłaś większy sukces. Studiujesz na uniwersytecie, a one zostały w liceum jako laborantki. Masz swój interes. Masz przyjaciół. Masz adoratorów. Twoim opiekunem jest bardzo znany mag. I w końcu, masz swój styl.

—Mam adoratorów?

—Szkoda, Otto, że nie założyłem się z tobą o to, że uczepli się tej frazy. Jak nic wygrałbym co najmniej złociaka!

—Irga! Jakich ja niby mam adoratorów?

—Powiedz mi, dziecko drogie, czy ty w ogóle dostrzegasz, co się dookoła ciebie dzieje, czy tylko cierpisz, myśląc bez przerwy o tym, jaka to jesteś brzydka i nikomu niepotrzebna?

—Eee, no, to... Ottonowi, Lirze, tobie... o, a ty mnie do zombie porównałeś! A te dwie głupie myślały, że jesteś mną zainteresowany! I w ogóle! — wzięłam się pod boki. — To z twojego powodu pastwiły się nade mną!

—Ja bym na twoim miejscu to docenił — zauważył Otto, ale szybko umilkł pod moim wzrokiem.

Nekromanty to nie obeszło. Niecierpliwie zamachał nogą w powietrzu.

—Domniemywania nie są istotne. Należy być bardziej wnikliwym. Jak twój Bef, na przykład. Kiedy przybył na miejsce pożaru, ustalił prawdę w mgnieniu oka.

—Sprawdził magiczne ślady — wyjaśnił Otto. — Nikt, prócz niego, na to nie wpadł. Twoja wina była trochę zbyt oczywista. Wszystko pogorszyła twoja ucieczka. A dziewczyny posłużyły się magią, żeby napuścić dymu. Miały nadzieję, że a nuż tak mocno się nawdychasz, że się po prostu udusisz.

—A potem Bef posłużył się Zaklęciem Prawdy — dodał Irga. Skinęłam głową. Miałam naprawdę wspaniałego opiekuna, Zaklęcie Prawdy było bardzo skomplikowane i nie każdy mag potrafił je stosować. Pozwalało wyczytać z aury zwykłego człowieka, przy znacznym wyęczeniu sił magicznych, czy mówi prawdę, czy nie. Magów uczono, jak zasłaniać swoje aury.

—Bef wpadł w furję — kontynuował Otto. — Dziewczyny miały szczęście o tyle, że spłonęły tylko trzy zwoje...

—I jeszcze kilka zmieniło się w kaszę po twoim wodospadzie — uśmiechnął się Irga.

—Dlatego też Tiakę i Urię odesłali prosto do domu, a do liceum wysłali na nie skargę.

—Zostałaś zrehabilitowana! — podsumował Irga. — Pozostało cię odszukać. A to już był spory problem.

—Nie wysyłasz impulsów poszukiwawczych. Dlaczego? — spytał Otto.

Z artefaktów, które miałam na szyi, wybrałam gliniany dzbanuszek.

—Kiedyś zamierzałam uciec z domu daleko, gdzie mnie oczy poniosą. Tak po prostu, bo się na wszystkich obraziłam. I za wszystkie pieniądze, jakie wtedy miałam, kupiłam ten artefakt, odrzucający zaklęcia poszukiwawcze. Rzadki i bardzo drogi. Odtąd noszę go zawsze jako pamiątkę swojej głupoty oraz tak na wszelki wypadek. Jak mnie tu znaleźliście?

—To wszystko on — Otto wskazał nekromantę.

—Głupstwo — Irga machnął ręką.

—Jak? — spytałam go.

—Sekret firmy.

—Uduszę cię!

—O, dotknij mnie, moja piękności! Twoje delikatne ręce... — zaśpiewał Irga. — Przestań, żartowałem! Złaz ze mnie! Masz zimne łapska! Nie szarp mnie za szyję!

—Patrząc na was, to nic, tylko malować erotyczne obrazy — zauważył Otto złośliwie. — Poza „na jeźdźca”.

—Nie czerwień się tak — powiedział Irga. — Pomogła mi twoja apaszka, której nie chciało ci się prac. Oddałaś mi ją dobrowolnie, jako splotę.

—Przecież ją wyprałeś i oddałeś!

—Nie, Olu. Kupiłem taką samą. A tamtą zostawiłem sobie.

—Fetyszysta! — oburzyłam się.

—Możliwe. — Nekromanta wcale się nie zmieszał. — Jesteśmy nekromantami, to takie tajemnicze. To podnieca kobiety.

—Mnie nie!

—No i dobrze. A więc, twój zapach pomnożony przez moje magiczne umiejętności, i już siedzimy sobie w tym przepięknym miejscu. Oklaski!



—A jacy jesteśmy skromni — zachwyciłam się ironicznie.

—Najważniejszy jest rezultat — odrzekł Otto. — Nie chcieliśmy, żebyś tu umarła z głodu. Chodźmy do domu, musisz jeszcze napisać sprawozdanie z praktyk.

Całą drogę Otto przekazywał mi różne najnowsze ploteczki, a Irga milczał. Pożegnaliśmy się przy akademiku. Nekromanta wziął mnie za rękę i powiedział:

—Dobra rada: patrz częściej na to, co się dzieje wokół. Uważnie. To bywa pożyteczne. I przestań w końcu karmić, tulić i pieścić swoje kompleksy.

# Rok Trzeci

## Czapka

Kaaaaliinka, kaalinkaa maajaa!!

Ech, hulaj dusza, piekła nie ma! I dobrze, i tak ma być! Imprezka z okazji zakończenia zimowej sesji była bardzo udana. Właśnie darłam się radośnie na całe gardło, robiąc konkurencję wszystkim kotom w okolicy. Prawdą jest, że musiałam imprezę opuścić nieco wcześniej — Otto wymógł na mnie solenną obietnicę, że nie będę więcej śpiewać w towarzystwie. Mój talent wokalny wywoływał nerwowy tik u każdego, kto posiadał choćby minimalny słuch muzyczny. A teraz udawałam się do akademika bocznymi drogami, tak, aby nikt nie przeszkadzał mi w realizacji dzikiej chęci pośpiewania.

— Do dooomuu wróciimy...! — Poprawiłam zjeżdżającą mi na nos czapkę.

Było to arcydzieło sztuki własnej — w kolorze kanarkowym, z ogromnym, wściekle malinowym pomponem i zielonym wiązaniem — podarowała mi ją jedna z młodszych sióstr. Czapka była nieco krzywa — z prawej strony dość długa, z lewej zaś — krótka. Siostra jednak podarowała mi ją z serca, naprawdę chciała sprawić mi radość.

Nosiłam więc czapkę jako wyraz zemsty na wszystkich estetach, od czasu do czasu strasząc się własnym widokiem w sklepowych witrynach.

— Jeślibym wiedziała, że tak ciężko stuudentką być! Rooodzinę założyyyylabym! — nie do rymu, za to z całej duszy.

— Ejrinn!

W końcu pojęłam, że ktoś mnie woła, i to po raz kolejny.

Odwrociłam się i autorytatywnym tonem oznajmiłam końskiej mordzie, która pojawiła się za moimi plecami:

— „Ejrinn” to uprzejmy elficki zwrot, skierowany do młodej dziewczyny.

— I dlatego właśnie wołam do pani „ejrinn” — rozległo się z góry.

— O, elf! — ucieszyłam się.

Przede mną na koniu dumnie siedział elf — miał długi, cienki nos, wielkie migdałowe oczy i złote, opadające jedwabistą falą włosy. Koniuszki jego spiczastych uszu poczerwieniały od mrozu.

— Muszę z panią pomówić. W ważnej sprawie — oznajmił elf śpiewnie.

Potrząsnęłam głową, próbując pozbyć się pijackiego dzwonięcia w uszach.

— Ola, tu jesteś! Szedłem za głosem, a ty zamilkłaś, już się przestraszyłem, gdzie cię poniosło. — Otto ostrożnie obszedł konia i spojrzał na mnie pytająco.

— Rozmawiam z elfem.

— Właśnie — zimno wycedził ostrouchy. — Mamy prywatną rozmowę o interesach.

— Rozmowę o interesach może pan przeprowadzać tylko w mojej obecności — odciął się półkrasnolud. — Zarządzam jej sprawami finansowymi.

— Chłopca ludzkiego mogę mieć niejednego, ale kocham elfickiego, tralala! — naszła mnie nowa piosenka.

Otto spojrzał litościwie na elfie uszy, zwinięte pod wpływem moich pieni.

— Podejdźmy do kafejki za rogiem — zaproponował, starając się powstrzymać mnie od całowania końskiej mordy. Zawsze kochałam konie.

Gdy usiedliśmy w ciepłym, przyjemnie pachnącym wnętrzu kawiarni, wypity alkohol do reszty uderzył mi do głowy.

— Mówiłam już panu — ufnie spytałam ostrouche- go — że moją pierwszą miłością był elf?

Zaprzeczył, kręcąc głową, jednocześnie grzejąc ręce na filiżance z herbatą.

— Okazał się rzadkim draniem i mnie odtrącił.

— Jak ja go dobrze rozumiem — wymruczał elf.

— Co? — groźnie spytał Otto.

— Nic, nic — szybko poprawił się elf. — Przejdźmy do rzeczy. Jestem Migripael z Kwiatu Artemieli.

—Otto, Ola — przedstawił nas krótko półkrasnolud, podsuwając mi filiżankę z krzepiącym napojem. — O co więc chodzi?

—Chciałbym kupić czapkę Oli.

—Po co?! — Otto osłupiał. Zarówno jemu, jak i każdemu innemu, kto widział tę czapkę na oczy, nigdy nie przyszłoby do głowy myśl, że ktokolwiek chciałby takiego koszmarka kupić.

Wytrzeszczyłam oczy na elfa, ale potem wysunęłam przypuszczenie:

—Otto, on jest po prostu pijany.

—Nie piję alkoholu! — oburzył się Migripael.

—W takim razie to wariat — zdecydowałam. Z wariatami radziłam sobie bardzo dobrze, nawet przyjemnie, jak mówią, swój swego zawsze znajdzie. — Przecież elfy są koneserami piękna i finezji!

—Jestem tego w pełni świadom — odpowiedział grzecznie ten dziwny nabywca. — Zapewniam panią, że jestem w pełni normalnym, pełnoletnim elfem. I cenię sobie piękno i finezję.

—Proszę chwileczkę poczekać — poprosiłam, gdyż mój mózg po prostu kipiał.

Musiłam pójść do łazienki i wpakować głowę pod kran z zimną wodą, po czym wróciła mi zdolność spójnego myślenia.

—Jeszcze raz od początku — zażądałam po powrocie.

Migripael wznosił oczy do sufitu, ale cierpliwie objaśnił:

—Jechałem w swoich sprawach. Usłyszałem jakieś niepojęte dźwięki. Zdecydowałem się sprawdzić, co to takiego. Zobaczyłem czapkę na pani głowie. Spodobała mi się. Zdecydowałem, że chcę ją kupić. Przyszedłem do kawiarni. Prowadzę z panią negocjacje. Czy wszystko jasne?

—Nie musi pan rozmawiać ze mną jak z idiotką — warknęłam. — Już wytrzeźwiałam i wszystko rozumiem.

—Ile pan proponuje? — do targów wtrącił się Otto, co znaczyło, że mogę się rozluźnić.

Ostatecznie stanęło na pięciu złotych — sumie niezwykle znaczącej.

—Proszę nie zapominać, że to model ekskluzywny, czegoś podobnego nigdzie pan nie znajdzie — mruczał Otto, przeliczając pieniądze.

—Właśnie dlatego ją kupuję. — Elf delikatnie ułożył czapkę w swojej torbie.

—Dlaczego? — zapytałam. — Proszę mi powiedzieć, czemu pan to zrobił? Po co panu ta czapka?

—Jestem kolekcjonerem. Zbieram wszystkie dziwne i koszmarnie rzeczy. Pani zdolności wokalne również umieściłbym chętnie w swojej kolekcji. Miło było prowadzić z państwem interesy.

Oddalił się z nieprzeniknionym, uprzejmym wyrazem twarzy.

Zamknęłam usta z głośnym klapnięciem.

—Wiesz co? — Otto w zamyśleniu obracał w rękach pusty kufel. — Może by poprosić twoją siostrę, żeby zrobiła jeszcze coś podobnego do tej czapki? Dobra, jak by nie było, trzeba uczcić ten udany interes. Tylko błagam cię, nie śpiewaj, bo będziesz musiała oddać mi swoją dołą jako rekompensatę za wokalne męki!

Zakrztusiłam się wyrywającą się na zewnątrz zwrotką nowej piosenki.

# 10

## Trochę romantyzmu

Otto wpadł do mojego pokoju, wnosząc ze sobą mroźne powietrze i grudki śniegu, spadające na moją podłogę.

— Zapomniałaś! — krzyknął z naganą w głosie. — Ubieraj się! Szybko, idziemy, wszyscy już na nas czekają.

— Nie idę.

Półkrasnodł usiadł na brzegu łóżka i zauważył moje łzy.

— Hej, co się stało, złotko? Ktoś cię obraził?

— Nie!

— Na pewno?

— Tak.

— Hm... — Mój najlepszy przyjaciel zastanowił się. — Wyglądasz normalnie. Ale coś jest nie tak.

Nagle żwawo podskoczył, poszperał pod kołdrą i ze zwycięskim okrzykiem wyciągnął spod niej książkę.

— A ja tak się zastanawiam, na czym siedzę. Elfickie romansidło? — spojrział na mnie z przerażeniem. — I ty TO czytasz?

— A czytam i nigdzie nie pójdę, dopóki nie dowiem się, jak się kończy.

— Cooo?

— Jestem właśnie na tym, że wydają ją za męża za tego, którego nie kocha, i ona tak cierpi, tak cierpi!

Otto szybko przebiegł wzrokiem po stronie.

— „Z przepięknych oczu ciekły łzy. 'Ukochany mój!' — krzyknęła Latilel, przytulając się do jego męskiej piersi"... To niby elf ma męską pierś? — Półkrasnodł przerzucił jeszcze kilka

stron. — „Ach!” — ujrzawszy jego męski oręż, biedaczka straciła przytomność”. Nie miałem pojęcia, że elfy mają te rzeczy takie przerażające.

— To niewinna dziewczyna — spróbowałam usprawiedliwić bohaterkę. — No i zemdlała ze... ze... ze zdziwienia!

— Aha! To elfy mają je w dodatku zadziwiające! Teraz rozumiem, dlaczego rozmnażają się z takim trudem!

— Oddawaj książkę! — wrzasnęłam.

— Już, już. A tu masz koniec: „Moja drogocenna żono — wyszeptał Usmirjel, przyciskając ją do siebie. — Mój jedyny! — była w pełni szczęśliwa”. Wszystko, serca się połączyły, chodźmy już.

— Na początku książki ona go nie kochała — oburzyłam się. — Chcę przeczytać, co zrobili z jej poprzednim ukochanym.

— Zjedli! — wyszczerzył się półkrasnowłód. — Co ty wiesz o tajnych zwyczajach i ciemnych stronach elfiej duszy? — i rzucił we mnie futrem.

W czasie, gdy bieглиśmy po ubitym śniegu do budynku krasnowłódzkiego akademika, mój najlepszy przyjaciel próbował wypytać się, po co czytam te romansidła.

— W moim życiu jest za mało romantyzmu — broniłam się. — Namiętej miłości, gorących uczuć...

— Uczuć? To znajdź sobie kogoś!

— Otto, jesteś kołek. W zwykłym życiu wszystko jest takie proste i nieciekawe. A tam — pojedynki, naręcza kwiatów, bale...

Weszliśmy do pokoju Ottona, kłócąc się zajadle.

— Nie potrzebuję dziewczyny, która mdleje na widok moich klejnotów! — krzyczał Otto, nie zauważając opadających szczęk siedzącego w pokoju towarzystwa.

— Hm... a co, był precedens? — zapytał Trochim, nasz kumpel z roku.

Otto zaczerwienił się i zwałił wszystko na mnie.

— Ola zafascynowała się romansidłami. Za mało jej w życiu romantyzmu.

— Polejcie już! — machnęłam na nich ręką.

®

Półkrasnowłód nie pozwalał mi ponapawać się romantyzmem w spokoju i z tego powodu chowałam się przed nim w mojej ulubionej knajpie „Pij Więcej!”, zatopiona w nowej powieści miłosnej.

— Znowu! — rozległ się jęk nad moim uchem, wrywając mnie z marzeń o dzielnym kochanku, gotowym dla mnie na wszystko.

—Otto — wczepiłam w książkę obie ręce. —Jeśli świat nie może zapewnić mi odpowiedniej dawki romantyki, jestem zmuszona zapewnić ją sobie sama. Nie przeszkadzaj!

—Ach tak?! — oburzył się. — Nawet się nie zainteresowałaś, co u mnie! Żeby najlepszego przyjaciela zamienić na durną książeczkę!

Nic nie odpowiedziałam. W tej właśnie chwili główny bohater wyznawał miłość swojej wybrance i było to po stokroć ważniejsze niż Otto.

@

Minęło kilka dni. Cały ten czas przesiadywałam w knajpce, nie odrywając się na zajęcia czy inne sprawy, i pochłaniałam powieści całymi tonami.

—Panienko! — ktoś usiadł przy moim stoliku.

—Zajęte!

—Proszę wybaczyć, panienko, ale tak mi się pani spodobała, że nie mogę odmówić sobie przyjemności, by tu nie siedzieć.

—Co takiego? — podniosłam głowę.

—Cóż za czarujący profil! Taki cudny nosek! Delikatne rączki! A blask pani oczu może zaćmić światło dnia! — Gdy nieproszony sąsiad nabierał tchu po długiej tyradzie, ukradkiem spojrzałam w wyjęte z torebki lustro — żeby sprawdzić blask moich oczu. O ile pamiętałam z semestru medycyny ogólnej, jaskrawe światło z oczu świadczyło albo o pogryzieniu przez wilkołaka, albo o tym, że jest się ofiarą kłatwy.

Uspokojona, że wyglądam całkiem normalnie, zwróciłam uwagę na nieoczekiwanego adoratora. Młody człowiek z cienkim prążkiem wąsików, długimi kruczoczarnymi włosami związanymi w ogon i w pąsowej jedwabnej koszuli. Zauważyłam, że ma cienkie, zgrabne palce ze starannym manicurem.

—Don Alberto — przedstawił się.

—Olgierda Lacha.

—Pozwoli pani, że ucałuję jej rączkę?

—Nie. — Schowałam pod stołem dłoń z dużo gorszym manicurem niż u Alberto.

—Jest pani piękna — powiedział niskim głosem don Alberto.

Rozejrzałam się po sali.

—Czy pan mnie z kimś nie myli?

—Skądże — obraził się adorator. — Widzę, kto siedzi przede mną — czarowna wróżka!

Raczej trudno byłoby nazwać mnie czarownicą wróżką — figura daleka od ideału, włosy niedbale związane w węzeł, a luźna, ciepła koszula i zimowa gruba spódnica czyniły ze mnie nieforemną babę — ale komplement mi się spodobał.

—Czy można odprowadzić panią do domu? Jest już późno.

Zgodziłam się, zrozumiawszy, że nie pozbędę się don Alberta tak łatwo.

Amant podniósł się zza stołu, ukazując umięśnione nogi w obcisłych spodniach z czarnej skóry.

„Że też nie jest mu zimno!” — zdziwiłam się.

Podał mi futro, sam zaś włożył szeroki czarny płaszcz i otworzył przede mną drzwi.

Szliśmy powoli po ubitym śniegu, don Alberto trzymał mnie pod łokieć, a ja myślałam:

„To sen. To nie może być prawda”. Natychmiast musiałam wyjaśnić zaistniałą sytuację.

—Don Alberto! Dlaczego się pan do mnie przyczepił?

—Przyczepił? — Don Alberto przycisnął dłoń do piersi. — A czy to przestępstwo, że spodobała mi się dziewczyna?

—Nie, ale...

—Żadnych ale! — przerwał mi łagodnie. — Obserwuję panią już nie pierwszy dzień i bardzo mi się pani spodobała. I to wszystko. Jeśli pani nie odpowiadam, rozstaniemy się tu i teraz.

—Wszystko w porządku — wzruszyłam ramionami. Czyja byłam kiedyś przeciwna posiadaniu adoratora?

Pożegnaliśmy się ceremonialnie przy wejściu, chociaż, co tu kryć, miałam nadzieję na pocałunek.

Rano obudził mnie wrzask Liry, mojej współlokatorki.

—Jakie piękne! Ola, Ola, wstawaj, szybko!

—Co? — odburknęłam.

—Kwiaty! Dopiero co przynieśli. Dla ciebie. Od don Alberta. Wyobrażasz sobie? Zimą! Ogromniasty bukiet! Masz pojęcie, ile to kosztuje?

Rozmiar bukietu mile pojechał moje ego. W związku z tym udałam się do kuchni po wodę z największym dzbanem, jaki tylko mogłyśmy znaleźć w pokoju. Defilując po korytarzu w żółtym tempie, starałam się powiadomić każdą mijaną osobę, że „właśnie przysłano mi bukiet, idę po wodę. Chociaż myślę, że do tego dzbana się nie zmieści”.

Następnego wieczora don Alberto zaprosił mnie do teatru. W czasie przedstawienia gładził moją dłoń. Cała w skowronkach żywiłam nadzieję na pocałunek, ale wcale nie w rękę.

Po dwóch dniach cnotliwych spacerów po zaśnieżonym parku don Alberto zainteresował się:

—Czy mogę panią pocałować?

Słumiłam w sobie chęć, by powiedzieć „najwyższa pora” i spokojnie odpowiedziałam:

— Oczywiście.

— Obawiałem się, że panią speszę, że może wydać się to pani nieprzyzwoite...

— To zależy, gdzie zamierza mnie pan całować — odparłam kokietyrnie.

— W usta — wyszeptał don Alberto. — Pani jest taka niewinna, delikatna. Proszę, jeżeli ugną się pod panią kolana lub zacznie pani mdleć, niech się pani o mnie oprze, proszę się nie krępować.

— Od pocałunku ugną się pode mną kolana tylko wówczas, jeśli odetnie mi pan dopływ powietrza — powiedziałam podejrzliwie. — A poza tym, wcale nie jestem taka niewinna. Mamy w programie medycynę ogólną. Ogólne zarysy są mi nawet dobrze znane.

— No i jak było? — Lira żądała wieczornego raportu.

— Nic szczególnego. Zwykły pocałunek. Ciekawe na jakiej podstawie twierdził, że będą się pode mną uginać kolana?

— Może tak powinny zachowywać się wszystkie porządne dziewczyny? — zamyśliła się Lira.

— Mama nic na ten temat nie wspominała, a ona to już na pewno starała się wychować mnie na porządną pod każdym względem.

Zbierałam się do snu, a Lira oddawała się intensywnym przemyśleniom. Zdążyłam już ogrzać się pod kołdrą, gdy oznajmiła:

— Słuchaj tego: „Namiętnie pocałował Lalilel. Jego język wszedł do jej ust, rozchylając pełne wargi. Dziewczyna poczuła, jak uginają się pod nią kolana, i musiała chwycić się za wyłóg jego kaftana”.

— Brzmi znajomo — mruknęłam.

— No tak, to jest powieść, którą czytałaś trzy tygodnie temu. Kartkuję sobie w wolnej chwili.

— Aha, pamiętam. We wszystkich tych romansidłach podczas pocałunku pod dziewczynami uginają się kolana. Myślałam sobie o nich: co za kretynki!

— To znaczy, że na świecie istnieją również kretyni, którzy myślą, że tak powinno być — podsumowała przyjaciółka.

Zасыpiając, myślałam: trzy tygodnie temu! To wtedy Otto ciągnął mnie na popijawę. A potem pozarliśmy się w knajpie. Jakże dawno nie widziałam swojego przyjaciela. On na pewno dąsa się na mnie przez te głupie romansidła!

Następnego dnia don Alberto oznajmił:



—Jako porządny człowiek powinienem poznać pani rodziców.

—Po co? Zamierza pan się ze mną ożenić?

—Póki co, nie, ale myślę, że powinienem otrzymać od pani ojca błogosławieństwo i pozwolenie na dalsze konkury.

—Moi rodzice mieszkają daleko stąd — próbowałam się wykręcić.

—To nic, pojedziemy razem.

Wyobraziłam to sobie: mama i tata siedzą pod rączką za stołem, cztery młodsze siostry ze złośliwym wyrazem twarzyczek, babcie, które pospiesznie przyjechały na rodzinną naradę, przez okna zaglądają sąsiedzi. Po tym wszystkim naprawdę będę musiała za niego wyjść, cokolwiek bym na ten temat nie sądziła. Koszmar!

—Nie — powiedziałałam zdecydowanie. — Jest jeszcze stanowczo za wcześnie na poznawanie moich rodziców!

—Nalegam!

—Don Alberto! Jestem dorosła i mogę sama decydować o sobie i robić to, co uważam za stosowne bez zgody moich rodziców! A już na pewno mogę całować się z tobą pod drzwiami mojego akademika.

—Olgierdo! Bardzo mi się podoba pani niepokorny charakter, mimo to jednak nalegam! Inaczej będę zmuszony zrobić to bez pani udziału!

—Co??? Nie śmiej pokazywać się u moich rodziców albo pożałujesz! Słowo maga! — rozsierdziłam się.

Don Alberto ze smutkiem pocałował moją rękę i poszedł. Popatrzyłam za nim i zrozumiałam, że potrzebuję ratunku, i to jak najszybciej.

Swojego najlepszego przyjaciela znalazłam w krasno- ludzkiej knajpce.

—Otto, potrzebuję twojej pomocy.

—Co, skończyły ci się romansidła? — spytał drwiąco. — Mam ci pomóc kupić nowe?

—Nie — zmieszałam się. — Potrzebuję twojej pomocy w sprawach osobistych.

—No coś takiego! Jeśli dobrze pamiętam, wcale nie tak dawno temu wolałaś spędzać czas z jakimiś głupimi księżczynami.

—A ty przeszkadzałeś mi w czytaniu!

—To idź i poproś o pomoc swoje książki!

—Myślisz, że nie poradzę sobie bez ciebie? Też mi pępek świata!

—To się odwal i nie przeszkadzaj mi w moich zajęciach!

—Też mi zajęcie, siedzieć i chlać piwsko.

—Przynajmniej nie zawracam sobie głowy dyrdymałami zamiast cieszyć się życiem.

—To, co robię, dotyczy tylko i wyłącznie mnie — starałam się odpowiedzieć hardo, chociaż najbardziej chciałam wtulić się w miękką brodę Ottona i się pogodzić. — I się nie wtrącaj!

—Bardzo chętnie! — Otto odwrócił się.

Wyleciałam z knajpy, prawie zbijając z nóg dwóch krasnoludów. Na duszy było mi pusto i zimno.

—Widziałam tego twojego dona — „ucieszyła” mnie poranną nowinką Lira. — Pytał, jak dostać się do ciebie do domu i czy mogę posłać do twoich rodziców magicznego gołębia z wiadomością o jego przyjeździe.

—I co mu odpowiedziałaś? — spytałam zdrewniałymi ustami.

—Ze mogę, oczywiście. Ej, nie mdlej tylko! Obiecałam mu, że nakłonię cię do wyjazdu z nim, kiedy się ociepli, więc i z listem się wstrzymał.

Z ulgi aż się popłakałam.

Następnego dnia złapałam na ulicy Trochima i poprosiłam go o pomoc w uwolnieniu się od natrętnego adoratora. Uśmiechnął się i obiecał mi pomoc. Właśnie uzgadnialiśmy plan działania, gdy na horyzoncie pojawił się don Alberto.

—Wyzywam pana na pojedynek! — wykrzyknął i rzucił się w stronę Trochima.

—Z jakiego powodu? — przeraził się tamten.

—Pan śmiał dotykać mojej damy! Zszargał pan jej dobre imię i obraził mnie!

Trochim pośpiesznie cofnął rękę z mojej talii i zwrócił się do mnie:

—A ten co, psychoł?

—Na to wygląda. Don Alberto, Trochim to mój przyjaciel, prawie jak brat! Nie trzeba rozlewu krwi! Proszę cię! Pojadę z tobą do moich rodziców!

Don Alberto nieco się uspokoił.

—Wybacz! — Błagalnie dotknęłam rękawa jego płaszcza. — Musimy odejść na minutkę.

—Sam widzisz — szeptałam do Trochima. — On jest nienormalny! Pomóż mi się go pozbyć jak najprędzej!

—A dlaczego nie chcesz poprosić o pomoc Ottona? — zapytał mój kolega z roku. — On budzi większy szacunek.

—Pokłóciliśmy się — westchnęłam. — Wina jest po jego stronie i nie zamierzam iść godzić się jako pierwsza!

—No cóż... — Trochim pokręcił głową. — Dobrze więc, zobaczę, co da się zrobić.

Don Alberto odprowadził mnie do domu, mówiąc po drodze, że gotów jest zabić każdego, kto ośmieli się mnie dotknąć.

Spałam kiepsko. Śniło mi się, że siedzę w złotej klatce w pięknej długiej sukni i przeżywam orgazm według wszystkich romansowych reguł — z jękami, dreszczami,

łamaniem w kościach i omdleniami. Figurę mam upasioną na czekoladowych torcikach i cukiereczkach — damskim pożywieniu, oczy mam czerwone od ciągłych łez — nerwy delikatne — a ręce podnoszę z trudem, tyle jest na nich ozdób.

Nie, tak nie można żyć! Uciekając przed dokuczliwymi zalotami don Alberta, zagłębiłam się w nauce. I chociaż czasami don majaczył pod oknami ku uciesze moich kolegów z roku, mroź szybko zapędzał go z powrotem pod dach. Z zajęć lub biblioteki wracałam dopiero wtedy, gdy upewniłam się, że amanta nie ma w pobliżu.

—Czego ty chcesz? — dziwiła się Lira. — Taki mężczyzna w naszych czasach to gatunek właściwie już wymarły.

—To go sobie weź — zaproponowałam jej. — Niech jedzie do twoich rodziców, całuje cię w rękę i czeka, aż upadniesz po jego pocałunku. Niech wyzywa na pojedynki twoich kolegów z roku. Aha, i pamiętaj, że większość tematów uznaje za nie pasujące do kobiecych główek. Dlatego też nie ma z nim o czym rozmawiać. Będziesz milczeć lub rozprawiać o nowym rodzaju cukierków. Albo o modzie. Na nic więcej ci nie pozwoli.

—Eee... — Lirę zatkało.

—Właśnie tak. Może byłby świetnym bohaterem powieści, ale nie realnym mężczyzną. W każdym razie nie dla mnie.

W nocy obudziła nas głośna muzyka.

—U którego idiota jest impreza? — wyjęczałam, starając się schować głowę pod poduszkę.

—U nas — odpowiedziała Lira drżącym głosem.

—Co? — W samej tylko koszuli nocnej podbiegłam do okna. Koleżanka pokazała mi malowniczą grupę muzykantów, którymi dyrygował don Alberto. Ujrawszy nasze postacie w oknie, don Alberto zaczął śpiewać przez nos.

„Aha, przeziębził się jednak w tym swoim bajeranckim ubranku” — ucieszyłam się.

Na pierwszym piętrze otworzyło się okno i ktoś miotnął w muzyków ogniem. Ludzie sztuki, zachowując uroczysty wyraz twarzy jak na oficjalnej ceremonii czy pogrzebie, zrobili zwinny unik, nie przestając grać. Za pierwszą kulą ognia poleciała następna.

—Mają niezłe doświadczenie! — skomentowała Lira z szacunkiem. — Takich zwodów nie da rady robić niejeden mag bojowy.

—Do kogo ci durnie przyszli?! — wyjęczeli sąsiedzi z prawej, także zdecydowawszy się otworzyć okno w tę mroźną noc i posyłając w stronę muzyków kolejny ognisty pocisk. — I to jeszcze z artefaktami — przebijają zagłuszającą tarczę!

Miałam jeszcze nadzieję, że nikt nie dowie się o moim udziale w całym tym zamieszaniu.

—O, Olgierdo, moja gwiazdo!! — zawył mój adorator z natchnieniem. — Kocham tylko ciebie!! O—o—o, Olgierdo!!!

Ktoś zaczął walić zażarcie do naszych drzwi. Podczas gdy ja aktywowałam zaklęcia ochronne, Lira przy pomocy magii przestawiała szafy.

—Wynocha!! — krzyczałam z okna do don Alberta w skrajnej desperacji, wiedząc, że drzwi długo nie wytrzymają, a wtedy nie minie mnie lincz urządzony przez wdzięcznych słuchaczy nocnego koncertu. — Proszę cię! Odejdź! Inaczej zostaną ze mnie tylko kosteczki!

—Obawiam się, że nie zostaną nawet kosteczki — z żalem oznajmiła Lira, obserwując próby wtargnięcia do naszego pokoju.

Na szczęście don Alberto wysłuchał moich błagań i wyniósł się. Ci za drzwiami jeszcze trochę pokrzyczeli i także poszli.

Resztę nocy spędziłam, pracując nad ogromnym ogłoszeniem, które wywiesiłam na drzwiach akademika. Na zajęcia wymknęłam się wcześniej rano, dopóki wszyscy jeszcze spali, bojąc się pokazywać sąsiadom na oczy.

Dzień minął bez szczególnych problemów — obietnica postawienia paru drinków wszystkim, którzy się nie wyspali, zadziałała.

Wyłowiwszy wieczorem w mieście don Alberta, ubłagałam go, by nie robił już więcej takich efekciarskich przedstawień. Pokrył moje ręce pocałunkami, kajał się i padał na kolana. Wokół nas zebrała się grupka gapiów liczących na darmowe przedstawienie. Poczułam się jak zaszczute zwierzę.

—O, don Alberto! Zobacz, jaki kapelusik! Też bym taki chciała! — Kiedy się odwrócił, miotnęłam w niego paralizującym zaklęciem i zaczęłam uciekać — miałam pięć minut forów.

Tłumek radośnie zawył.

Wkrótce przestałam biec — było to dość trudne w długiej spódnicy i futrze. Po prostu szybko szłam, zadzierając spódnicę do góry.

—Olgierdo! — usłyszałam obok siebie.

Bardzo poniewczasie przypomniało mi się, że don Alberto uważał, że panienki, które coś przeszkobały, należy karać mocnymi klapsami w pewną miękką część ciała. Był głęboko przekonany, że klapsy powinny mnie niebywale podniecać.

Co mam robić? Co robić?

—Pa, pa, mój drogi! — Za rogiem rozległ się smaczny dźwięk pocałunku.

—Żegnaj — znajomy do bólu głos.

—Irga! — Rzuciłam się w stronę znajomego nekromanty. — Ratuj mnie!

Stojące w drzwiach babsko o gigantycznych gabarytach rozmyśliło się w kwestii wyjścia i stało, wzięwszy się pod boki i mierząc mnie groźnym spojrzeniem.

—To twoja kochanka? — spytałam szeptem Irgi.

— Tak — twardo oznajmił babon. — I będę walczyć o swoje szczęście.  
Poczułam się zagnana do narożnika.  
Irga skrzywił się i wziął mnie za rękę.  
— Nie chcę — szeptałam rozpaczliwie. — Lubię swoją twarz i nie chcę, żeby defasonowały mi ją jakieś grube baby!  
— Uspokój się — powiedział Irga chłodno. — Co się stało?  
— Tam poszli! — zabrzmiał głos grubaski.  
— Dziękuję pani! — kroki don Alberta zbliżały się nieuchronnie jak sesja.  
Spróbowałam zlać się ze ścianą, ale zakłęcie nie wyszło, jak zwykle zresztą.  
— Schowaj mnie!!! — zawylałam.  
Irga machnął ręką i moja postać pogrążyła się w mroku.  
— Gdzie jest Olgierda?  
— Nie mam pojęcia — powiedział spokojnie Irga.  
— Według moich danych poszła z panem.  
— A według moich — nie.  
— Mieszaj się pan w nie swoje sprawy! Będę zmuszony wyzwąć pana na pojedynek!  
O Niebiosa! Żeby się tylko nie pozabijali! Nie miałam pojęcia, nad kim powinnam szlochać po tak wielkiej stracie, a już na pewno nie miałam ochoty umazać sobie spódnicy krwią.  
— Nie będę z panem walczył — wycedził Irga. — Zdaje mi się, że nie ma pan pojęcia, z kim pan zaczyna. Jestem nekromantą. Noc prawie nadeszła, proszę więc ocenić swoje szanse. Czy naprawdę chce pan pożegnać się z życiem, a co gorsza — z duszą, dla tej smarkuli?  
— Olgierda warta jest tego, by za nią umrzeć! — wykrzyknął don Alberto patetycznie.  
— To niepozorne stworzenie? Dobrze, jestem gotów.  
Niepozorne stworzenie? No, Irga, jeśli pozostaniesz przy życiu, zabiję cię własnymi rękami!  
— Ee, no dobrze. — Don Alberto szybciotko przemyślał sprawę. — Jeśli ją pan zobaczy, to proszę przekazać, że jej szukałem.  
Po paru minutach mrok opadł.  
— Poszedł — oznajmił Irga. — A teraz chciałbym usłyszeć, co się tu dzieje.  
— Niepozorne stworzenie! Ach, ty draniu! Ja jestem niepozornym stworzeniem? — wyszczałam, ruszając w stronę nekromanty. W tym momencie było mi wszystko jedno, kim jest i o ile jest ode mnie silniejszy. Uraził coś najcenniejszego — kobietą dumę.  
— Hej, hej, ostrożnie na zakrętach! — Irga cofnął się, a w jego oczach pojawił się zielony ognik. Znaczyło to, że przygotowywał się do obrony.  
— Ja ci pokażę niepozorne stworzenie! Pokażę ci, czy nie warto za mnie walczyć!

—Słuchaj! — Irga oparł się plecami o ścianę domu i już nie miał jak uciekać. — Jeśli jesteś w takim nastroju, to może zawołamy twojego wielbiiciela?

—Wielbiiciela! To jakiś straszny psychol! A ty! — rzuciłam w Irgę kulą ognia. Ech, z celowaniem zawsze miałam problemy. — Oczywiście, że jestem niepozorna! Przy takim babsztylu, tej twojej kochanicy! Musiałabym jeszcze ze sto kilo przytyć, żeby być wyraźna, tak?

Irga wykonał gwałtowny rzut. Upadłam plecami na śnieg, on zaś usiadł na mnie i przyciskał moje ręce do śniegu.

—Sceny zazdrości będziesz urządzać później! — wrzasnął. — Co to za facet i dlaczego się przed nim chowasz?

—Co cię to obchodzi! Dalej, leć się całować z tym swoim kaszalotem!

—Ola, nie jest ci zimno, jak tak leżysz?

Proszę, proszę, cóż za troska!

—Zobaczysz, zachoruję i umrę! I będziesz mógł się cieszyć. Razem ze swoim tłustym babskiem!

—Przywrócę cię do życia — obiecał ponuro Irga.

—Niby po co?

—Żeby... — Irga nachylił się i pocałował mnie w nos. Wargi miał ciepłe i delikatne, a ta niespodziewana pieszczota sprawiła, że cała para uszła ze mnie w jednej sekundzie. Leżałam, wstrzymując oddech.

—A cóż to, łóżko już wam nie wystarcza? — rozległ się głos mojego byłego najlepszego przyjaciela.

Ten to potrafi wybrać moment!

—Otto — Irga pomógł mi wstać. — Co się tu dzieje?

—Też chciałbym wiedzieć. O tym, że Ola położyła tego swojego kawalera i związała, plotkuje już pół miasta!

—Nie związała daleko, zawsze miała problemy ze sprawnością fizyczną. Ukryłem ją. Otto, nie wydaje ci się, że czas wkroczyć?

—On ze mną nie rozmawia — wtrąciłam, unikając ich wzroku.

—A to dlaczego?

—Bo... Bo jestem głupia — chlipnęłam. — Obraziłam Ottona, a teraz tak mi go brakuje!

Łzy pociekły mi po twarzy dwiema strużkami.

—Uspokój się, złotko. — Otto pogłaskał mnie po plecach. —Ja też trochę przesadziłem. To jak, zgoda?

—Zgoda. — Poczulałam ogromną ulgę. Nie zdawałam sobie sprawy, jaki ciężar na sercu nosiłam do tej pory!

—Chodźcie, ogrzejemy się i pogadamy. — Irga przerwał tę wzruszającą scenę. W najbliższej knajpce zajęliśmy stolik tuż przy samych drzwiach. I gdy ja kołłam zszarpane nerwy grzanyim winem, Irga pokrótce streścił Ottonowi ostatnie wydarzenia.

—Taa... — Krasnolud w zamyśleniu targał brodę. — Nie miałem pojęcia, że to zajdzie aż tak daleko.

Wyteżyłam uwagę.

—Co masz na myśli?

—Noo... — Otto spiekł raka. — To ja wynająłem tego don Alberta.

—Wynająłeś? — Szczęka mi opadła.

—Wynająłem. — Otto prawie wyrwał sobie brodę, co było oznaką silnego zdenerwowania.

—Skąd wzięłeś na to kasę? — Nie mogłam uwierzyć, że mój przyjaciel zrobił mi taką niespodziankę.

—W odróżnieniu od ciebie nie wydaję zarobionych pieniędzy na jakieś dyrdymały. I mam ich wystarczająco dużo.

—Nie wydaję na dyrdymały — zaprotestowałam niepewnie.

—Czyżby? A co kupiłaś za zyski z ostatniej partii sprzedanego bimberku?

—Co, co — no co właściwie? Czekoladki, aha, dwie pary nowych kolczyków, szalik, potem pieniądze rozeszły się w jakiś dziwny sposób... No dobra, zostawmy już ten temat!

—A oto i bohater twojego romansu, we własnej osobie — zauważył Irga. W głębi sali ponuro tkwiła przy stoliku znajoma postać. — Zawołać?

—Zawołaj — poprosiłam. Chciałam jak najszybciej wyjaśnić tę całą sytuację.

Don Alberto usiadł w milczeniu. Odsunęłam się od niego, tak na wszelki wypadek.

—A było to tak — zaczął Otto. — Zauważyłem, że Ola pogrąża się w tych swoich czytadkach nie na żarty i zrozumiałem, że trzeba ją ratować — ta papka działa jak narkotyki! Zapłaciłem don Albertowi za to, żeby po uwodził ją tak jak ona chce — romantycznie i pięknie.

—Przeczytałem kilka takich romansów! — dumnie potwierdził don Alberto. — Żeby wiedzieć, o co chodzi.

—Ale ja zapłaciłem tylko za teatr, kwiaty i dwa dni! — powiedział Otto. — Myślałem, że potem Ola wróci do realnego świata, a don po cichutku się ulotni.

—Ale mnie się spodobało — oświadczył don Alberto. — To znaczy, Olgerda bardzo mi się spodobała i postanowiłem, że będę kontynuował zaloty już na własną rękę.

—Czyli jesteś psycholem na własną rękę? — W żaden sposób nie mogłam zdecydować, co myśleć o tej całej sprawie.

— Myślałam, że chcesz takich zalotów, jak w powieściach! — wykrzyknął don. — Więc się odpowiednio zachowywałam! Po prostu chciałam ci się podobać.

Westchnęłam z ulgą.

— Wybacz, Alberto, ale nie podobasz mi się. Zostańmy po prostu przyjaciółmi, dobrze? I nie chodzi tu o sposób, w jaki mnie adorowałeś, po prostu nie jesteś w moim typie. Nie przepadam za brunetami — dodałam mściwie i zerknęłam na Irgę.

Nie zareagował. Otto parsknął, ale zmilczał.

— Szkoda — rzekł don Alberto ze smutkiem. Pocałował mnie w rękę na pożegnanie i oddalił się.

Spojrzałam na Irgę, który odprowadzał mojego byłego zalotnika pełnym zadowolenia wzrokiem. Raptem wściekłam się na cały męski ród.

— Otto, on nazwał mnie niepozornym stworzeniem! — pożałowałam się na Irgę. — A ja przecież mogę się podobać, co by nie mówić!

Otto wzruszył ramionami.

— Otto, jeżeli skryłem kogoś w czeluściach mroku, to chyba ten niewdzięczny ktoś był akurat w TYM MOMENCIE niepozorny, prawda? — spytał drwiąco Irga.

Otto przytaknął.

— A w dodatku, Otto, niektórzy twierdzą, że nie warto się o mnie bić — żaliłam się dalej.

Otto współczująco rozłożył ręce.

— Przedstaw sobie, przyjacielu, że po tym wszystkim byłem gotów przelać swą krew za pewną niewdzięcznicę — powiedział nekromanta.

Otto targał brodę.

— Otto, on ma kochankę, straszego babsztyla, który z trudem mieści się w drzwiach!

Otto ze zdziwienia rozdziawił usta.

— Wyobraź sobie — Irga zwrócił się do półkrasnodłuda. — Zaszedłem do klientki, biednej wdowy, która chciała wywołać ducha swego zmarłego męża, i już mnie pomawiają!

— Sama mówiła, że jesteś jej kochankiem! — Skoczyłam na równe nogi.

— Zapłaciła mi za to, żeby jej sąsiedzi sądzili, że jestem jej kochankiem!

— A ty się na to zgodziłeś!

— Biedna kobieta chciała podnieść sobie samoocenę! — Irga także się podniósł i od razu stał się wyższy ode mnie.

— Na twój koszt!

— Na swój. Ktoś, kogo dobrze znam, również chciał dodać sobie pewności siebie, tak czy nie? I to absolutnie za darmo.

— Wcale nie potrzebuję jej więcej niż mam! — Dumnie usiadłam z powrotem.

— Jasne, jasne. Zmusiłaś mnie do wyjaśnień, dlaczego uważam cię za niepozorną.



— A uważasz?

— Nie! — ryknął Irga. — Uważam, że jesteś całkiem sympatyczna! A nawet ładna! Wystarczy?

— Nie wystarczy!

— Ola... — Irga odetchnął głęboko parę razy. — Nie bądź zazdrosna. Nie masz ku temu żadnych podstaw.

— Nie jestem zazdrosna — oburzyłam się. — Nawet Otto to potwierdzi. Otto? A gdzie on jest? Irga, nie widziałeś, kiedy wyszedł?

— Nie — odburknął nekromanta. — Cała moja uwaga była skupiona na...

— Na mnie? — zapytałam kokieteryjnie.

— Na piwie — uciął nekromanta, popijając wielki łyk.

®

Otto wszedł do mojego pokoju, otrząsnął śnieg z brody i rzekł marzycielsko:

— Jest tak pięknie! Śnieg miękki, mięciutki! Ludziska urządzili sobie bitwę na śnieżki. A ty siedzisz w pokoju. Co? ZNOWU?

— Nie, Otto, to nie romansidło! A dokładnie, to nie elfickie romansidło. Tak sobie czytam, dla ogólnego rozwoju.

Otto obejrzał książkę.

— Seria „Romanse dla trolli”, tytuł „Gorący seks”. Nie wiedziałem, że one potrafią czytać.

— W naszej epoce oświecenia? Może nie wszystkie, ale te miastowe czytają na pewno. I piszą też, jak można zauważyć.

— No tak. „Schwylił ją za włosy. — Dokąd to? — Rych rzucił Ur na łóżko. Rozdarł na niej sukienkę. Rych wbił w Ur swój ogromny członek. Z rozkoszy walnęła go po mordzie”. Wiesz co, Ola? Wezmę sobie tę książeczkę do poczytania.

— Upprzedzam z góry. — Już ubrana, czekałam na mojego najlepszego przyjaciela na progu. — Sposoby zalotów opisane w tej książce kategorycznie mi nie odpowiadają!

# Oddziaływanie zewnętrzne

Sesja w tym semestrze nie zmieniła nawyków i przyszła jak zwykle znienacka. Przebudziwszy się pewnego ranka, spojrzałam leniwie w kalendarz i z przerażeniem uświadomiłam sobie, że pierwszy egzamin mam za trzy dni — przypominała o tym czaszka namalowana czerwonym atramentem na dacie.

— I co my tu mamy? — podchodząc do kalendarza, zapytałam sama siebie.

Rozpiskę egzaminów wyrysowałam jakiś miesiąc temu, obiecując sobie solennie, że od jutra zacznę się do nich solidnie przygotowywać. „Jutro” oczywiście wiecznie odkładałam, całkowicie zaabsorbowana wesołym spędzaniem czasu i pogonią za pieniędzmi.

Pierwszy egzamin — „Zasady transmisji magii”. Nie powinno być z tym dużych problemów, poduczę się trochę teorii i na „dobry” można liczyć. Transmitowania magii — kierowania magicznej energii do potrzebnego miejsca, na przykład do artefaktu, nauczyłam się jeszcze na drugim roku.

Egzamin drugi... W żołądku poczułam bolesny skurcz. Cholera, no! Jak mogłam zapomnieć, że muszę zdać elficki! I to w dodatku dwa egzaminy — język ogólny i zaklęcia! Pozostałe trzy egzaminy zdam na luzie, ale bez zaliczenia elfickiego nie przejdę na czwarty rok.

Już dwa i pół roku walczyłam z elfickim ze zmiennym powodzeniem, z przerażeniem czekając na egzamin końcowy Języka elfów nienawidziłam każdym zakamarkiem swojej duszy. Wzięłam do rąk swoje konspekty z bazgraniną, która to miała wyrażać wspaniałe elfickie pismo, patrzyłam w nie tępo kilka minut, po czym padłam na łóżko i zakryłam twarz zeszytem.

Po jakimś czasie moim ramieniem potrząsnął Otto.

Widzę, że kujesz do sesji, aż się kurzy.

Zostaw mnie — wymamrotałam spod konspektu. — Chcę umrzeć.

Za mało się starasz, więc do egzaminu nie masz szans umrzeć — oznajmił półkrasnolud. — Co my tu mamy? O, elficki? I jak postępy?

Nijak — odpowiedziałam. — Zawalę sesję i wyleją mnie, o ja nieszczęsna.

Z czego wnioskujeś, że oblejesz?

Usiadłam na łóżku.

Otto, nie potrafisz sklecić po elficku sensownego zdania! Kiedy widzę profesora, to mnie zamurówuje. Zabij mnie!

Szybko i bezboleśnie, czy powoli i w mękach? — zainteresował się rzeczowo mój najlepszy przyjaciel, zacierając ręce.

Wiem, że na ciebie zawsze mogę liczyć. — Zakopałam się w poduszki i zamknęłam oczy.

A o czym ty myślałaś... — zaczął Otto.

Błagam cię — wyjęczałam. — Nie zaczynaj piosenki mojej mamy: do egzaminów należy przygotowywać się z wyprzedzeniem, kolokwia i zaliczenia trzeba zdawać w terminie, nie podpadać wykładowcom... Sama to wszystko dobrze wiem.

Ja nie o tym — powiedział półkrasnolud. — O czym myślałaś, kiedy leżałaś na łóżku?

O tym, jaka jestem nieszczęśliwa — odpowiedziałam.

Właśnie! Wszystkiemu winne to negatywne nastawienie. Myślisz o tym, że oblejesz ten egzamin i go oblejesz, bo tak postanowiłaś w głowie. Powinnaś zmienić sposób myślenia, wmówić sobie, że się nie boisz, wtedy wszystko pójdzie jak po maśle.

Łatwo ci mówić, wy, krasnoludy, nie musicie zdawać elfickiego.

To czysta dyskryminacja — oburzył się Otto.

Otto uczył się elfickiego z grupą ludzi ze swojego

kierunku. Prawdą jest, że nie wykladał u nich złośliwy Lomitoriel, lecz półelfka Adel. Otto przyznał się, że do studiowania tego języka zmusił go dziki zachwyty, jakim obdarzał całkiem nie elfickie kształty swojej wykładowczynie. Wygląd zewnętrzny Adel odziedziczyła po swoim tatusiu, znanym mistrzu wyrabiającym artefakty — wysokim, grubym i dość niezgrabnym. O płynącej w niej krwi elfickiej przypominały wielkie, migdałowe oczy (których uroda była przyćmiona przez kartofelkowaty nos, odziedziczony po tacie), i spiczaste uszka, przykryte szorstkimi, kędzierzawymi, rudymi włosami.

„My, rzemieślnicy, musimy znać elficki, żeby móc konkurować z ichnimi producentami artefaktów” — takie było oficjalne wyjaśnienie półkrasnoluda, który studiował elficki bardzo zawzięcie. Następnie Otto zamykał oczy i oddawał się marzeniom o pokaznej tuszy swojej wykładowczynie.

No dobrze, przepraszam — wybąkałam. — Nie chciałam cię urazić, po prostu jestem taka nieszczęśliwa!

Wiem, co robić — oznajmił półkrasnolud, potargawszy swoim zwyczajem brodę. — Przygotuj się do „transmisji” i niczym się nie martw.

Po paru dobrych godzinach rzuciłam podręcznik „Transmisje...” w kąć i zaczęłam pisać ściągę do egzaminu z elfickiego — rysować tabelki z zakończeniami i regułami wymiany samogłoskowej.

Wieczorem, po zdanym egzaminie z „Zasad transmisji” (na „celujący”, wylosowałam dobre pytania, jednak przydało się to, że zaniiosłam kasę do świątyni Pani Sukcesu!), Otto zjawił się u mnie w towarzystwie Irgi.

Co tam? — spytałam opryskliwie. — Będzie przyspieszony kurs elfickiego?

Nie — radośnie oznajmił najlepszy przyjaciel. — Będzie hipnoza.

Hipnoza?

Owszem, Irga wmówi ci, że nie boisz się Łomitoriela i zdasz! Nieźle to wymyśliłem, nie?

Nieźle — zgodziłam się. — Tylko że TEN facet nie będzie mi niczego wmawiać.

Jak chcesz, to przysięgnę, że nie wmówię ci niczego innego oprócz twojego stosunku do elfickiego, co ty na to? — zapytał „ten”.

Jeżeli Irga sądził, że tak łatwo się poddam, to się pomylił.

Przysięgam — powiedziałam, wyciągając ze szkatułki czerwoną nić. Jeśli nekromanta złamie przysięgę, nić przetnie miejsce, w którym jest zawiązana. — A zawiążesz ją... — w zamysleniu przesunęłam wzrokiem po jego postaci.

Tu się nie zgadzam! — powiedział pospiesznie, gdy zobaczył, w jakie miejsce spoglądam. — Lepiej dawaj na rękę.

Pchi, Irga! — odegrałam urażoną niewinność. — Myślałeś, że na co patrzę? Przecież właśnie rękę miałam na myśli.

Otto parsknął za plecami Irgi, powstrzymując śmiech.

Nie będę wam przeszkadzać, idę do „Pij Więcej!” — Puścił do mnie oczko i wyszedł.

Położ się na łóżku i rozluźnij ciało! — zakomenderował Irga, wyciągając z torby gruby foliał i przewracając kartki. — Tu nie, tu... aha, jest tutaj.

Irga — zapytałam podejrzliwie. — A ty już kiedyś zajmowałeś się hipnozą?

No wiesz — rzekł nekromanta, starając się przyjąć pozę zgodną z rysunkiem w książce. — Jestem w końcu nekromantą, a nie absolwentem fakultetu mediów. Ale znam ogólne zasady!

Rozmyślałam się! — Żwawo zeskoczyłam z łóżka.

A ty dokąd? — Irga oburzył się. — Spójrz, to droga książka, trudna do zdobycia, są w niej szczegółowo opisane wszystkie zasady dotyczące hipnozy. Rozpowszechnianie i sprzedaż zabronione, tak, żeby ludzie szli do dyplomowanych specjalistów, a nie zajmowali się samoleczeniem.

Aha? A ty skąd ją masz?

Należy mieć odpowiednie kontakty — pouczył mnie nekromanta.

A to chociaż legalne?

Całkowicie. Jedna taka pożyczyła. Kładź się.

Zrezygnujmy jednak, dobrze?

A co to za sabotaż? — Irga chwycił mnie w pasie i powalił na łóżko, bryknęłam nogami, aż spódnica zadarła się, odsłaniając moje wdzięki.

Ach tak! — od strony drzwi zabrzmiał głos. — Ty draniu! Ty uwodzicielu!

Dziewczyna o zmierzwionych włosach wdarła się do mojego pokoju i zaczęła okładać nekromantę pięściami po plecach.

Do hipnozy w sprawach naukowych potrzebna ci była ta książka, tak? Rozpustnik! Chciałeś ją uśpić i...

Cicho, cicho — Irga zakrył głowę. — Nie muszę do tego żadnej usypiać! Same dadzą!

Usiadłam na łóżku i rozkoszowałam się interesującą sceną.

Same dadzą! Ty cholerny babiarczy! Jesteś podły! Uwodziciel za dychę! — Dziewczyna poczerwieniała z napięcia, starając się wymyślić coś naprawdę mocnego. — Sukinkot! — wypaliła.

Irga skrzywił się.

Tylko bez scen! Przeszkadzasz mi, potem pogadamy. — Odprowadził dziewczynę do drzwi i nałożył zaklęcie na klamkę.

Teraz nikt nam nie będzie przeszkadzał. I przestań się śmiać!

Właścicielka książki? — spytałam.

Wiesz, ile ona kosztuje? A ta panna pożyczyła mi ją bezpłatnie — zobaczył mój sceptyczny wzrok i poprawił się. — Za kilka pocałunków. Widzisz, jakie ofiary muszę dla ciebie ponosić!

Popłacz się jeszcze — poradziłam. — Może mi powiesz, że było ci nieprzyjemnie tak ją całować?

Irga westchnął.

-Ja...

No, zaczynajmy, jestem ciekawa, co z tego wyjdzie — przerwałam mu w obawie, że zacznie całować i mnie „dla porównania”.

Dobra — Irga westchnął ponownie. — Połóż się i rozluźnij. I przestań się w końcu śmiać!

Nekromanta przyjął pozę skopiowaną z podręcznika i zaczął machać mi przed nosem medalionem, który zdjął z szyi.

Spisz już?

Jeszcze nie — odpowiedziałam. A jak zachęcająco ma rozpiętą koszulę!

Rozluźnij się i skup na medaliku — wyczytał Irga z książki.

Staralam się rozluźnić, ale zamiast tego wybuchnęłam śmiechem.

Ola! — wkurzył się nekromanta.

Już nie będę, cha, cha, cha...

Irga pogroził mi pięścią.

Teraz już wiem, czemu jestem nekromantą. Moi pacjenci przynajmniej nie śmieją się podczas mojej pracy. Przestań rzeć jak jakaś klacz! — Nekromanta kartkował foliał. — No, znalazłem. „W przypadku nieadekwatnego zachowania pacjenta, dopuszcza się wobec niego działania fizyczne”. Zrozumiałaś?

Pokiwałam głową, starając się powstrzymać następny wybuch śmiechu.

Zaraz dostaniesz tę książkę po łepetynie, żeby nie było ci tak wesoło — wyjaśnił Irga.

Nie trzeba, już nie będę się śmiać.

Nekromanta ponownie przybrał odpowiednią pozę,

i zaczął czytać, kiwając medalionem. Patrzyłam na medalion i myślałam o egzaminie, o profesorze, o ślicznie wyglądającej spod rozpiętej koszuli piersi Irgi...

Obudziłam się wcześniej rano, okryta troskliwie kołdrą z łóżka Liry. Głowę miałam pustą i lekką. Myśli o elfickim nie wywoływały już skurczu w żołądku i drżenia w kolanach. Wzięłam do ręki konspekt i lekko przeczytałam parę zdań, dziwiąc się, jak pięknie i śpiewnie brzmią.

Zadowolona z życia, przeliczyłam gotówkę i udałam się na śniadanie do najbliższej knajpki. Na schodach, przy wyjściu z akademika, czekała na mnie właścicielka książki o hipnozie.

Cześć! — pomachałam do niej ręką. Trzeba było dziewczynie podziękować. — Pójdziemy na śniadanie? Ja stawiam.

Dziewczyna posępnie pokiwała głową. Nieuczesane pasma brudno-jasnobrązowych włosów wyglądały na jeszcze bardziej rozczochrane niż wczoraj.

I jak było? — zapytała.

Wspaniale się udało! Irga to prawdziwy czarodziej. Ma ręce mistrza, i nie tylko ręce!

Mówił, że go wymęczyłaś — powiedziała dziewczyna.

Kto kogo?! — oburzyłam się.

A mi się w ogóle nie wiedzie — westchnęła moja rozmówczyni. — Wiesz, według wszelkich horoskopów i przepowiedni Irga jest dla mnie wprost idealnym partnerem.

Tak, to rzeczywiście ci się nie wiedzie — powiedziałam.

Kiedy gwiazdy wskazują partnera — inteligentnego, niesamowicie atrakcyjnego i samodzielnego mężczyznę, który liczy tylko na siebie i w związku z tym nie zamierza budować żadnych poważnych związków, to można tylko współczuć.

A tobie tak! — krzyknęła dziewczyna z desperacją. — Dlaczego jedni mają wszystko, a drudzy — nic?

Wzruszyłam ramionami i udałam się na śniadanie.

@

Wieczorem ktoś zastukał do drzwi. Przerwałam robienie notatek z elfickiego w formie ściagi i zawołałam:

A kogóż to niesie?

Witaj! — Irga wsunął do pokoju głowę. — Przyszedłem zapytać, jak ci idzie? Jak nastrój?

Wszystko dobrze, dziękuję. Szykuje się do egzaminu, to już pojutrze.

Ola, co ty powiedziałaś?

No do egzaminu.... — przerwałam. — Powiedziałam to po elficku! Po elficku! Och, Irga!

Zawisłam na jego szyi. Ugiął się pod moim ciężarem i powiedział:

Mmm, dla takich podziękowań mogę hipnotyzować cię codziennie!

Stop, stop, stop, a nitkę zawiązałeś?

Tak jak chciałeś. — Irga pokazał nadgarstek, cały czas przewiązany zaklętą nitką. — To był po prostu przejaw twoich podziękowań za pomoc.

Uśmiechnęłam się.

Wejdz, proszę, co tak stoimy w korytarzu.

Na chwileczkę, dobrze?

Zamykając drzwi, zauważyłam swoją poranną rozmówczynię, stała w końcu korytarza.

Twoja adoratorka na ciebie czeka.

Irga wzruszył ramionami.

Marta, studentka-medium. Wymyśliła sobie miłość i teraz cierpi.

Według horoskopu jesteś dla niej idealny — zakomunikowałam mu, nalewając do kubka zimnej herbaty.

Nekromanta parsknął.

Znasz moją datę urodzenia? Nie, i ona też nie zna. O jakim horoskopie może tu być mowa?

No ale jednak ją całowałeś. Za książkę.



Ola, czego ty ode mnie chcesz?

Niczego, po prostu ona cierpi. Dzisiaj mi mówiła, że mnie się powiodło, a jej nie.

Ciesz się zatem — powiedział Irga z pełnymi ustami, dojadając moje ulubione, chowane przed gośćmi ciastka. — Widać twoje życie nie jest takie złe, jak ci się wydaje.

Ach ty...! Skąd to wzięłeś? Dałam ci je?

Były na szafie — odpowiedział źle wychowany gość, rozsypując okruchy. — Przewaga wysokiego wzrostu. Dobra, leczę. Dzięki za poczęstunek.

Włożył mi do rąk woreczek z resztą herbatników, przesłał ręką całusa, po czym zamknął za sobą drzwi.

Muszę zmienić schowek — powiedziałam do siebie

po elficku i wróciłam do moich notatek.

®

Nadszedł dzień egzaminu. Poranek przywitał mnie drobnym paskudnym deszczykiem. Zadarłszy do góry spódnicę, przekraczałam kolejne kałuże i mamrotałam do siebie reguły odmiany przymiotników. Pokażna kałuża przed drzwiami uniwersytetu przypominała swoimi rozmiarami dość spore jeziorko. Przypomniałam sobie naszą wczorajszą rozmowę z ludźmi w ogólnej kuchni, że jakiś pechowy mag bojowy pomylił się i zostawił po swoich ćwiczeniach spore wgniecenie w wyłożonej brukiem drodze. Przechodzący tamtędy wykładowca Wydziału Medium trafił przez to do Domu Uzdrawień. W czasie, gdy go tam niesiono, zdążył wlepić nieszczęśnikowi brak zaliczenia bez odwołania i niedopuszczenie do sesji.

Gdy tak rozmyślałam — obejść kałużę czy przeforsować ją, licząc, że woda będzie dosyć ciepła — poczułam nagły odpływ magicznej energii z otaczającego mnie obszaru.

„Co się stało?” — zdążyłam pomyśleć przed tym, jak otrzymałam magiczny cios o sile tak wielkiej, że artefakt od uroków, zakupiony przeze mnie jeszcze na pierwszym roku, spłonął teraz do szczętu, zostawiwszy mi na piersi spore poparzenie. Straciłam dech i upadłam na kolana.

O, Jasna Ellanar! — usłyszałam wzburzony śpiewny głos. — Co się stało? Słyszysz mnie?

Słyszę — wychrypiałam, starając się zachować świadomość i próbując odegnać dziki ból przesywający całe ciało.

Tak lepiej? — Chłodny metal przywarł do mojej szyi. Poczulałam ulgę, a ciemna zasłona zakrywająca moje oczy z wolna opadała.

Lepiej troszeczkę, dziękuję. Ooo, co to było?

Uważam, że był to nadzwyczaj szkodliwy cios magiczny, skierowany dokładnie na ciebie.

Nadzwyczaj szkodliwy cios? — Chlapnęłam sobie na twarz trochę wody z kałuży. — Na mnie?

Myślę, że tak, na ciebie — powiedział profesor Łomitoriel. — Możesz wstać? Pomogę ci.

Pomógł mi się podnieść, po czym powiedział:

Musisz trafić do uzdrowicieli. Dasz radę dojść o własnych siłach?

Spróbowałam skinąć głową, ale zachwiałam się i uczepiłam jego rękawa.

Nie jestem pewna.

Pomogę — uchwyciłam jego nieoczekiwanie szczere i współczujące spojrzenie.

Łomitoriel uśmiechnął się i zapytał:

Czy masz coś przeciwko elfickiej magii?

Nie wiem — uczciwie odpowiedziałam. — Zgadzam się na wszystko, byleby tylko tak nie bolało.

Elf zaczął śpiewać, gładząc mnie po plecach. Czułam, jak gdyby napełniano mnie energią, leczniczą i przyjemną.

Proszę iść — powiedział profesor.

A egzamin?

Proszę uważać go za zdany. Czekaam na panią na zaklęciach.

Zdałam?

Nie zauważyła pani? Mówiła pani po elficku. — Łomitoriel skinął głową na pożegnanie i przeszedł przez kałużę niby po suchej drodze.

Dobrnęłam do uzdrowicieli, wymyślając po drodze zemstę na nieznanym mi jeszcze wrogu.

Porwana aura, spadek sił witalnych, zapalenie płuc, poparzenie, zadrapania i sińce po upadku — wyliczała starsza uzdrowicielka Mateczka Ella. — Nie nosisz, kochanieńka, ochronnych artefaktów?

Do tej pory nie musiałam — usprawiedliwiałam się.

Będzie pani musiała trochę u nas poleżeć. Z porozrywaną aurą nie zda pani żadnego egzaminu. Uprzedzę pani wykładowców.

Patrzyłam na deszcz za oknem i użałam się nad sobą. Ludziska wychodzą teraz z egzaminu i zgodnym truchtem pędzą na popijawę do najbliższej knajpy, a ja tu leżę, samotna i nieszczęśliwaaa...

Ola, boli cię? No nie płacz już, nie płacz, moje ty biedactwo... — Lira objęła mnie ramionami. — Szybko postawimy cię na nogi, zobaczysz.

Nie boli mnie, tylko jestem taka nieszczęśliwaaa... Skąd się tu wzięłaś?

Zawiadomili mnie i przyleciałam z drugiego Domu Uzdrawień sprawdzić, co z tobą. — Przyjaciółka uśmiechała się do mnie fachowym uśmiechem uzdrowiciela, którego nie psuły nawet przyklapnięte, mokre włosy. — Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Może przynieść ci coś smakowitego do jedzenia?

Chlipnęłam. To przyjemne, gdy ktoś się nad tobą lituje.

Niczego mi nie trzeba...

No, no, już dobrze, biedulko...

Właśnie zamierzałam urządzić wspaniały koncert po tytulem „Pożalujcie mnie!”, gdy wszedł mój opiekun. Bef obrzucił mnie surowym spojrzeniem, przed którym próbowałam się schować za plecami Liry.

To szczyt głupoty, żeby nie nosić ochronnych artefaktów! — Bef chodził po pokoju, założywszy do tyłu ręce, i karcił mnie, nie pozwalając wtrącić choćby maleńkiego słówka. — Magiczka z trzeciego roku! Niczym nie chroniona! Najmniejszym nawet artefaktem! Szybko, obliczaj, jaką szkodę wyrządziły ci ten cios, gdybyś miała na sobie chociażby ochronne zaklęcie Nimbusa.

Nie mam pojęcia, jaką siłę posiadał ten cios... — wyszeptalam.

Nie masz pojęcia? Ty, znawca transmisji magii? Ty nie możesz obliczyć? Za to postawiłem ci na egzaminie celujący? Na powtórny egzamin!

Już obliczam — zaczęłam się usprawiedliwiać. — Już...

Walnęłam Lireę po plecach — ratuj.

Opiekunie Bef — zakaszlała przyjaciółka. — Ola jest chora...

Na głupotę! — wrzasnął Bef. — I na nic więcej!

Zrobił dwa gwałtowne kroki po pokoju i powiedział

Lirze:

Przyniesiesz mi jej wyniki nie później niż za godzinę. A ty... — Opiekun spojrział na mnie groźnie. — Po wyjściu ze szpitala do mnie! Z ochronnymi artefaktami! Jasne?

A kto to zrobił?! — krzyknęłam do pleców wychodzącego Bef.

Marta, Wydział Mediów — odpowiedział, nie odwracając się.

To czupiradło! — wzburzyłam się. — Wyjdę ze szpitala i połamię jej wszystkie kości! Włosy powyrywam!

Lira westchnęła.

Nie mogłaby sama jedna tak uszkodzić ci aury. Kto jeszcze oddziaływał na ciebie z zewnątrz?

Irga!!!

Ktoś zastukał do drzwi.

Ola... — Bładość twarzy Ottona była widoczna nawet przez jego gęsty zarost. — Jak się czujesz?

Umieram — powiedziałam ponuro. — A wszystko przez twojego ulubionego Irgę.

Półkrasnolud rozdziawił usta. Lira krótko naświetliła mu zaistniałą sytuację.

Ale przysięgał, że żadnej krzywdy...

Otto, jakakolwiek zewnętrzna manipulacja przy aurze, tym bardziej przeprowadzona przez kogoś z tak silną aurą, jaką posiada Irga, to ingerencja w jej strukturę. Tym bardziej, że on nie jest specjalistą w tej dziedzinie. Oczywiście, nic by się nie stało, gdyby Marta nie zapragnęła przywalić Oli tak potężną kłutwą.

Otto gorączkowo szarpał brodę.

To nie twoja wina, chciałeś jak najlepiej — zrobiło mi się go żal. — A Łomitoriel zaliczył mi egzamin. Więc pomogłeś! Gdyby nie on, to bym tu nie doszła. A w dodatku rozmawiałam z nim po elficku!

Nie pocieszaj mnie — zasmucił się półkrasnolud. — Gdyby nie mój idiotyczny pomysł z hipnozą, do niczego by nie doszło.

Otto, nie obwiniaj się już. — Wyciągnęłam ręce,  
żeby go objąć. — Popatrz, nawet się uśmiecham.

®

Do wieczora przez mój pokój przewalił się niezły tłumek — ktoś coś tam widział, do kogoś doszły słuchy, wszyscy chcieli poznać szczegóły. Irga nie przyszedł.

Następnego dnia nie było wśród odwiedzających ani jego, ani Ottona. Wieczorem zviałam do akademika, obiecując uzdrowicielom, że dopilnuje mnie Lira.

Rano ktoś cicho zaskrobał w drzwi. Niechętnie oderwałam głowę od poduszki:

Wlazł, no kogo tam tak wcześniej przywiało?

Ostrożnie, oglądając się bez przerwy za siebie, weszła

Marta. Wyglądała przeokropnie. Zdziwiłam się, porzuciłam swoje łożo boleści i posadziłam dziewczynę przy herbacie, dolewając do jej kubka sporą dawkę uspokajającej nalewki. Magiczce drżały ręce, a zęby stukały o krawędź naczynia. Gdy tak na nią patrzyłam, wszelkie myśli o zemście wyleciały mi z głowy.

Nie gniewaj się na mnie. — Marta chciała paść na kolana, na szczęście zdążyłam ją powstrzymać. — Byłam taka głupia... Zazdrosna... Chciałam, żeby ci też było źle...

Marta chciała całować moje dłonie i wypuściła kubek z rąk. Kubek zdążyłam schwycić, niestety, kajającej się Marty już nie.

Wybacz mi! — zawyła Marta, wczepiając się w moją nocną koszulę.

Z pewnym niepokojem pomyślałam, że nie mam na sobie ochronnego amuletu.

Marta, nie gniewam się na ciebie. Wiem, w życiu różnie bywa. No, puść już moją koszulę! Marta!

Cienki materiał zatrzeszczał. Dziewczyna z uporem chciała całować moje stopy, a mnie się zdawało, że na ustach ma jad. Zostawiwszy w jej rękach kawałek nocnej koszuli, wskoczyłam na łóżko i wrzasnęłam:

Pomocy!!!!

Chcę przebaczenia — rzekła Marta groźnym tonem, podchodząc na czworakach do łóżka. — Wybacz mi.

Wybaczam, wybaczam — odgrodziłam się od przyszłego medium poduszką. — Wszystko ci wybaczam.

Jeśli chcesz, możesz mnie potem jeszcze raz przekląć, tylko wstań z kolan.

Teraz będę cię przepraszać! — oświadczyła Marta i wstała. Wyglądała jak furia — miała potargane włosy, skurczone palce z długimi paznokciami, z jej ust kapła ślina, a oczy lśniły szaleńczym blaskiem.

Nie miałam dokąd uciec. Wrzasnęłam, przymknęłam oczy i kopnęłam na ślepo nogą. Marta schwyciła ją i pociągnęła do siebie. Runęłam na łóżko, nie przestając krzyczeć.

Drzwi otworzyły się z łomotem. Do pokoju wpadli Otto z Irgą, schwycili Martę i odciągnęli ode mnie z wielkim trudem. Jej paznokcie wryły na mojej skórze głębokie szramy. Dziewczyna syczała, szarpała się i drapała, ja skuliłam się na łóżku, zakopawszy się w pościel, a Otto przeklinał. Przez otwarte drzwi zaczęli zaglądać ciekawscy sąsiedzi.

Irga przerwał historię Marty, wymierzając jej siarczysty policzek. Półkrasnolud wykopał mnie spod kołdry. Ciekawscy z wielkim zainteresowaniem zlustrowali moje odzienie.

Co ty robisz? — nekromanta potrząsał Martą jak lalką.

Ona nie chciała przyjąć moich przeprosin — wykrztusiła, pocierając policzek.

Przyjmuję! — powiedziałam spieszenie, ledwo powstrzymując łzy. — Weźcie ją ode mnie!

Weźmiemy, weźmiemy. — Otto przytulił mnie mocno. — Uspokój się.

Irga wywłókł Martę na korytarz, rozpychając tłumek gapiów, i zamknął drzwi.

Otto podał mi butelkę z uspokajającą nalewką. Wypiłam parę łyków i spytałam:

Co to wszystko ma znaczyć?

Irga o mało nie oszalał, kiedy dowiedział się, co się z tobą stało — powiedział mój najlepszy przyjaciel. — Myślałem, że zabije tę Martę, ledwo go powstrzymałem. Dlatego do

ciebie nie wpadłem. A tak w ogóle, wyjaśnił jej, o co chodzi, i wysłał ją do ciebie, żeby cię przeprosiła.

A jak on jej to wszystko wyjaśnił? — zainteresowałam się.

Otto nieznacznie poruszył palcami.

Nie zmuszał jej, nic w tym stylu, Irga to prawdziwy mężczyzna. Po prostu wyjaśnił i już.

Niech sobie wyjaśnia — powiedziałam. — To wszystko przez ten seans hipnotyczny.

Nie masz pojęcia, jak on się za to wini. Jeszcze go takim nie widziałem — powiedział półkrasnołud poważnie.

Po nim wszystko spływa jak po kaczce — machnęłam ręką, starając się przyłożyć do koszuli oderwany skrawek materiału. — Jak myślisz, spróbować przyszyć, czy kupić nową?

To po tobie wszystko spływa jak po kaczce — westchnął Otto. — Zedrzyj z Marty rekompensatę za straty moralne.

Zamyśliłam się. Życie wracało do normy — Łomitoriel na zakłękach na pewno nie będzie mnie za bardzo męczył, w końcu nie jestem jeszcze zdrowa. No i już się go nie boję. „Dobry” dostanę na pewno. Pozostałe egzaminy zdam. Sprzedaż bimbru też pójdzie teraz dobrze — tylko głusi nie słyszeli o ostatnich wydarzeniach, na pewno przyjdą popatrzeć, a przy okazji kupią butelkę czy dwie.

Az Irgi też ściągnę kasę — postanowiłam. — Kupię sobie nową nocną koszulę, z elfiego jedwabiu.

Ze złotą nicią — zjadliwie dorzucił Otto. — I będziesz w niej latać po korytarzach i się przechwalać.

Nic nie rozumiesz — machnęłam ręką, grzebiąc w szafie z ciuchami.

A gdzież nam, facetom, do takich subtelności, jak jedwabne nocne koszule. O, ciasteczka!

Otto! — zawołałam. — To moje ulubione!

To po co chowasz je pod materacem? — zdziwił się półkrasnołud, wsypując sobie do paszczy resztki ciastka.

# 12

## Naliczenie z letnich praktyk

tym tygodniu kierowano studentów Uniwersytetu Nauk Magicznych na letnie praktyki. Zeszłoroczna, delikatnie mówiąc, była niezbyt dla mnie udana, dlatego też miałam „szczęście” wysłuchania od opiekuna Befa opinii i ostrzeżeń dotyczących mojego zachowania, mojego dalszego losu, niedobrego charakteru i innych morałów, a wszystko to było wzmacniane złowieszczymi groźbami. Doczekawszy się zapewnień, że przyjąłam wszystko do wiadomości (albo też udałam, że przyjąłam), Bef machnął na mnie ręką. Nie musiałam posiadać umiejętności teleportacji, by w gniewie oka znaleźć się w najbliższej knajpce — po takiej tyradzie czułam potrzebę natychmiastowego odświeżenia umysłu.

Piwiarnia okazała się ostoją magów-praktyków. Usiadłam samotnie przy stoliku, nieuważnie słuchając ich paplaniny — wszystko było lepsze od przysłuchiwania się gromom i patrzenia na błyskawice, które miotał Bef.

Praktyków nie bardzo lubiłam, zresztą, oni teoretyków także nie. My uważaliśmy ich za pospolitych mięśniaków, oni nas za tchórzy i mole książkowe. Naturalnie, jeżeli sytuacja tego wymagała, każdy mag mógł przejąć rolę drugiego, na przykład ja, teoretyk, potrafię rozkopywać groby na cmentarzu, mogę też wampira zabić... hm... powiedzmy, że mogę.

Piłam po cichu piwo i nie wychylałam się.

Praktycy zajmowali się tym, co zwykle — przechwalali się.



—Dla swojej dziewczyny jestem gotowy na wszystko! — przemawiał osiłek z czerwonymi policzkami. — Wyjdę przeciwko całej armii, wampira zabiję gołymi rękami, w przepaść skoczę...

—Po co gołymi rękami? Magią go i po sprawie — wtrącił się jakiś blondyn.

—A ja oddam swoje serce, w dosłownym znaczeniu tego słowa! — Trzeci walił się kuflem w pierś.

Przedmiot tych wszystkich męskich deklaracji zalotnie wachlował rzęsami i uśmiechał się do każdego po kolei. Potencjalna posiadaczka wyrwanych z piersi serc prezentowała się dość okropnie — była chuda jak bezdomny kot, miała nieumyte włosy i gruby, mięsisty nochal na małej twarzy. „Oto do czego zmusza normalnych facetów brak dziewczyn na roku” — pomyślałam.

—Zycie za ciebie oddam! — starał się przekrzyknąć swoich bardziej rosyjskich rywali drobniutki i chuderlawy studencik.

—Wybierasz sobie chłopaka? — wyszeptał ktoś nad moim uchem, charakterystycznie rozciągając samogłoski.

—Irga, znajdujesz mnie po zapachu, czy jak?

—Nie, po prostu tędy przechodziłem — nekromanta wcale się nie zmieszał. — A co ty porabiasz w piwiarni praktyków?

—Płuczę mózg po tym, jak mi go Bef wyprał. Irga, oddałbyś za kogoś życie?

—Trudne pytanie.

—To ciekawe. Jesteś w pewnym sensie praktykiem, a oni wręcz płoną chęcią złożenia się w ofierze.

Irga prychnął.

—Jestem zbyt cenny, by się poświęcać. W jakiegokolwiek sytuacji najpierw uratuję swoją skórę, a potem się będę zastanawiał.

—A jeśli twoja ukochana powiedziała ci: „Skocz w przepaść!”?

—Odpowiedziałbym jej: „Masz coś z głową?”.

—Nie masz nikogo szczególnego, kogo broniłbyś własną piersią przed śmiertelnym niebezpieczeństwem?

—Nie — odpowiedział Irga spokojnie. — Mój instynkt samozachowawczy jest równie silny, jak i u innych. Jestem tylko mądrzejszy od niektórych. I nie nadaję się na bohatera ballady. Co ci powiedział Bef?

—Nic ważnego.

—Bądź spokojna. Na praktykę pojedziesz razem z Ottonem, będziecie wspólnie przekładać papierki i nie będziecie nikogo zaczepiać.

—A ty skąd wiesz?

—Moja droga, w naszej epoce informacja — to władza. Wiem wszystko.

—To fajnie, uspokoiłeś mnie — westchnęłam. — A może jeszcze wiesz, dokąd nas wyślą?

—Daleko, daleko. Żeby wszyscy odpoczęli od waszego widoku.

—A ty?

—Co — ja? Skończyłem studia już rok temu, niepotrzebne mi praktyki.

—Nie mówię o praktykach. Jak spędzisz lato?

—O, interesuje cię to?

—Nie — odpowiedziałam stanowczo, odstaawiłam pusty kufel na stół i wyszłam na ulicę.

—Wakacje mam zimą, latem pracuję. — Irga dogonił mnie. — Ale jeśli chcesz mi coś zaproponować...

—Irga! — powiedziałam z uczuciem. — Każdy dzień, w którym nie widzę twojej szanownej wrednej osoby, jest dla mnie szczęśliwy.

Nekromanta spochmurniał.

—Jeśli tak uważasz, nie będę przeszkadzał. Pozostań szczęśliwa.

Wzruszyłam ramionami. Chce się obrażać — proszę bardzo, nie będę za nim lecieć i się kajać. Świeciło słońce, a topolowy puch pokrywał ziemię płatkami jak ciepły śnieg. Jeśli Irga nie kłamał, pojedę na praktyki z moim najlepszym przyjacielem! A to oznacza, że miesiąc przeleci szybciotko i ciekawie, bez żadnych duchowych wstrząsów.

Gdybym wiedziała, jak bardzo się myliłam!

®

—I po co obraziłaś Irgę? — zapytał Otto, gdy trzęśliśmy się w niewygodnym powozie, który wioził nas na praktyki. — On do ciebie z sercem na dłoni...

—Nie potrzebuję jego serca — zachnęłam się.

—Czasami jesteś taka bezmyślna, że mam ochotę mocno tobą potrząsnąć, żeby ci się w głowie lepiej poukładało — powiedział Otto tonem starszego brata.

—Ile razy mam ci powtarzać, żebyś się nie mieszał do moich sercowych spraw?

—Nie mieszam się. Trudno wmieszać się w coś, czego nie ma!

—I wcale nie chcę ich mieć!

Otto chrząknął, odwrócił się i w milczeniu kontemlował niekończącą się pylistą drogę.

Zagłębiłam się w studiowaniu zadań na praktykę.

Jechaliśmy do odległej wioski, w której dwieście lat temu znajdował się pograniczny oddział magów — garnizon wyjeżdżał czasami, żeby przetrzepać skórę nieprzyjacielskim sąsiadom. Kiedy po wojnie granice naszego państwa powiększyły się, zostawiono w dwóch basztach dwóch magów starszusków. Natomiast przez cały rok wysyłano do takich miejsc studentów na praktyki. My z Ottonem mieliśmy pracować przy archiwalnych dokumentach, które opisywały zasady wyrobu i działania starych wojennych artefaktów. Jeśli będziemy mieć szczęście, może nawet trafimy na coś cennego. „Bądźcie czujni i ostrożni” — dopisał swoim kaligraficznym pismem Bef u dołu zwoju z zadaniami.

Po dwóch dniach spotkał nas przy basztach stary (a nawet chyba prastary) magister Romon. Stało przy nim dwóch młodych ludzi — mag i magiczka.

—Wan, Rawi — przedstawili się. — Chudorska Akademia Nauk Magicznych, kierunek Magii Bojowej, rok piąty.

—Ważniaki ze stolicy — warknął Otto za moimi plecami.

Na pierwszy rzut oka nie dostrzegłam w nich żadnego zarozumiałstwa — uśmiechali się ciepło, na razie więc zmilczałam.

—Jesteście naszymi pierwszymi praktykantami od dwóch lat — powiedział magister Romon, gdy zebraliśmy się w okrągłej komnacie Baszty Wschodniej. Drugi z magów, magister Fred, był już tak zgrzybiały, że nigdy nie opuszczał swojej kwatery. — Bądźcie ostrożni, dobrze? I zajmujcie się swoją pracą.

Kierownik praktyk zastanowił się i dorzucił:

—W piwnicach nie ma żadnego alkoholu, wszystko już wypite. Nie traćcie więc czasu na daremne poszukiwania.

—My nie pijemy — oświadczył Wan.

—Nigdy nie dowierzałem ludziom, którzy nie piją — wyszeptał mi półkrasnolud do ucha i poszedł do kuchni w ślad za studentami ze stolicy.

—Żyjemy tu prosto. — Rawi z uśmiechem rozkładała kaszę na talerze. — Dyżury w kuchni według kolejności, sprzątanie codziennie. Mamy za zadanie doprowadzić tu wszystko do porządku, wszystko wyczyścić, opróżnić pomieszczenia. A wy?

Spojrzałam na listę zadań:

—My mamy zająć się wszystkimi dokumentami i znalezionymi artefaktami. I także mamy opróżnić pomieszczenia.

—Dokumenty? A, teoretycy.

- Jestem rzemieślnikiem! — nadąsał się półkras- nolud. — Nie mylcie jednego z drugim! A tak w ogóle to mówią, że w waszej akademii mogą studiować tylko ludzie!
- Owszem — odpowiedziała ze zdziwieniem Rawi. — I co z tego?
- A to, że naruszacie prawa mniejszości rasowych!
- Krasnoludy i elfy uczą się w swoich szkołach.
- Jednym słowem, izolujecie ich!
- Ach, nie mówmy o tym! — wtrącił się Wan. — Rozumiem twoje uczucia, jednak ty też jesteś człowiekiem!
- Jestem krasnoludem!!! — wrzasnął Otto i wyskoczył zza stołu, przewracając krzesło.
- Nie wiedziałam, że krasnoludy mogą mieć czarne włosy i być takie wysokie — zdziwiła się Rawi.
- Otto to półkras- nolud — postanowiłam od razu wyjaśnić. — Lepiej jednak dla ciebie będzie, jeżeli nie będziesz mu tego przypominać. On uważa się za krasnoluda. Jego matka jest podobna do krasnoludki nawet bardziej, niż same krasnoludki. Oprócz tego, że jest dwa razy wyższa.
- Nie uprzedzono nas o tym. Niedobrze wyszło...
- To nic, przejdzie mu — uspokoila ją.

A jednak mu nie przechodziło. Z Rawi i Wanem rozmawiał tylko wtedy, gdy było to konieczne, na próby przeprosin nie reagował. Po tygodniu zostawili go w spokoju.

Wieczorami Otto wyłaził z sutereny, gdzie po całych dniach przebierał zawartość znajdujących się w niej skrzyń i sarkaf:

- Te ważniaki ze stolicy... Niczego nie potrafia... Też mi coś, magowie bojowi... I to ma być przeddyplomowa praktyka...
- Otto, ja się z nimi koleguję. To bardzo sympatyczni ludzie.
- Właśnie! Ludzie!
- Otto, a od kiedy ty nie lubisz ludzi?
- Od kiedy założyli akademię tylko dla ludzi!
- Otto, ale Wan i Rawi nie są tu niczemu winni! Oni tam się po prostu uczą...

— Jesteś taka jak oni!

Nie starczało mi cierpliwości i wychodziłam, wałęsając się samotnie po okolicy. Rawi i Wanowi starałam się nie narzucać — to, że byli w sobie szaleńczo zakochani, widać było gołym okiem i reszta świata po prostu dla nich nie istniała. Oczywiście, nie wypraszałam mnie nigdy, jednak czułam się w ich towarzystwie jak piąte koło u wozu.

Właśnie podczas jednego z pięknych letnich wieczorów, kiedy to po całodniowej duchocie rozkoszowałam się chłodnym wiatrem, coś nieoczekiwanego wyrosło przed moim nosem — potężna postać w brudnoszarej kapocie. Byłam tak zaskoczona, że potknęłam się i upadłam.

— Otto, co to za głupie żarty? — wściekłam się.

— Wynoście się z moich baszt, przekłete sprzedawczyki! Inaczej mój gniew spadnie na wasze głowy. Śmierć czeka was wszystkich!

Postać w pelerynie chwyciła mnie zimnymi rękami i rzuciła w krzaki.

Kiedy wróciłam do baszty, podrapana, zła i zapłakana, Rawi rzuciła się w moim kierunku, a Wanowi i Ottonowi jednocześnie opadły szczęki.

— Rzucił mnie w krzaki jakiś dziwny truposz! — Otarłam łzy. — Cała jestem podrapana i nadziana kolcami, a moja ulubiona spódnica numer dwa zamieniła się w łachman! Ale znajdę tego, co mi to zrobił, i zamorduję go po raz drugi, ostatecznie!

— Słyszałem już o tym widmie — powiedział Wan. — Chodźmy do Romona.

—To nie widmo — rzekł magister. — To infernal. Miałem nadzieję, że się z nim nie zetkniecie.

—Co znaczy: „Miałem nadzieję”? — oburzył się Otto. — Wiedział pan o istnieniu tego widma, istoty, czy czego tam jeszcze, i nic nam pan o tym nie powiedział? A gdyby on zabił Olę?

—Dał o sobie znać nie po raz pierwszy — przyznał magister. — Dwa lata temu żywcem pożarł trzech nekro- mantów przebywających tu na przeddyplomowej praktyce. Próbowali go uspokoić. I tak długo się nie pokazywał, że sądziliśmy...

—A co to jest infernal? — zapytałam, gmerając w pamięci, jednak niczego tam nie znajdując. Chyba zasnęłam na ten wykład... albo byłam na wagarach... A na egzamin, jak zwykle, nauczyłam się tylko na połowę pytań.

—A nie miałaś na wykładach? — zdziwił się Wan.

—Prawdopodobnie nie było mnie wtedy — wyjaśniłam, nie mrugnawszy nawet okiem. — Oczywiście, miałam bardzo ważny powód.

—Infernal to istota martwa, posiadająca ciało, przywiązana do określonego artefaktu — wyjaśnił magister Romon. — Wypełnia swoje zadanie, które wyznacza mu twórca artefaktu, do czasu, aż ten się zdezaktywuje.

—Kto był jego twórcą? Dlaczego artefakt nie zdezak- tywował się do tej pory?

—Twórcą był młody chłopak, wasz rówieśnik. Niedouczony mag. Był jednym z ostatnich obrońców baszt w czasie wojny. Zawarcie rozejmu potraktował jako zdradę wobec wszystkich poległych i jako upadek swoich idei. Zostawił więc po sobie taką paskudną pamiątkę. Nie wiemy, gdzie znajduje się artefakt, ani jak wygląda — jest ich tutaj mnóstwo, infernal może być w każdym z nich.

—A gdyby tak prześledzić zakłócenia magicznego pola? — błysnęłam erudycją.

—Baszty stoją w miejscu stałych zakłóceń magicznego tła, dlatego zostały postawione właśnie tutaj! — wykrzyknął magister. — Amulety, które wykonywano dwieście lat temu, w większości ładują się same. Nie jesteśmy w stanie prześledzić wszystkich! Dlatego przysłali was, by wszystko tu oczyścić! Być może będziecie mieć szczęście...

—A ci nekromanci, zabici przez infernala. Znaleźli coś? — ostrożnie zapytał Wan.

—Znaleźli, pewnie. Zarozumiali gówniarze! Niczego nam nie powiedzieli, wszystko chcieli sprawdzić sami.

I zapłacili za to. Dlatego, jeśli wpadnie wam coś do głowy, od razu przychodźcie z tym do mnie!

— Zrozumiałaś, Ola? — spytał znacząco Otto.

Ocknęłam się, zdając sobie sprawę z tego, że ułożyłam

wargi w trąbkę — co u mnie znaczyło, że intensywnie nad czymś rozmyślałam.

— Zrozumiałam. Nie jestem taka głupia, żeby leżeć w paszczę potwora, który zeżarł trzech nekromantów.

Półkrasnowłódzki pokręcił sceptycznie głową.

@

— Ciekawy widok — powiedział Wan, kiedy po paru dniach zobaczył naszą malowniczą parę.

Rozpuściłam długie, faliste włosy Ottona i płynnie wodziłam po nich grzebieniem. Z reguły krasnowłódzki zaplatał włosy w ciasny warkocz, wzmacniał go na całej długości cienkimi srebrnymi spinkami i nie ruszał przez tydzień czy dwa. Potem z jękiem rozplątywał powstałe gniazdo, próbował je rozczesać i znowu zaplatał w mocny warkocz. Długie, sięgające pasa włosy oraz gęsta broda — to chluba każdego krasnowłódzkiego. Z tym że krasnowłódzki czystej krwi mają grube, mocne włosy, które w ogóle się nie plączą. Mojemu przyjacielowi trafiły się włosy po matce — człowieku: czarne, puszyste i kręcone. Lubiłam je czesać w okresach wzmożonej aktywności myślowej — pomagało mi się to skupić. Półkrasnowłódzki uwielbiał takie momenty,



jednak ja przestrzegałam swojej teorii, że jeśli będę za często rozmyślać, to myśli mi się skończą. A radość czesania spotykała Ottona na tyle rzadko, że z wielką cierpliwością znosił pierwsze dziesięć minut szarpania kołtunów.

—Nie boisz się, że dostaniesz zmarszczek? — zapytała Rawi, patrząc na moje usta wyciągnięte w trąbkę.

—Szz... — zasyczał na nich Otto, prosząc tym samym o ciszę. Taki prawie przyjacielski gest na tyle ich poraził, że zamilkli i z szacunkiem zamarli w oczekiwaniu na nasze słowa.

Niecierpliwie zaplotłam warkocz, wzmocniłam go spinkami i zaczęłam:

—Wiem, co to za artefakt. No, wiem w przybliżeniu.

—Mówisz poważnie?

—Bardzo poważnie. Magister Romon powiedział: chłopak! Chłopak. Dlatego artefakt znalazło trzech młodych nekromantów, a nie mogli go znaleźć najlepsi magowie! Dowiedziałam się paru ciekawostek od magistra Freda. Otóż ten mag — niedouk, Danbot, żył książkami, bohaterami i ich dokonaniem. Chciał, żeby o nim też powstawały legendy, a dziewczyny padały mu do stóp. Dlatego zwił z uniwerku do tych baszt — żeby walczyć i zdobywać zasługi.

—Poczekaj, poczekaj! Skąd ty o tym wiesz?

—Mówiłam, od magistra Freda. Jest stary i służył tu wtedy, gdy zjawił się Danbot, z prawie pustym mieszkaniem i w zniszczonej kolczudze. Fred pracował wtedy jako intendent Baszt, przecież wtedy stacjonował tu garnizon. Starcia z nieprzyjacielem były wtedy codziennością...

Danbot ze złością w sercu zajadł taflę podłogę starą szczotką. Znowu się z niego śmiało! Znowu! „Jesteś za mały — powiedział dowódca garnizonu, wąsaty weteran Tolik — Jak tylko podrośniesz, weźmiemy cię ze sobą”. Podrośniesz! Był tutaj najsilniejszym magiem, silniejszym od nich wszystkich. Trzej kalcycy, których jedyną przewagą był wiek i dyplom ukończenia magicznej szkoły wyższej. A czwarty woli zajmować się zaopatrzeniem i innym barachlem. A on, on, Danbot...! Wykładowcy mówili mu, że jest silny, i to bardzo. I inteligentny. Nie bez powodu jego mama powtarzała mu codziennie: „Danbot, będą o tobie mówić, będziesz sławny”. Jest dorosły, pełnoletni! Co z tego, że jest niski — w dzieciństwie długo chorował, za to, będąc zmuszony leżeć w łóżku, dużo czytał. Pochłaniał książki tonami, stawiając siebie na miejsce bohaterów. I dziewczyny, oczywiście, dziewczyny... Każdy z bohaterów miał ukochaną, i to nie jedną. Niedawno mama przysłała wiadomość, że ojca zabiły przekłete elfy. Nie to żeby cierpieć z powodu jego śmierci — ojciec był słynnym generałem, który nie zwracał najmniejszej uwagi na swojego chorowitego syna podczas rzadkich wizyt w domu, ale bohater musi się obowiązkowo za kogoś mścić! Tej nocy Danbot

zabrał swoje rzeczy i poszedł do Forbittenńskich Baszt. Zegnać się nie miał z kim — swoich kolegów z uczelni początkujący bohater uważał za osoby ograniczone i nudne, niedoceniające należycie porywów jego duszy. Danbot szedł do swojego celu prawie tydzień, żywiąc się kradzionym po wsiach jedzeniem. Prowadziła go nadzieja, że tam, w basztach, znajdzie swoje miejsce. Rzeczywistość jednak okazała się być okropna. Najpierw chciano odesłać go do domu, następnie zaś musiał wykonywać najgorsze prace — zmywać, czyścić, sprzątać. Skończył myć podłogi i rzucił szczotkę w ką. Teraz do kuchni, pomóc kucharzowi w gotowaniu dla wojaków. Może w talerze im napluć, czy co?

Tego wieczora wąsatemu Tolikowi nie było do żartów. Wrogim kuborskim siłom udało się zabić od razu dwóch magów.

—Kuboria jeszcze za to zapłaci, bądźcie pewni — odgrażał się wąsacz w czasie kolacji. — Nasz król zmiażdży ich jak wszy!

—Pewnie tak — zachmurzył się mag bojowy imieniem Arsen. — Ale nie zamierzam sam jeden osłaniać cię, gdy będziesz podszczypywać kuborczan. Macie siedzieć w basztach, dopóki nie nadciągną posiłki.

—Bzdura, mamy jeszcze maga.

—Proszę wybaczyć — wtrącił się Fred. — Nie jestem magiem bojowym. I nikt nie zmusi mnie, bym poszedł z panem do ataku.

—Trwa wojna! — krzyknął Tolik.

—Wszystko to prawda, jeśli jednak pańskie amulety i artefakty przestaną działać w najmniej odpowiedniej chwili, proszę mnie za to nie winić.

Tolik zastanowił się. Zdawał sobie sprawę, że ze starego i tchórzliwego teoretyka pożytku będzie niewiele, ale wyruszać na objazd granicy z jednym magiem to prawdziwe samobójstwo — przygraniczne oddziały nieprzyjaciół mają w swoim zestawie trzech lub czterech magów.

—Ej, mały!

Danbot podniósł głowę.

—Znasz zakłęcia bojowe?

—Uczyłem się ich na kierunku magii bojowej! — Danbot zeskoczył z ławy. — I byłem najlepszym studentem!

—Ciekawe, jak tam w ogóle się dostałeś — wymamrotał pod nosem Arsen. Pomogła mama, ale tego Danbot ujawniać nie miał zamiaru.

—Dobrze więc — westchnął Tolik. — Pojutrze pojedziesz z nami na patrol.

—Naprawdę? — Danbot nie mógł uwierzyć.

—Bardzo naprawdę — zachmurzył się Tolk. — Wojna jest, synek.

Kiedy Danbot, nucąc, zbierał ze stołu naczynia, podszedł do niego Arsen, schwycił go silną ręką za chudziutkie ramię i wycedził, patrząc w bok:

—Spójrz na mnie, koleżko. Nie jestem twoją niańką, jasne? Jeśli sprawisz choćby najmniejszy problem — zabiję cię w lesie własnymi rękami. I powiem, że to kuborczy...

Masz mnie bezwzględnie słuchać! Czy wszystko jasne? — Mag potrząsał Danbotem, aż doczekał się wylęknionego: „Tak, oczywiście”, odwrócił się i wyszedł, zamiatając długim płaszczem podłogę.

Danbot nie spał całą noc. Najpierw czyścił kolczugę, tak by błyszczała, potem szukał w konspektach zakłęb. Wciążu dnia dobrał sobie kilka artefaktów, nie dostrzegając, jak doświadczeni wojownicy śmieją się za jego plecami.

Tak, doczekał się, teraz nastąpi jego tryumf. Na pewno zabije kilku wrogów i uratuje Tolika od nieuniknionej śmierci. Danbot malował w marzeniach obrazki przyszłości: oto Tolik ogłasza go bohaterem na oczach całego uniwersytetu. Naczelnik miasta wręcza mu order... nie, sam król!

Mama, płacze ze szczęścia. Dziewczyny patrzą zakochanym wzrokiem. A oto jego koledzy z roku... Jakże będą teraz żałować, że nie rozumieli Danbota, nie przyjaźnili się z nim, kpili... Będzie dumnie przechodził obok, pobłyskując swoim orderem.

Nocą spał bardzo źle. Mętne sny mieszały się z okresami bezsenności. W ciągu takiego właśnie okresu Danbot usłyszał słaby sygnał w gołębniku — przyleciał gołąb pocztowy.

„Do komendanta Forbittenśkich Baszt” — było napisane na cienkim papierze, przywiązany do nóżki gołębia. Komendantem był Arsen — tytuł ten automatycznie przechodził na najstarszego maga.

— Co tam? — zapytał mag sennie, kiedy otworzył drzwi. — Nie śpisz, mały?

— Gołąb przyniósł. — Danbot podał mu Ust. — Ze stolicy.

Arsen wyszeptał zakłęcie deszyfrujące, przebiegi wzrokiem pojawiające się wersy i uśmiechnął się.

— Wczesnym rankiem zadzwonisz na ogólne zebranie — rozkazał i zawrócił w głąb izby.

— Co było w liście?

— Król zawarł pokój z Kuborią. Jutrzejszy wypad odwołany. Możesz się pakować — część garnizonu wyśle do domu. Ktoś obowiązkowo dostarczy cię do szkoły. I porozmawia z rektorem. O karze za ucieczkę z uczelni — dorzucił Arsen po namyśle.

Przerażenie chwyciło Danbota za gardło. Długo milczał, stojąc przed zamkniętymi drzwiami pokoju komendanta. Nie ma już marzeń o sławie i dziewczynach! Znowu zostanie odszczepieńcem, nikt go nie będzie rozumiał, znowu nie będzie końca kpinom, z marzeń o dziewczynie także nici. A mama na pewno go nie pochwali.

Zdrajcy! Zdrajcy! Jak oni mogli tak łatwo zapomnieć

— tym, co było? Jeden papierek — i żołnierze z garnizonu radośnie wracają do domu, zapominając o tym, że jeszcze wczoraj do nich strzelano! A jego odstawiają na pastwę rektora! To po co on uciekał? Szorować podłogi i gary? Jakiż sens miało tygodniowe niedojadanie i poranione nogi, *gdy* szedł do Baszt? Po to, żeby nawet z daleka nie zobaczyć wroga?

Wściekłość — nie złość, a po prostu wszechogarniająca wściekłość — zawładnęła Danbotem. Zazgrzytał zębami

— zacisnął pięści. A więc dobrze! Nie mogliście uwierzyć, że jestem magiem bojowym, to teraz wam to udowodnię, jeszcze pożałujecie!

—Rankiem powieziono go z powrotem do miasta. W czasie podróży on i jego obstawa zniknęli bez śladu. Poszukiwania spełzyły na niczym. A pierwsze poselstwo do Kuborii, które zatrzymało się w tych basztach, straciło w ciągu nocy połowę swego stanu. Tak oto dowiedzieli się o istnieniu infernała — zakończyłam opowieść.

—A więc to Danbot go stworzył..

—Przez pół nocy zaledwie, i to w wielkiej wściekłości — przerwał Wanowi Otto. — To oznacza, że nie stworzył samego artefaktu, napełnił go tylko mocą.

—I nikt nie mógł pojąć zasad jego działania, ponieważ ich nie było? — uściśliła Rawi.

—Ależ są — odpowiedziałam. — Dlatego że nie przy wszystkich obcych artefakt działał. Tylko ta zasada — zasada prawdopodobieństwa. Strasznie trudno jest takie coś wykryć, ale za to robi się bardzo łatwo.

—No więc co to jest?

Wskazałam ręką do góry. Wszyscy zgodnie zadarli głowy i parę minut patrzyli w niebo, a potem jednocześnie skierowali oczy na mnie.

—Patrzycie w złym kierunku. To wiatromierz nad gołębnikiem.

W milczeniu spojrzeli na wiatromierz z kutego żelaza na dachu.

—I co? — Otto postanowił przerwać ciszę pełną skupienia.

—Po prostu zastanowiłam się. Jeśli jestem wściekła i pełna furii, jak Danbot, to kto jest przedmiotem mojej wściekłości?

—Król? — zaryzykował Wan.

—Arsen?

Przecząco pokręciłam głową.

—Spróbowałam postawić się w miejsce Danbota. Rzucam się do komnaty — tam wisi wypolerowana kolczuga, która przypomina mi o nie urzeczywistnionych marzeniach, kuchni nienawidzę, a w piwnicach ktoś na pewno sobie popija. W furii i desperacji biegnę na górę, do gołębnika. A tam — ptak, który przyniósł niemiłą wiadomość, i to tak nie w porę! Ach, odegrać by się na nim, ukrećić mu łeb. Myślę, że właśnie w gołębiach naszła go myśl, by wejść na dach. Być może chciał się z niego rzucić, ale zobaczył wiatromierz i wpadł na pomysł, jak może się na wszystkich zemścić. To rzecz, o której wiedzą wszyscy, ale nikt nie zwraca na nią uwagi! Sprawdziłam — tam magiczne pole lekko się zmienia.

—Jak ty to zrobiłaś? — zdziwił się Wan.

—Gdybyście studiowali na normalnej uczelni... — półkrasnolud wstawił swoje trzy grosze.

- Jestem teoretykiem — wtrąciłam spiesźnie. — Czasami razem z Ottonem robimy artefakty. Potrafię zobaczyć zaburzenia magicznego pola.
- Ale magister Romon mówił, że jest tu tyle artefaktów, że one wszystkie bez przerwy zmieniają pole!
- Aha, Otto, gdzie znajduje się większość artefaktów?
- W piwnicy — ponuro odpowiedział przesiadujący tam cały czas półkrasnolud.
- I dlatego zdziwiły mnie zaburzenia pola przy wiatromierzu.
- Możesz się jednak mylić — powiedział ostrożnie Wan, odsuwając się nieco od Ottona, tak na wszelki wypadek.
- Zaraz to sprawdzimy! Według mnie, artefakt działa przy pewnym położeniu wiatromierza, w zależności od kierunku, w jakim wieje wiatr. Przy któryms położeniu wahania pola będą największe. Ty, Wan, polezisz na górę i będziesz kręcił wiatromierzem w różne strony, a ja tu na dolę będę kreślić schematy i mierzyć. Otto będzie zapisywał, a Rawi dokładnie zapamięta miejsce położenia wiatromierza przy największym wahanu pola.
- A dlaczego to Wan ma iść na dach? — oburzyła się Rawi.
- Ponieważ jest praktykiem, więc to jego robota — powiedział Otto z zadowoleniem.
- A jeśli wylezie infernal?
- Na pewno nie wylezie. Danbot zakłęcie robił nocą, dlatego automatycznie związał je z mrokiem. W jakimkolwiek innym czasie byłoby trudniej. A tak w ogóle, to szacownym magom nigdy nie przyszło do głowy, że artefaktem może być jakaś całkiem zwykła rzecz. Przywykli do tego, że pod artefakty przygotowuje się przedmioty specjalnie do tego celu! Po paru minutach kręcenia wiatromierzem w różne strony, powiedziałam:
- Jest.
- Odnotowałam położenie — odrzekła Rawi.
- Możesz już spadać z dachu! — krzyknął do Wana Otto.
- Naturalnie, nie zamierzaliśmy informować o naszych odkryciach magistra Romona. Narada wojenna odbyła się tylko w naszym studenckim gronie.
- Dezaktywować artefakt i po kłopotcie! — powiedział Wan.
- Należy go dezaktywować podczas jego działania. — Przeglądałam książki, które znalazłam w basztach.
- A co wtedy z infernałem?
- Teoretycznie, powinien się rozsypać.
- Az kogo on w ogóle powstał?
- Myślę, że z jednego z martwych magów. Z martwego żołnierza zrobić go nie miałyby sumienia, magów nie lubił o wiele bardziej.

– Aha, a jego ciała nikt nie odnalazł.

Podjeźrzliwie spojrzalam na Ottona. Wydawalo mi sie, ze on wyklad o infernalach tez przehulal.

– Zeby stworzyc infernala, nie trzeba koniecznie wykorzystywac trupa. Artefakt przywiazuje sie po prostu do jakiegoś ciała, i to wszystko. A potem to ciało wstaje z grobu i działa – powiedział Wan.

– Niby jak zombie? – błysnął wiedzą Otto.

– Nie, zombie nie może długo istnieć, tam zasada tworzenia jest inna – przypomnialam sobie zajęcia z nekromagii. – Ale rzeczywiście mają dużo wspólnego.

– A więc działamy o północy. Wan, ty ustawisz wiatromierz w prawidłowym położeniu, Otto i ja dezaktywujemy artefakt, Rawi osłoni nas od spodu, a ty od góry. W razie jakichś niemiłych niespodzianek.

– Może jednak powiedzmy Romonowi? – Rawi przejawiała zdrowy rozsądek.

– Nie, nie, on nam zabroni wszystkiego! – spłoszył się półkrasolud.

– W ogóle pojąć nie mogę, po co się tego podjęliśmy – upierała się. – Chcecie zginąć? Zamyśliłam się.

– Po pierwsze, jest nas aż czworo, po drugie, tu jest nudno, po trzecie, jeśli nam się uda, to pomyśl, jak wspaniale będą wyglądać nasze sprawozdania z praktyk!

„I Bef mnie doceni, i utrę komuś nosa, żeby nie myślał, że jest taki najmądrzejszy” – dokończyłam w myślach.

Rawi te argumenty nie przekonały, a Wan, patrząc na nią, także zaczął się wahać.

– No właśnie, praktyki! – z pogardą powiedział mój najlepszy przyjaciel. – Niby jak jeszcze możecie zdobyć takie doświadczenie? Szorowanie podłóg i donoszenie magistrom to chyba niewielka nauka!

Wan przyznał mu rację, a ja się uśmiechnęłam. Klamka zapadła.

Nocą obudził mnie Otto.

– Dość tego wylegiwania się! Ruszamy do pracy.

– Zostaw mnie, chcę spać! – naciągnęłam kołdrę na głowę.

– Ci tam, wiesz, o kim mówię, to się w ogóle nie kładli! A ty...

Zrozumiałam, że już nie pośpię. Gdyby Wan i Rawi też spali...

– Jak zwichniysz szczękę, nie będę ci jej nastawiał – przerwał Otto moje słodkie ziewanie.

– Masz dwie minuty na ubranie się.

Zamknęłam usta, gryząc się w język. Mój najlepszy przyjaciel rzucił mi spódnice i, skrzyżowawszy ręce na brzuchu, pozostał w pokoju, by nie dopuścić do moich prób wypełnienia z powrotem pod kołdrę.

Moje pojawienie się na dworze przerwało gorący spór toczący się między Wanem i Rawi. Wan próbował odebrać jej miecz i nakłonić ją do schowania się w piwnicy.

– Kołdra na plecach to jakiś nowy sposób dezaktywacji artefaktów? – zapytał Wan.

— Jak będziesz się śmiać, rzucę na ciebie urok — wymruczałam. — Zimno mi, to się otulam.

— Dobra, dobra... — Otto trącił mnie z tyłu. — Już ja cię znam. Zaraz legniesz na ziemi i zaśniesz. Ściągaj tę kołdrę.

— No dobrze już — ziewnęłam. — Wan, włącz na dach. Zaczynamy.

— Magister Romon śpi — powiedziała Rawi. — Właliśmy mu do mleka wyciąg z maku.

Zaczęłam kreślić schemat. Dzięki piaskowemu podłożu i księżycowi, który świecił jasno jak latarnia na głównej ulicy, linie były dobrze widoczne. Otto rozstawiał w odpowiednich miejscach potrzebne artefakty, wydobyte z piwnicznych czeluści.

— Jestem na dachu! — rozległ się okrzyk Wana.

— Gotowe — odpowiedziałam. — No, Niebiosa, pomóżcie!

Ośmiokątny schemat zaświecił na zielono. Zerwał się silny wiatr. Szarpał Wanem wiszącym na wiatromierzu niczym zapomnianą skarpetkę na lince do suszenia bielizny. Urywaniem głosem czytałam dezaktywujące zaklęcie — moje ulubione. Korzystałam z niego dosyć często, ponieważ twórcze eksperymenty, przeprowadzane przeze mnie i Ottona, prowadziły czasem do nieoczekiwanych rezultatów. Ale takiego pentagramu nie kreśliłam jeszcze nigdy — siła naszych artefaktów była o poziom niższa.

— Wan, złaź! — zawołał półkrasnolud ile sił w płucach. — Prędko!

Praktyk rzucił się na dół na łeb, na szyję. Wiatromierz zabłysnął zielonym światłem i rozsypany się w proch. Padłam na ziemię z osłabienia — było to całkowicie zrozumiałe, w końcu przepuściłam przez siebie wielką ilość magicznej energii! Kiedy w dali rozległ się dziki ryk, nawet się nie odwróciłam, żywiąc posępną nadzieję, że rozszalały infernal skonsumuje kogoś innego. Swoją drogą, dlaczego nie zdechł?! Odwróciłam się na czworakach. Obraz potwora, który powiększył się kilka razy, dodał mi sił, więc w ekspresowym tempie popęzłam schować się za najbliższym drzewem. Rawi wydobyła miecz i rzuciła się na infernala.

— Mamo, mamusiu... — szeptałam, starając się wydusić z siebie jakiegokolwiek zaklęcie.

Infernal niedbale odepchnął Rawi i zdecydowanie ruszył w kierunku półkrasnoluda. Otto, nie mając pod ręką niczego lepszego, uderzył potwora artefaktem, stojącym w ośmiokąciu, i zaczął uciekać do baszty ile sił w nogach. Infernal — za nim. Rawi rzuciła się Danbotowemu tworowi pod nogi. Infernal poleciał na pysk.

— Ratunku! — zawołałam w nadziei, że usłyszy któryś z magistrów.

Niestety, pomoc w porę przychodzi tylko w dziecięcych bajkach. Infernal podniósł się, chwycił łapskiem Rawi i podrzucił ją w powietrze.

W uszach zadźwięczał przejmujący, cienki krzyk. Gdy tylko zdałam sobie sprawę, że ten dźwięk wychodzi z mojego gardła, szybko zamknęłam usta.

— Rawi! — krzyknął Wan, pojawiwszy się na koronie baszty. — Rawi!

Rzucił w infernala kopią.

— Mnie bierz, mnie, gadzino! Ach, ty sukinsynu!

Potwór zawrócił, odrzucił Rawi i ruszył w kierunku

Wana. Kopia sterczała w jego boku niczym dziwna ozdoba. Wan rzucił w jego stronę strugę ognia. Infernal ryknął i uderzył ścianą powietrza.

Fala uderzeniowa porwała mnie i rzuciła o drzewo. Nie wiem, jak długo byłam nieprzytomna, ale otworzywszy oczy, ujrzałam, co następuje: Rawi leżała jak połamana lalka, Wan pełził ku niej, zostawiając za sobą krwawy ślad, a przed infernałem wzniosła do góry ręce jakaś szczupła postać, ubrana na czarno. Zemdlałam znowu.

Ponownie otworzyłam oczy, gdy ktoś przemawiał do mnie rozkazująco:

—Otwieraj oczy, koniec udawania. Nie bój się, dziewczyno, już koniec. Ola, jeśli nie otworzysz oczu, naleję ci za kołnierz zimnej wody.

—Otto — wychrypiałam — ty sadysto.

—Żyje, już wyzywa — zabrzmiał czyjś zmęczony głos.

—Otto — wyjęczałam. — Źle ze mną, umieram.

—Co?!

—Mam omamy słuchowe.

—A, ale on tu jest, wstać możesz?

—Nie. Podnieście mnie!

—Mam złamaną rękę — odparł Otto. — Sama wstawaj.

—A...

—Głupia jesteś — zaszeptał do mnie mój najlepszy przyjaciel, łaskocząc ucho brodą — on by teraz nawet muchy nie podniósł.

—Też mi bohaterowie, Sukinkot! — namacałam ręką pień drzewa i spróbowałam się unieść.

Obok siedział Irga i kontemlował pole bitwy. Infernal znikł, zostawiwszy po sobie niewielki lej w ziemi. Przy Rawi i Wanię krzątał się magister Romon.

—Co... ty... tutaj... robisz?

Irga nie zwrócił na mnie uwagi. Otto odpowiedział za niego:

—Siedzi.

—To widzę. Jak on się tu w ogóle znalazł?

—Przyjechał.

Machnęłam ręką.

—Co z nimi?

—Będą żyć.

®

Następnego dnia magister Romon wezwał nieco cierpiących jeszcze wojowników do pokoju Wana. Ponury chłopak leżał w łóżku, gdzie przyjdzie mu spędzić parę długich miesięcy.

—Niektórzy z obecnych w tym pokoju, mimo moich próśb, zdecydowali się zająć zniszczeniem inferala na własną rękę.



—Przerażające! — Otto przewrócił oczami.

Razem z Rawi patrzyliśmy na magistra wzrokiem oddanego psa.

—I gdyby nie jego ingerencja — Romon wskazał na rozwalonego w fotelu Irgę — to wasi rodzice otrzymaliby w prezencie wasze kosteczki, porządnie związane wstążeczką.

—Jest pan prawdziwym estetą! — zachwycił się Otto. Pozostali zgodnie przytaknęli.

—Milczeć! — rozsierdził się magister. — Jesteście bezmyślni, nieodpowiedzialni, nie myślicie o innych...

—Jest nam wstyd — przyznałam.

—I żałujemy — wtrącił Otto, gładząc swoją złamaną prawicę.

—Żałujemy z całego serca — potwierdziła Rawi, tuląc do siebie złamaną lewą rękę i rzucając krzywe spojrzenie na stojącą obok kulę. Chciała bronić się nią przed magistrem, czy co?

—Proszę nam wybaczyć! — zawołałam, padając na kolana. Szybko spojrzałam na Irgę i zauważyłam, że rozkoszuje się spektaklem. Ale nie jemu będą zaliczać tę praktykę, warto więc było się starać!

—Eee, ale... — Romon cofnął się.

Poranione i zbite od uderzenia w drzewo plecy odezwały się takim bólem, że zalałam się prawdziwymi łzami.

—Niech nam pan wybaczy...

—Dziewczyno, dziewczyno, ja się nie gniewam. Chciałem was tylko ukarać za samowolę — powiedział Romon. Oj tak, nie ma doświadczenia w kontaktach ze studentami! Bef wywaliłby mnie z gabinetu na zбитy pysk i jeszcze kopniakiem poprawił. W bolące miejsce.

—A nasze zaliczenia z praktyk? — Otto zdecydował się iść za ciosem i wyciągnął do magistra rękę w błagalnym geście. Gips przeważył i półkrasnolud o mało nie spadł z krzesła.

—Podpiszę... Po prostu nie chciałbym, żeby wam się coś stało... Jesteście w porządku... — Magister zrejterował.

Spojrzeliliśmy po sobie zwycięsko.

Irga zaklaskał i podniósł się.

—Ola, Otto, jutro wracamy na uniwersytet. Na waszym miejscu pospieszyłbym się z pisaniem sprawozdania.

—Lubisz psuć chwile radości — westchnęłam.

Nekromanta wzruszył ramionami.

—Ech, czemu jestem leworęczny? — zapytał mój najlepszy przyjaciel, ugrzązłszy na trzeciej stronie.

—Dla sprawiedliwości — wyjaśniłam z ochotą. — Inaczej byś się wymigał od sprawozdania, a tak piszemy razem. Dlaczego Wan rzucił się na infernala? Przecież mógł go ostrzelać z okna?

—Idź i zapytaj. — Na Ottona spłynęło natchnienie i nie chciał odrywać się od pisania. Poszłam do Wana i zadałam mu to pytanie.

—Dlatego, że kocham Rawi — odpowiedział prosto. — Trzeba ją było niezwłocznie ratować.

—Czy to znaczy, że byłeś gotów oddać za nią życie?

—To ona jest moim życiem. Dlatego nie oddawałem życia, ja je ratowałem. Pobiełam szukać Irgi. Siedział na podwórzu i wystawiał swoje blade ciało do słońca.

—Przyjechałeś, żeby mnie ocalić?

—Nie — ziewnął nekromanta. — Dostałem zlecenie, żebym spróbował zneutralizować infernala. Magister Romon już dawno tego się domagał. I przyjechałem. Po prostu tak się złożyło, że trafiłem na moment waszej słynnej porażki.

—Taaak? — przeciągnęłam z rozczarowaniem w głosie.

—Nic osobistego. Odejdź, zasłaniasz mi słońce.

Całą drogę powrotną dąsałam się, ale na Irdze nie zrobiło to żadnego wrażenia — spał całe dwa dni. Ja też spałam, ale nie aż tyle, musiałam jeszcze mieć czas na dąsy. Ottona nie opuszczał świetny humor, przed wyjazdem przeprosił Wan a i Rawi za swoje zachowanie, przyznawszy, że „tak w ogóle — jesteście w porządku, tylko wasza akademia narusza prawa...”. Ja zaś pożegnałam się z praktykantami bardzo ciepło.

Wylegiwałam się na łóżku. Na parę dni, po otrzymaniu oceny z praktyk, można było jechać do domu, do rodziców. Ale można też było nie jechać, tylko hulać po całych dniach, nie tracąc czasu na naukę. Plecy mnie już nie bolały, lato cieszyło serce wspaniałą pogodą.

—Idziesz ze mną? — Do mojego pokoju wpadł mój najlepszy przyjaciel.

—Nie chce mi się.

—Ale nawet nie wiesz, dokąd.

—I tak mi się nie chce.

—Irgę nagradza naczelnik miasta.

—Nie mogę patrzeć na jego fizjonomię — ożywiłam się.

—A komu naczelnik ma się podobać? Ale Irdze należy pogratulować!

—O Irdze mówiłam. On...

Otto nie słuchał.

—Nagradzają go za rekordową prędkość w przebyciu dystansu Czystiakowo — Forbitterńskie Baszty.

—Nie mów?

—Znaczy to, moja droga, że gdy tylko dostał zlecenie — nie dostał, a zmusił przełożonych do jego wydania! — to leciał do baszt, ustanawiając rekord prędkości.

Nie zareagowałam.

—I co, dalej niczego nie rozumiesz? — rozgniewał się Otto. — Przez lata, nie, przez całe wieki ciągnęła się ta sprawa z infernałem. Nie zastanawia cię fakt, że właśnie Irga i właśnie wtedy, gdy tam byliśmy, otrzymał nakaz?

—Ale...

—Żadne ale! Jak tylko dowiedział się o tej historii z infernałem, od razu pomyślał o sposobie, żeby jak najszybciej dotrzeć do baszt. A jak tylko dostał nakaz, to leciał do swojego obiektu westchnień jak błyskawica.

—Do infernała?

—Do ciebie! — wrzasnął Otto. — Tak się bał, że wpadniesz infernałowi w łapy, że nawet nie wstąpił po swoje rzeczy do domu!

—Wprawnie się z nim uporał.

—Irga zajmował się problemem zniszczenia inferała od momentu twojego wyjazdu na praktyki — powtórzył półkrasnolud powoli i czule, jak dzidziusiowi. — A to znaczy...

—Już dobrze, nie musisz mnie więcej przekonywać. Idę z tobą.

W miasteczku uniwersyteckim panowała cisza. Ludziska rozjechali się na praktyki i po domach. A ci, którzy zostali, odsypiali nocne hulanki.

—Dlaczego mi nie powiedział, że to dla mnie? Dlaczego powiedział, że to tylko dlatego, że dostał odgórne zalecenie? „Nic osobistego” — tak powiedział.

—A doceniłabyś? — Otto, mrucząc jak kot z zadowolenia, jadł morele, znacząc naszą drogę pestkami.

Spojrzałam na jego dużą torbę.

—Oczywiście, że bym doceniła. Jak docenia się kogoś, kto coś dla ciebie robi.

—Nie rozumiesz — wymamlał półkrasnolud z pełnymi ustami. Sok pociekł mu po brodzie, dałam mu więc chusteczkę i zauważyłam:

—Oto do czego doprowadza łakomstwo.

—Nie doprowadza. Mam tylko jedną sprawną rękę, i to zajęta morelami. Nie mam jak cię poczęstować.

—Zadanie nie do rozwiązania!

—Dobra. A więc nie zrozumiałaś — powiedział Otto, podsuwając mi torbę. — Ty byś to oceniła jako czyn odnoszący się do ciebie. Właśnie Irgi i właśnie ciebie. Typu: Irga kolejny

raz udowodnił, że żywi do mnie gorące uczucie, do mnie, bezmyślnej i tępagłowej pannicy.

— On mi niczego nie mówił o uczuciach.

— On nie mówi, a działa, a to jest o niebo lepsze.

— I nie jestem tępagłowa.

— Jeśli chodzi o stosunki międzyludzkie, to jesteś.

Zatrzymałam się, wzięłam pod boki i powiedziałam twardo:

— Otto, dopóki Irga nie padnie przede mną na kolana i nie zapewni mnie o swej wielkiej miłości aż po grób, dopóty nie uwierzę.

— O mnie mowa? — rozległo się z tyłu.

Zazgrzytałam zębami.

— Och... — powiedział Otto cieniutko.

Zaciekawiło mnie to, więc się odwróciłam.

— Och...

Irga zdradził swoje codzienne ciuchy — wysokie sznurowane buty, skórzane spodnie i czarną koszulę. Teraz miała na sobie eleganckie brązowe spodnie i białą (!) koszulę. Długa grzywka, spadająca zwykle na oczy, została teraz starannie zaczesana i ułożona przy pomocy brylantyny. Nagle odsłoniło się wysokie czoło nekromanty. Błękitne oczy nie patrzyły teraz złośliwie, lecz wesoło i zadziornie.

— To ty... — powiedział półkrasnolud.

— Już wszystko odebrałem — dyplom do powieszenia na ścianie i pięć złociszy, co jak dla mnie jest o wiele bardziej istotne. Poprosiłem naczelnika miasta, by nie robił oficjalnego przyjęcia, żebym nie musiał potem jak goniec latać. Mimo wszystko, jestem nekromantą.

— Nie widać — oznajmiłam, oblizując lepkie od soku palce.

Irga popatrzył na ten obrazek i powiedział:

— To jak, powinienem paść przed tobą na kolana?

— A co, chcesz mi coś powiedzieć?

— Oczywiście, że chcę.

— Naprawdę? — poczułam, jak płoną mi uszy. Ottonowi opadła szczęka, sok znów pociekł po brodzie, ale nie zwrócił na to uwagi — patrzył na nekromantę wybałuszonymi oczami.

— Tak! — powiedział Irga radośnie. — Że najchętniej przełożyłbym cię przez kolano i po tyłku pasem: nie leż w łapy, nie leż w łapy infernalowi.

Teraz płonęła mi już cała twarz, a biorąc zamach, żeby spoliczkować Irgę, usłyszałam, jak Otto się śmieje.



# Rok Czwarty

13

◦ *Cierpienia z powodu figury*

zasami — no dobrze, będę szczerą — często, chciałoby się być naprawdę piękną, urodziwą kobietą. Chwytać zachwyczone męskie spojrzenia. Słyszeć, jak gwizdzą za tobą mężczyźni. Chłonać zawiść płci żeńskiej. Ach, piękni ludzie to dopiero mają dobrze!

Moje wielkie pragnienie udoskonalenia mego naturalnego wyglądu osiągnęło swoje apogeum podczas koncertu dla wysoko postawionych gości, z których nasz rektor zamierzał wycisnąć parę setek (a gdyby się dało, to może i tysięcy) złotych na potrzeby uczelni. Najbardziej lubiani i utalentowani studenci demonstrowali na scenie swoje możliwości, a ci, którym nie udało się wykręcić od obecności na koncercie, cierpliwie robili wrażenie dobrze wychowanych i wysoce wykwalifikowanych przyszłych magów, którym spokojnie można powierzyć jakiegokolwiek zadanie.

Razem z Ottonem gorąco klaskaliśmy po każdym numerze, chociaż występy podobnych do wrózek i nimf miejscowych piękności wywołały u mnie silne poczucie niedowartościowania, a pokaz siły i umiejętności wspaniałych młodzieńców powodowały, że brała mnie zawiść w stosunku do tych, do których wyżej wymienieni uśmiechali się w czasie wolnym od zajęć.

W końcu moje odczucia nie wytrzymały i musiały znaleźć ujście.

—Otto — wyszczałam. — A dlaczego to nie my występujemy dziś na tej scenie?

—Hm... — Półkrasnolud pogładził się po kosmatej brodzie. — Pewnie dlatego, że daleko nam do tych ślicznych jak z obrazka pupilków wykładowców.

—O czym ty mówisz? Popatrz na nią — wskazałam głową scenę. — To przecież Frolla. Ma tylko jeden zwój mózgowy i to poprzerywany! Jaki z niej pupilek?

—Medium mózgu nie potrzebuje. Wystarczy tylko, żeby powtarzała, co duch przez nią mówi. Za to spójrz na jej uśmiech! A figura! Twoja, oczywiście, podoba mi się jeszcze bardziej, jesteś taka apetyczna!

Tłumiąc w sobie napad nienawiści do swojego obżarstwa, zainteresowałam się:

—To znaczy, że jeśli porównać mnie, utalentowanego naukowca, z tą pustogłową chudzieńką ślicznotką, to ona jest ode mnie lepsza?

—W czymś przewyższasz ją na pewno — chrząknął półkrasnolud. — W skromności.

Nadaśałam się i do końca koncertu oddawałam się niewesołym rozmyśleniom nad swoim wyglądem.

—Przestań smęcić — powiedział Otto. — Chodźmy lepiej na piwo. Po dwóch kufelkach świat wyda ci się lepszy.

Westchnęłam. Żeby to było takie proste!

Letnie wakacje spędziłam w domu, gdzie przede wszystkim chciałam najeść się na zapas najwspanialszych dań mojej mamy, zanim powróci czas zwykłego odżywiania studentów — w dobre dni piwo i kiełbaska, w gorsze — kompot, kasza i suchary. Dlatego po powrocie do akademika okazało się, że wszystkie rzeczy są na mnie za ciasne. Nie cieszył mnie także szczery zachwyty mojego najlepszego przyjaciela nad moimi chomikowymi policzkami. Już dwa tygodnie męczyła mnie zadyszka, gdy wspinałam się na drugie piętro do swojego pokoju w akademiku. Rozpaczliwie chciałam powrócić do swojego poprzedniego stanu średnio utuczonej, ale rozepchany żołądek żądał jedzenia w ilościach ponadnormatywnych, a ja nie miałam sił, by mu odmówić.



—Ola, Otto, witajcie! Tak dawno was nie widziałam — z gracją podpłynęła do nas Tomna, pierwsza modnisia akademików. — Strasznie jestem ostatnio zajęta, a to próba przed koncertem, a to pokaz mody. A co u was dobrego?

—Powolutku do przodu — powiedziałam, przyglądając się jej z uwagą. Bardzo do tej pory szczupła Tomna stała się jeszcze chudsza.

—A ciebie co, w kamieniołomach trzymali? — Otto wyraził głośno moje myśli. — Mówią, że tam w ogóle nie dają jeść.

Tomna skrzywiła nos.

—Nawet przez chwilę nie miałam złudzeń, że zrozumiesz. W tym sezonie jest moda na bardzo smukłą figurę. Należy się dostosować.

—A co, król ma nową kochankę — elficę? — zapytałam.

—Nie, wróżkę. Byłam dwa tygodnie temu w stolicy i widziałam — dumnie odpowiedziała modnisia.

Wróżki — chudziutki, jakby bezcielesne stworzenia, posiadaczki skrzydeł podobnych do skrzydeł żówek, uchodziły wśród znawców za bardzo atrakcyjne seksualnie. Być może dlatego, że w ludzkich osiedlach wróżki pojawiały się bardzo rzadko, a być może, że znawcy również byli bardzo szczupli.

—A propos — sąsiadka z akademika otaksowała mnie spojrzeniem — wydaje mi się, że bardzo przybrałaś na wadze.

Zmilczałam.

—Nie chciałabyś spróbować nowej diety? — zapaliła się Tomna.

Przecząco pokiwałam głową.

—Ona nie wytrzyma żadnej diety — odpowiedział za mnie Otto. — Łatwiej jej cierpieć i pożerać w smutku pączki kilogramami.

Westchnęłam, pożegnałam się z Tomną i powlokłam do wyjścia.

—Ola? — biorąc pod uwagę częstotliwość pojawień się Irgi w moim życiu, czekają mnie nie tylko wesole dni.

Dzięki wielkie, o Losie, jesteś dziś dla mnie bardzo łaskawy.

—No cóż tam?

—Dawno cię nie widziałem, chciałem się przywitać.

—Ma dziś kiepski nastrój — oznajmił mój osobisty sekretarz. — Przeżywa nadmiar zbędnych kilogramów.

I w dodatku spotkaliśmy przed chwilą Tomnę, widziałeś, jaka jest zgrabna? W każdym razie nie radzę ci, Irga, podchodzić Oli pod rękę.

—Zbędne kilogramy? — Nekromanta obejrzał mnie, wzruszył ramionami i powiedział:

—A mnie się podoba. Położysz się takiej dziewczynie na brzusek i śpisz jak na miękkiej poduszce, kołysany miarowym burczeniem trawionych w kiszkiach kalorii. A co ważne, gdy nadejdą gorsze czasy, można jej długo nie karmić. Jedno w tym wszystkim jest kiepskie — kiedy umrze z powodu otyłości, ciężko będzie nieść trumnę. Trzeba będzie wynająć jeszcze jedną parę grabarzy. I grób większy zamówić. I dół głębszy...

Zrobiło mi się żal samej siebie, rozplakałam się i uciekłam, żeby nikt nie zobaczył łez żalu i złości.

Popłakawszy sobie za wszystkie czasy, znalazłam w akademiku Tomnę i wzięłam od niej przepis na nową dietę.

—Co ty wyprawiasz? — spytał mój najlepszy przyjaciel w niejakim oszołomieniu, wchodząc do mnie bez uprzedzenia.

—Wyprawiam w ostatnią drogę swoje zapasy na czarną godzinę — wyjaśniłam, wkładając do parcianej torby paczkę ciastek.

Półkrasnolud docenił rozmach mojej determinacji.

—A dlaczego przewróciłaś łóżko? — Otto położył materac na miejsce i starał się znaleźć prześcieradło.

—Pod poduszką trzymałam pierniki, a pod materacem — elfickie słodycze.

—Postanowiłaś przejść na dietę? Poważnie? Czy coś się stało?

—A co, król ma nową kochankę — elficę? — zapytałam.

—Nie, wróżkę. Byłam dwa tygodnie temu w stolicy i widziałam — dumnie odpowiedziała modnisia.

Wróżki — chudziutkie, jakby bezcielesne stworzenia, posiadaczki skrzydeł podobnych do skrzydeł ważek, uchodziły wśród znawców za bardzo atrakcyjne seksualnie. Być może dlatego, że w ludzkich osiedlach wróżki pojawiały się bardzo rzadko, a być może, że znawcy również byli bardzo szczupli.

—A propos — sąsiadka z akademika otaksowała mnie spojrzeniem — wydaje mi się, że bardzo przybrałaś na wadze.

Zmilczałam.

—Nie chciałabyś spróbować nowej diety? — zapaliła się Tomna.

Przecząco pokiwałam głową.

—Ona nie wytrzyma żadnej diety — odpowiedział za mnie Otto. — Łatwiej jej cierpieć i pożerać w smutku pączki kilogramami.

Westchnęłam, pożegnałam się z Tomną i powlokłam do wyjścia.

—Ola? — biorąc pod uwagę częstotliwość pojawień się Irgi w moim życiu, czekają mnie nie tylko wesołe dni.

Dzięki wielkie, o Losie, jesteś dziś dla mnie bardzo łaskawy.

—No cóż tam?

—Dawno cię nie widziałem, chciałem się przywitać.

—Ma dziś kiepski nastrój — oznajmił mój osobisty sekretarz. — Przeżywa nadmiar zbędnych kilogramów.

I w dodatku spotkaliśmy przed chwilą Tomnę, widziałeś, jaka jest zgrabna? W każdym razie nie radzę ci, Irga, podchodzić Oli pod rękę.

—Zbędne kilogramy? — Nekromanta obejrzał mnie, wzruszył ramionami i powiedział:

—A mnie się podoba. Położysz się takiej dziewczynie na brzuszek i śpisz jak na miękkiej poduszce, kołysany miarowym burczeniem trawionych w kiszki kalorii. A co ważne, gdy nadejdą gorsze czasy, można jej długo nie karmić. Jedno w tym wszystkim jest kiepskie — kiedy umrze z powodu otyłości, ciężko będzie nieść trumnę. Trzeba będzie wynająć jeszcze jedną parę grabarzy. I grób większy zamówić. I dół głębszy.

Zrobiło mi się żal samej siebie, rozplakałam się i uciekłam, żeby nikt nie zobaczył łez żalu i złości.

Popłakawszy sobie za wszystkie czasy, znalazłam w akademiku Tomnę i wzięłam od niej przepis na nową dietę.

—Co ty wyprawiasz? — spytał mój najlepszy przyjaciel w niejakim oszołomieniu, wchodząc do mnie bez uprzedzenia.

—Wyprawiam w ostatnią drogę swoje zapasy na czarną godzinę — wyjaśniłam, wkładając do parcianej torby paczkę ciastek.

Półkrasnodł docenił rozmach mojej determinacji.

—A dlaczego przewróciłaś łóżko? — Otto położył materac na miejsce i starał się znaleźć prześcieradło.

—Pod poduszką trzymałam pierniki, a pod materacem — elfickie słodycze.

—Postanowiłaś przejść na dietę? Poważnie? Czy coś się stało?

—Tak. Nie chcę być niczyją poduszką. A jeszcze przyjdzie tracić kasę na dodatkowych tragarzy i ponadwymiarowy grób.

—Nie sądziłem, że między wami sprawy mają się aż tak poważnie, aż do grobowej deski...

—Nie mówię o Irdze! — wrzasnęłam, wpychając do pełnej już torby ostatnią rzecz, tabliczkę czekolady.

—No rzeczywiście, jak mogłem tak pomyśleć — mruknął Otto. — A co zamierzasz zrobić z tą torbą?

—Oddam żebrakom.

—Ja jestem żebrakiem — powiedział współwłaściciel dobrze prosperującego alkoholowego interesu. —Ja zjem. U nas, półkrasnoludów, tusza świadczy o dostojenstwie. Opowiedz mi coś o tej diecie.

—Krótko: sok, sałatki, kielki.

—Piwa nie wolno?

—Nie.

—Kielbasy?

—Nieeee.

—Cukierki?

—Nieeee.

—Bułeczki?

—Nie. Długo będziesz się jeszcze nade mną zneęcał?

—Chcę wiedzieć, jak szybko zdziczejesz z głodu, bo chcę na czas zastosować odpowiednie środki.

—Jakie?

—Uprzedzić Lirę i zacząć picie nalewki na uspokojenie. Twój charakter podczas głodówki... Nie jestem świętym męczennikiem.

—Jakim znowu świętym męczennikiem? — zdziwiłam się.

—Nie wiem, pewnie tym, który cierpiał, cierpiał i umarł. A potem został świętym.

—Lira przyjeżdża dopiero za trzy tygodnie — oznajmiłam. — Będziesz więc musiał się ze mną pomęczyć. Za to, że napuściłeś na mnie Irgę.

—Napuściłem? — oburzył się półkrasnolud. —Ja napuściłem? To za mną tak biega, niczym pies na smyczy? To ja mu się tak podobam, że gotów jest...

—Wiem, wiem, jest nawet gotów nająć dodatkowych grabarzy.

Otto pociągnął się za brodę, wziął ode mnie torbę ze słodyczami i poszedł.

Pierwsze dwa dni diety zniosłam dość dobrze. Ale potem zaczęłam mieć głodowe halucynacje. A to pieczony kurczaczek pomachał do mnie wdzięcznie skrzydełkiem zza rogu, a to trzy tłuste kielbaski przebiegły nieopodal. Kufelki piwa widziałam na każdym parapecie. Pomiar talii przed lustrem niezbyt mnie ucieszył — wiadomo, dwa dni to za mało, by zbędne centymetry roztopiły się niczym śnieg na słońcu.

Po następnych dwóch dniach przyśniła mi się tabliczka czekolady, trzymająca w miłosnym uścisku pączka. Śmiertelnie niebezpieczne dla talii produkty wołały unisono: na kogo nas zamieniałaś!? Rano znalazłam pod drzwiami prezent — książkę „Magowie-asceci”. Metodyczne jej niszczenie, strona po stronie, wprowadziło mnie w prawie dobry nastrój.

Wieczorem Otto odnalazł mnie w audytorium, gdzie ponuro kontemplowałam niewielką marchewkę — moją dzisiejszą kolację.

—A ty czemu tu siedzisz? Wszyscy już dawno poszli do domu.

—Nie mogę wytrzymać w akademiku. Tam z kuchni dochodzą takie zapachy, że mogłabym kogoś zamordować!!!

—Ile ci jeszcze zostało do końca diety?

—Póki nie dopnę spódnicy. Grzęźnie teraz pośrodku bioder.

Otto westchnął z takim żalem, że przestałam hipnotyzować warzywo i spojrzałam na niego.

—Co się stało?

—Postawiłem na ciebie złotego. Stawki wynoszą pięć do jednego.

—Jakie stawki?

—Ludziska w zasadzie stawiają na to, że nie wytrzymasz diety i kupisz sobie nowe ubrania. A ja — tylko docenij mój heroizm — postawiłem na ciebie! Na twoją silną wolę.

—Jakie stawki, powiadasz? He, he, kiedy dojrzeje u nas partia smorodiniówki? Postawisz na mnie cały zysk! Mam nadzieję, że nie jesteś bukmacherem?

—Nie, to organizuje Riak, twój ulubiony wróg — zataił ręce Otto.

Marchewka wydała mi się słodka jak cukier.

—Niestety, nie mogłem postawić na ciebie wszystkich pieniędzy — zasmucił się półkrasnolud. — Pożyczysz?

—A na co wszystko przetraciłeś?

—Zamierzam pójść na striptiz, wejściówka jest droga — wyjaśnił.

—Na jaki striptiz?

—Wszyscy o tym mówią, dziw, że nie słyszałaś. Klub „Ostra Strzałka” zaszalał i zaprosił najpopularniejszą striptizerkę ze stolicy z jej gorącym przedstawieniem. Przyjeżdża za dwa tygodnie.

—„Ostra Strzałka”? Elficki klub na przedmieściu? Podobno jest bardzo modny. I kto idzie?

—Większość starszych studentów. Ja, Irga i Trochim zarezerwowaliśmy już stolik.

—Będę czwarta. Ile wam zapłacić?

—Ola, striptiz to męska sprawa. To znaczy kobieca, ale nie do patrzenia... Ale po co ci to?

—Poduczyć bym się chciała, a potem, kiedy odsłonię swoją nową figurę w „Pij Więcej!”... — marzycielsko przymknęłam oczy.

—To już beze mnie! — przywrócił mnie do rzeczywistości Otto. — Nie mam zamiaru odciągać od ciebie pijanych trolli! Żebyś wiedziała!

—Nasi sponsorzy doszli do wniosku, że należy rozwijać kulturę! A władze uniwersyteckie zgodziły się z tym — rektor przerwał, żeby senni studenci należycie docenili podniosłość tej chwili.

—Jakież troskliwe są nasze władze — mruknęłam. Żałosna połówka grapefruita, którą zjadłam na śniadanie, wpędziła mnie w paskudny nastrój.

W cichym audytorium mój głos zabrzmiał niczym uderzenie dzwonu o północy.

—Kto to powiedział? — ożywił się rektor.

—Olgierdo, to bardzo miłe, że pani nas doceniła — wyskrzyphał dziekan.

Poznał mnie! Nauczka na przyszłość: nie siadać tak blisko władz!

—Olgierda? Proszę wstać — polecił rektor.

Wśród kolegów zapanowało niejake ożywienie. Nudny wykład na temat kultury przekształcił się w ciekawe widowisko, kochani koledzy szturchali nawet przysypiających, żeby ich otrzeźwić.

Wstałam, czując się jak grzesznica na przyjęciu u demona.

—Olgierdo... — Rektor uśmiechał się jak dobrotliwy ojciec. — Kiedy ostatnio brała pani udział w kulturalnej imprezie?

Czy picie bimberku z trzema krasnoludami można nazwać kulturalną imprezą?

— Nie pamiętam, panie rektorze.

— A kiedy pani planuje?

— Za dwa tygodnie — zachichotał ktoś z rzędu zajmowanego przez praktyków.

— A co będzie za dwa tygodnie? — zapytał szeptem rektor.

— Przyjeżdża striptizerka ze stolicy — odpowiedział nekromanta Partyk. Głupek jeden! Pewnie też się wybiera.

Ojcowski uśmiech rektora zgaś.

— Zamierza pani pójść na striptiz? — zapytał.

— Tak — powiedziała żałośnie. — To przecież kulturalna impreza. Będzie muzyka i taniec...

Koledzy zarżeli jak stado koni. Otto, parskając w brodę, podał mi rękę w geście otuchy.

— Oto do czego prowadzi zanik kultury! — Rektor próbował wybrnąć z sytuacji. — Już nawet studentki uważają striptiz za imprezę kulturalną!

Usiadłam, czerwona jak rak. Przez dwie minuty sterczenia przed władzami spaliłam więcej kalorii niż przez tydzień głodówki.

— Pan! — wykrzyknął rektor, wskazując jakiegoś studenta. — Czy był pan w jakimkolwiek muzeum?

Student zaczął udawać, że się zastanawia, po czym rzekł:

— W muzeum anatomii.

— Chodził oglądać gołę baby! — rozległ się okrzyk z rzędu nekromantów.

Teraz śmiali się już nawet wykładowcy.

Rektor wściekł się i już całkiem stracił wygląd dobrodusznego taty, a stał się podobny do trolla cierpiącego z powodu kaca.

— Wszyscy studenci czwartego roku idą w przyszłym tygodniu do muzeum, a potem do teatru. Jeśli zobaczę kogoś na striptizie, może uważać się za wyrzuconego z uczelni! A teraz wszyscy są wolni!

— Czy to znaczy, że pójdzie pan na striptiz? W jakiś sposób musi nas pan skontrolować — wyburczał ktoś z tłumu i studenci czwartego roku Uniwersytetu Nauk Magicznych, zataczając się ze śmiechu, opuścili wykład o kulturalnym rozwoju studentów.

Trochim wszedł do knajpy „Pij Więcej!” z wyrazem wielkiej troski na obliczu. Nie mówiąc ni słowa, usiadł przy naszym stoliku i zapatrzył się w przestrzeń.

„Co się stało?” — Otto rzucił mi pytające spojrzenie.

Wzruszyłam ramionami. Trochim miał wszędzie źródła informacji i tym razem wieści były widać niezbyt pomyślne.

—No dobra, już wystarczy, zdołowałeś nas dostatecznie, napij się. — Półkrasolud podsunął Trochimowi kufel.

—Przyjaciele, wszystko przepadło — ogłosił smutnym tonem mój kolega z roku i opróżnił kufel paroma haustami. — Żaden ze studentów nie wejdzie na striptiz.

Ludzie przy sąsiednim stoliku usłyszeli go i zaczęli szeptać między sobą. Trochim odczekał, po czym obwieścił dramatycznie:

—Rektor naniósł linię ochronną. Żaden ze studentów, nawet zaocznych, nie dostanie się do „Ostrej Strzałki”. Zabezpieczenie odrzuci go na parę metrów.

Ludziska zasepili się. Każdy z magów nosił na swojej aurze pieczęć, swego rodzaju legitymację studencką.

Rektor, wykreślając linię, wpisał do niej dane studentów. Dostać się do klubu można było tylko na dwa sposoby: łamiąc zakłęcie arcymaga pierwszego stopnia, aktywnego członka Uniwersytetu Nauk Magicznych lub też oficjalnie odchodząc z uczelni.

—Właściciel „Strzałki” wystosował protest, ale kto go tam będzie słuchał. Niech nasze pieniążki płaczą, teraz pozostało nam jedno wyjście — do muzeum.

—A my znajdziemy inne — powiedziałam. Przez ostatni tydzień biegałam dwukrotnie w ciągu dnia przez pół godziny po schodach, w górę i w dół. Kilogramy topniały niczym wiosenny śnieg. Pechowy bukmacher Riak pewnie zmierzał już w stronę bankructwa, a ja ku nowej spódnicy z elfickiego jedwabiu. Nastrój miałam świetny i nie zmaćił go nawet sok pity zamiast piwa.

—Złamiesz zakłęcie rektora? — spytał Trochim przenikliwym szeptem. — Nie, no wiem, że jesteś geniuszem magii wykreślnej, ale czy aż takim? Jak zamierzasz to zrobić?

Studenci w knajpie ożywili się. Pochwyciłam oszołomiony wzrok Ottona i wzruszyłam ramionami:

—Powiedziałam już wszystko!

Zanim wróciłam do akademika, całe miasteczko akademickie już wiedziało, że mam zamiar dostać się na striptiz. Uśmiechając się tajemniczo, dostojnym krokiem udałam



się do siebie. Otto i Trochim stanowili moją eskortę. Gdy tylko zatrzasnęły się za nami drzwi, półkrasnolud powiedział:

— Jeśli ci się uda, to okryjesz się niegasnącą sławą byłej studentki.

— Otto, jestem specjalistą magii wykreślnej, fakt. Ale nie sądzisz jednak chyba, że starczy mi wiedzy i sił, by złamać zaklęcie rektora? Pochlebiasz mi, mój drogi.

— Złotko ty moje, to co zamierzasz w takim razie?

— Jutro pójdziemy zobaczyć, co tam wymyśliły nasze władze — powiedziałam, wyciągając z szafy książki. — Otto, potrzebna mi twoja pomoc, weźmiesz sprzęt. A teraz muszę pomyśleć, nie przeszkadzajcie mi.

— Jedno pytanie — rzekł Trochim. — Jeśli my pójdziemy na striptiz, to może zabrać by także innych? Oczywiście, za dodatkową opłatą.

Zawahałam się. Półkrasnoludowi oczy zabłyśły chciwością. Mogłabym do spódnicy z elfickiego jedwabiu dokupić sobie bluzeczkę.

— Moja mama uczyła mnie, że nadmierna chciwość nigdy nie popłaca — westchnęłam — Mam rację, Otto?

Niechętnie, ale przytaknął.

®

Na uczelni złapał mnie Bef.

— W jakie kłopoty ma pani zamiar wpakować się tym razem? — zapytał.

Przyjęłam postawę chodzącego niewiniątka.

— Jeśli podpadnie pani rektorowi, nie będę pani bronił — uprzedził opiekun. — Jak pani zamierza złamać jego zaklęcie?

— Nijak — przyznałam się. — Zamierzam je obejść.

Bef uśmiechnął się.

— Przypominam, że ma pani oddać do poniedziałku pracę na temat wyznaczenia kierunku strumienia magicznej energii! — skinął głową i odszedł, zostawiając mnie niepewną: stoi po mojej stronie czy też nie?

Proces kreślenia linii naprzeciwko „Ostrej Strzałki” przerwał nekromanta.

— Witaaaj — wyśpiewał mi do ucha. — Nie mogę zrozumieć, po co ci ten striptiz? Istnieją mniej pracochłonne sposoby, by wylecieć z uczelni.

— Twój mały mózdzek, myślący tylko o cmentarzach, nie jest w stanie pojąć kobiecych pragnień — odrzekłam, nie przestając kreślić.

—Dlaczego mi ubliżasz? — zapytał spokojnie Irga. — Podyskutujmy, kto z nas jest mądrzejszy. A może sprawdzimy, kto z nas jest silniejszym magiem? Tego chcesz?

Jasne, po prostu marzę o tym, by wziąć udział w pojedynku, który na pewno przegram. Ze też zawsze jakiś zły duch ciągnie mnie za język, ilekroć widzę obok siebie tę promieniejącą samozachwytem osobistość! Ale nekromancie tego nie powiem.

—Po prostu potrzebuje twardej męskiej ręki, będzie wtedy potulna jak owieczka — „pomógł” mi Otto. Rzuciłabym czymś w niego, ale szkoda sprzętu. — Pokaż jej, kto tu rządzi.

—Ktoś tu bardzo się naraża — oznajmiłam półkrasnoludowi, kończąc wykres.

No, to co my tu mamy? Linia, którą nakreślił rektor, błysnęła niebieskim światłem.

Aha, on po prostu obwiódł dość nierówno pomieszczenie klubu. Znakomicie!

—Mógłby poprosić o wykreślenie któregoś z krasnoludów — burknął Otto. — W życiu bym czegoś tak krzywego nie narysował! A to w dodatku rektor...

—Nie krytykuj — powiedziałam. — Zabieramy sprzęt, już zobaczyłam to, co chciałam. Chodźmy obgadać wszystko do knajpy.

—Otto, bądź tak miły i pozbieraj linijki sam, muszę chwilę pomówić z Olą — poprosił Irga.

Półkrasnolud zgodził się bardzo chętnie. Zdrajca.

—Nie rozumiem kobiecych pragnień? — zapytał Irga, powoli krocząc w moją stronę. — NAPRAWDĘ tak myślisz?

Cofałam się, zastanawiając się gorączkowo, co powiedzieć.

—Olu — jego niski, mruczący głos sprawił, że zaczęły mi drżeć kolana. — Porozmawiajmy o pragnieniach.

Nie przestając się cofać, pokręciłam przecząco głową.

—Dlaczego uciekasz ode mnie?

Ściana. No kto buduje domy tak ciasno, jeden przy drugim?! Irga podszedł blisko, tak blisko, że mogłam poczuć jego zapach — nieco cierpki, ostry zapach zdrowego mężczyzny. Jego ubranie pachniało trawą — na pewno znów wylegiwał się na jakiejś łączce, i z rękami założonymi pod głowę wpatrywał się w niebo.

—Olu — patrzyłam teraz na jego wąskie usta. — Ja nie potrafię odgadnąć kobiecych pragnień? — Nekromanta odgarnął kosmyk włosów, który opadł mi na policzek, przesunął długim, szczupłym palcem po moim uchu i szyi. W dole brzucha poczułam falę gorąca. Zmrużyłam oczy. Gdyby nie ściana, z którą pragnęłam się teraz zespolic, na pewno bym upadła.

—Pragnienia kobiety to bardzo delikatna materia — szeptał mi Irga do ucha. Jego oddech łaskotał zakończenia nerwów, co sprawiało, że po moim ciele przebiegały fale ciepła. — W jednej chwili pragnie jednego, a w następnej — czegoś zupełnie innego. Wiesz, jak rozpoznawać pragnienia? Należy patrzeć człowiekowi w oczy. Nekromanta przesunął palcami po mojej ręce, od nadgarstka po łokieć. Całe moje ciało pokryło się gęsią skórą.

—Otwórz oczy, kochanie, i powiedz mi, że nie potrafię odgadnąć swoim małym mózdzkiem, czego teraz pragniesz.

Moje usta napuchły i piekły jak po ugryzieniu osy.

—Zostaw mnie — pisałam.

—Otwórz oczy i powiedz, że tego chcesz. — Poczulałam jego oddech na swoim policzku.

Bałam się spojrzeć, by nie napotkać drwiącego spojrzenia błękitnych oczu. Czy to właśnie wyrażały? Chyba lepiej nie wiedzieć.

Zacisnęłam z całych sił pięści, co pomogło mi się opanować. „No, koleżanko, teraz coś się wpakowała na całego” — pomyślałam. Irga zbliżył wargi do mojego policzka i poczułam na skórze jego język.

„Dosyć tego!” — postanowiłam. Nie miałam zamiaru padać w objęcia człowiekowi, który miał więcej dziewczyn niż ja kolczyków w swojej szkatułce. Przysiadłam, zanurkowałam w bok, wyrwałam się i pobiegłam ulicą, ślaniając się lekko na nogach.

—Jeszcze nie skończyliśmy! — krzyknął za mną Irga.

Otto wszedł do knajpy, gdy zdążyłam już wychylić kufel piwa.

—Ty... on... tego... no... znaczy... — zaczął nieskładnie.

—Jeśli usłyszysz chociaż jedno słowo o tym... nekromancie, to wyrwę ci całą brodę, włos po włosku! — wrzasnęłam.

—Tak, tak... ja tylko chciałem zapytać: a ty co, rzuciłaś dietę, że piwo pijesz?

—Wszystkie stare spódnice już na mnie wiszą, możesz iść do Riaka po pieniądze — uspokoilałam się. — Trzy tygodnie głodówki! Poranne biegi! Wytrzymałam! Teraz mogę uczyć się striptizu.

—To jak dostaniemy się do „Strzałki”?

—Jako kontrabanda. Klub stoi na obrzeżach miasta, dam sobie uciąć rękę, że mają podziemne przejście. Przecież nawet tutaj jest, co tu dużo gadać.

Otto aż stęknął. Był zły, że nie wpadł na to pierwszy.

Całkiem niedawno zaczęliśmy sprowadzać z Beskidów żelazówkę — wódkę sporządzaną na żelazie, najnowszy leczniczy wynalazek krasnoludów. Dostawy organizował młodszy brat Ottona — handel pasował mu o wiele bardziej niż machanie młotem w kuźni. Jak każdy praworządny, lecz biedny obywatel cła nie płacił, tylko dawał komu trzeba ze straży miejskiej w łapę. Wódka trafiała w beczkach do właściciela „Pij Więcej!” tajemnym podziemnym przejściem. Nam, pośrednikom, proceder ten zapewniał mały, ale stały dochód.

—Obiecamy właścicielowi „Strzałki” rabat na dostawę żelazówki i przedziemy podziemnym przejściem obejrzeć striptiz. Rektor wykreślił linię na powierzchni, pod ziemią zakłęcie nie działa.

—A warto nam w ogóle? — zwątpił Otto.

—Każde z nas traci złociska na miesiąc. Zyskujemy za to szacunek kolegów. Sam decyduj.

—Brat ucieszy się ze zwiększonej sprzedaży — zawahał się półkrasnolud. Rezygnować z zysku i z szacunku jest równie ciężko.

®

Irga czekał na nas przy barze w „Ostrej Strzałce”.

—Z której krypty wyleźliście? — zdziwił się, patrząc na nasze zakurzone, pokryte pajęczynami, czerwone twarze.

—Oglądaliśmy twoje przyszłe mieszkanie — odpowiedziałam.

—Ola, tak przy okazji, zapomniałem ci powiedzieć, że schudłaś. I to jak! Teraz można używać twoich żeber jako tary do prania! — nekromanta nie pozostał dłużny. — Albo oddać do mięsnego jako kości na zupę.

—Stop! — przerwał Otto. — To impreza kulturalna, klócić będziecie się na ulicy.

—Nasi tu są, i to sporo! — zagwizdał Trochim. — Zaraz będę z powrotem.

—Teleportacja, lewitacja, podkop pod linią i złamanie zakłęcia — po powrocie wyliczył sposoby przeniknięcia do klubu.

—Złamanie zakłęcia? Kto potrafił to zrobić? — zdziwił się półkrasnolud.

—Ja — skromnie przyznał Irga.

—Ty? Ale po co, skoro nie jesteś już studentem? — zdumiała się, pragnąc zdusić w sobie przyływ zawiści w stosunku do jego umiejętności.

—Dla pieniędzy, moja droga, dla pieniędzy. Przerwałem ochronę i wpuściłem przez „dziurę” każdego, kto tylko chciał.

— Czyli mogliśmy dostać się tutaj, nie pełzając po brudnej podłodze i nie zbierając po drodze pająków — powiedział Trochim dosadnie. — Trzeba było od razu pójść do Irgi.

— Trzeba było — wściekłam się i napadłam na Ottona. — Wiedziałaś o tym! I nic mi nie powiedziałaś! A ja spódnicę sobie pobrudziłam!

— Próbowałam — bronił się półkrasnodul — ale zagroziłaś, że wyrwiesz mi brodę.

Uśmiech Irgi sam się prosił, żeby czymś go walnąć. Odwróciłam się od nich i zaczęłam obserwować scenę. Spojrzenie błękitnych oczu paliło mnie z tyłu bardziej niż ogień.

W końcu zagrała muzyka, rozległy się gwizdy i oklaski. Pojawiła się striptizerka.

— Co?!! — krzyknęłam. — Przecież ona jest gruba!!

— Cśśś — uciszono mnie, a Otto posadził mnie z powrotem na krzesło.

Całą powrotną drogę milczałam. Trzy tygodnie marchewki, grapefruitów, kiełków i soku! Wycieńczające biegi po schodach! I po co to wszystko? Żeby patrzeć, jak przy gorącym aplauzie rozbiera się na scenie babsztyl trzy razy grubszy ode mnie! Mówiąc obiektywnie — przedstawienie warte było zapłaconych pieniędzy — kolorowe, piękne, olśniewające. Zapewne także podniecające, biorąc pod uwagę śliniących się wokół mnie facetów. Chociaż Irga, zdaje się, zmieniał swój drwiący wyraz twarzy tylko w celu wypicia piwa.

— Co za kobieta, co za kobieta — mamrotał półprzytomnie Otto w drodze powrotnej. — Tak bym ją objął, przycisnął...

— Zamknij się, dobrze?

— Cśśś, Ola, nie bądź zazdrosna!

— Nie bądź zazdrosna! A kto mówił, że jestem tak gruba, że musiałby najmować dodatkowych grabarzy?! A potem sam o mało na scenę nie wskoczył!

Nekromanta uśmiechnął się.

— Wcale tak na mnie nie działała, i ty dobrze o tym wiesz.

— Niby skąd miałabym o tym wiedzieć? — cała kipiałam.

— Stał, że przez cały wieczór nie odrywałaś ode mnie wzroku.

— Nawet nie rzuciłam na ciebie okiem! Też mi coś!

— Mam pomysł. — Trochim oderwał się od swoich marzeń o striptizerce. — Zrobimy zakłady: jak szybko pozabijacie się po ślubie. I kto kogo zamorduje.

— Oczywiście, że ja jego — powiedziałam z pełnym przekonaniem. — Co?? Nie, nie to chciałam powiedzieć. Nigdy nie wyszłabym za Irgę!

— Jeszcze ci się nie oświadczyłem — zauważył nekromanta.

— I nie trzeba.

— I nie mam zamiaru. Niepotrzebny mi w domu kolejny wieszak. Kobieta powinna być apetyczna jak bułeczka.

— To prawda — oblizał się Otto. — Jak bułeczka. Żeby tu złapać, tu ścisnąć. Taka ciepłutka, mięciutka... A w wystających żebrach niech królowie gustują. I różni zbroceńcy.

— Dołeczki w policzkach — ciągnął Trochim. — Brzuszek okrągłutki.

Poczułam się oszukana.

— Czemu nikt mi tego nie mówił, kiedy katowałam się dietą?

— Cóż, miałaś trochę nadwagi, było ci ciężko — usprawiedliwiał się Otto. — A potem...

— A potem zdecydowaliśmy, że chęć samoumartwiania się to prywatna sprawa każdego człowieka — mruknął nekromanta.

— Irga pomyślał, że może chcesz się umartwiać dla jakichś wyższych celów — Otto usprawiedliwiał się dalej. — Nawet chciał ci podarować...

— Bicz. Drogi i piękny — powiedział znawca kobiecych pragnień. — Wszystko powinno być piękne.

— Wybiłem mu to z głowy — pochwalił się półkrasnolud.

Miałam ochotę zabić ich tu i teraz, ale tylko powiedziałam:

— Pójdziemy zjeść parę kiełbasek. A bicz, tylko taki drogi i skórzany, chętnie przyjmę. Może wychowam kogoś przy jego pomocy.

— Konwencja praw mniejszości rasowych... — zaczął Otto.

— Uspokój się, przyjacielu. — Irga walnął go w plecy. — Nic ci nie grozi. To są jej erotyczne fantazje.

Za wszelką cenę chciałam mu się jakoś błyskotliwie odgryźć, niestety, wena mnie opuściła. To przez brak pokarmów.

— Ty zawsze ładnie wyglądasz — powiedział do mnie Trochim, żeby rozładować sytuację i przerwać jałowe dyskusje. — Chodźmy już coś zjeść!

## Niepotrzebna nikomu?

Zła pogoda, która zawładnęła światem na początku jesieni, z początkiem zimy stała się prawdziwie ohydna. Zamiast puszystym śniegiem, niebo raczyło nas niekończącymi się opadami marznącego deszczu. Porywisty wiatr ze złośliwą radością strząsał z drzew wielkie potoki wody na tych, którzy akurat tamtędy przechodzili. Na ziemi woda zamarzała, tworząc cieniutką lodową pokrywę, fundując tym samym każdemu bezpłatny trening utrzymywania równowagi. Na terytorium miasteczka studenckiego ohyda przechodziła w koszmar. Wykładowcy z ojcowskimi uśmiechami oznajmili studentom, że „jeśli się komuś pogoda nie podoba, to niech ją sam sobie zmieni”. Nie wiadomo, czy pechowi zaklinacze nie uwzględnili ogromnej ilości magii i przeplatanki magicznych linii, czy też może czyjś zaklęcie splotło się z pogodowym, rezultat w każdym razie był przerażający. Wicher o sile huraganu to walił po twarzy, to popychał z tyłu. Deszczu nie wytrzymały już nawet słynne nieprzemakalne elfickie płaszcze. Z lodem, który pokrywał ścisłą warstwą wszystkie dróżki, walczyli wszyscy — niestety, jak do tej pory, mało skutecznie.

Ponuro wlokłam po lodowej powłoce swoją ciężką torbę, jedną ręką trzymając się dekoracyjnego płotu. Nastrój miałam podły — wracałam z odwiedzin u rodziny, których dokonałam, by rozsiać swój zły humor na wszystkich jej członków. Rodzinka ucieszyła się z nadciągnięcia pary świeżych uszu i szybko wlała do nich najnowsze płoteczki. Potem starsi krewni pouczali mnie, jak mam żyć — dla mojego dobra, oczywiście. Tyle tylko, że ich wyobrażenie tego dobra znacznie odbiegało od mojego. Babcia zaś w swoich pouczeniach przebiła wszystkich. Słuchając jej gorzkich lamentów, obficie podlanych łzami, na temat mego ciężkiego losu starej panny, miałam nieokiełznaną ochotę schować się do piwnicy i zaryć po czubek głowy w kopcu ziemniaków. Niestety, czekał tam na mnie dziadek, przebijający zimowe zapasy jarzyn. Co prawda niczego nie mówił, za to głośno wzdychał.

Mama wspierała dzielnie babcię w jej utyskiwaniach. Rodzicielka, mieszając zupę, kwiecicie rozwodziła się nad tym, jak to cudownie ułożyły sobie życie moje koleżanki z liceum. Już powychodziły za mąż! Dzieci urodziły, niektóre nawet po dwoje. I dalej,

jak to wspaniale rozwijają swoją karierę jako wiedźmy — i to bez potrzeby ukończenia wyższej uczelni. I jakie to one szczęśliwe.

— Sama nie wiem — rozżaliła się mama, gdy kroiłam warzywa na sałatkę. — Za co spadła na mnie taka kara? Wszyscy mają porządne dzieci, tylko mi się nie udało.

— Mama! — jęknęłam, siekając zajadłe marchewkę. — Przecież nie bije cię, jak syn sąsiadki z prawej. I nie puszczałam się z elfem po spożyciu czarczego ziela, jak córka sąsiadki z lewej.

— Oni są normalni! — powiedziała twardo. — Owszem, mają wady. Za to są tutaj, przy rodzicach, są dla nich wsparciem i pomocą.

Chrząknęłam sceptycznie.

— Czyli ja jestem nienormalna, tak? Mam urządzać orgie w ścianach ojcowskiego domu? Czemu nie, poprą mnie w pierwszym domu przy ulicy.

— Coś za bardzo gadatliwa jesteś! Nie pyskuj matce! — mama znalazła argument. Pomilczała i zaczęła na tę samą nutę:

— Jesteś najstarsza. Powinnaś mi pomagać przy wychowywaniu rodzeństwa. Jesteś za nie odpowiedzialna.

— Pomagam — mruknęłam. — Wyjeżdżając, pozbawiłam ich złego przykładu.

— A wychowywać...

— Mama, to są twoje dzieci, nie moje — próbowałam się sprzeciwić.

— Jesteś niewdzięczna, ja dla ciebie wszystko, a ty...

Tata działał inaczej. Prowadził ze mną długie dysputy o mojej przyszłości, podkreślając, że chciałby, aby jego pierworodna córka zrobiła wspaniałą karierę i ma nadzieję, że go nie rozczaruję. Jego pierworodna odliczała w tym czasie minuty do przyjazdu dyliżansu.

A teraz taszczyłam po zamrożonych kałużach ciężką torbę z domową wałówką, razem z niską samooceną i świadomością zmarnowanego życia.

Pokój w akademiku wydał mi się pusty i zimny. Widać Lira znów gdzieś poleciała — prywatnie bądź służbowo.

Moje marzenia o gorącej herbatce z cytryną i popisowym zaklęciem Liry przeciwko przeziębieniu roztrzaskały się w drobny mak jak mój ulubiony kubek, który niechcący traćiałam łokciem.

Nie chciało mi się iść do Ottona, włożyłam więc pod ciepłą kołdrę, popłakałam sobie zdrowo i zasnęłam.



Rankiem okazało się, że zasnęłam na zajęcia, drapało mnie w gardle, Otto nie przyszedł, żeby zapytać, co u mnie, a współlokatorka śpi snem sprawiedliwej, wyjadłszy przedtem połowę zapasu domowych pasztecików. Zazwyczaj dzieliłyśmy swoje jedzenie na pół, jednak teraz zrobiło mi się żal pasztecików mamy do tego stopnia, że zapłakałam jak dziecko.

Potem na wykładach okazało się, że moje kolokwium z magii wykreślnej jest żalosne i denne. Bef wygłosił długi wykład o lenistwie (moim), o nieprawidłowym podejściu (też moim) oraz o cierpliwości (swojej) i wyrozumiałości (swojej).

Na dodatkowych zajęciach magii rzemieślniczej, na które uczęszczałam pod wpływem nacisków rodziny Ottona, również nie czekało mnie nic dobrego. Doprowadzony do ostateczności moimi mało udanymi próbami powtarzania kowalskich czynności, profesor Swingdar wykrzyknął:

— Na Młot i Kowadło! Olgierdo, jak może być pani aż tak bezmyślna?!  
Zrobiło mi się żal siebie samej.

Na sam koniec tego „cudownego” dnia przewróciłam się w drodze do akademika. Już nawet się nie zdziwiłam, gdy zobaczyłam w spódnicy dziurę. Podczas upadku zaczęłam nią o krzak.

Otto nie przyszedł, a Lira nie wróciła na noc.

Leżałam na łóżku i myślałam o swoim życiu. Im dłużej myślałam, tym bardziej wydawało mi się żalosne i ponure. Bezmyślne. Złe. I najważniejsze — nikomu niepotrzebne.

— A więc umrę — postanowiłam w końcu. — I wtedy zobaczycie, jak wam źle beze mnie. I zrozumiecie, jak bardzo mnie kochaliście. Wtedy pożałujecie! Ale będzie już za późno!

Podczas dalszych rozmyślań śmierć wydała mi się całkiem atrakcyjna. Usnęłam, wyobrażając sobie, jak ślicznie będę wyglądać w trumnie.

®

Rano zrobiłam rewizję w szafie. Okazało się, że pochówek, jaki odmalowała moja wyobraźnia, nie może być zrealizowany z powodu braku odpowiedniej odzieży, jaką powinnam mieć na sobie w tej uroczystej chwili. Wyciągnęłam pieniądze ze szkatułki i poszłam na zakupy.

Na głównej ulicy, drażniącej mieszkańców miasta swoją idealną czystością i piękną pogodą, natknęłam się na Ottona.

—Ola! — ucieszył się. — Jak tam w domu?

Otworzyłam usta, ale nie zdążyłam nic powiedzieć.

—W porządku? Cieszę się. Co słychać? Widzę, że po sklepach latasz? A co ty taka ponura jesteś? Nie trać dużo kasy. Dobra, cieszę się bardzo, że cię spotkałem, ale mam teraz parę spraw na mieście, muszę lecieć.

—Wszystko źle — powiedziałam w ślad za półkrasnołudem, ale on już nie słyszał. Nawet mój najlepszy przyjaciel się mną nie interesuje! Dobra, dobra, umrę, to sobie popłaczesz. Sprawy ma, widzicie go. Ja tu mam zamiar umierać, a ten...

Zakup ciuchów zajął mi mnóstwo czasu. Sprzedawcy sądzili, że przygotowuję się do nocy poślubnej. W każdej z sukienek kładłam się na ustawione w szeregu krzesła i pytałam:

—A ta jak leży? Podkreśla piersi? Brzucha nie widać?

Z pantofkami, pasującymi do sukienki, wyszedł mały problem. Nie chciałam kupować pięknych elfickich pantofli pod kolor sukienki za niebotyczną cenę pięciu złociszy.

—Będą pani służyć przez lata — perswadowała mi sprzedawczyni. — Sprzedajemy je po tak niskiej cenie ponieważ jest poza sezonem. Niedawno kosztowały dziesięć.

—Dziesięć! — przeraziłam się.

—Wspaniała elficka jakość! „Yersacel”! Jaka miękka skóra, proszę dotknąć! Zaklęcia przeciw odciskom. Proszę tylko spojrzeć na ten akuraty obcasik, mówię pani, nie wykrzywi się na pewno.

—Wezmę za trzy.

—Jeszcze ze trzy lata pani w nich pochodzi! Za cztery.

—Za trzy dwadzieścia pięć.

—Można w nich chodzić po każdej drodze, i z kawalerem pospacerować, i do pracy pójść.

—Trzy i ćwiartka, to moje ostatnie słowo.

—I tak sprzedaję je po cenie zakupu! Pani dzieci jeszcze będą je nosić! Trzy i siedemdziesiąt pięć w srebrze.

Zasmuciłam się. Nie wykrzywią się, no cóż. Ja w nich już nigdzie chodzić nie będę. Ale w końcu mam chyba prawo założyć na swoją ostatnią drogę buty „Versacel”? Dałam sprzedawczyni trzy złocisze, tłumiąc skąpstwo, dodałam siedemdziesiąt pięć srebrniaków i poszłam do domu. Teraz będę umierać.

Przyjdą ludzie, a ja będę tu leżeć, taka śliczna. O psiakrew, co widzę, na suficie pajęczyna, brudna filizanka na szafce, pod stołem nadgryziony pasztecik od mamy. Nie ma co liczyć w takiej sytuacji na żal nad moim zmarnowanym życiem, nikt nawet nie spojrzy na moją śliczną sukienkę, na pantofle za niestworzone pieniądze, uduchowioną twarz. Będą sprzątać i przeklinać.

Resztę dnia spędziłam na porządkach. Byłam tak zmęczona, że zasnęłam tak jak stałam, w ubraniu.

Los podarował mi jeszcze jeden dzień życia, należało więc go spędzić na przygotowaniach do ładnej śmierci — poszłam kupić kwiaty. Lecz w kwiaciarni czekała na mnie przykra niespodzianka.

— Ile? — zapytałam sprzedawcy z niedowierzaniem.

— Panienko, przywozimy kwiaty z samych elfickich lasów.

— Proszę nie kłamać. Te dzwonki wcale u nich nie rosną, dobrze to wiem. Są z cieplarni.

— Teraz rosną — powiedział wcale niezmiyszany. — Elfy — już one takie są.

Zastanowiłam się. Nie, za taką cenę niech sami umierają w kwiatkach, obejdzie się.

Wróciłam do domu i zaczęłam przygotowania do śmierci. Przebrałam się, rozpuściłam włosy i udałam się do szafki, w której Lira trzymała lekarstwa i uzdrawiające preparaty. Dawno temu, kiedy dopiero co się wprowadziłam, poprosiłam ją, aby podpisała buteleczki, nie chciałam łknąć czegoś szkodliwego przez pomyłkę.

Gdzie to jest, gdzie to jest. Aha!

Wyciągnęłam ciemnozielony dzbanuszek, na którym był przyklejony papiererek z krzywym napisem „Trucizna”. Ile tego wypić? Żeby nie ryzykować — wszystko!

Podeszłam do łóżka i ułożyłam się na nim w pięknej pozie, efektownie ułożyłam włosy, po czym wypiałam całą gorzką zawartość dzbanuszka.

Zamknęłam oczy. Byłam gotowa na śmierć.

Najpierw zaburczało mi w żołądku. Następnie skręciło kiszki. Zrobiło mi się niedobrze. W ostatniej chwili zdażyłam dobiec do pustej miski, stojącej na stole. Lecz to wcale nie był koniec cierpień. Bez przerwy biegałam do toalety w końcu korytarza. Elfickie pantofelki okazały się warte swojej ceny, bardzo wygodnie się w nich biegało! Żeby tak jeszcze mnie w kiszkach nie skręcało... oj-jo- -joj!!!

Do pokoju wróciłam całkowicie wyczerpana, trzymając miskę w objęciach.

Lira weszła do pokoju, nucąc pod nosem najnowszy przebój.

— Ola, co ci jest? — rzuciła się w moją stronę.

Zajęczałam głucho.

—Opisz symptomy — rozkazała, kładąc mi na czole chłodną dłoń.

Opisałam.

—Zatrucie — zawyrokowała uczonym tonem.

Przecież wiem, że zatrucie!

—A co ty tak się odświętnie wystroiłaś? — Lira przy świetle świecy grzebała w zapasach ziół. — Byłaś na jakiejś imprezce? Mówiłam ci, żebyś nie piła byle czego!

—Nie byłam na imprezce... — zaczęłam tragicznym tonem.

—Masz, wypij to — Lira podsunęła mi filiżankę. — Zасыpiam na stojąco, taka jestem padnięta. Jednak miłość to ogromnie męczące przedsięwzięcie.

Łykając jakiś ohydnie śmierdzący środek, kipiałam ze złości: a więc się zakochała!

Tu człowiek umiera, a tej miłości się zachciewa. Dobra, umrę i wszyscy pożałujecie.

®

Jestem zabobonna. Lira wyszła wcześniej rano, położywszy mi wcześniej rękę na czole i migając się od rozmowy. Skazana tylko na siebie, zaczęłam obmyślać inny sposób samobójstwa — z trucizną nie wyszło, widać los tak chciał. Trzeba będzie... trzeba będzie... o! Podciąć sobie żyły.

Ślaniając się na nogach — wczorajsza przygoda ciągle dawała o sobie znać, powlokłam się do sklepiku z bronią, prowadzonego przez mojego znajomego krasnoluda.

—Ulrich, potrzebny mi najbardziej ostry nóż, jaki posiadasz.

—Po co ci nóż? — zainteresował się krasnolud, wyciągając coś krzywego i zardzewiałego.

—Potrzebny mi.

—Chcesz kogoś zabić? Zobacz, jatagan orków, cuderko.

—Nie mam nastroju do żartów — powiedziałam. — Potrzebuję najbardziej ostrego noża, jaki tylko możesz mi dać.

—No już dobrze. — Krasnolud wyciągnął inny nóż. — Taki może być?

Z mądrą miną rzuciłam chustkę na ostrze.

—Nie, chcę takiego, który przetnie chustkę.

—Nie żebym ci żałował, ale nie stać cię na taki.

—Dobra, dobra... — Zdążyłam się już przekonać, że ładna oprawa śmierci do tanich nie należy.

- Otto się na mnie obrazi — mruknął Ulrich.
- To spróbuj nie zedrzyć ze mnie skóry — poradziłam mu.
- Ależ skąd! — zaprotestował handlarz.

Wyszłam ze sklepu z „Osą” — ulubionym nożem płatnych morderców. Będę musiała napisać testament, żeby taki kosztowny nóż nie dostał się byle komu. Ileż to kłopotów z tym umieraniem!

W domu przebrałam się, rozpuściłam włosy i przyłożyłam nóż do nadgarstka. Nie, w ten sposób zachlapię krwią całą sukienkę. Przebrałam się w stare ciuchy. Ponownie przyłożyłam nóż do nadgarstka i...

Podcięcie żył okazało się bardzo trudnym zadaniem. Jestem tchórzem i boję się widoku krwi oraz bólu. Dlatego też zapakowałam swoją odświętną sukienkę do torby i poszłam poszukać w akademiku kandydata na płatnego zabójcę.

- Wlazł! — krzyknął Riak w odpowiedzi na moje nieśmiałe pukanie do drzwi.
- Ola? — wytrzeszczył oczy. — Nigdy bym się nie spodziewał zobaczyć cię tutaj.
- A jednak — powiedziałam, oglądając się za siebie.

Nieład panujący w pokoju przywodził człowiekowi na myśl, że Riak nie sprzątał tu, odkąd trafił na uczelnię (a było to wiele, wiele lat temu).

- Zabiłeś już kiedyś kogoś? — przeszłam od razu do sedna.
- Oczywiście, przecież jestem magiem bojowym! — Gospodarz tego śmietnika spojrział na mnie dumnie. — A co?
- Zabij mnie — podałam mu nóż. — Tylko szybko, i żeby nie bolało.
- A ty co, zwariowałaś?! — Riak aż zamrugał.
- Mówię poważnie. A potem przebierz mnie w te ciuchy, tylko starannie. Nie pomyśl się! Sznurowanie ma być na piersiach, nie na plecach!

Chłopak potrząsnął głową i poprosił:

- Jeszcze raz, tyłko powoli.
- Zabij mnie — powtórzyłam. — A sznurowanie...
- A co na to powie ten twój nekromanta?
- On nie jest mój! — wściekłam się. — Trzymaj nóż!
- Zabije mnie, i to wcale nie szybko i nie bezboleśnie.
- Moje życie to nie jego sprawa. — Szturchałam nożem pierś Riaka. — Zabij mnie i już!!! Dam ci dwa złocisz.
- A potem mnie ożywi i będzie się znęcał — rozwinął myśl chłopak i zasepił się.
- Nic ci nie zrobi. Ma to gdzieś!

— Ważne nie jest to, co ty myślisz, tylko to, co on. — Riak popchnął mnie do wyjścia.

— Trzy złociaki! Cztery! Dziesięć! — Przed moim nosem zatrzasnęły się drzwi. Kopnęłam w nie nogą. — No co, kasy nie potrzebujesz?!

— Potrzebuję — odparł Riak zza drzwi. — Ale spokojne życie jest dla mnie najcenniejsze.

— Nienawidzę was! — wyraziłam na głos, co sędzę o wszystkich i plunęłam do dziurki od klucza.

Należało spojrzeć prawdzie w oczy — wariant z podcinaniem żył również nie wypalił. Pół ranka straciłam na staranie, żeby móc zwrócić Ulrichowi „Osę”. Chciwy krasnolud nie chciał przyjąć noża z powrotem, twierdząc, że „wygląda nie tak”.

— Zarżnę cię nim — obiecałam. — Jestem teraz w takim stanie, że cię po prostu zarżnę.

— Wniosę skargę do Ligi Płatnerzy — oświadczył handlarz.

— Skargę? Już nie będziesz mógł złożyć żadnej skargi! Oddawaj pieniądze! — zamachnęłam się nożem.

— To kradzież — pisnął Ulrich, kładąc na ladzie monety.

— Dziesięciu srebrniaków brakuje!

— To za uszczerbek na zdrowiu psychicznym. Groziłaś mi. To bardzo zaszkodziło mojemu zdrowiu!

Zrozumiałam, że krasnolud będzie walczył o te pieniądze do ostatniego tchu, splunęłam i, trwając w ponurym postanowieniu, poszłam na rynek.

— Poproszę o sznur. Najmocniejszy, i żeby dobrze wiązało się na nim pętlę.

— Dwa srebrniaczki.

Westchnęłam. Okazało się, że taki tani, świetny sposób miałam tuż pod swoim nosem, a tyle czasu (i pieniędzy!) niepotrzebnie straciłam.

— Bardziej miękki, dobrze? A czy mógłby pan nauczyć mnie robić taką zaciskającą się pętlę?

— Chce się pani powiesić? — zażartował młody sprzedawca.

— Owszem.

Jego uśmiech zgasł.

— Pani mówi poważnie? Ale dlaczego?!

— Mam swoje powody.

— A jakież to?

—Moje życie jest do niczego. Nikt mnie nie kocha i nie potrzebuje!

—A może ja panią pokocham? Mówię poważnie, a i domek mam tu niedaleko.

Spojrzałam na niego ponuro. Tutaj o śmierć i życie idzie, a ten co?! Tylko o swoich przyjemnościach myśli!

—Prześcieradła świeże położę... Proszę sobie nie myśleć, że jestem biedny i tylko sznurami tu handluję. Prześcieradła mam elfickie, jedwabne! Z przemytu!

Pokusa, by pobrykać na jedwabnych prześcieradłach z przemytu, była wielka. Podobno wrażenia są niezapomniane! Złapałam się na tym, że uważnie i przychylnie taksuję figurę chłopaka i ledwie wróciłam do obranego wcześniej celu.

—Nie, dziękuję. Pójdę już.

—Szkoda, naprawdę. No cóż, jak pani sobie życzy. Jeszcze taboret musi pani mieć

— powiedział handlarz. — Akurat mam na stanie. Odstąpię za dwadzieścia srebrniaczków.

—Jest stary i brzydki — oceniłam.

—A po co nowy? Wystarczy pani ten. Ważne, że jest lekki, a pani musi go jeszcze do domu donieść. I kostka mydła. Za miedziaka. Węzeł łatwiej się zaciśnie.

Machnęłam ręką, wzięłam i taboret, i mydło.

Trzymając w objęciach stołek, poszłam na brzeg rzeczki w Gaju Zakochanych. Nie dawała mi spokoju myśl o tym, że umierać należy pięknie. Chciałam wisieć na brzegu rzeczki, tak by można mnie było oglądać ze wszystkich stron. I żeby wierzby z żalem szeleściły liśćmi... Stop, jakimi liśćmi? Przecież jest zima. Może w takim razie odłożyć samobójstwo do wiosny? Eee, nie, będzie błoto. Lepiej teraz. Przynajmniej liście nie przeszkadzają i będzie mnie w mojej prześlicznej sukience dobrze widać ze wszystkich stron. W końcu sprzykrzyło mi się dźwiganie taboretu, który z każdym krokiem stawał się coraz cięższy. No i nogi mi zmarzły w cienkich pantofelkach. Odpoczęłam odrobinę i podeszłam do drzewa, by zawiązać sznur na gałęzi.

Stary taboret zatrzeszczał groźnie pod nogami.

„Żeby tylko nie spaść i nie skrócić karku" — pomyślałam.

Gałąz wybrałam dosyć grubą, by uniknąć jakiegokolwiek przypadku, ale przywiązanie do niej sznura okazało się zadaniem ciężkim do wykonania — w rękawiczkach było niewygodnie, a bez nich palce marzły i drętwiały. W końcu się udało. O nie! Starannie zawiązany węzeł dyndał na poziomie pępka. Żeby to jasna cholera!

Usiadłam na taborecie i rozplakałam się. Jestem taka beznadziejna! Nawet głupiego sznura nie umiem poprawnie zawiązać. Łzy zostawiły na policzkach dwie palące

ścieżynki. Powinłam się pospieszyć, nie chciałam wisieć po tych wszystkich staraniach z odmrożonymi policzkami. Zawiązałam pętlę na nowo. Spociłam się i rozpięłam futerko. Dobrze, a teraz muszę wygłosić swoją Ostatnią Mowę.

— Świecie! Byłeś dla mnie okrutny! Ech, szkoda, że nikt nie słyszy... Kładłeś mi pod nogi potężne kłody na drodze mojego życia. Jestem niekochanym, niepotrzebnym nikomu nieudacznikiem! Wszyscy odwrócili się ode mnie! Może kiedy umrę, zrozumieją w końcu, ile dla nich znaczyłam!

Słowa się wyczerpały. Nogi w pantofelkach ostatecznie zamarzły. Machnąłam nogą i odepchnęłam taboret. Pętla momentalnie zacisnęła się na moim gardle. Zdażyłam jeszcze usłyszeć, jak mój kręgosłup pęka z trzaskiem...

Cóż wam mogę powiedzieć? Przejście do Innego Świata okazało się dosyć bolesne. Plecy rwały mnie okropnie. Szyja również. Dzwoniło mi w głowie. Wokół panowała cisza. Powoli otwierałam oczy, bojąc się, że zobaczę przed sobą demona, który powie mi z wielkim zadowoleniem, że za swoje czyny, których dopuściłam się za życia, zasługuję tylko na piekło. Gdy w końcu uchyliłam powieki, ujrzałam przed sobą dwie twarze: gładko ogoloną i mechato-brodatą.

— I co teraz? — spytała mechato-brodata fizjonomia.

— Dobijemy ją — zaproponowała gładko ogolona.

O nie, w Niebie to ja nie jestem na pewno! O ile obecności w nim Ottona pewna nie jestem, to Irga nie mógłby się tam znaleźć na pewno.

— Gdzie cię boli? — zapytał Otto.

— Co ja...? — wychrypiałam. Gardło mi spuchło i mówiłam z wielkim trudem.

— Próbowałaś popełnić samobójstwo — powiedział Irga spokojnie. — Nie udało się. Otworzyłam usta.

— Gałąź się złamała — wyjaśnił Otto. — Też sobie wymyśliłaś, wieszac się na oblodzonej gałęzi. Jak byś mi powiedziała, to bym ci wkręcił hak w sufit.

— Iw ogóle, coś ty wymyśliła, żeby się wieszac?! — zobaczyłam, że spokój nekromanty był udawany. Przede wszystkim, jego błękitne oczy ciskały błyskawice, pięści były nerwowo ściśnięte. — Co ci tym razem przyszło do głowy?

Spróbowałam wzruszyć ramionami, mówić nie mogłam.

— Podnieśmy ją, bo nam tu całkiem zamarznie — powiedział półkrasnolud. — Potem będziesz na nią krzyczeć, kiedy się już ogrzejemy.

Jęknęłam. Plecy bolały mnie straszliwie.



—No pewnie, że boli. Trudno, żeby nie bolało, jak się gruchnie na ziemię na kość ogonową. Dobrze, że futro zamortyzowało upadek — mruzczał Otto, pomagając mi wstać.

—To wy wszystko widzieliście? — wyszeptałam.

—Owszem — przytaknął mój przyjaciel. — Riak przycwałował do Irgi i opowiedział mu o twojej nietypowej prośbie. Chwilę nam zajęło, żeby cię znaleźć, a potem Irga chciał popatrzeć, co się wydarzy.

—Było wam wszystko jedno — powiedziałam zrezygnowana.

—Nie było nam wszystko jedno! — powiedział dobitnie nekromanta, chwytając mnie za ramię. Zatoczyłam się.

—Nie było nam wszystko jedno — Otto ostrożnie odsunął ode mnie Irgę. — Po prostu każdy człowiek ma prawo rozporządzać swoim życiem. Ale to, co ty robiłaś, było głupie. Musieliśmy się wtrącić.

—I wbić do tej twojej pustej głowy, że nie można myśleć tylko o sobie! — zaryczał Irga.

—Nogi mi zmarzły — poskarżyłam się.

Nekromanta westchnął, wziął mnie na ręce jednym

zdecydowanym ruchem (od tego szarpnięcia spadł mi z nogi pantofel) i biegiem rzucił się w stronę akademika.

Rzucił mnie na łóżko, dysząc ciężko. Jęknęłam. Mógłby być trochę ostrożniejszy!

—Zobacz, jakie pantofle sobie kupiła — Otto wszedł odrobinę później, oglądając mój but ze wszystkich stron. — Dobrze pantofelki, mój brat je robi.

—Co??? — od wzburzenia mój głos się poprawił. — Przecież to elficka marka!

—Elficka marka to „Versacel”. A ten napis, „Versacyl”, ma tu, widzisz, taki zakrętas.

—Niezauważalny.

—Mój brat nie jest głupi — powiedział Otto z dumą. — Kosztów prawie żadnych, za to zysk całkiem spory. Jakość jest bardzo dobra, nie myśl sobie. W mojej rodzinie wszystko robi się solidnie!

—Brat! — oburzyłam się, pamiętając cenę, jaką przyszło mi zapłacić za te pantofle.

—Cioteczny bratanek mojego ojca! — obwieścił pół-krasnolud. — Chcesz, to z nim pogadam i da ci jeszcze parę takich. A następną sprzeda za pół ceny.

—„Versacyl”! — osunęłam się na poduszki.

—I nowa sukienka — ocenił Otto. — Ty się na poważnie zabierałaś do tego umierania. Z rozmachem.

— Teraz powiem! — wysapał Irga. — Teraz wszystko powiem pewnej idiotce, która zamierzała się zabić. Z głupoty! Nikt jej podobno nie kocha, tak? A to ona nie kocha nikogo! Ty, ty, ty...

Otto przemocą posadził nekromantę na krześle.

— W każdym razie uważamy, że kończyć życie w tak młodym wieku to szczyt głupoty. I nikt płakać po tobie, złotko, nie będzie. Odwrotnie, będą stać nad grobem i szeptać: ale głupia, taka młoda, mogłaby jeszcze żyć i żyć, a ona co?! Zresztą głupia jesteś naprawdę. A na stypę większość przyjdzie tylko i wyłącznie dla darmowych pasztecików. A potem się upiją i będą wyśpiewywać sprośne piosenki. A ciebie nie wspomną ani razu.

Rozpłakałam się.

— Potrzebujemy cię, po prostu czas to zauważyć. Jesteś nam bardzo potrzebna. Żadne paszteciki ani darmowa popijawa nie zrekompensują nam twojej straty.

Otto czule pogłaskał mnie po głowie.

— Po prostu nie możemy bez przerwy żyć twoim życiem, mamy jeszcze swoje. A ty też się nim zainteresuj czasami, dobrze?

— Naprawdę jestem wam potrzebna? — Łzy kapały jedna za drugą.

— Jak chcesz, to narysuję plakat i powieszę nad twoim łóżkiem — zaproponował mój najlepszy przyjaciel.

Zamyśliłam się, spojrzałam na pochmurną twarz Irgi, potem na Ottona, i zapytałam:

— A co ostatnio robiliście?

— A — półkrasnolud poweselał. — Sądziłem się z elfami. O płaszczce. Gwarantują, że ich płaszczce są nieprzemakalne, a wiesz sama, że na terenie miasteczka studenckiego przemakają w jednej sekundzie.

— I co? — zainteresowałam się.

— Wywalczyłem w sądzie całkiem niezłą sumę — pochwalił się Otto. — Śledczy przeprowadzili eksperyment, wszystko bardzo ucziwie!

— Ale nie powiedziałaś, że przedtem popracowali tu domorośli zaklinacze pogody z grona studentów?

— E tam, nikt nie znajdzie śladów zaklęć, tyle ich tu w powietrzu fruwa, że głowę można połamać. Teraz wielu innych procesuje się z elfami, za moim przykładem. Za każdą wygraną sprawę dostają procencik.

Roześmiałam się.

—Ola — powiedział Irga. — Jeżeli jeszcze raz wpadniesz na pomysł, żeby umrzeć, to pamiętaj, że ja cię z tamtego świata wyciągnę. I nie będzie ci wtedy do śmiechu. Zastanowiłam się. Kurczę, o tym nie pomyślałam.

—No dobrze, moi drodzy, wybaczone mi głupotę. Nigdy więcej już tak nie postąpię, obiecuję — powiedziałam, myśląc o tym, że muszę jeszcze raz napisać pracę z wykreślnej i iść do sklepu, żeby odebrać pieniądze za pseudo- elfickie pantofle. I jeszcze wziąć odszkodowanie za straty moralne, Otto mi pomoże.

## Jak poszłam na randkę

Pewnego razu mój najlepszy przyjaciel zauważył: — Wydaje mi się, że powinnaś zwrócić większą uwagę na swoje życie osobiste.

— A po co? — odparłam leniwie.

— Wiosna, do sesji daleko. Nudzisz się — objaśnił półkrasnolud. — A kiedy ty się nudzisz, ja muszę znosić napady twojego złego humoru.

— Wybacz — powiedziałam, nie czując najmniejszych wyrzutów sumienia. — Wcale się nie nudzę.

— Ale też się nie bawisz. Kiedy, na przykład, byłaś ostatnio na randce? — zapytał Otto, pykając fajkę.

— Eee...

Cóż, trzeba przyznać, był to cios poniżej pasa. Co jednak począć, jeśli ostatnia randka była tak nieudana, że przeżywałam traumę do tej pory? Może mam odmienne poczucie humoru, jeżeli jednak młody człowiek zaczyna mi na pierwszym spotkaniu opowiadać o zaletach, jakie musi posiadać jego przyszła żona, i to w taki sposób, że potencjalna ofiara (czyli ja) odczuwa przy tej okazji nasilenie wszystkich posiadanych kompleksów... (Tak, nie potrafię upiec gęsi z jabłkami, nie cierpię łowić ryb i nie uważam, że ręczne pranie męskich skarpet to wspaniała rozrywka!)

Otto przerwał moje rozmyślenia:

— Poznałem niedawno pewnego praktyka. Przystojny, pewny siebie, mądry i nie przynudza. Z piątego roku. Żadnych szkodliwych przyzwyczajzeń nie stwierdziłem. Idź z nim na randkę, dobrze? Rozerwiesz się. W piątek na przykład, co ty na to?

Do mojej duszy wkradło się podejrzenie, które musiałam ujawnić.

— Mój miły druhu, czy ty aby nie zajmujesz się stręczycielstwem? Może ten przystojniaczek zaproponował ci jakieś pieniądze?

Otto z przejęciem potargał swoją kosmatą brodę.

— Aha, czyli zaproponował. I za ile mnie sprzedałeś?

— Za złocisza.

Całe stypendium. Całkiem nieźle. A jeśli do tego uwzględnić fakt, że na sto procent półkrasnolud nie ujawnił kilku dziesiątek srebrniaków, poczułam dumę. Miło jest znać swoją cenę.

— Pół dla mnie.

— To rozbój w biały dzień! — oburzył się Otto. — To ja ci podtykam wspaniałego faceta, a ty jeszcze pieniędzy za to chcesz?! Naciągaczka!

— Mam ci przypomnieć, kto sprzedał za złociaka swoją najlepszą przyjaciółkę?

— Zgadzam się na jedną trzecią, i to ja ubieram cię na spotkanie!

— Na twój koszt?

— Na twój. Ale z moimi cennymi radami.

— Już ja znam wasze krasnoludzkie pojęcie piękna!

— Nie, moja droga. Przygotowałem się bardzo starannie — dumnie odrzekł Otto, pogrzebał w torbie i wyjął z niej mnóstwo zwojów, książek i czasopism.

Były wśród nich następujące tytuły: „Moda współczesna”, „O damskiej odzieży”, „Jak spodobać się mężczyźnie”, i „Mężczyźni — ich uwodzenie i ujarzmianie” Milli Istratejskiej.

— O! — ucieszyłam się. — Tę znam.

— A kto nie zna Milli? — mruknął krasnolud, przeglądając swoje notatki. — I nie możesz zaprzeczyć, że

—uwodzeniu wie wszystko.

Milla przez trzydzieści lat swojego bujnego życia pięć razy wychodziła za mąż, uchodziła za królewską faworytę, a samych oficjalnych kochanków miała z pół setki. Na naszym Wydziale Magii Teoretycznej Milla przesiadła blisko miesiąc, studiując w bibliotece zwoje o starożytnych magicznych środkach zachowujących urodę i kobiecy powab. Do sprawy podeszła bardzo poważnie — przepytowała wszystkie studentki, opiekunki, profesorki

—nawet personel pomocniczy na temat ich prywatnych metod. Zapisała wszystko i odeszła, zostawiając za sobą cierpiącego miłosne męki dziekana.

Rozpoczęły się przygotowania do mojej randki. Umyłam głowę w wywarze z szaławii — by moje kasztanowe włosy błyszcząły, na ciało zastosowałam mieszaninę soli i owsianki, by moja skóra była gładka niczym jedwab. Musiałam też zrobić makijaż, co szło mi nieco opornie.

Z braku wprawy nie mogłam w żaden sposób namalować równych kresk na powiekach, do rzeczy więc zabrał się Otto, mamrocząc coś o dziewczynach z dwiema lewymi rękami.

Następnie półkrasnolud wyrzucił całą zawartość mojej szafy i zaczął przymierzać na mnie bluzki, wygłaszając z mądrym wyrazem twarzy:

—Dla mężczyzny nie golizna jest najważniejsza, a tajemnica. Włóżysz tę niebieską bluzkę, można rozpiąć u góry dwa guziczki i twój biust będzie uwodzicielsko wyglądał. A bieliznę założysz czarną, koronkową. Co masz pod spódnicą?

Otto widział mnie już w różnych sytuacjach i to, co nosiłam pod swoją szeroką płócienną spódnicą, nie było dla niego tajemnicą: cieniutkie spodenki dla wygody — a nuż spódnica zdrze się do góry? Jednak gdy usłyszałam jego pytanie, wczepiłam się w swoją spódnicę niby dziewica przed pełnym chuci mężczyzną.

—Unieś spódnicę do góry!

—Nie! Pójdę, jak stoję!

Półkrasnolud pociągnął za materiał. Spódnica niebezpiecznie zatrzeszczała.

—Nie chcę, żeby mi stamtąd coś kuscielsko wystawało! — oburzyłam się, próbując przy pomocy magii odzłuszczyć palce Ottona od mojego najcenniejszego skarbu.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju zajrzała rozczochrana głowa Trochima.

—O, co widzę! — ucieszył się. — A mówiliście, że się tylko przyjaźnicie!

—Nekromagia??? Skąd je masz?

—Spotkałem Irgę i prosił, żebym ci je oddał. Mówił, że to bardzo pożyteczna drobnostka, chroni przed złymi głodnymi umarlakami.

—Milczenie i brak oddechu były w tym zaklęciu — powiedział raptem mój najlepszy przyjaciel.

—Ze co?

—Dziekan bardzo nie lubi, gdy dmucha mu się w nos przepitym oddechem, a kiedy plecie się przy tym głupstwa, to już w ogóle dostaje szału. Więc czaruje, a ty na drugi raz podsłuchaj coś ciekawszego. Jak myślisz, ile możemy zedrzeć z Irgi za randkę z tobą?

—Poczytaj sobie trochę mądrych książek to się dowiesz, że porządne dziewczyny nie umawiają się z nekro- mantami — odpowiedziałam złośliwie. — Tym bardziej, że nie zapłaci ani miedziaka, zawsze może tu przyjść i napić się herbaty za darmo. On zresztą nie życzy sobie mnie widzieć, nawet prezenty przekazuje przez osoby trzecie.

—Nie jestem osobą trzecią — powiedział Trochim, szukając oczami jakiejś flaszczyki. — Jestem bliskim przyjacielem!

—Wiem o tym, że Irga nie chce cię widzieć — wygadał się półkrasnolud.

—Co??

—Jeśli chcesz znać prawdę, to on jest na ciebie obrażony.

—Kto się obraża, ten się naraża.

—Jeśli chcesz znać moje zdanie...

—Znam je — machnęłam ręką. — Między innymi, sprzedałeś mnie na randkę!

Otto przewrócił oczami.

W końcu, po gorących bataliach, podczas których Trochim aktywnie dyszał na nas parą, mój strój został skompletowany. Spódnica — szeroka, śliczna, z paskiem, podkreślającym „linię bioder”, kuscielska bluzeczka, lekka kurteczka i nawet pantofelki na niskim obcasie.

—Powinien być wysoki — narzekał półkrasnolud. — Nie będziemy jednak ryzykować, jeszcze się przewrócisz i zabijesz.

Upięłam włosy, chwyciłam torbę i stanęłam gotowa do wyjścia.

—Z tym worem nigdzie nie pójdziesz! — Otto przyczepił się do mojej malutkiej, ślicznej torebki.

—To nie wór — wydyszałam, wrywając mu torebkę. Mój najlepszy przyjaciel był silniejszy ode mnie, jednak nie bez powodu prowadziliśmy razem nasz interes już trzy lata!

—Wór! Psuje ci cały wygląd.

Trochim aktywnie kibicował Ottonowi. W końcu silnym szarpnięciem półkrasnolud wyrwał mi z ręki mój ukochany podręczny składzik bardziej i mniej potrzebnych rzeczy.

—Otto, ty szowinisto — obraziłam się. — Kobieta ma prawo do torebki.

—Mam wytrząsnąć zawartość? Z tą torbą bez trudu przeżyjesz rok na bezludnej wyspie!

Uroniłam łzę. Otto odwrócił się demonstracyjnie, ale Trochim się przejął.

—A ty idź nie tylko bez torby, ale i bez portfela. Niech ten cały Bringem ci stawia.

Mój nastrój podniósł głowę i oblizał się. Ruszyłam na spotkanie, rozmyślając o życiu, miłości, stosunku Irgi do mnie oraz moim stosunku do całego gatunku męskiego. Jakież mętne to wszystko było...

Randka szła jak po maśle. Wszystko było cudowne jak w pięknej bajce. Bringem — grzeczny, miły, atrakcyjny, z poczuciem humoru — poczęstował mnie pysznym koktajlem. Oczywiście najdroższym, he, he... Uwielbiam siebie, skromniśię!

Znowu poczęstował koktajlem. I sam też się poczęstował. Parę razy.

Stałam się znacznie miłsza, a jemu, jak każdemu facetowi, zachciało się heroizmu.

—Boisz się spacerować po nocy? — wyszeptał tajemniczo.

Zdziwiłam się. Większość mieszkańców miasteczka studenckiego wiedziała, że przyjaźnię się z Ottonem i że mam jakieś tam układy z Irgą. Ochrona krasnoluda i oparcie w nekromancie — czego jeszcze ma potrzebować dziewczyna, by nie bać się wracać po ciemku do akademika?

No, ale jestem na randce!

—Pewnie, że się boję — odpowiedziałam zmysłowo, mając nadzieję, że mój ton głosu pozbawiony był sceptycyzmu.

Co tam jeszcze powinno się mówić w takich sytuacjach? Aha, przypominałam sobie cytaty ze zwojów, które czytał mi Otto podczas mojej grzebaniny w szafie.

—Na szczęście jest ze mną taki dzielny mężczyzna, że nie boję się niczego.

Zatrzepotałam rękami, czując się jak ostatnia idiotka. To, co dobre jest w tym nieznośnym nekromancie to fakt, że przy nim nigdy nie muszę robić z siebie kretynki.

Bringema te słowa niesłuchanie zainspirowały.

—Chodźmy.

—Dokąd?

—Pospacerujemy po okolicy.

Mądra myśl może, oczywiście, przyjść do głowy nawet idiotce, ale wypowiedanie jej głośno byłoby idiotyzmem z jej strony. Dlatego się zgodziłam.

Poszliśmy na spacer. Po ulicach, uliczkach, zaułkach, ścieżynach... Stop, a dokąd my właściwie idziemy?

Tak, możecie się śmiać. Wypiła, rozkojarzyła się, zapatrzyła na blond fryzurę. I znalazła się na cmentarzu. Na razie żywa.

—Gdzieś ty mnie przyprowadził? — zapytałam niemiłym tonem, zapominając o jakiegokolwiek zmysłowości.

—Cmentarz Warragiński, zobacz, jak tu pięknie!

Cmentarz Warragiński rzeczywiście był bardzo ładny.

Blask księżyca lśnił na wypolerowanych powierzchniach marmurowych krypt, klęczące figury malowniczo kryły się w zaroślach burzanu, wydawało się, że cisza aż dzwoni. Stary cmentarz, rzadko odwiedzany, z klimatem. Nie byłam na nim nigdy przedtem.

—Romantycznie, prawda? — wyszeptał w natchnieniu mój kawaler.

—Jesteś wampirem? — spytałam z nieśmiałą nadzieją

—No coś ty!

—Wilkołak? Zombie? Może chociaż inkubus?

Bringem spojrzał na mnie z wyrazem totalnego zdziwienia.

No tak, jest praktykiem! Jak mogłam zapomnieć! Uspokoiliłam się i wyjaśniłam:

—Wierzę, że po starych cmentarzach powinno się chodzić ze znajomymi siłami nadprzyrodzonymi, więc na wszelki wypadek sprawdziłam.

Romantyczny nastrój został uratowany. Wolno szliśmy po cmentarzu. Bringem opowiadał mi o mieszkańcach krypt. Miał na tym cmentarzu praktyki z niszczenia żywych trupów. Ludzi bogatych zwykle balsamowano, ale zombie były z nich, według mojego towarzysza, opieszale i nieciekawe do zniszczenia.

—Ja po nim zakłamię — trach! a on nawet do uniku się nie kwapi. Głupek.

—To po co robią z nich zombie?

—Czasem niepocieszeni krewni szukają skarbów, czasami ważnych papierów, czasami pomysłów. Jakbyś miała utalentowanego pradziadka i była w potrzebie, to byś go nie ożywiła w poszukiwaniu pomysłów?

A tak przy okazji, o pomysłach... W naszą stronę spokojnie i zdecydowanie zbliżał się całkiem nawet rzeński zombie.

—Co robimy? — zapytałam Bringema, ciągnąc go za rękaw i pokazując zombie.

Prawie dyplomowany mag-praktyk wywrócił oczami i padł bez czucia na ziemię.

Ciągnąc kawalera w cień krypty, z nadzieją, że zombie nas nie zauważył, myślałam o jednym: „Diabli nadali płatne studia, kiedy marnego studenta żal wywalić”! Nie mogłam nawet połączyć go wodą — cała koncentracja, potrzebna do spełnienia magicznych gestów, ulokowała się w szczęce i aktywnie zajmowała się dzwonieniem zębami.

Bringem otworzył oczy, szczerząc zębami jeszcze głośniejsze niż ja i wczepił się w moją rękę. Ból mnie otrzeźwił, zdzierając jego palce z ramienia, wysyczałam:

—Jesteś przecież praktykiem! Praktykiem! Zróbże coś wreszcie!

—Boję się zombie! Jestem magiem bojowym, moim zadaniem jest niszczenie wroga, upiory i zombie to nie mój profil!

W tej chwili zrozumiałam, co znaczy „dławiąca wściekłość”. Sytuacja była okropna, niemniej miałam przemożną ochotę wręczyć tego „maga bojowego” zombie i pomóc mu w jego rozczłonkowaniu. Jak bardzo pragnęłam ujrzeć teraz Irgę! Nawet gdyby kpił, jak to miał w zwyczaju, nawet gdyby znowu doprowadzał mnie do białej gorączki, na pewno by jednak wiedział, co robić!

—Po cholere żęś mnie tu przyprowadził, skoro się boisz zombie?! — trzymałam Bringema za kołnierz. Jego głowa dyndała bezwładnie, a zęby wydzwaniały swoją tchórzowską melodię.

Pojąwszy, że nie mogę liczyć na jego pomoc, zdecydowałam się zrejterować, pełzną. Podniosłam wzrok. No tak, nasz drogi przyjaciel nie mógł nie zauważyć zamieszania przy krypcie.

—Cześć! — nie mogłam wymyślić nic mądrzejszego, więc pomachałam do niego ręką.

Zombie odmachał w odpowiedzi. Kolczyki od Irgi rozgrzały się zauważalnie.

Starałam się czołgać w swojej ślicznej spódnicy, zamaszycie ruszając „linią bioder”, byle dalej od zombie. Bringem bardzo wiarygodnie udawał martwego. Nawet zęby mu nie szczerkały. Palant.

Czyjś zmarły krewny chyba zdecydował się przyspieszyć moje czołganie, pochylił się i wczepił sinozieloną ręką w moją spódnice.

„Fajne zestawienie kolorów” — zdążyłam pomyśleć, zanim porządnie się wściekłam.

—Moja najlepsza spódnica! — zawołałam z oburzeniem i kopnęłam zombie z całej siły.

Pantofle ujawniły swoje wszystkie zalety. Obcasik był niski, ale ostry. Ręka zombie nadziała się na niego jak szaszłyk na szpadkę. Parę razy bez skutku machnęłam nogą i zastanowiłam się: mam zostawić pantofel zombie i uciec boso? Przed oczami mej duszy pojawił się cennik:

Spódnica, jedwabna, z falbanami — 1 złocisz

Pantofle, skór. dam. — 25 srebrniaków

Nie ma co, świetna randka. Same straty.

Zombie najwyraźniej także oddał się rozmyślaniom. Coś tam sobie postanowiwszy, złapał moją nogę i parę razy pociągnął. Spódnica uniosła się do góry. Szkoda, że nie miał kto ocenić moich wdzięków.

Całkiem otumaniona lękiem, powiedziałam:

—Szanowny panie! Proszę zostawić moją nogę! Nie płacił pan za nią.

Widocznie słowo „płacić” było dla mojego nowego przyjaciela kluczowe. Popatrzył na mnie okrągłymi oczami i bardzo wyraźnie powiedział:

—Podatków nie płaciłem i płacić nie mam zamiaru.

Bringem przestał udawać umarłego i czknał. Spojrzał

na żywy obraz „Zombie i goła noga dziewczyny, siedzącej przy krypcie” i umarł ponownie. Wszystko to przypominało przerywany, niespokojny sen na kacu.

Pomyślałam, że muszę przestać pić. Od siedzenia na ziemi zrobiło mi się zimno, a na duszy tęsknie. Jedyne, co mnie grzało, to kolczyki w uszach, ale to było za mało. Bez większych nadziei poszarpałam nogą i pomyślałam: wróć do domu, zabiję Bringema, a Ottonowi wleję za wszystkie czasy.

—Przepiękny widok — zauważył ktoś z góry.

Podniosłam oczy. Irga! Oparł się o kryptę i bezwstydnie oglądał moje nogi. Jeszcze nigdy tak się nie cieszyłam na jego widok!

— Nie jest ci zimno, jak tak siedzisz na ziemi? — zapytał Irga. — Do lata jeszcze daleko.

— To twoja sprawka? — zainteresowałam się, wskazując na żywego umarlaka.

— Zombie jest mój. Mieliśmy obrządek, z urzędnikami ze skarbowki. Starali się wymóc na nim zgodę na to, by płacili jego potomkowie. Ten przystojniaczek napisał testament, w którym przeklął wszystkich swoich potomków, którzy będą płacić podatki. Staraliśmy się go przekonać, żeby zmienił zdanie, bo takie pośmiertne przekleństwo to wyjątkowo parszywa sprawa.

Ów „przystojniaczek” zaczął gładzić moją nogę. Wrzasnęłam — było to zimne, ohydne i wcale nie erotyczne doświadczenie.

— Zabierz go ode mnie!!! Zabierz! Ohyda!!!!

Irga wyszeptał parę zaklęć, zombie zamarł. Nekromanta ostrożnie oswobodził moją nogę i pomógł mi wstać.

— O, widzę, masz nowe kolczyki.

— Dlaczego nie ochroniły mnie przed zombie? Tro- chim mówił..

— Ale umarlak przecież cię nie zjadł — rezolutnie odpowiedział nekromanta. — Tylko głąskał. — I zachichotał paskudnie.

— Zabijmy go! — zaproponowałam z nadzieją.

— Nie mogę, nie dał jeszcze zgody na podatki.

— Nie mówię o zombie — wskazałam palcem podnoszącego się z burzanów Bringema.

— O, Bringem! — ucieszył się Irga. — Tak właśnie myślałam, czy to nie ty leżysz w tych krzakach. A ty co, spotykasz się z nim? — zapytał mnie, nie pokazując żadnych emocji.

— Oczywiście, że nie — zaprotestowałam. Nogi jeszcze mi drżały, ale nie przeszkadzało mi to w oglądaniu uszkodzeń na spódnicy.

— Otto zorganizował mi tę randkę. Dostałam za to pieniądze.

— I oczywiście nie miałaś zielonego pojęcia, że Bringem panicznie boi się nieumarłych i dlatego zaciągnęłaś go na cmentarz?

— Ja zaciągnęłam?! Ja?! — We wzburzeniu opadły ze mnie resztki subtelnej kobiecości. — Ten cholernik sam mnie tu przyprowadził!

— Byłem pewien, że nikogo tu nie ma! — wyjęczał Bringem. — Nie mów o tym nikomu, błagam!

— A co z twoją praktyką z likwidacji żywych trupów? Popatrz, jak wygląda moja spódnica!!

— Ja poszedłem za niego na praktykę — uśmiechnął się Irga. — Trochę kasy i wszystko załatwione. Wykładowca jeść musi, tak jak i ja. A w walkach z ludźmi jest niezły, więc przymknęli oko.

Zrobiło mi się smutno. Gdzież ci prawdziwi mężczyźni, bohaterowie, którzy robią coś, nie patrząc na zapłatę? (Wybawiając mnie od zombie, Irga w ramach nagrody potrzymał mnie za nogę i na pewno poupajał się widokiem mojej bielizny). Od niedawnych przeżyć miałam dreszcze. Bardzo brakowało mi mojej torby, w której trzymałam leczniczą nalewkę — słabą, miała nie więcej niż dwadzieścia procent alkoholu. Było mi tak źle, że odechciało mi się już nawet przywalić Bringemowi, który, zgarbiony, włókł się ku wyjściu.

Spódnicy żal, buty trzeba będzie gruntownie wyczyścić, zmarzłam, nerwy mam całkiem skołatane... No, Otto, mam ciebie dosyć, po same uszy. A właściwie...

— Irga, ile zapłacisz, żeby pójść ze mną na randkę? — zapytałam.

— A to co za nowość? — uniósł brew. — Z jakiej to przyczyny muszę za to płacić?

— Zapomnij — odpowiedziałam pośpiesznie.

To dopiero wredota! A myślałam, że mu się podobam. Mógłby zapłacić, a ja szczebiotałabym z nim wesoło przez cały wieczór. No tak, coś takiego z Irgą nie przejdzie.

— Oła — powiedział miękko nekromanta. — Bardzo chętnie pójdę z tobą na randkę, ale uczuciową, nie handlową, dobrze? Powiedz mi, kiedy będziesz na to gotowa.

Zmarszczyłam nos.

— Wątpię, czy po dzisiejszym wieczorze będę miała ochotę gdziekolwiek z kimś pójść.

— I bardzo dobrze! — Irga poweselał. — Przynajmniej będę pewien, że nie wpadniesz w łapy jakimś zimnym sinym kawalerom i nie będę musiał kombinować, jak leczyć twoje przeziębienie

Pogroziłam szyderycy kułakiem i oddaliłam się z godnością.



## Kolczyki od nekromanty

Po powrocie z zajęć zastałam swoją współlokatorkę stojącą z wybałuszonymi oczami w drzwiach naszego pokoju. Ponieważ byłam wyższa, nie sprawiło mi najmniejszych trudności spojrzanie Lirze przez ramię. W takiej też pozie dosłownie zastygłam.

Nasz pokój, przyjmijmy, że lśniący zazwyczaj czystością i porządkiem, przypominał teraz prawdziwe wysypisko. Wszędzie walały się wygarnięte z szaf ciuchy, powyrzucana ze szkatulek biżuteria, poprzewracane buteleczki z lekarskami... Nawet pościel na łóżkach była porozrzucana. Bałagan totalny, włamywacze nie przepuścili niczego.

Myśl, która w tym momencie wpadła mi do głowy, wcale nie brzmiała: „Okradli mnie!”, ponieważ ukraść mi nie można było nic – cała moja większa gotówka spoczywała w krasnołudzkiemu banku, czekając, aż ukończę studia – lecz: „Jasny gwint, będziemy to sprzątać przez rok!!!”

– Hej, posuń się! – donośny głos Ottona słychać było już z daleka.

Odwróciłam się. Za naszą malowniczą grupką zebrał się już niemały tłumek, starający się z wielką ciekawością zajrzeć do środka. W chwili obecnej gapie zostali rozepchnięci przez potężne ramiona Ottona, za którym szedł – serce mi zamarło – mój obecny chłopak.

Całkiem niedawno udało mi się omotać Stefana, przystojniaka z Wydziału Magii Użytkowej, i obecnie przeżywałam stan ostrego zakochania. Nie wiadomo dlaczego, Otto zapłonął do niego uczuciem dokładnie przeciwnym i nawet nie starał się tego ukrywać. Ja natomiast upajałam się spojrzeniami pełnymi zazdrości, którymi raczyły mnie studentki z mojego fakultetu i Wydziału Magii Praktycznej.

–No nieźle – powiedział Otto, rzuciwszy okiem na pobojuwisko. – Wiedziałem, że nie przepadasz za sprzątaniami, ale żeby doprowadzić pokój do takiego stanu...

–Otto – z wyrzutem powiedziała Lira, gdyż my ze Stefanem całowaliśmy się w tej chwili namiętnie. – Kiedy wychodziłam na zajęcia był porządek... hm... no panował lekki nieład, jak zwykle, ale nie coś takiego!

–Kochanie – poinformował mnie Stefan. – Zobacz, grzebali głównie na twojej połowie pokoju.

Przyjrzelśmy się uważnie. Otto zdecydowanym ruchem wepchnął nas do środka i zamknął przed ciekawską gawiedzią drzwi, rzucając na nie zaklęcie ciszy.

–On ma rację – niechętnie przyznał mój najlepszy przyjaciel, zaczynając ze zdenerwowania szarpać się za brodę.

–I co nam to daje?

–A to, kochanie, że szukali u ciebie czegoś cennego. Przypomnij sobie, co masz tak cennego, że aż ktoś postanowił zaryzykować włamanie. Przecież mogłaś w każdej chwili uciec z wykładów i wrócić tutaj.

Stefan miał rację – z wykładów zmywałam się regularnie, żeby pozalać swoje sprawy, albo po prostu się wyspać.

–Cennego, cennego, cennego... – mruczałam, patrząc na pobojuwisko, będące kiedyś moim pokojem.

Może naprawdę coś przeoczyłam i trzymałam w pokoju jakiś cenny przedmiot? Ta myśl sprawiła, że zrobiło mi się nieprzyjemnie – niewesoło jest być posiadaczką skarbu i dowiedzieć się o tym w chwili, gdy właśnie ci go ukradziono.

Tymczasem Otto wziął się do sprząkania. Często służył swoją pomocą w tej trudnej dla mnie sprawie, najczęściej przed tym, jak opiekunowie sprawdzali stan naszych pokoi, dlatego był świetnie zorientowany, gdzie co leży.

–To nie o ciuchy chodziło, można je kupić w każdym sklepie – mamrotał pod nosem, wpychając do szafy moje spódnice i bluzeczki.

–I nie o obuwie – przyłączyłam się do gry „myśl jak włamywacz”.

–A może schowałaś to coś u mnie? – zapytała Lira, próbując zwrócić na siebie uwagę Stefana.

— Ciekawa opcja — zgodził się i ruszył pomóc jej w sprzątaniu.

Poczułam ukłucie zazdrości i zaczęłam sprzątać z podwójną energią.

W końcu na podłodze zostały tylko porozrzucane artefakty i część biżuterii.

— Tu trzeba być ostrożniejszym — uprzedził Stefan — daję głowę, że włamywacze szukali czegoś właśnie wśród tych przedmiotów.

— Wśród biżuterii? — spytałam z niedowierzaniem. — Nigdy w życiu nie miałam drogich świecidełek. Kupuję je za grosze na pchlim targu.

Nie kupowałam ich nie dlatego, że byłam biedna — w żadnym wypadku, pieniędzy miałam wystarczająco dużo, chodziło tylko o to, że tańsza biżuteria jest o niebo ładniejsza i bardziej oryginalna, nie to co standardowa od jubilera. Dlatego też o moim pojawieniu się w jakimś miejscu wszyscy wiedzieli zawsze dużo wcześniej — mnóstwo ozdób, które nosiłam, dźwięczało przy moim każdym kroku.

— A artefakty? Jesteś teoretykiem, powinnaś mieć wiele artefaktów.

— No tak, ale te tutaj są najwyklesze, kupione w sklepiku dla studentów. Wszystkie, które naprawdę mają jakąś wartość, noszę na sobie!

— Aaa — powiedział Stefan w zamyśleniu, po czym się ożywił. — No cóż! Zobaczmy, czego złodzieje nie zabrali.

— Dziwne jest to, że weszli do pokoju, nie przerywając ochronnego zaklęcia. — Otto, jak każdy krasnolud, głupi nie był i zawsze myślał logicznie.

Lira zaczerwieniła się po cebulki włosów.

— Spieszyłam się na zajęcia i zapomniałam je nałożyć...

Słyszając to, bardzo się ucieszyłam.

— A więc ty będziesz zamiatać podłogę!

Od nadprogramowego sprzątania minęło kilka dni. Nic nie mąciło naszego spokoju, Otto ze Stefanem uspokoił się i przestali chodzić za mną krok w krok. W końcu doszliśmy z Lirą do wniosku, że ktoś zrobił nam po prostu głupi dowcip.

Drugi akt komedii „Zamożna Ola” rozegrał się późnym wieczorem. Zmęczona do ostatnich granic, wlokłam się do swojego akademika. Drózkę oświetlały wiszące gdzieś magiczne ogniki (aktywowanie ich należy do obowiązków studentów, którzy lenili się, jak zwykle). Człapałam z zajęć magii rzemieślniczej i byłam strasznie nieszczęśliwa. Krasnoludscy krewni Ottona, którzy przywykli już do naszej przyjaźni, a co ważniejsze, do naszego wspólnego interesu, traktowali mnie jak członka rodziny. Dla jego mamy, Waliny, byłam czwartą córką. Dlatego krasnoludy, którzy tradycyjnie zawsze wspierają się nawzajem, poradzili mi, bym zajęła się magią rzemieślniczą — wyrobem artefaktów i innych błyskotek. Niestety, już pierwsze zajęcia pokazały wyraźnie, że nie mam cienia zdolności, by osiągać sukcesy na tym polu. Krasnoludy wykładowcy wyrwali sobie włosy z brody, przeklinając moje nieudolne rączki, zaś moich łez starczyłoby na dwa wartkie potoki, płynące obok kowadła. Przecież nie jestem ostatnim tępolem, w dodatku z powodzeniem ukończyłam kurs kwalifikacyjny „Magia Rzemieślnicza dla

Teoretyków”, no ale tam nie musieliśmy robić artefaktów własnymi rękami!

Dlatego też zdecydowano, by skrócić męki moje i opiekunów fakultetu, że mój kurs ograniczy się do pracy nad istniejącymi artefaktami. Całkiem dobrze szło mi wybieranie zaklęć i nakładanie ich na przedmioty. Jedyнным artefaktem, który wykonałam całkowicie samodzielnie, była duża, nieco krzywa srebrna szpilka. Nosiłam ją stale, a ona przytrzymywała moje włosy upięte w ciasny węzeł, ponieważ często zasypiałam na zajęcia i nie miałam czasu walczyć z fryzurą. Doskonaliłam szpilkę po cichu, jako przedmiot własnej radosnej twórczości, ćwicząc na niej wszystkie zaklęcia. W chwili obecnej szpilka była na- faszerowana taką ilością przeróżnych zaklęć, że sama już nie wiedziałam, co tak naprawdę potrafi.

Walczyłam ze starą tabakierką, która w żaden sposób nie chciała się otworzyć. Profesor Swingdar moje cierpienia wzmagął swoimi komentarzami, które przeszły w dziki śmiech po tym, jak tabakierka wprawnie uszczypnęła mnie w nos. Zła na cały świat, obiecałam głośno, że jeśli tabakierka nie otworzy się w tej chwili, to osobiście ją przetopię. Po tych magicznych słowach złośliwy

przedmiot szcęknał i otworzył się, wypuszczając obłoczek kurzu — sądząc po zapachu, ostatni właściciel trzymał w niej lawendę. Profesor zaczął kichać, gdyż na lawendę miał alergię — zrozumiałam, że sam pudeleczek nie otwierał nigdy przedtem, a pozwolił mi męczyć się z nim tak długo z czystej złośliwości. Upuściłam tabakierkę na stół, od czego (zupełnie przypadkowo) resztki lawendowego pyłu radośnie wzbily się w powietrze, pożegnałam się grzecznie i wyszłam.

Wlokłam się do domu, zamiatając dróżkę skrajem długiej spódnicy. Nagle moja szpilka zaczęła wibrować. Nie wiedziałam, co spowodowało owe wibracje, ani które z zakłęb zadziałało, i na wszelki wypadek narzuciłam na siebie Tarczę.

Ten rodzaj ochrony działał bezbłędnie i wychodził mi najlepiej ze wszystkich. Po krótkim namyśle rzuciłam jeszcze zakłęb ciszy — żeby nie dzwoniły moje liczne świecidełka, zakasałam spódnicę i skradając się niczym złodziej, ruszyłam w dalszą drogę. Szpilka wibrowała coraz mocniej. Czyżby czekały mnie jakieś nieprzyjemności?

Nie bałam się jakoś specjalnie — w końcu co takiego może się zdarzyć na terenie miasteczka studenckiego? Niemniej, było to frapujące. Zajrzałam za róg akademika i zobaczyłam trzy postacie, zakutane w płaszcze z kapturami jak rasowi przestępcy. Jedna z nich właśnie głośno kichnęła. Druga ze złością walnęła ją po plecach.

—Cicho bądź, nic nie słyszę. Zaraz powinna tędy iść. Mówił, że będzie dzwonić jak krowa na wypasie.

„No niech mi tylko wpadnie w łapy ten cały 'on'” — wściekałam się, że moja biżuteria nie została należycie doceniona.

Postacie nasłuchiwały.

—Nie dzwoni. Może krasnolud za długo ją przytrzymał?

To zdanie nie pozostawiało żadnych złudzeń, że zorganizowano dla mnie miłe, przyjacielskie spotkanie.

—Dobra, powtórzmy raz jeszcze — zadysponował główny ze zbirów. — Kiedy wyjdzie z za rogu, ty walniesz ją po głowie, a ty ściągasz wszystko jak najprędzej. Tylko delikatnie, on mówił, żeby nie było żadnej krwi!

Tym nakazem „on” zdobył sobie moją sympatię — krew ciężko sprać. Nie zamierzałam wpadać w ręce zbirów i poszłam do akademika okrężną drogą. Przy drzwiach wejściowych czekało jeszcze paru innych, rozkoszując się pogodną nocką. Byłam bardzo śpiąca, ale z pomysłu, żeby podejść i zapytać: „Hej, chłopaki, czekacie na mnie? No to trzymajcie wszystko, co mam, chce mi się spać” — mój rozsądek zrezygnował (tak, posiadam coś takiego, zazwyczaj mocno śpi, ale tego wieczora się przebudził).

Nie zdejmując Tarczy, zakradłam się do akademika Ottona. Niewątpliwie już spał — jego chrapanie rozlegało się na pół miasteczka. Westchnęłam, wyszeptałam zakłęb i wgramoliłam się po sznurowej drabinie na piętro. Powiesiliśmy ją razem z Ottonem już dawno temu, kiedy jeszcze musiałam wchodzić do jego pokoju w tajemnicy. Potem wszyscy się przyzwyczaili i portierka, chuda i pomarszczona krasnoludka z bujnymi siwymi bakami, wpuszczała mnie do akademika bez problemów, jednak mimo wszystko, moje wtargnięcie o tak późnej porze wywołałoby lawinę pytań.

—Otto! — wyszeptałam nad jego uchem.

Obudził się w mgnieniu oka.

—Jesteś cała?

—Tak. Otto...

—To czego mnie budzisz?

—A ty czego zadajesz takie kretyńskie pytania? — rozplakałam się. Mimo wszystko nie jest ci przyjemnie, kiedy gotują na ciebie zasadzkę.

Otto podał mi swoją chusteczkę do nosa.

—A o co mam pytać, kiedy wpadasz do mnie do pokoju w środku nocy i to w dodatku przez okno? Zapomniałaś, że niedawno chcieli cię okraść? Nie rycz, tylko opowiadaj. — Mój przyjaciel westchnął, po czym wziął z półki pilnie strzeżony przede mną kuferek i wyciągnął z niego parę owoców w cukrze.

Mój nastrój uległ znacznej poprawie — przecież tak naprawdę nic się nie stało, a w dodatku te owoce są takie pyszne.

—No coś takiego! — wysłuchawszy mnie, pokręcił głową Otto, i nagle zapytał: — A dlaczego nie poszłaś z tym do Stefana? Po pierwsze, mieszka na parterze, a po drugie, jako przyszły mag bojowy, zapewniłby ci znacznie lepszą ochronę.

Zamarłam z rozdziawionymi ustami. To dziwne, ale dopiero teraz sobie o nim przypomniałam.

—Tak myślałam! — zatriumfował Otto, rzucając we mnie poduszką. — Miłość jest przydatna tylko do posiaduszek przy księżycu i... hm... jeszcze paru rzeczy. A kiedy ktoś ma kłopoty — wtedy najważniejsza jest przyjaźń!

Wygłosiwszy tę wiekopomną przemowę, mój najlepszy przyjaciel szybko wymruczał ochronne zaklęcie i położył się spać. Zaległam na sąsiednim łóżku — współlokator Ottona, gruby i dobroduszny Was, nie bardzo lubił akademik z powodu chronicznego braku jedzenia w pokoju, dlatego też nocował w mieście u rodziny — takich samych jak on tłusciutkich krasnoludów, prowadzących karcznię — tam jedzenia nie brakowało nigdy.

Dziwne, ale po tej przygodzie zasnęłam od razu. Chrapanie mi nie przeszkadzało — mój tata piłował tak, że Otto mógłby się tylko od niego uczyć. I nie śniły mi się żadne koszmary — moja mama powiedziałaaby, że to przez przepite nerwy.

Następnego wieczora w „Pij Więcej!” zebrała się rada wojenna, żeby omówić bieżącą sytuację. Na czele rady stał Stefan, Otto siedział z ponurą miną obok Liry i powoli sączył piwo.

—Pytanie dnia: co ci obywatele chcieli z ciebie zdjąć? — to pytanie dnia zadawał już setny raz, jednak do tej pory nie naszło mnie żadne objawienie.

—Zdjąć, zdjąć, zdjąć... — myślałam głośno w napięciu, rozłożywszy na stole wszystkie osobiste artefakty i amulety.

—Podzieliłmiś je na trzy kupki — przydatne, ale tanie, drogie i te, które były aktywowane tylko na mnie. Skanowałam je już po raz trzeci, starając się ujawnić jakieś nieznanne mi dotąd magiczne właściwości. Tanie świeciły zwykłą szarą aurą charakterystyczną dla produkcji masowej, drogie świeciły lekko żółtym i purpurowym światłem — zaczęły stroić się na mnie, warte były swojej ceny, a te nastrojone na mnie były tylko dwa — specyficzny amulet teoretyka, służący jako nadajnik magii i neutralizator moich własnych eksperymentów w rzucaniu zaklęć — prezent od ojca Ottona — ich aura świeciła silnym pąsowym światłem. Ta taniucha nikogo nie obchodzi. Tamte dwa nikomu, prócz ciebie, się nie przydadzą. — Stefan przyspieszył tok myślenia — O, a co masz tutaj?

—Mam! — ucieszyłam się, spjrzałam na zaniepokojone twarze przyjaciół i wyjaśniłam. — Ten artefakt, który podarował mi Irga. No ten, co podpowiada runy nekromagii i umie leczyć katar. Może któregoś z bandytów męczył właśnie katar?

Twarze obecnych, dotąd zaniepokojone, przybrały teraz wyraz pod tytułem „żądza krwi”. Nagle jakaś myśl przyszła mi do głowy, ale przeraziła się ilości spożytego alkoholu i uciekła, nie zdążąwszy się na dobre zmaterializować.

—Kochanie — powiedział Stefan przymilnie. — Czy to jedyny artefakt, który podarował ci twój dobry przyjaciel nekromanta?

—Nie masz powodów do zazdrości — zjeżyłam się. — Oczywiście, że nie jedyny. Mam jeszcze amulet chroniący przed złym spojrzeniem. Nekromanci są w tym specjalistami. I...

—I... — cierpliwie ciągnął Stefan.

—Kolczyki przeciwko zombie! — pisnęłam, łapiąc myśl, która mi wcześniej zwiła.

—Może to jest ten przedmiot, którego tak szukają? — ożywił się Otto. — Skanowałaś je? Jaką mają moc?

—Nie — wyjęczałam. — Nie skanowałam ich, założyłam je tylko na tamtą randkę z Bringemem, a potem o nich zapomniałam.

—A gdzie je trzymasz? — Stefan z trudem krył podniecenie. — Może schowajmy je u mnie lub u Ottona, do nas się nie włamią, i przeczekajmy, jak myślisz?

Poczułam się jak idiotka w otoczeniu nauczycieli, którzy wyjaśniają mi, że rozum znajduje się w głowie, a nie znacznie niżej.

—Wtopiłam je w szpilkę — wyszeptalam.

—Ha! — ucieszył się Otto. — Wygrałam! Pokłóciliśmy się z profesorem co do nowego wyglądu szpilki — on upierał się, że przetopiłaś ją sama, a ja, że wzięłaś gotowe części i po prostu je dołączyłaś, mój leniuszku ty. Kolczyków nie popsulaś?

—Nie — obruszyłam się. — Nie mam dwóch lewych rąk. Tylko żeby wyodrębnić właściwości kolczyków, muszę je z powrotem wytopić.

—A co, twoja szpilka to artefakt? — zainteresował się mój adorator. — To czemu nie położyłaś jej na stół?

—Jakoś tak zapomniałam.

—No to daj mi ją na przechowanie — powiedział Stefan. — W czym problem?

—Ona może być tylko w moich rękach. Potrzebna jest specjalna magiczna pułapka dla artefaktów. — Musiałam uzmysłowić Stefanowi, jaką delikatną materią jest umiejętne postępowanie z tego rodzaju przedmiotami.

Stefan posmutniał.

—Będzie trzeba odprowadzać cię do twojego pokoju.

®

Parę dni był spokój. Wszędzie towarzyszył mi Stefan — nie można powiedzieć, że mi się to nie podobało. Ale za Stefanem krok w krok chodził Otto, co mi się nie podobało — ani pocałować się normalnie nie można, ani poprzytulać przy osobie trzeciej.

—Spotkajmy się dziś w knajpce obok „Pij Więcej!” — szepnął mi na przerwie Stefan. — Tylko pozbądź się ogona, a potem Otto nas tam nie znajdzie.

Do knajpki przyszedłam pełna nadziei na niezapomniany wieczór. I rzeczywiście, zapamiętałam go na długo.

Stefan nie przyszedł. Jego kolega z roku powiadomił mnie, że Stefan nie może urwać się z praktyk i prosi, bym wracała do domu, póki jest widno.

Zrobiło mi się smutno, ale wkrótce pojawili się znajomi z piwem. Summa summarum, zabawiłam w knajpie dość długo. I oczywiście, do akademika poszłam sama, ponieważ w mojej pijanej głowie nie powstała myśl, żeby poprosić kogoś o odprowadzenie.

Nasza ulubiona knajpka miała tę z wielu innych zalet, że znajdowała się w niezłej odległości od miasteczka studenckiego. Było to bardzo wygodne — podczas drogi do akademika upojenie cichaczem się ulatniało i można było przed dyżurnym stać w miarę równo i prosto chodzić. Żal i złość na Stefana przeszły mi już dawno, szłam więc sobie wesoło, pochłaniając precla i podśpiewując sobie jakiś szlagierek, kiedy zostałam zatrzymana bardzo niedelikatnie:

—Ależ ty okropnie śpiewasz!

Dzięki temu, że nie zamarłam, tylko machinalnie się cofnęłam, kij, który miał trafić mnie w głowę, przeleciał obok.

Świst kija otrzeźwił mnie lepiej niż zakłęcie antyalkoholowe.

Bez słowa błyskawicznie zawróciłam i dałam nogę, pozbywając się w biegu długiej spódnicy. Napastnicy nie spodziewali się, że pijana dziewczyna może tak szybko biec i zamarli na chwilę, po czym ruszyli za mną szalonym pędem.

„Zegnaj, spódnico za złocisza” — pomyślałam, kiedy wprawnie rozwiązana (zawsze wiedziałam, że kopertówka, trzymająca się na jednej tasiemce to najlepszy wariant odzieży) z lekkim szmerem została z tyłu.

Chłód zaczął kąsać moje gołe nogi. Dziękowałam samej sobie za to, że wkładałam pod spódnice lekkie krótkie spodenki!

Artefakty przestały podskakiwać w rytm mojego biegu i pociągnęły mnie do tyłu.

„Co teraz? Aha, włączyli pułapkę!” Sprawy przyjęły niewesoły obrót. Magiczną pułapkę nastrojono na szerokie spektrum artefaktów i teraz ciągnęło je do niej, spowalniając mój bieg.

„Zegnajcie, kochane, moja głowa jest od was cenniejsza”. — W pędzie zrywałam łańcuszki tanich amuletów i artefaktów, by zmniejszyć obciążenie. Szpilka we włosach wibrowała, ale się trzymała, artefakty nastrojone na właściciela najsłabiej odpowiadają na sygnał pułapki.

— Stój, więdźmo, nie zabijemy cię! — rycieli bandyci za mymi plecami.

Słumiłam dziką chęć, by pokazać im figę, i tylko przyspieszyłam.

„Nigdy — więcej — nie — opuszczę — zajęć — z — wuefu — wdech — wydech — wdech — wydech...” Cieszyło mnie jedno — moi prześladowcy także nie należeli do czołówki biegaczy, a sądząc po świszczących oddechach, powinni dodatkowo rzucić palenie.

„Szybciej, słoneczko, szybciej, trzeba ich zgubić” — popędzałam samą siebie. Dostałam kolki, traciłam oddech. Coś zaświszczało obok — Sukinkot, strzała z kuszy! Zapewne złoczyńcom sprzykrzyło się bieganie i postanowili zatrzymać mnie przy pomocy bardziej radykalnych metod. Myśl ta dodała mi skrzydeł, choć sądziłam, że szybciej bieć nie dam już rady. Następna strzała drasnęła mnie w lewe ramię.

Zawody zakończyły się dość niespodziewanie — skręciłam za róg i siłą rozpędu wbiłam się w czyjeś ciało, po czym zaczęłam wyrwać się i gryźć. Otrzeźwił mnie silny policzek i rozpoznałam Irgę.

— Czeeeeść... — zaczął, rozciągając swoim zwyczajem samogłoski.

Musiałam przerwać te grzeczności.

— Za chwilę mnie zabiją! — krzyknęłam, słysząc zbliżający się tupot. Artefakty, które sobie zostawiłam, wrzynały mi się w szyję, starając się ulecieć do pułapki. Szpilka na głowie wibrowała tak bardzo, że groziła mi łysina.

Za co uwielbiam Irgę — za szybkość reakcji i zdecydowanie.

Raz — rzuciło mnie na ścianę domu.

Dwa — nakryło ciężką płachtą zakłęcia ukrycia.

Trzy — bandyci, wybiegający zza rogu, dźwigający pułapkę już we dwójkę i dyszący jak parowozy, napotkali powietrzną ścianę.

— To jej koleżka nekromanta, jej współnik! — krzyknął gość z kuszą, próbując wycelować w Irgę.

Głos jakby znajomy! Tak, to on krytykował mój śpiew!

Cztery, pięć, sześć — napastników porozrzucalo w różne strony niczym puszki topoli.

Siedem — pułapka się zatrzaskuje.

Osiem — Irga idzie w moją stronę, ściągając zakłęcia ukrycia.

Przykucnął przede mną i zapytał:

— Mocno cię zranili?

Po tym pytaniu dogonił mnie szok. Trzęsło mnie od łkań, zęby szczękały, ręce biły po bruku...

Irga popatrzył na to przedstawienie, i w końcu dał mi jeszcze parę siarczystych policzków.

— Nie wolno mnie bić — powiedziałam już trzeźwo i zaczęłam po cichutku płakać. Byłam kompletnie przerażona.

Irga spojrział na leżących bandytów, potem na mnie, wzruszył ramionami, wyciągnął z torby jakiś woreczek i podał mi go. „Cokolwiek to jest, gorzej już mi nie będzie” — zdecydowałam i spróbowałam przełknąć to coś. Okazało się, że był to proszek, który należało wdychać, usnęłam więc, kaszląc.

Przebudzenie miałam ciężkie, coś cisnęło mnie w bok i przeszkadzało wygodniej się ułożyć. Łóżko było niezwykle twarde. Oczy ciągle nie chciały się otworzyć. Znajome głosy przyływały i odpływały.

— Skąd mam wiedzieć, komu wygadała...

— Chłapie się ozorem...

— Moja wina, że nie dopilnowałem...

Spróbowałam przeciągnąć się, jak to miałam w zwyczaju czynić po przebudzeniu, i krzyknęłam — mój bark przeszył ostry ból.

— Otwórz oczy, złotko. — Otto przemawiał do mnie czule jak do niemowlaka.

Oba naraz otworzyć się nie chciały, ale lewym uważnie popatrzyłam na srebrne spinki w brodzie Ottona.

— Zuch dziewczyna! — ucieszył się. — Leż i o nic się nie martw, nic ci tu nie grozi. Rana jest powierzchowna, ale nogi będą cię jutro boleć bez dwóch zdań.

Podniosłam się z jękiem i rozejrzałam się już obojętnie.

— Gdzie ja jestem? — zakrakałam chrypliwie.

— U mnie w domu, a myślałaś, że gdzie? — powiedział Irga.

Mieszkanie nekromanty! Ale fajnie. Rozejrzałam się dokładniej.

Mieszkanko nieco mnie rozczarowało — maleńki, ciasny, zwykły pokój, jaki przeznaczają wszystkim biednym urzędnikom jako mieszkanie służbowe.

— Takie sobie — wydusiłam.

— Uroczyście przysięgam — powiedział Irga, wznosząc oczy do góry. — Jak tylko stać mnie będzie na własny dom, pomaluję wszystkie ściany na czarno i powieszę dla ozdoby czaszki i szkielety. I kupię sobie czarnego kota.

Zaczerwieniłam się — właśnie tak wyobrażałam sobie miejsce zamieszkania nekromanty.

— No to powiedz wreszcie, przez kogo nie poszedłem dziś do pracy.

— Przez Stefana — wypaliłam nieoczekiwanie dla samej siebie.

Reakcja moich przyjaciół była różna. Irga ironicznie uniósł brew, a Otto w oszołomieniu targał swoją brodę.

— A kto to taki ten Stefan? — chciał wiedzieć nekromanta. — Czy to nie ten, z którym bez przerwy liżesz się po kątach?

Zdziwiłam się, że Irga jest tak dobrze poinformowany, przecież nie widziałam go od paru tygodni, od kiedy zaczęłam spotykać się ze Stefanem.

— Oła, wiesz, że go nie lubię — rzekł półkrasnolud. — Ale co ci nagle strzeliło do głowy?

— Czekać, czekać, najpierw wszystko mi opowiedzcie.

— A co tu opowiadać — westchnął Irga. — Szedłem sobie do pracy, aż nagle ty wyleciałaś zza rogu. Resztę znasz sama. Potem przyniosłem cię do mnie do domu — było najbliżej, posłałem wiadomość do Ottona, Otto zawiadomił o tym, co zaszło, twój opiekun i przybiegł tutaj. Siedzimy i czekamy, kiedy się ockniesz.

Ciekawe, jakim sposobem nekromancka wiadomość, w formie małego magicznego latawca przemknęła na teren akademika krasnoludów? Na pewno przerwał wszystkie ochronne zaklęcia. Ale musiał wywołać zamieszanie. Przyjemnie znów być bohaterką dnia.

Usiadłam wygodnie i wyłożyłam swoje argumenty:

—Po pierwsze, Stefan od samego początku naszej znajomości bardzo interesował się artefaktami. Po drugie, zaproponował mi, bym dała mu je na przechowanie, po trzecie zaś, tylko on, Lira i Otto wiedzieli, że kolczyki są wtopione w szpilkę, do której potrzebna jest magiczna pułapka. Po czwarte, sam wyznaczył mi termin i miejsce spotkania, na które nie przyszedł — na pewno po to, żeby dobrze przygotować zasadzkę.

—Kiedy zdążyłaś wygadać się o pułapce? — Otto się zachmurzył.

—W knajpie, kiedy robiłeś maślane oczy do Liry — odgryzłam się.

—Jaaa? Do ludzkiej kobiety? Oczy?? Przecież omawialiśmy sposoby ratowania cię.

—Aha, to się teraz tak nazywa?

—Bo jak ci ten jęzor...

Kłótnię zdusił w zarodku Irga, proponując nam jako gospodarz, abyśmy ostudzili się w chłodnej wodzie.

—A czy Lira nie mogła ukraść tych kolczyków?

—Mogła je ukraść dziesiątki razy, kiedy jeszcze walały się po naszym pokoju. Mogła zwyczajnie poprosić mnie o szpilkę i dałabym jej, bo szpilka traktuje Lirę tak jak mnie, a poza tym, jakoś nie widzę Liry w szajce złoczyńców. Tak przy okazji, mam pytanie do hojnego darczyńcy: cóż takiego mają w sobie te kolczyki, że jakies różne indywidua już od tygodnia nie dają mi żyć?

—Są ładne — próbował uchylić się od odpowiedzi.

—Irga! — podniosłam głos.

Nekromanta westchnął.

—Nie krzycz na mnie! To nie ja całuję się z byle kim gdzie popadnie i nie ja biegam półgoły po ulicach!

—Zazdrościsz? — wkurzyłam się.

—Jeszcze czego! Po prostu jestem oburzony twoim zachowaniem.

Otto parsknął. Pomyślałam chwilę i zaczęłam męczyć Irgę:

—No, Irga, no powiedz! Zabiją mnie i nawet nie będę wiedziała, za co.

—Nie zabiją cię — odparł nekromanta poważnie. — To potężny artefakt, chroni przed martwiakami. Wszystkimi ich rodzajami. Reaguje na energię ciała.

—W jaki sposób? — Otto przestał się nadymać i zainteresował się tematem.

—Uprzedza o tym, że są blisko.

—Takich artefaktów jest w bród. Każdy mag bojowy ma ich pełną garść.

Irga skrzywił się.

—Aktywowany artefakt może ogłuszyć pięć sztuk martwiaków. I nie musi być ponownie ładowany u Mistrza Artefaktów — sam ładuje się energią właściciela, przy czym pobierają nie całą od razu, a po cichutku i powolutku.

Otto zagwizdał. Zauważyłam, że mam rozdziawione usta, więc szybko je zamknęłam, przygryzając sobie język.

Kiedys, jakies sto lat temu, samoładujące się artefakty stały się niepopularne. Ich produkcja pochłaniała wielkie ilości magicznej energii oraz potrzebowała skomplikowanych zaklęć. A co więcej, gdy były aktywizowane na jednym człowieku, niechętnie zmieniały właściciela. O wiele prościej było uruchomić produkcję seryjną, choć artefakty po wyczerpaniu trzeba było zanosić do zakładu Mistrzów

Artefaktów, gdzie siedzieli dwaj magowie — teoretyk i rzemieślnik. Teoretyk transmitował energię, a rzemieślnik kierował ją do odpowiedniego łożyska. Dlatego tak poważnie traktowałam zajęcia z magii rzemieślniczej — pozwoliłoby mi to samej ładować artefakty, a co za tym idzie, nie musiałabym dzielić się z nikim zyskiem.

A kiedy w niebezpiecznej sytuacji dynda na twojej szyi cały pęk rozładowanych i nieprzydatnych artefaktów, zdajesz sobie sprawę z tego, jak dobrze byłoby mieć jeden, choćby najmniejszy, samoładujący się artefakt.

—A dlaczego kolczyki milczały, kiedy twój zombie łąpał mnie za nogę? — zapytałam nieco oburzona.



—Ponieważ artefakt nie był aktywowany! Tym bardziej, że to ja byłem jego poprzednim właścicielem, a zombie podnosiłem ja. A tak w ogóle, to kolczyki jednak zareagowały.

Rzeczywiście tak było, niepotrzebnie się na Irgę wkurzałam.

—Olu — powiedział Irga przymiłnym tonem. — Jeśli nie chcesz problemów, to mi je oddaj!

—Nie ma mowy! — Chciwość po raz kolejny zwyciężyła ze zdrowym rozsądkiem. — Kolczyki ślicznie wyglądają na mojej szpilce! Nie oddam!

®

Rano przechodnie ujrzeli naszą malowniczą kompanię — ja szłam, kulejąc i jęcząc, otulona płaszczem Irgi, on w milczeniu wymyślał jakieś sensowne usprawiedliwienie swojej absencji w pracy, oraz niewyspany, a przez to ponury i milczący Otto — wędrowaliśmy w kierunku rodzimej uczelni.

Czekało nas tam dokładne przesłuchanie u dziekana. Poinformował nas, że trzech młodzików z Wydziału Magii Praktycznej leży bez przytomności w lazarecie, jeśli ich rozpoznam, czeka ich sroga kara.

Potem przyprowadzili Stefana. Bef koniecznie chciał konfrontacji, a Irga gorąco go popierał.

Stefan absolutnie spokojnie oświadczył:

—Nie organizowałem żadnego zamachu na moją dziewczynę.

—A kto organizował?

—Nie mam pojęcia.

To samo powiedział pod zaklęciem prawdomówności. Śledztwo znalazło się w impasie.

—Dobrze więc — zaczął Bef złowieszczo, jednak siedzący spokojnie w kącie do tej pory Irga ocknął się i zapytał:

—Kto interesował się w twoim gronie artefaktami Oli, które jej podarowałem?

Stefan poczerwieniał z wysiłku, ale nie mógł nie odpowiedzieć.

—Rojtor Lewon.

—Pytał cię o możliwości zdobycia tego artefaktu?

—Tak.

—Mówiłeś mu, gdzie i kiedy może spotkać Olę?

-Tak.

—Czyj to był pomysł, by zaprosić Olę na randkę?

—Jego.

—Po co mu ten artefakt? Chciał go sprzedać. Potrzebuje pieniędzy na zakup czarciego ziela.

Dzekan jęknął.

—Przyzwoity młody człowiek, z porządnej, znanej rodziny...

Irga ciągnął beznamiętnie:

—Co dostałeś za te informacje?

—Pięć złocisz. Dwa zaliczki, trzy obiecał po zakończeniu całej sprawy. Ja również potrzebuję pieniędzy, bo zgrałem się w karty.

—Żeby własną dziewczynę sprzedać... — wyszeptał Otto.

—Nie sprzedałem dziewczyny, tylko jej artefakt. Nie wiedziałem, że będą do niej strzelać. A dług karciany — to sprawa honoru!

Poczułam się strasznie urażona.

—Mnie! Zapiąć złociaków!!! Moja jedna spódnica tyle kosztuje!

Bef roześmiał się.

Dziekan mnie przekrzyczał:

—Wszystko już wiemy! Wszyscy są wolni.

—Proszę chwilę poczekać! — krzyknęłam i zapytałam Stefana:

—Spotykałeś się ze mną tylko dlatego, że mogłam mieć drogie artefakty?

—Spotkałbym się nawet z krokodylem, gdyby to pomogło mi wyleźć z długów! — powiedział szczerze mój były adorator. — Ale bardzo dobrze się całujesz.

Otto chwycił mnie za rękę i pociągnął ku drzwiom, a ja z całych sił starałam się wyrwać i rzucić się na zdrajcę. Kiedy płakałam, siedząc na parapacie, nikt mnie nie pocieszał. Otto udawał, że czesze brodę, a Irga patrzył w okno i nie reagował na nic.

W końcu płacz mi się sprzykrzył. Żal do męskiego rodu schował się gdzieś wewnątrz mojej świadomości. Trzeba bardziej ufać przyjaciółom — Otto mówił, że Stefan mu się nie podoba, a jego jedyną zaletą jest ładna buziuchna w ramie z blond loków.

—Nie będę spotykać się już z byle kim — powiedziałam głośno. — Muszę naprawdę poważnie zająć się swoim życiem osobistym. Dlaczego zawsze trafiają mi się tacy z trzeciego sortu?

—Nie tylko — zauważył skromnie nekromanta.

—Irga, chcę oddać ci te kolczyki — powiedziałam zdecydowanie. — Nie chcę, żeby interesowano się mną tylko dla jakiegoś artefaktu.

Irga oderwał się od obserwacji nieba i uśmiechnął się.

—Po pierwsze, o tym, że masz tak potężny artefakt wie niewielu i nie sądzę, by komuś to wygadali. A po drugie, potraktuj je jako prezent na nasz ślub. Już przecież kiedyś rozmyślałaś o swoim życiu osobistym! — Wesoło mrugnął do Ottona i poszedł, nie czekając, aż wróci mi mowa.

—Otto, słyszałeś? — zawołałam, sfruwając z parapetu.

—Co? — zainteresował się mój przyjaciel z niewinną miną, po czym dodał: — Co by tam nie mówił, ważne, że bardzo polepszyło ci to nastrój.

## Wilk w owczej skórze

Siedziałam smutna w knajpie, oddając się ponurym rozmyśleniom i popijając piwo, gdy ktoś klepnął mnie w plecy.

—Hej, ślicznotko, czego tu tak siedzisz, nudzisz się? — spytał głupio Trochim.

—Znowu się zakochałaś? — rozłościł się Otto.

—Może i tak — odpowiedziałam gniewnie. Czy mając takich przyjaciół, można pomarzyć w samotności?

—Nie na długo starczyło ci samozaparca — zauważył Trochim, bezceremonialnie wysypując sobie na dłoń moje orzeszki.

Machnęłam ręką. Ostatnio ogłaszałam wszem i wobec, że mam w pogardzie cały męski ród i postanowiłam wieść życie niczym zakonnica. Irga posprzeczał się z Ottonem o termin mojego celibatu. Nekromanta twierdził, że takie życie znudzi mi się już po miesiącu i polecę szukać sobie nowego obiektu westchnień. Półkrasnolud obstawiał, że moja odraza do męskiego rodu potrwa jakieś dwa miesiące. Wystarczył mi miesiąc i jeden tydzień.

—Szlag — odezwał się w przestrzeń mój najlepszy przyjaciel. — Dwa złocisz psu pod ogon.

—Do mnie mówisz? — spytałam podejrzliwie.

—Nie — odpowiedział dyplomatycznie. — Tak ogólnie. A ty nie mogłaś pocierpieć jeszcze parę tygodni?

—Dziewczyna nie może cierpieć, ona musi gdzieś ulokować swoje uczucia — odezwał się Trochim, pożarłszy wszystkie orzeszki.

—Mam wspaniałego kandydata — powiedział pół- krasnolud. — Tylko że niektórym obecnym tu damom nie starcza rozumu.

—Otto — skrzywiłam się. — Nie zaczynaj.

—Ja zaczynam? — wzruszył ramionami. — To twoje życie i tyje psuj. Tylko potem nie przybiegaj do mnie z płaczem.

—W kim się tym razem zakochałaś? — zapytał Trochim.

Nie zakochałam się. Przeżywam tylko silne uczucia, które... no dobra, w Illanie. Otto zagwizdał. Illan był miejscowym gwiazdorem. Ilość latających za nim dziewczyn mogła równać się tylko ilości studentów, chcących zdać ponownie sesję.

Przegrana sprawa — wymamrotał Otto. Półkrasnolud nie lubił tych okresów mojego życia, gdy byłam zakochana. Po każdym z nich musiał mnie uspokajać, pocieszać, zabawiać... Wszystko to, co należało do powinności najlepszego przyjaciela, spadało na krasnoludzie barki. - A czemu niby nie mogę go zdobyć? — zaczynałam kipieć ze złości. — Jestem gorsza od innych? Mam nadzieję, że o mnie ta przemowa? Oczywiście, Irga. Do perfekcji opanował zdolność znajdowania się w nieodpowiednich miejscach o nieodpowiednich porach.

— Płonne nadzieje — oznajmiłam. — Lepiej zamów nam piwo.

— Otto, przyjacielu. Nie denerwuj się. Ola się nie zakochała, po prostu rozpoczął się jej sezon łowiecki i znalazła nową ofiarę. Teraz będzie ją osaczać. Jak się nazywa ten nieszczęśnik?

— A jeśli nawet, to co z tego? Tak, potrzebuję nowej ofia... nowej miłości — zjeżyłam się. — Po przeżyciach ze Stefanem muszę poprawić swoją samoocenę. Ma na imię Illan. Z Wydziału Sędziów.

— A dlaczego nie chcesz ze mną poprawić sobie samooceny? — zainteresował się Irga.

— Dlatego, że za każdym razem robisz ze mnie idiotkę — odpowiedziałam po chwili namysłu. Nekromanta wzruszył ramionami.

— Dlaczego zaraz idiotkę? Wskazuję ci jasno twoje błędy, to wszystko.

— A ja potrzebuję, żeby się mną zachwycano! Żeby wszyscy mi zazdrościli! I żeby nikt się koło mnie nie mądrzył!

— Noo... W takim razie Illan jest idealnym kandydatem — rzekł Irga przenikliwie. Przewróciłam oczami, a Otto poweselał. Uczestnictwo w hazardzie jest o niebo lepsze niż wycieranie moich łez.

— Nie uda ci się go poderwać. — Trochim dopił moje piwo. — Widziałas, jakie laski się koło niego kręcą?

— A ja co, jestem gorsza?

— To pytanie już słyszeliśmy. Lepiej powiedz, co jest w tym sezonie modne?

— Wąskie spódnice, malinowe gorsety „pod piersi” i kręcone włosy — odpowiedziałam po zastanowieniu.

— Otóż to! — oznajmił Trochim triumfalnie. — A teraz spójrz, co masz na sobie.

W czasie, gdy ja patrzyłam na swoje odzienie — szeroka płócienna spódnica, luźna bluzka, sandały i mnóstwo brzęczących świecidełek, Irga próbował wyciągnąć od Ottona swoje dwa

złocisz. Półkrasnolud starał się udowodnić, że nie zakochałam się w dosłownym rozumieniu tego słowa.

— Wąska spódnica i gorset — skrzywiłam się. — Jak w czymś takim można chodzić?

— Większość nie tylko chodzi. — Trochim puścił do mnie oczko. — To moda dla dam.

— Dobrze, wcisnę się w wąską spódnicę!

— On na ciebie nawet nie spojrzy — powiedział Irga fałszywie milutko.

— Jeszcze jak spojrzy! — Wstałam od stołu i poszłam do akademika. Najpierw wyciągnęłam spod łóżka skarbonkę z pieniędzmi odłożonymi na czarną godzinę.

Następnie poprosiłam o radę największą modniśnię w akademiku, Tomnę. I poszłyśmy na zakupy.

Tomna była szczęśliwa — no chyba, mogła zastosować swoją wiedzę w praktyce i miała dostać za to moje gorące podziękowania oraz kilka gotowców na kolokwia, ale mniejsza o takie drobiazgi. Na pierwszy ogień poszedł sklepik z odzieżą. Polecono mi założyć bardzo wąską spódnicę z bardzo drogiego materiału. Okazało się, że noszenie czegokolwiek pod spodem jest niemożliwe — prześwituje i krępuje ruchy. Z tyłu spódnica sznurowała się fantazyjnie, a sznurowanie to było zakończone szykowną kokardą. W tym szykownym futerale nie mogłam zrobić ani jednego kroku.

— Jak pięknie wyglądasz! — zachwycała się Tomna. Zazgrzytałam zębami. W takiej spódnicy nie da się wrócić z balangi, nogi się zaplączą na amen. Lepiej już iść na czworakach lub pęłzać jak dżdżownica. Gorset — cudeńko z malinowego aksamitu, bardzo zmysłowe i bardzo sexy. Kiedy mnie w niego wsadzili, ostatkiem tchu wydusiłam z siebie:

— Muszę mieć większy rozmiar...

— Skądże, tak musi być! — oburzyła się sprzedawczyni. — Nareszcie widać pani figurę i proszę spojrzeć, jak piersi się podniosły. Na wpół uduszona, spjrzałam w lustro na swoje piersi, które uniosły się prawie do brody, i na talię osy. (Śniadanie próbowało cofnąć się do żołądka, ale nie dało rady, więc pokornie wróciło do kiszek i ucichęło w okolicach kości ogonowej).

— Muszę mieć o dwa rozmiary większy... umieram... Sprzedawczyni rozsznurowała gorset, obdarzając mnie nieprzyjemnym spojrzeniem. Odetchnęłam pełną piersią. Oto przyczyna wiecznego ryku niemowlaków — one też chciałyby oswobodzić się z tych wszystkich

niewygodnych pieluch! Włożyłyśmy zakupy do torby i udałyśmy się do salonu fryzjerskiego. Tam na mej głowie stworzono loki w stylu „młodego barana”, obdarzono mnóstwem cennych rad i wysłano do kosmetyczki Tomna uspokoiła się dopiero wtedy, gdy mój portfel całkiem opustoszał. „Cóż, polowanie wymaga ofiar” — rozmyślałam, patrząc na stos toreb leżących na łóżku i starając się nie myśleć o niebotycznej sumie, którą wydałam w ciągu jednego popołudnia. Następnego dnia opuściłam pierwsze zajęcia, gdyż nie mogłam rozczesać barana na mojej głowie. — Co ty robisz! — Do mojego pokoju wpłynęła Tomna ze swoją koleżanką. — Loki trzeba wzbijać rękami! O tak. Umalowały mnie, wbiły w spódnicę i gorset, nałożyły pantofle i wysłały w nowy, modny świat. Na wysokich obcasach przykuśtykałam dopiero na trzecie zajęcia, w ślimaczym tempie. Gdybym rzekła, że moje pojawienie wywołało ogólny szok, to byłoby to spore niedopowiedzenie. Koledzy z roku gapili się na mnie jak na zjawisko nierealne — na przykład wampira, który pojawił się przed drzwiami dziekanatu. Uśmiechnęłam się krzywo, pomachałam rączką i spróbowałam usiąść. Cholerna kokarda skutecznie mi to uniemożliwiała, stercząc z tyłu i kłując mnie złotym haftem. Zamiast słuchać wykładu, wierciłam się bez przerwy — a to musiałam połuznić gorset, a to poprawić kokardę. W tym czasie lektor, młody mag, co chwilę tracił wątek, usiłował na mnie nie patrzeć, ze wszystkich sił starając się jednocześnie o to, by jego twarz nie wyrażała zdziwienia. Koledzy szeptali między sobą i podśmiewali się.

— Olgierdo! — Mag w końcu nie wytrzymał. — Jakoś dziwnie dziś pani wygląda. Czy mogłaby pani opuścić audytorium, żeby nie rozpraszać studentów swoją urodą?

Dumnie (no, przynajmniej starałam się tak wyglądać) wypłynęłam z sali, odprowadzana przez radosne rżenie Trochima. Debiut uznałam za udany, bez dwóch zdań.

Podkasałam spódnicę, zdjęłam pantofle i podążyłam truchtem do budynku Wydziału Sędziów i Jasnowidzów. Akurat kończyły się trzecie zajęcia, gdy udało mi się przywrócić swój wspaniały wygląd (wzbiłam rękoma młodego barana i poprawiłam przekrzywioną nieco kokardę). Illan pojawił się w korytarzu otoczony wianuszkami wielbicielek — wszystkie miały na głowie „baranka” i wszystkie były w wąskich spódnicach. Rozkwitłam, chociaż nawet się tego po sobie nie spodziewałam. Może Illan rzuca jakieś zaklęcie na kobiety? Chociaż nie, od-czułabym to.

— Cześć! Illan minął mnie, lekko skinąwszy mi głową. Dziwne... Zwykle zatrzymywał się i zamieniał ze mną parę słów, w końcu ode mnie zależało, z jakim powodzeniem zaliczy magię teoretyczną. Zadarłam po kryjomu spódnicę, wyprzedziłam grupkę i udałam, że przechodzę tamtędy tylko przypadkiem.

—O, Illan, witaj. Znowu mi skinął, rzuciwszy na mnie pełne obojętności spojrzenie. Obiekt moich westchnień mnie nie poznał!!! Cóż, co się dziwić, kiedy otaczają cię same barany, pojawienie się jeszcze jednego nie wywoła żadnych emocji. Zastanawiałam się właśnie, czy w sklepie przyjmą z powrotem mój gorset i spódnicę, kiedy zauważyłam na horyzoncie znajomą postać.

—Cześć, Irga — przywitałam się z nekromantą. Ocknął się i wybałuszył na mnie oczy, wypuszczając z rąk książki.

—Ola? — zapytał słabym głosem. Potwierdziłam.

—Wiedziałem, że aspirantura szkodzi zdrowiu, ale nie sądziłem, że dopadną mnie halucynacje...

—Jakie znowu halucynacje? — Nareszcie mogłam się na kimś wyładować. — Bo w końcu ładnie się ubrałam? A w ogóle, co ty tutaj robisz?

—Jestem zauroczony twoim wyglądem — obwieścił Irga. — A tutaj przygotowuję się do egzaminu z prawa. Czy wiesz, ile prawnych niuansów musi znać nekromanta na państwowym stanowisku? No już, przestań się wściekać. Co się stało?

Upokorzenie i uraza schwyliły mnie za gardło. Irga wysłuchał ze spokojem mojej opowieści, która sprowadzała się do lamentów typu: „Tyle czasu straciłam!”, „Tyle pieniędzy!” i powiedział:

—Mówiłem ci, że nawet na ciebie nie spojrzę!

—Zapeszyleś! — oburzyłam się i zeskoczyłam z parapetu, żeby wyrazić stopień swojego oburzenia za pomocą rękoczynu. Zdradziecka kokarda zaczęła się o zasuwkę okna, spazmatyczne szarpnięcia nic nie dały. Irga odczepił mnie i powiedział:

—Roześmiałbym się, ale boję się, że twój układ nerwowy tego nie zdzierży. Spojrzałam na niego ponuro i zamierzałam się oddalić, ale nekromanta przytrzymał mnie za rękę.

—Ola, ty zawsze mi się podobaś, słowo honoru! I zawsze cię poznam.

—Przecież nazwałeś mnie halucynacją — przypomniałam mu.

—Zdziwiłem się — przyznał uczciwie. — Nie sądziłem, że będziesz zdolna do czegoś takiego.

—Cóż, w ogóle nie wiesz, do czego jestem zdolna.

—Nie przestraszysz mnie — powiedział Irga, wlepiając gały w moje ulepszone przez gorset piersi. — Odprowadzić cię do akademika, czy sama się doczołgasz?

—Dojdę zmysłowym krokiem — poprawiłam kpiarza, myśląc z troską o tym, ile trudu będzie mnie to kosztować.

Jeżeli wydaje wam się, że rzeczą prostą jest rozplątanie zmysłnego sznurowania, znajdującego się na waszej... powiedzmy, że poniżej pleców, to się głęboko mylicie. Przekonałam się o tym po półgodzinnych bezowocnych próbkach ściągnięcia z siebie wąskiej spódnicy. Mogłam ją rozciąć, jednak miałam nadzieję, że uda mi się zwrócić ją chociaż za połowę ceny. Próba zwrócenia się o pomoc do Tomny nie wypaliła, gdyż ta poszła na jakąś balangę. Otto i Trochim przyszli, żeby zapytać o wyniki mojej dzisiejszej defilady i zastali mnie tonącą we łzach. Trochim od razu sięgnął na szafę po nalewkę na uspokojenie, a Otto przysiadł obok.

— A co oplakujemy tym razem?

— Mój nieszczęsny kobiecy los! — zawyłam. — Ubrałam się modnie, wszyscy patrzyli na mnie jak na zjawisko kosmiczne, a teraz spódnicy nie mogę zdjąć! I faceci nie zwracają na mnie uwagi!

— Oła, a my? — zainteresował się Trochim, podsuwając mi butlę ze środkiem na uspokojenie. — Zwróciliśmy na ciebie uwagę! Nawet bardzo!

— Nie! — Chlapnęłam sobie naleweczki. — Słyszałam, jak się śmiałeś! Rżałeś jak koń na wypasie!

— To z podniecenia — stwierdził Trochim, dławiąc się ze śmiechu. — Twój zadek... twoja miękka część ciała ozdobiona kokardą wygląda niezwykle interesująco!

— Cicho! — powiedział Otto i zabrał mi butelkę. — Nalewka na mięcie, melisie i walerianie! Najlepsza rzecz na świecie na ukojenie skołatanych nerwów.

— I nie mogę zdjąć spódnicy! — poskarżyłam się, odbierając półkrasnodowi flaszkę, on ma nerwy ze stali.

— O! Zdejmujemy teraz spódnicę! — ożywił się Trochim.

— Popróbuj — zezwoliłam z rezygnacją. Po dziesięciu minutach Trochim otarł pot z czoła.

— To jakiś pas cnoty, jak pragnę zdrowia. Nigdy dotąd nie miałem żadnych problemów ze spódnicami dziewczyn! Otto, teraz twoja kolej. Otto spojrział na pole bitwy swoim fachowym okiem rzemieślnika.

— Nie pozostaje nic innego, tylko ciąć! Moje smutne westchnienie przeszło w czkawkę — nalewka zaczęła działać.

— A może trzeba nasmarować Olę mydłem, żeby zrobiła się śliska i sama wypadła ze spódnicy?! Albo wezwać Irgę, on ma cienkie, zwinne palce! Od obu Trochimowych pomysłów zrobiło mi się słabo.

— Tnij, Otto! Tylko dokładnie!

— Nie obrażaj mnie! — wymruczał mój najlepszy przyjaciel, zwinnie operując przy spódnicy moimi nożyczkami do paznokci, starając się jednocześnie nie nadstawiać pod nie swojej bujnej brody.

— Słuchaj! — Trochim miał dziś najwidoczniej dzień pomysłowości. — A może pochylisz się lekko, żeby Otto mógł łatwiej rozciąć sznurowanie? Ono się wtedy tak apetycznie naciągnie...



Dzięki nalewce tylko zaryczałam, chociaż miałam dziką chęć, żeby kopnąć mojego troskliwego kolegę prosto w tyłek. Tymczasem potok pomysłów płynął nieprzerwanie dalej: —Oprowadzać cię w takim stanie po uniwerku i brać opłaty. Albo nie, sprzedawać prawa do ściągnięcia z ciebie spódnicy!

## 18

### Najlepszy wieczór w życiu

Ola, Ola! Złotko, wiem, że jesteś gdzieś tutaj! — Głos Ottona wdarł się w mój sen. Ech, żegnaj, poobiedni wypoczynku.

—Co jest? Śpię! — wyburczałam.

—Aha! — Półkrasnolud z trzaskiem przedarł się przez zarośla w Gaju Zakochanych, gdzie postanowiłam zdrzemnąć się godzinkę na ustronnej polance. — To znaczy, że nie idziesz na Letni Bal?

—Na jaki Letni Bal? — zapytałam, nie otwierając oczu.

—Ten, który organizuje naczelnik miasta.

Co roku nasze władze miejskie organizują Letni Bal — najbardziej oczekiwaną świecką uroczystość w roku. Na owym balu zawiązywały się biznesowe układy, powstawały przyszłe małżeńskie pary, wiły się intrygi, rodzili się nowi faworyci, a starzy pupile odchodzili w niebyt. Jednym słowem, wysoce arystokratyczne przedsięwzięcie.

—Gdzie my ze swoimi prostymi gębami na bal — starałam się ponownie zapaść w przyjemny sen.

—Ty masz gębę, ja twarz — uściślił mój przyjaciel. — A na bal tym razem idziemy.

Całkiem wypoczęta usiadłam na mchu i spjrzałam na Ottona.

—Wygrałem zaproszenia na loterii — wyjaśnił, starannie maskując uśmiech szczęścia.

—Wygrałeś. Na loterii. Zaproszenia... — Oszalałmiająca wieść dochodziła do mnie z niejakim trudem.

Na Letni Bal można było trafić na trzy sposoby: być arystokratą albo bardzo bardzo wpływowym biznesmenem (lub jego potomkiem); można było być narzeczoną/ narzeczonym któregoś z wyżej wymienionych; można też było wygrać na corocznej loterii jedno z dwudziestu dwuosobowych zaproszeń.

Loteria każdego roku wносиła do skarbu miasta całkiem pokaźną sumę, która z nadwyżką pokrywała wszelkie budżetowe manka. Nawet najbiedniejszy obywatel uznawał za swój obowiązek kupno losu. A w dodatku, może tym razem szczęście uśmiechnie się właśnie do niego?

Osobiście nie kupiłam losu na loterię. W zeszłym roku Otto podliczył sumę, jaką wydawałam na wszystkie możliwe losy, zdrapki i inne przedsięwzięcia z „nagrodą gwarantowaną” i kategorycznie zabronił mi tracić pieniądze na bzdury. Dla pewności półkrasnolud odkładał prawie cały mój biznesowy utarg do banku, jak to mawiał „na stare lata”. Z taką koncepcją zgodziłam się nie od razu, jednakże gdy sama wszystko sobie obliczyłam, zdziwiłam się, jak łatwo i w jakich ilościach napycham kabzy wszelkim handlarzom tego miasta, przestałam więc protestować.

—Zabroniłeś mi przecież kupić los! — oburzyłam się.

—Kobiety! — westchnął przyjaciel. — Ja jej o balu, a ona o loterii. Ja to nie ty. Jeśli raz w roku kupię dwa losy na loterii, to nie umrę śmiercią głodową. A może przypomnieć ci „szczęśliwy los”?

—Nie trzeba — mruknęłam.

W jakiś sposób przeprowadziłam rytuał, dzięki któremu miałam poznać szczęśliwe liczby na loterii. Liczb tych było wiele. Uczciwie wykupiłam je wszystkie, przekazałam na ten cel dwa stypendia i jeszcze się zapożyczyłam. I wygrałam. Oczywiście, że wygrałam — rytuał był przeprowadzony według wszelkich reguł i zasad.

Cztery proste drewniane grzebienie. Pięć par sznurowadeł. Kostkę mydła. Niemowlęcą grzechotkę... Zebrała się tego pełna parciana torba. Jedyną przyjemną wygraną okazała się paczka landrynek. Otto, zataczając się ze śmiechu, przyniósł mi podliczenie mojej porażki. Zgrzytając z wściekłości zębami, dwa dni stałam na bazarze, starając się cokolwiek z tych rzeczy sprzedać i odzyskać jakiegokolwiek pieniądze. Resztę „wygranej” zawiozłam do domu i oddałam siostrze. Mama patrzyła na mnie nader podejrzliwie, próbując się dowiedzieć, czy czasami jej córka nie obrabowała jakiegoś biednego kramarza.

—Bal! — powtórzyłam marzycielsko w drodze do akademika. — Tańce! Piękne suknie! Fryzury! Bizuteria!

—Biznesy! Kontrakty! Bardzo ważne znajomości! — wtórował mi półkrasnolud.

—Otto, potrzebuję pieniędzy! Nie chcę wyglądać na balu gorzej niż inne!

— "Wiedziałem, że to powiesz — westchnął mój przyjaciel. — Masz, wybrałem trochę kasy z banku. Ale postaraj się wydać je mądrze, dobrze?

Zgodziłam się.

— Będę potrzebować twojej pomocy. Żeby nie natrafić na podróbki od twoich krewnych. Wszystko ma być najlepsze!

— U moich krewnych podróbki zawsze są najlepsze — obraził się półkrasnolud, po czym dotarło do niego. — Kurczę, jak też będę się musiał porządnie ubrać. Krawat! Nienawidzę krawatów! Nowy surdut muszę kupić, nowe lakierki. Ech...

— I wszystko modne! — dobiłam go.

W zadumie począł szarpać brodę. Myśl, która przysłała mi do głowy, sprawiła, że przystanąłam.

— A co będzie jeśli nikt, dosłownie nikt, nie zaprosi mnie do tańca? I przez cały najpiękniejszy wieczór w swoim życiu będę podpierać ściany?

— E tam, z tymi twoimi problemami. — Otto machnął ręką. — Zaproszę cię do pierwszego tańca, a potem będę zawiązywać znaczące koneksje. Nudno nie będzie.

— To ty umiesz tańczyć? — zdziwiłam się.

Otto zaczerwienił się, więc postanowiłam nie drażnić tematu.

@

Jakoś ostatnio dosyć często zaglądałam do sklepów z modnymi ciuchami. Wydorosłałam, czy co? Do balu podeszłam zaś bardzo poważnie i faktycznie kupiłam wszystko, co najlepsze. Co prawda, na oryginalne brylanty nie miałam pieniędzy, jednak biżuterię nabyłam bardzo przyzwoitą. Sporo wydałam też na fryzjerkę, która długo czarowała moje włosy przy akompaniamencie ochów i achów Liry.

Godzinę przed rozpoczęciem balu pięknie się ubrałam. Podeszłam do lustra i otworzyłam oczy, by zamrzeć ze zdziwienia. W lustrze odbijała się postać moja, a zarazem nie moja. Suknia, kupiona za niebotyczną sumę czterdziestu złociszy — moje czteroletnie stypendium! — leżała na mnie wspaniale. Podkreślała wszystko, co było tego warte i skrywała to, co skrywać powinna. Brzuch gdzieś się schował, talia zrobiła się wąska, biodra — krągłe, a piersi — uwodzicielskie. Zdaje się, że odkryłam sekret urody elfek — jedna taka suknia i już jesteś prawdziwą pięknoscią! Przeszłam się po pokoju, przyzwyczajając nogi do wspaniałych pantofelków na małym obcasiku. Suknia mieniła się delikatnym błękitnym blaskiem, moje ruchy utraciły swą wrodzoną niezgrabność, stały się posuwiste i lekkie. Popatrzyłam w lustro ponownie. Jak to się stało, że nigdy wcześniej nie dostrzegłam, że mam tak długą i zgrabną szyję, która dumnie podtrzymywała głowę? Jak mogły ujść mojej uwadze czarne łuki brwi i wyraziste szarozielone oczy? Zgrabny nos? Pełne wargi? Gęste włosy, opadające na odkryty kark ładnymi falami?

— O, Niebiosa! — wyjęczałam. — Sukinkot! Naprawdę jestem taka ładna?

Lira wzruszyła ramionami. Męczyła ją prawdziwa zawiść.

Ktoś zastukał do drzwi. Do pokoju wszedł szacowny krasnolud we wspinałym zielonym surducie, opasanym szerokim skórzanym pasem ze srebrnymi nitami. Przy nim wisiał niewielki toporek, zdobiony misternym gra- werunkiem. Brązowe pantalony i pończochy podkreślały umięśnione nogi. Zgrabne zielone trzewiki bezszelestnie stąpały po podłodze. Spojrzałam na brodę, zaplecioną w fantazyjne warkoczki, w których połyskiwały ozdoby, na porządnie uczesane włosy, i niepewnie spytałam:

— Otto?

— To ty, Ola? — odezwał się krasnolud drżącym głosem.

-Ja.

— A ty co z sobą zrobiłaś?

— A ty?

— Spędziłem dzień u fryzjera — dumnie odpowiedział Otto. — Wyglądasz pięknie.

— Ty również.

— Za jakie pieniądze kupiłaś suknię? — zapytał czarująco piękny krasnolud, przekształcając się w mojego przyjaciela.

— Za duże — odrzekłam. — Jeszcze nie raz wyjdę w niej za mąż, a potem przekażę potomnym.

— Nie raz — chrząknął Otto. Podszedł do mnie i westchnął. — Jestem od ciebie niższy o głowę. Wyśmiej nas.

— Nic podobnego! — powiedziała Lira. — To teraz modne by być niższym od swojej wybranki. Nowa kochanka króla jest od niego wyższa o półtorej głowy!

— Pocieszyłaś mnie — odburknął półkrasnolud. — Chodźmy, wynajęłem dorożkarza. Za postój trzeba mu dodatkowo płacić.

— A po co ci siekiera? — zapytała moja przyjaciółka.

— To broń rytualna — odpowiedział Otto. — Oficjalny rytualny krasnoludzki topór, można go nosić w miejscach publicznych.

— Tępy jest?

— Tłumaczę ci przecież: rytualny! — rozsierdził się. — Żaden krasnolud nie użyje go niezgodnie z przeznaczeniem. Tylko do pojedynków honorowych i bratania krwią.

— Ach, Otto, to będzie najpiękniejszy wieczór w całym moim życiu — powiedziałam, ładując się do dorożki. — Wieczór, o którym można tylko pomarzyć!

Mój najlepszy przyjaciel uśmiechnął się.

— Zaczekajcie! — podbiegł do nas Trochim. — Wy na bal? Podrzucicie mnie?

Mój kolega z roku ubrany był bardzo elegancko i oficjalnie, chociaż jego twarz nie wyrażała szczególnej radości. Siedząc w kolasce, z zaciekawieniem oglądaliśmy siebie nawzajem.

—Też na bal? — zapytał w końcu Trochima Otto.

—Tak, Lidia mnie zaprosiła. Nienawidzę takich oficjalnych bibek.

—A kto to jest Lidia?

—Moja nowa dziewczyna. Córnka wiceburmistrza.

Spojrzeliliśmy z Ottonem zdziwieni.

—A odkąd to biedny student-teoretyk ma dziewczynę z tych sfer? Chyba że czegoś o tobie nie wiemy?

—A odtąd, kiedy ją wyciągnąłem tonącą z rzeczki. Skutek tego, że zdecydowała się na przejaw samodzielności i samotny spacer. Teraz przyczepiła się do mnie jak rzep. A głupia jak but z lewej nogi.

—To po co z nią jesteś? — wyraziłam zdziwienie. — Jeśli jest głupia jak but?

—Bo ten but jest wypchany po brzegi pieniędzmi — filozoficznie powiedział Otto. — W dodatku szacowna osoba tatuśka obligeuje do grzeczności.

Trochim przytaknął ponuro.

—Az innej beccki, prawie was nie poznałem — powiedział, taksując wzrokiem nasze odzienie. — Jakoś podejrzanie przyzwoicie wyglądacie. A ty to już w ogóle stałaś się podobna do normalnej dziewczyny.

Już otworzyłam usta, by się odciąć, ale moje słowa utonęły w przeraźliwym pisku.

—Trochim! — źródło tego nieopisanego dźwięku nadciągało ze schodków miejskiego domu zebrań.

—Lidia... — stęknął na wydechu Trochim.

Podczas gdy szczęśliwa dziewczyna obejmowała czule  
mojego kolegę, uważnie jej się przyjrzałam.

Suknia szyta na miarę. W żadnym sklepie nie widziałam tylu różowych riuszek i falbanek, składających się na kompozycję „siodło na świni”. Długie blond włosy dziewczyny uczesane były w misterne loki i ozdobione taką ilością drogocennych kamieni, że głowę musiała odwracać bardzo powoli i na wszelki wypadek podtrzymując ręką.

—Ze też szyja jej się nie złamała — szepnął do mnie Otto, oceniwszy fachowym wzrokiem sumaryczną wagę kamieni, diadem i kolczyków.

—Arystokratka — odparłam. — Gdzie nam do niej.

Gdy popatrzyłam na damy obecne na balu, moje poczucie własnej urody i wartości nieco przywiędło. Blask klejnotów i szelest drogich sukien. Stukot obcasów markowych pantofli po marmurowej posadzce. Każda z obecnych kobiet zachowywała się tak, jakby to nie był cudowny wieczór, lecz zwykła impreza, jakich wiele. I jakby wyglądały tak zawsze od rana, kiedy tylko wstaną z łóżka.

—Ola! — Otto szarpnął mnie za rękę. — Popatrz na mnie. I powtarzaj: jestem najpiękniejsza! Wszyscy mężczyźni padną przede mną na kolana! Zawrzemy korzystne kontrakty!

— Jestem zupełnie do niczego! — Patrzyłam na siebie w ogromnym lustrze w hallu. Suknia leżała jakoś krzywo, fryzura zdążyła się potargać, makijaż na mojej bladej skórze wyglądał krzykliwie.

— Patrz na mnie! — powtórzył mój przyjaciel. — I przestań poniżać samą siebie! Czy możesz wyglądać źle w takiej sukni? Ile za nią dałaś? Popatrz na tę babę. Dam sobie rękę uciąć, że ma na sobie suknię z pracowni mojej kuzynki! A ty masz oryginalną elficką. Czy elficka suknia może się równać z krasnoludzką? Przyjrzyj się sama, jak ją pogrubia!

Zamyśliłam się. Następnie ponownie spojrzałam w lustro. Jednak wyglądam całkiem dobrze!

— No i chwala! — powiedział Otto, który momentalnie wyczuł zmianę mojego nastroju. — Mam pytanko: zabrałaś chociaż jeden artefakt? Nie boisz się, że cię w tym tłumie może coś spotkać?

— Nie obrażaj mnie! — odpowiedziałam. — Przyjrzyj mi się uważnie.

Półkrasnodul zaczął mi się przypatrywać. Rzecz jasna, wszystkie tanie artefakty musiałam zdjąć. Artefakty stylizowane na ozdoby można wprawdzie kupić, jednak nie było mnie na nie stać. Ale bez artefaktów nie mogłam się obejść — fryzurę przytrzymywała moja ulubiona szpilka.

— Cóż, mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze — powiedział półkrasnodul i zaczął szarpać brodę, na szczęście w porę się opamiętał. Zrozumiałam, że on też silnie to wszystko przeżywa, tylko stara się tego nie okazywać, i od razu zrobiło mi się lżej na duszy.

— Chodźmy ujarzmić parę osobistości. — Wzięłam go pod rękę.

Po krótkiej oficjalnej przemowie burmistrz ogłosił początek tańców. Otto ruszył kurcgalopkiem do sali, gdzie grano w karty, ale byłam na to przygotowana i zdążyłam go przytrzymać.

— Obiecałeś mi taniec!

Półkrasnodul zmieszał się.

— Kiepsko tańczę.

— Otto!

— Umiem tylko walca!

— Otto!!

— Jestem od ciebie niższy!

— Rozejrzyj się — wyszeptałam.

Mój najlepszy przyjaciel popatrzył wokół. Lira miała rację — wszystkie dziewczyny były wyższe od swoich partnerów. Niektóre, aby osiągnąć zamierzony cel, włożyły buty na obcasach, które swoją wysokością przypominały szczudła. Gdzieniedzie biedne ofiary mody chwytaly się w tańcu swoich partnerów rozpaczliwymi ruchami. Chwiejące się wysokie damskie fryzury przypominały brzozowy lasek podczas silnego wiatru.

Otto, ze zdeterminowanym wyrazem twarzy skazańca, podał mi rękę. Tańczył całkiem nieźle, wszystko jednak psuł dzikim wyrazem twarzy.

— A dlaczego...? — zaczęłam, ale półkrasnowłódz stracił rytm i nastąpił mi na nogę.

— Liczę takty! — warknął. — Raz—dwa—trzy! Raz —dwa—trzy! Uważam na nogi, gdzie którą postawić! A ty mi przeszkadzasz. Chcesz tańczyć, czy nie?

— Dobra, dobra, nie wściekaj się, będę milczeć.

Gdy taniec się skończył, mój najlepszy przyjaciel otarł pot z czoła i oświadczył:

— Idę zająć się biznesem. Jakby co, to cię zawołam.

Zostałam sama pośrodku sali balowej, pełnej obcych ludzi.

— Do jakiego stopnia niektórzy kochają pieniądze — burknęłam, starając się dodać sobie otuchy.

— Olgierda?

Odwrociłam się. Przede mną stał Blondas Lim we własnej osobie. U jego ramienia wisiała dziewczyna, która wyglądała tak, jakby przed chwilą zeszła z okładki magazynu dla kobiet.

— Witaj — powiedziałam, gorączkowo starając się przypomnieć sobie reguły etykiety. — Piękną dziś mamy pogodę, czyż nie?

— Daj spokój, Olgierda — zaśmiał się Lim. — Nigdy nie byłaś damą z salonów.

Obraziłam się, ale nie przypominałam sobie żadnego w miarę delikatnego przekleństwa, więc zmilczałam.

— Zatańczymy? — zaproponował Blondas.

Skinęłam głową. A czemu by nie?

Lim odczepił od siebie pięknotkę i objął mnie w talii.

— Mam nadzieję, że umiesz tańczyć? — zapytał.

— Oczywiście — powiedziałam z godnością. Kupię mamie nową spódnice w podziękę za to, że uparcie ganiała mnie na lekcje tańca!

Lim tańczył bosko. Dosłownie płynęłam po parkiecie i wirowałam w jego silnych ramionach lekko niczym piórko.

— Jesteś tu jedyną rozsądną osobą płci żeńskiej — rzekł Lim. — Powłaziły na te obcasy, ani potańczyć, ani pospacerować nie można.

Przytaknęłam. Byłam owładnięta tańcem, i czego by teraz Blondas nie plótł, przytakiwałam i uśmiechałam się.

— No, Olgierdo! Pokonwersuj! Jak ci się podobają ostatnie cmentarne nowiny?

— Jakie?

— Nie słyszałaś? Jestem zdziwiony. Cóż to, twój nekromanta ci nic nie powiedział?

—On nie jest mój! — oburzyłam się jak zwykle. Kiedy właściwie widziałam Irgę ostatni raz? Dawno, półtora tygodnia temu. Wybierałam sobie wtedy suknię, nie mogłam się zdecydować i poprosiłam go o radę. Irga uśmiechnął się i zaproponował, bym poszła goła albo w jakiejś tandetnej szmatce — na pewno będzie oryginalnie. Obraziłam się na niego i strzeliłam po łbie bukietem, który zresztą sam mi przyniósł, i od tego czasu więcej na oczy mi się nie pokazał.

—Jeszcze jeden taniec? — zapytał Blondas.

Bardzo chciałam odpowiedzieć „tak”, lecz duma mi

na to nie pozwoliła.

—Milczenie oznacza zgodę — oświadczył Lim i znowu porwał mnie w objęcia.

—To cóż to za nowości? — zapytałam, płonąć z ciekawości.

—Na miejskich cmentarzach grasuje jakiś psychol. Rozkopuje groby, robi sobie armię zombie i zabija wszystkich, którzy włóczą się po nocach. Nekromanci ze służby miejskiej oraz strażnicy już od tygodnia patrolują cmentarze i ulice, ale jak dotąd na nic nie trafili.

—A ile jest ofiar? — zapytałam.

—Póki co sześć, ale sądzę, że będzie więcej. Nowina się rozeszła i znaleźli się tacy, którzy sami chcą złapać tego maniaka. A ten tylko czeka. Nawet wyznaczono już wysoką nagrodę za jego schwytanie.

—I nie ma żadnych podejrzeń?

Lim wzruszył ramionami.

—Nie wiem, nie zajmuję się tym. Po prostu sprzedałem ci nowinę.

Zapytałam z zainteresowaniem:

—A czym się teraz zajmujesz? I czemu nie wróciłeś do stolicy po ukończeniu studiów?

Przecież masz tam rodziców.

—Robię tu aspiranturę, a rodziców mam nieco dosyć.

Chyba rozumiałam, o co chodzi. W stolicy takich jak

on, dobrze urodzonych, jest w bród albo i jeszcze więcej. A Lim woli być wielką żabą w małym bagienku niż tylko jedną z pierwszych w dużym.

—Dlaczego pytasz? — zapytał.

—Tak tylko, po prostu...

—Należy dużo wiedzieć o swoich przeciwnikach, tak? — Lim uśmiechnął się i zrozumiałam, czemu biega za nim tyle dziewczyn.

—Nie jesteś moim przeciwnikiem.

—A ty moim tak.

—Dlaczego?

—Jeśli masz coś do mnie, to znaczy, że jesteś moim przeciwnikiem.



— Nic do ciebie nie mam. — Niech gada, co chce, byleby tańczył.

— Przecież nie podoba ci się sposób mojego zachowania w stosunku do innych. Ani ze mną, ani z żadnym z moich przyjaciół nie chcesz mieć do czynienia. Myślisz, że tego nie widzę?

— Wcale nie. — Chyba cały uniwersytet wiedział, że Lim i ja nie przepadamy za sobą.

— Razem z półkrasnołudem uniemożliwiliście mi prowadzenie interesów — powiedział poważnie. Włączyłam czujność.

— Jakich to?

— Chcieliśmy dostarczać do knajp alkohol, ale wszystkie kanały są obstawione przez krasnołudy — nie bez waszego w tym udziału.

— Owszem, to prawda — potwierdziłam z dumą. Osobiście dostarczaniem alkoholu się nie zajmowaliśmy, ale umożliwialiśmy to innym — szukaliśmy nabywców, dawaliśmy w łapę strażnikom, obserwowaliśmy sytuację na rynku i organizowaliśmy spotkania odpowiednich ludzi. Oczywiście, otrzymywaliśmy za te nasze starania małe, ale stałe podziękowania w postaci pieniędzy.

— Może nawiążemy współpracę? — zaproponował Lim. — Przejdziecie pod moje skrzydła, procent zysków będzie większy, a do tego dojdzie poszanowanie. Nie jestem nikim we władzach miasta, coś znaczę.

Przeanalizowałam sytuację dogłębnie i uczciwie odpowiedziałam arystokracie:

— Wątpię.

Ani ja, ani żaden z moich partnerów nie miał podstaw do tego, by ufać Limowi. A oczywistym było, że zamierza zagarnąć całą władzę i cały zysk. Tym bardziej, że słynął ze swoich rasistowskich skłonności.

— Nie wściekajcie mi w parady — powiedział Blondas bardzo serio. — Uprzedzam cię w imię starej przyjaźni. Nie masz bladego pojęcia, jakie mam plany i zamierzenia! A wy ze swoim biznesikiem wszystko mi psujecie.

Śmiało spojrzałam w jego zimne oczy.

— Możesz robić, co chcesz, ale my ze swojego interesu nie zrezygnujemy.

— Proponowałem wam udział. Teraz miej pretensje tylko do siebie.

Wzruszyłam ramionami.

Blondas raptem rozluźnił się i znów zmienił w uroczego, atrakcyjnego młodzieńca.

— No i tak. Ojciec mówił mi, że mam sobie wybierać twarde, trudnych przeciwników. A wy z Ottonem tacy jesteście.

Gdy zastanawiałam się nad tym, co powiedział, Lim zmienił temat.

— Wyglądasz dziś przepięknie. Ledwo cię poznałem, gdyby nie ten półkrerek...

— Nie nazywaj go tak!

— Dobrze, już nie będę. Przejdziemy się po ogrodzie?

— Nie chcę!

Chciałam jak najszybciej pogadać z Ottonem.

— Pomyśl jednak o tym — poprosił Blondas, fachowo obracając mnie w tańcu.

Musiałam się jeszcze bardziej do niego przytulić, żeby nie upaść. Arystokrata nagle pogłaskał mnie gorącą ręką po odkrytych plecach.

Poczułam dreszcze.

— Dawno marzyłem, żeby pospacerować z tobą po ogrodzie... Pokazać ci altanki. Powinnaś być bardzo interesującą... hmm... rozmówczynią. Taką dziką, namiętą i swawolną, a nie jak te wyrefinowane piękności, które nawet w łóż... w altanie przestrzegają zasad dobrego wychowania!

— O czym ty mówisz...? — wysapałam, czując, jak uginają się pode mną kolana.

— Chodź, pokażę ci! — wyszeptał mi do ucha, nie przestając mnie głaskać.

Poczułam, że się czerwienię. Dlaczego nic w życiu nie jest za darmo? Dlaczego wystarczyło tylko rozluźnić się i dać się ponieść tańcowi, żeby teraz musieć za to płacić?

Lim ostrożnie wsadził mi rękę pod suknię. Stałam jak słup soli, drżąc z gorąca, to znów z zimna.

— Nie jestem twoim nekromantą — mruczał. — Nie mam zamiaru stać z boku i obchodzić się smakiem. Pokażę ci, co to prawdziwy mężczyzna!

Pochylił się i pocałował mnie w usta.

Pocałunek był przyjemny. Nagle złapałam się na tym, że zaczęłam mu go oddawać...

Plask! Siarczasty policzek zostawił na jego twarzy czerwony ślad. Cofnął się, otworzywszy szeroko oczy. Chciał schwycić moją rękę, ale byłam szybsza. Plask! Kiedy zdążyłam przekreślić pierścionki kamieniami do wnętrza? Do czerwonego placka na policzku aroganta dołączyły dwie  
Pęgi-

— Ach, ty zdiro! — wychrypiał Lim, chwytając mnie za ręce. — Jeszcze pożałujesz!

Tańczące dookoła pary zatrzymały się i zaczęły obserwować całą awanturę.

— To wszystko, na co cię stać? — spytałam drwiąco, chociaż strasznie chciało mi się płakać.

— Grożenie kobiecie?

Lim powoli otarł krew z twarzy. Spojrzał na swoją rękę i oświadczył:

— Jeszcze pożałujesz.

— Nie, to ty pożałujesz! — wykrzyknęłam, pragnąc pozbyć się wszech ogarniającego mnie uczucia brudu. — Jeśli jeszcze raz choć zbliżysz się do mnie, to... to...

Napuścisz na mnie swojego amancika? — uśmiechnął się krzywo Lim

— Nie napuszczę! Sama się z tobą rozprawię. Zobaczysz, że kobieca zemsta potrafi być straszna! — powiedziałam z rezonem, którego tak naprawdę wcale nie czułam.

— Ach, ty! — Lim zamachnął się, ale jego rękę chwycił Otto.

—Tylko spróbuj! — powiedział. Za jego plecami stały, założywszy ręce za szerokie pasy, cztery potężne krasnoludy. Patrzyli czujnie na Blondasa i widać było, że gotowi są do bójki.

—Jeszcze pożałujecie! — powtórzył Lim po raz ostatni i odszedł.

—Dlaczego państwo się zatrzymali? — powiedział najgrubszy krasnolud do publiki. — Proszę tańczyć.

Widzowie pospiesznie usłuchali.

—Chodźmy — powiedział łagodnie Otto, obejmując mnie w talii. Skinęłam głową na znak zgody.

Wyszliśmy do ogrodu i usiedliśmy na ławce. Jak zwykle po przeżytych stresie miałam wrażenie, że uszły ze mnie wszystkie siły.

Westchnęłam, gotowa do płaczu, ale Otto zakomenderował:

—Stop! — i wręczył mi czystą chustkę do nosa. — Przyłóż do oczu, bo cały makijaż ci się rozmaże. A teraz płacz.

—Co on zrobił? — zapytał mój przyjaciel nieco później.

—Zaproponował mi... no, złożył nieprzyzwoitą propozycję. I pocałował. — Poprawiałam makijaż przy lichym magicznym ogniku.

—Zabiję go — stwierdził mój przyjaciel, gładząc rękojeść rytualnego toporka.

—Nie trzeba. Czort z nim.

—Jak chcesz, oczywiście. Ale...

—Lepiej nie mówić o tym Irdze — zakończyliśmy chórem.

—A skąd ty się wzięłaś w tej całej kłótni? — zapytałam.

Półkrasnolud pomógł mi wstać i udaliśmy się w stronę sali balowej.

—Byłem niedaleko — odpowiedział Otto. — Drzwi otwarte... Patrząc, a tam zebrał się tłumek.

Pomyślałem, że na pewno wywołałaś jakiś skandal. I poleciałem wyciągać cię z opresji.

—A co, jak tłumek, to od razu ja muszę być winna? — obruszyłam się.

—A nie miałem racji?

Westchnęłam. Co prawda, to prawda.

—A tak na marginesie, Otto, to chodziło jeszcze o sprawy biznesowe. Blondas chce zmonopolizować dostawy alkoholu do Czystiakowa i całego okręgu. I proponuje nam udział.

Otto wysłuchał mnie, szarpiąc się za brodę, po czym powiedział z uśmiechem:

—Nie potrafi przeprowadzać negocjacji, więc postanowił cię uwieść? A tu trafił na twardey orzeszek do zgryzienia!

Było mi miło słuchać jego pochwały, ale zapytałam:

—To co robimy?

—Będziemy robić dalej to, co robiliśmy dotychczas — odpowiedział Otto. —Jeśli Blondas miał nadzieję przyjść na gotowe, trafił pod zły adres. Pod jego skrzydła, też coś! Sami jesteśmy sobie panami. Musimy być tylko ostrożniejsi.

Reszta balu przebiegła bez zakłóceń. Dookoła Lima świergotały trzy dziewczyny, a on robił z siebie śmiertelnie raną ofiarę. Na nas w ogóle nie patrzył, co mnie w pełni zadowalało.

®

Schodziliśmy po schodkach domu zebrań we czwórkę — ja z Ottonem, Trochim z Lidią. Szłam ostrożnie i powolutku. Nie bacząc na fakt, że poluzowałam sznurowanie, suknia i tak była ciasna. Na obiedzie uświetniającym bal starałam się zjeść jak najwięcej. Po pierwsze, jedzenie

było za darmo. Po drugie, podano takie delikatesy, że nawet bałam się spytać, co to takiego, tylko podglądałam sąsiadów i naśladowałam ich konsumpcję.

— Ii-k. — Któryś z delikatesów pokłócił się w żołądku z innym i próbował wyjść na zewnątrz. Powstrzymałam go siłą woli.

— Obżarstwo to grzech — skomentował Otto.

Bałam się otworzyć usta i tylko pogroziłam mu pięścią, rozglądając się w poszukiwaniu dorożki.

— Chodźcie, przespacerujemy się! — zapiszczała Lidia. — Pysiaczku, zgadzasz się? „Pysiaczek” skrzywił się.

— Chodźmy — nieoczekiwanie poparł Lidię półkrasnolud.

— Ja nie idę — powiedziałam.

— Oczywiście, że idziesz. Musisz pochodzić, bo inaczej jedzenie się nie strawi i będziesz się męczyć całą noc.

Delikatesy znowu zatańczyły w żołądku polkę i musiałam się zgodzić.

Szliśmy powoli ulicami miasta. Trawiłam w milczeniu posiłek, Otto podliczał coś na palcach, Trochim „Pysiaczek” sprawiał wrażenie, że słucha Lidii, która wzburzona coś mu opowiadała.

— A teraz pospacerujemy po cmentarzu! — doszło do moich uszu.

— Po jakim znowu cmentarzu? — zapytał Trochim.

— A ten tutaj, Cmentarz Warragiński. Pokażę wam kryptę mojego pradziadka. Był wielkim człowiekiem!

— Nie chcę iść na cmentarz — powiedziałam.

— No co ty?! Boisz się? — zaśmiała się Lidia. — Ojciec mówił, że cmentarz jest chroniony.

— Co z tobą? — zapytał Trochim. — A, rzeczywiście, tutaj kiedyś zombie na ciebie napadł. Pamiętam, pamiętam.

— Nie napadł, tylko przechodził obok — sprostowałam.

— Chodźmy — zaproponował Otto. — Skrócimy sobie drogę.

— Mówiłeś przecież, że mamy spacerować! — przypomniałam mu, gdy szliśmy alejką starego cmentarza. — A teraz spieszysz się do domu i skrucasz drogi?

— Nic nie rozumiesz, złotko! Podliczyłem! Mamy szansę na świetny kontrakt! Muszę wszystko zapisać, póki pamiętam.

— A ty jesteś w stanie zapomnieć o czymś, co dotyczy pieniędzy? — zapytałam.

— Oj, przestań! Po prostu wpadł mi do głowy pewien pomysł! Posłuchaj tylko, dotyczy to także ciebie. Jeśli my...

— Otto! — przerwałam mu. — Czy coś jest nie tak, czy jestem pijana?

— Co?

— Wydaje mi się, że moja szpilka zrobiła się ciepła.

—Na pewno ci się wydaje! — Półkrasnotrud przeciagnał ręką po moich włosach. — Na młot i kowadło! Trochim, zmywamy się stąd jak najprędzej!

Mój kolega z roku spojrział na nas z niepokojem i przyspieszył kroku.

—Otto! Ona nagrzała się jeszcze bardziej! — Wczepiłam się w rękę półkrasnotrud. Od razu przypomniałam sobie, co mówił Blondas o nekromancie maniaku.

Jeśli tu łązą gdzieś zombie, to jesteśmy ugotowani. Z nas wszystkich poradzić może sobie z nimi tylko Trochim, trzy lata z górą uczył się na maga praktyka.

—Co się stało? — zapytała Lidia.

—Jeszcze nic — odpowiedział Trochim. — Otto, daj mi tę swoją siekiere.

—To rytualny topór! — zaperzył się półkrasnotrud. — Nie oddam go. To świętokradztwo!

—Świętokradztwo to będzie, jak cię zjedzą.

—Niech zjedzą, ale brudzić świętego przedmiotu nie pozwolę! — uparł się Otto.

—Och! — zapiszczała Lidia i wczepiła się w Trochi- ma obiema rękami.

Na drózkę wyszedł zombie. Wygląd miał przyzwoity, świeżutki, rześki. Dopóki stał nieruchomo na dróźnie, starałam się nie myśleć o tym, co będzie, gdy zacznie się ruszać.

—Puść mnie, głupia! — Trochim bezskutecznie próbował odczepić od siebie Lidie, lecz ona tylko szczękała zębami i ciasno przywierała do swego obrońcy.

Pozostało liczyć tylko na siebie. Przygotowałam parę ogników, wiedząc jednak, że nie na wiele mi się one zdadzą.

—Z tyłu — powiedział Otto cicho.

Odwrociłam się. Na dróźnie stały jeszcze dwa zombie.

Nie chciałam leżeć w krzaki w mojej eleganckiej sukni i gorączkowo przypominałam sobie wszystkie bojowe zaklęcia. Niestety, znałam ich za mało.

Dlaczego żal, że przepuściłam tyle zajęć, przychodzi jak zwykle nie w porę?

—I jak tam, moje dzieci? — spytał ktoś i przed nami wyszedł mag w czarnej pelerynie. — Dobrze się trzymają, prawda?

Był mężczyzną w kwiecie wieku, z inteligentną twarzą i grzecznym uśmiechem.

—Niczego sobie — odpowiedziałam. Z tyłu kłął przez zęby Trochim, starając się oderwać od siebie Lidie.

—Nie chcecie do nich dołączyć?

—Nie, proszę nam wybaczyć — przypomniałam sobie, jak Lira mówiła, że z wariatami należy rozmawiać długo, grzecznie i spokojnie. — Raczej nie skorzystamy.

—Ale dlaczego? — zdziwił się mag. — Bardzo dobrze jest być zombie. Będziecie mieć swojego pana, który będzie się o was troszczył, karmił was regularnie...

—Poił i odziewał — dokończył Otto razem ze mną.

—Proszę powiedzieć, czemu pan to robi?

—Zbieram kolekcję — pochwalił się nekromanta. — Są takie różne. Spróbuj każdego obłaskawić! A kiedy moja kolekcja będzie największa na świecie, będę cieszył się nią w spokoju.

—Potrzeba na nich furę magicznej energii! — zdziwiłam się.

—To prawda — potwierdził kolekcjoner. — Dlatego teraz pobierzemy ją od was. Przez uśmiercenie.

Jeśli jakiegoś maga zamorduje się w odpowiedni sposób, to teoretycznie jego magiczna energia powinna przejść na mordercę.

Nie chciałam sprawdzać tej teorii w praktyce.

Zanurkowałam w krzaki, zadzierając suknię. Otto nie pozostał w tyle. Słyszał było, jak zatrzeszczały gałęzie — to Trochim ratował siebie i Lidię.

—Ukradł mój topór! — zawarczał półkrasnolud.

—Przecież to nie portfel! Jak można przeoczyć kradzież broni? — rozgniewałam się, gdyż miałam nadzieję, że siekiera mnie obroni.

—Byłem zajęty — odgryzł się Otto. — Bałem się.

—Biegniemy z powrotem, Trochim nas uratuje.

Wybiegliśmy znowu na dróżkę i natknęliśmy się na nekromantę, który wydawał zombie rozkazy.

—Aaaaa! — wrzasnęłam i czym prędzej wlałam w krzaki, mając nadzieję, że moja suknia za bardzo nie ucierpi.

Kolekcjoner zombie z łoskotem upadł na dróżkę — to Otto wpadł na niego całą swoją masą.

—Tutaj! — czyjś okrzyk przerwał nasz bieg.

Schowaliśmy się za dużą kryptę. Tam na trawie siedział

Trochim z Lidią, która milczała, obejmując się rękoma.

—Co robimy? — zapytałam.

—Oddawaj toporek! — wzburzył się półkrasnolud.

—Nie oddam! Dla ciebie to rytualna broń, a dla mnie — jedyna obrona mojego życia! — ryczał Trochim.

—Chłopaki! Wszystkich nas zaraz tu zabiją, a wy się kłóćcie! — upomniałam ich.

—Wszystkich? — upewniła się Lidia.

—Wszystkich, nas jako magów, ciebie jako świadka.

—A on mówił, że nic mi się nie stanie. Że mnie nie zabiją. I że potem będzie moim chłopakiem.

—Jaki on? — pierwszy odzyskał dar mowy półkrasnolud. — Ten psychol?

—Nie, Lim. Poprosił, żebym zaprowadziła was na cmentarz. Dużo naobiecował. — Usta Lidii skrzywiły się brzydko i rozpląkała się w głos.

—Cicho bądź! — syknął Trochim, zakrywając jej usta dłonią.

—Nieźle! — Otto zaświstał przez zęby. — Szybko przechodzi od słów do czynów! Szacuneczek!

—O czym ty mówisz? — zainteresował się Trochim, potrząsając jednocześnie Lidią.

—Ta pułapka była zastawiona na nas z Olą, ty nawinałeś się przypadkiem — wyjaśnił Otto.

— Weszliśmy komuś w drogę.

—Ważniacy — uśmiechnął się krzywo mój kolega z roku. — Zawsze wiedziałem, że z wami nudno nie będzie!

—No nie, ludziska! Wy jak chcecie, ale ja umierać nie będę. Muszę jeszcze podziękować Limowi — powiedziała, starając się odłamać jak najgrubszą gałąź.

—Są! — rozległ się krzyk nekromanty. Widać biedaczyna dopiero co zebrał się w sobie po upadku. — Zabić ich!

Trochim, wymachując toporkiem, ruszył na najbliższego zombie. Półkrasnolud uzbrojony w dwa kije stanął obok mnie w pozie wojownika. Lidia przewróciła oczami i straciła przytomność, a ja zaczęłam krzyżeć:

—Pomocy! Niech ktoś nam pomoże! Mordują! Mamo! Aaaa!!!

Najlepszym sposobem na pozostanie przy życiu jest ucieczka. Jednak od sześciu zombie wśród nagrobków i w długiej spódnicy daleko nie uciekniesz.

—Tutaj ktoś krzycha! — rozległ się czyjś głos. — Tu są!

Przedemną pojawiło się trzech strażników i dwóch nekromantów.

Jesteśmy uratowani!

—Ola? — Jeden z nekromantów zatrzymał się. Patrzył na mnie w zdumieniu i nagle, nie zmieniając wyrazu twarzy, padł na ziemię. To któryś z zombie tak mocno uderzył Irgę w głowę kijem, że ten się złamał.

. — Swołocz! — wykrzyknęłam i rzuciłam się na zombie. Nie miałam pojęcia, co zrobię, ale fakt, że Irga dostał po głowie właśnie w chwili, kiedy patrzył na mnie entuzjastycznym, tklwym i miłosnym wzrokiem, straszliwie mnie rozwścieczył.

Gdy tylko zbliżyłam się do zombie, potężny strumień magicznej energii przeszedł przez moje ciało, szpilka stała się bardzo gorąca i raptem ochłodziła. Zombie rozerwało na drobne kawałki.

—Nieźle! — usłyszałam. Otrząsałam się z obrzydzeniem. Otto otarł mi twarz chusteczką.

—Możesz tak jeszcze raz?

—To nie ja, tylko kolczyki, które wtopiłam w szpilkę. Nie wiem, czy mają jeszcze wystarczający ładunek — powiedziała, otwierając oczy.

Irga leżał u moich stóp, jego czarne włosy były zlepione krwią.

—Oto do czego prowadzi mieszanie pracy z życiem osobistym — powiedział Otto ponuro i opadł przy nim na klęczki.

—Milcz! — krzyknęłam i pobiegłam w krzaki.



Tam opuściło mnie wszystko, co zjadłam na Letnim Balu. Potem spojrzalam za siebie i zdaje się, że zemdlalam. Przytomność wróciła mi z powodu ohydnej woni. Co by nie mówić, to ja tak śmierdziałam. Dokładniej rzecz ujmując, kawałeczki zombie i pozostałości obiadu równomierną warstwą pokrywające moją piękną niegdyś suknię

Suknia zmarnowana. A Irga... Irga, który zatrzymał się, by na mnie spojrzeć, leżał teraz na trawie... Ociekając krwią... możliwe, że... już... martwy...

Powlokłam się przez cmentarz, skulona. Miałam dreszcze. Usiadłam na czyjejs mogile, zwrócona w stronę nagrobnej płyty. Maleńki marmurowy aniołek płakał na niej, zakrywając twarz dłońmi.

Nawet się ani razu porządnie nie pocałowaliśmy. Nie spędziliśmy ze sobą dość czasu! A on był taki ciepły! Jak ostrożnie i delikatnie wyciągał mnie z życiowych tarapatów... Co tam dużo gadać, ratował mi życie! Skąd u niego tyle wytrzymałości, gdy patrzył, jak sobie hulam to z tym, to z tamtym? Dlaczego czekał, aż wydorosleję, zmadrzeję, zwrócę na niego uwagę? Dlaczego, dlaczego straciłam niepotrzebnie tyle czasu? Dlaczego nie sprawiłam, by ten czas należał do nas, tylko do nas? Do mnie i do człowieka, który tak bardzo mnie kocha? Kocha na tyle, że gotów jest nadepnąć na gardło swoim własnym chęciem, byle mnie było dobrze! Czemu byłam taka głupia? Czemu tego nie zauważałam? Przecież kochał mnie w okropnych ciuchach i chorą, i pijaną. Wesołą, smutną, złą, zadowoloną z życia — Irga przyjmował mnie taką, jaka jestem, nie próbując mnie zmieniać.

Teraz zrozumiałam, co znaczy płakać „gorzkimi łzami”. To były uświadomienia sobie własnej głupoty i bezsilności; łzy, kiedy niczego już nie można odwrócić, łzy wielkiego bólu.

Pojedyncza łza spłynęła po moim policzku, a wkrótce dołączył do niej prawdziwy potok. Dlaczego, dlaczego mój najpiękniejszy wieczór w życiu okazał się taki okropny?

Nie wiem, jak długo tak siedziałam. Łzy w końcu wyschły, łkałam teraz z zamkniętymi oczami, chwiejąc się na grobie.

— Tu jesteś! — wykrzyknął Otto i zaszeleścił, wylaząc z krzaków. — Znaleźliśmy cię po zapachu. Nie powiesiłaś się jeszcze? To dobrze! Nasi zwyciężyli, już jest spokój.

Ktoś objął mnie chłodnymi rękami i przytulił do piersi.

— Mogę mieć nadzieję, że choć część łez była spowodowana odniesionymi przeze mnie ranami? — spytał znany, bliski głos, charakterystycznie rozciągając samogłoski.

Otworzyłam oczy i skoczyłam, wyrrywając się z objęć.

Irga, całkowicie żywy i nawet wesoły patrzył na mnie od dołu do góry, siedząc na upodobanej przeze mnie mogiłce. Spod krzywo zawiązanego opatrunku sterczały mu czarne włosy.

— Ty... — powiedziałam, wskazując go palcem. — Żyjesz!

—No tak — odrzekł. — Nie tak łatwo mnie zabić. Płakałaś z mojego powodu?  
Patrzyłam na niego i nie mogłam się napatrzeć. Jaką ma bladą twarz! Pod oczami już pojawiły się sińce! Powinien leżeć w łóżku, a nie latać i szukać mnie po cmentarzach.

—Doceń to, złotko! — powiedział półkrasnolud. — Jeśli ja odzyskałbym świadomość po takim urazie, moim pierwszym pytaniem na pewno nie byłoby: „Co z Olą?”.

Siadłam obok Irgi. Wydarzenia dzisiejszego wieczoru jakoś nie mogły poukładać się w mojej głowie.

—Muszę się napić — sformułowałam jedyną myśl.

—Nic z tego — powiedział Otto. — W takim stanie nie wpuszczą cię do żadnej knajpy  
Irga w milczeniu gładził mnie po plecach.

—No dobra. — Podniosłam się z trudem. — Chodźmy, odprowadzimy do domu tego wojownika. I wezwiemy jakiegoś uzdrowiciela.

—Żadnego uzdrowiciela! — w głosie nekromanty zabrzmiał lęk.

—Wszyscy faceci boją się uzdrowicieli — stwierdziłam. — Chodźmy już.

Irga spróbował wstać, ale się zachwiał.

—Podeprzyj go z prawej strony, a ja z lewej — zadysponował półkrasnolud. — Och, co ty jesteś taki ciężki?!

—Poczekaj! — Prędko wysłałam magicznego zwiastuna do Liry. — Bez uzdrowiciela się nie obejdzie.

—Kolekcjonera załatwili — opowiadał po drodze Otto. Irga chwiał się i nawet spróbował stracić przytomność. Na opatunku pojawiła się czerwona plama. — Trochim ma złamaną rękę, a topór mu podarowałam. Przez zombie już i tak nie nadaje się na bratanie. Muszę zamówić nowy.

—Skąd Lim wiedział, że nekromanta będzie akurat na Cmentarzu Warragińskim?

—Myślę, że nie wiedział. On tylko tak założył, biorąc pod uwagę, gdzie ten maniak był wcześniej. Potem namówił Lidię, i gotowe. W każdym razie miał nadzieję, że coś się nam przytrafi.

—O co chodzi z Błondasem? — zapytał Irga.

Spojrzeliliśmy z Ottonem po sobie.

—Spotkał nas na balu i postanowił sobie pożartować — powiedział półkrasnolud. — Nie wiedział, że będziesz patrolować ten cmentarz.

—Nie mówicie wszystkiego. — Nekromanta wyglądał na niezadowolonego. — Dostałem po głowie, fakt, ale to nie znaczy, że jestem jakiś tępy.

—Nie podzieliliśmy zakresu wpływów w sprzedaży alkoholu — wyjaśniłam. — Ale damy sobie radę, nie przejmuj się.

—Właśnie zauważyłem, jak dajecie sobie radę — odparł Irga, krzywiąc się z bólu.

—A co się stanie z Lidią? — zapytałam Ottona.

—A co ma się stać? Chciało jej się pokazać grób swojego pradziadka, a tu zombie. Jeszcze ją tatuś będzie do uzdrowicieli prowadzić, żeby otrząsnęła się z szoku. A tego, że Blondas poprosił ją, żeby nas na cmentarz sprowadziła, nie można udowodnić.

—Jedno w tym dobre, że Trochim się od niej uwolni — ucieszyłam się.

Pod domem Irgi czekała na nas Lira z walizeczką uzdrowiciela.

We trójkę zataszczyliśmy rannego do jego mieszkania na pierwszym piętrze.

—Masz bieżącą wodę? — zapytał Otto. — Od Oli tak... pachnie.

—Pewnie, że mam — zapewnił go Irga. — To mieszkanie służbowe. Tu jest wszystko. Ola, weź z szafy jakieś ubranie i ręczniki.

Otworzyłam szafę, wisiały w niej porządne, wyprasowane ubrania. Trzeba będzie go poprosić, żeby pomógł mi zrobić porządek w mojej. Wzięłam najdłuższą koszulę, ręcznik i poszłam się wykąpać.

Dobrze być urzędnikiem państwowym! W kranie Irgi wodę grzał chyba demon ognia. I w dodatku nie stary i leniwy, jak w akademiku, ale młody i zwinny.

Suknia bezsprzecznie nadawała się tylko do wyrzucenia. Było mi bardzo żal, ale łez już nie miałam.

Weszłam do pokoju, gdzie Lira walczyła z nekromantą.

— On skamle! — poskarżyła się. — Jakbym go miała co najmniej zabić.

— Powiedz Ottonowi, niech go przytrzyma.

— Otto boi się widoku krwi.

— Mężczyźni! — powiedziałam. — I jak ja mam go przytrzymać? Położyć się w poprzek?

Zaciekawiony Irga ucichł.

— Jestem czysta, a on brudny. Na niego też spadły części zombie!

— Otto, zaprowadź mnie pod prysznic! — poprosił nekromanta.

Lira szybko ściągnęła brudną kapę. Pościel nie była czarna, jak sądziłam, lecz biała. Umyty Irga usiadł na łóżku, przywarłam do jego nagiego torsu, objęłam go i powiedziałam:

— Jak będziesz się szarpał, pójdę sobie.

Cicho przesiedział całą operację, czasami tylko wzdychając.

Otto uciekł tchórzliwie pod pretekstem „wyrzucenia brudnych ciuchów”.

— Powinieneś poleżeć jakiś tydzień — zawyrokowała Lira. — Powiem twoim przełożonym. Idziemy do domu — zwróciła się do mnie — już nic złego mu się nie przydarzy.

— O nie — uparł się Irga. — Tak, jak teraz wygląda, nigdzie jej nie puszcze!

— A co nie tak z moim wyglądem? — oburzyłam się.

— Wyglądasz bardzo wyzywająco — wyjaśnił Irga. — Moja koszula sięga ci tylko do połowy uda. I w takim stroju zamierzasz chodzić nocą po mieście?

— Otto mnie odprowadzi.

— A co Otto poradzi na tłum podchmielonych facetów wychodzących z knajpy? Poza tym jestem teraz chory, nieszczęśliwy i bardzo potrzebuję pocieszenia.

— A gdzie będę spać? — zapytałam.

Irga wskazał mi miejsce obok siebie na łóżku.

— Co to, to nie! — wzburzyła się Lira. — Powiem ci jako uzdrowiciel, że teraz jest to absolutnie dla ciebie zakazane! Już lepiej ja zostanę na noc, a Oli oddam swoją spódnicę.

Taka perspektywa nie bardzo zachwyciła Irgę.

— Tam za szafą jest rozkładane łóżko — powiedział smutnym tonem. — Dla gości.

— Świetnie! — szybko zorganizowaliśmy moje miejsce do spania.

Lira wygłosiła Irdze długi wykład o zachowaniu stosownym dla chorych. Otto za jej plecami uśmiechał się i pokazywał różne sprośne gesty.

Kiedy tylko wyszli, padłam na moje łóżko i momentalnie zapadłam w sen. Łóżko było zbyt wąskie, by Irga mógł zmieścić się obok, a obudzić by mnie teraz nie dała rady nawet horda kogutów.

— No ile można spać?! — usłyszałam po przebudzeniu. — Już Lira przyniosła ci rzeczy, bardzo dokładnie cię oglądała. Bała się, że coś jednak w nocy zmalowaliśmy. I chrapałaś!

— Ja nie chrapię. — Przeciągnęłam się. Wydarzenia poprzedniego wieczoru nieco się zamazały i nie wywoływały już takich silnych emocji.

— Chrapiesz! — Nekromanta stał nade mną, oglądając bezczelnie wszystko, co nie było przykryte kocem. — Zrobiłem ci herbaty.

— Dawno się obudziłeś? — Spojrzałam w okno i zauważyłam, że było już chyba koło południa.

— Zdążyłem już zdrzemnąć się dwa razy. — Irga wyglądał trochę lepiej niż wczoraj, był jednak strasznie błydy i wymizerowany. — Nie chcesz przenieść się na moje łóżko?

— Wczoraj Lira ci mówiła, co możesz robić, a czego nie.

- Ale to było wczoraj!
- Odwróć się — poprosiłam, chcąc włożyć swoje ubranie.
- Chcę popatrzeć! — uparł się nekromanta.
- To patrz — uśmiechnęłam się.

Umiałam ubierać się tak, by nie pokazać żadnej golinizny.

Irga był rozczarowany, choć tego nie okazał.

— Aha, a jak spotkasz Blondasa, to przekaz mu, że jeśli jeszcze raz choć cię dotknie, to go zabiję. Naprawdę zabiję. Nie boję się jego tatusia.

Zachłysnęłam się herbatą.

— O czym ty mówisz?

— Lira. Ona podejrzewała, a ja wiem. O tym, jak Blondas się do ciebie dobierał, gada już pół miasteczka. Bo to przecież sensacja dnia: awantura na Letnim Balu! — Irga był zły.

— Ja byłam przeciwna! — usprawiedliwiałam się, wspominając czarowny taniec.

Nekromanta spojrział na mnie i odpowiedział:

— Powtórz Blondasowi, co ci mówiłem, dobrze?

Skinęłam głową. Miałam Limowi do powiedzenia

o wiele więcej.

— A co zrobiliście z moją suknią?

— Jeszcze wczoraj Otto ją wyrzucił, a ze śmietnika tak śmierdziało, że go ponadplanowo wysprzątał.

Cicho westchnęłam.

— Czterdzieści złotych do śmietnika. Zamierzałam w tej sukni wyjść za mąż.

Irga ostrożnie usiadł na łóżku, przytrzymując opatrunek.

— Jeśli wyjdiesz za mnie, kupię ci taką samą — obiecał.

Spojrzałam na niego podejrzliwie. Odkąd to ma takie dochody?

— Taką samą nie — oświadczyłam. — Ma być jeszcze lepsza.

— Lepsza nie znaczy droższa — odpowiedział Irga, zamykając oczy.

— Znaczy — upierałam się.

— Dobrze — zgodził się potulnie.

— A od kiedy masz takie pieniądze?

— W wolnej chwili grabię groby — oznajmił.

Zaczęłam się zastanawiać, czy to może być prawdą

i postanowiłam nie drażnić tematu. Napoiłam Irgę uzdrowicielską herbatką i poszłam do domu.

Szłam zalanymi słońcem ulicami i myślałam o tym, że nawet jeśli wczorajszy wieczór nie był najpiękniejszy w moim życiu, to na pewno dobrze go zapamiętam. Na zawsze!

## 19

### Męska wierność

Lato rozkwitło w całej pełni. Szłam po rozgrzanej JL<sup>^</sup> dróżce i cieszyłam się życiem. Był ranek, jeszcze nie bardzo upalny, lecz już gorący. Wracałam od rodziców, gdzie wezwano mnie na rodzinną naradę — moja młodsza siostra, druga po mnie, chciała wyjść za mąż. Rodziców, którzy do tej pory powtarzali „już czas, najwyższa pora”, nie wiadomo dlaczego dziwnie ten fakt zaszokował. Zawsze tak jest. Rodzice spodziewają się, że sprostamy ich oczekiwaniom. Ale jeśli tylko tak się dzieje, mama i tata dostrzegają, że dziecko przestało być dzieckiem, i chcą wszystko odwrócić.

W końcu ustalono, że urządzi się Darii wystawne weselisko, dano mi do zrozumienia, że i ja powinnam się już zaobłączkować, obładowano mnie pasztecikami i wyprawiono z powrotem do Czystiakowa.

Żułam leniwie pasztecika, zastanawiając się, co dalej robić. Praktyki po czwartym roku zaczynały się późno — czekano, aż wszyscy studenci wybiorą specjalizacje. Razem z Ottonem zdecydowaliśmy (a dokładniej, delikatnie nas naciskano, byśmy podjęli taką właśnie decyzję), że zostaniemy parą Mistrzów Artefaktów, napisaliśmy stosowne oświadczenie i rozkoszowaliśmy się zasłużonym wypoczynkiem.

—Ola! Ola! — W moją stronę biegi nie kto inny, jak właśnie Otto. Walnąwszy mnie w plecy w charakterze powitania, powiedział:

—I gdzie ty się podziewałaś tak długo?! Tyle się tu dzieje!

—Nie było mnie zaledwie półtora tygodnia. Co mogło się wydarzyć? Uniwerek się zawalił? Bef się wściekł?

—Gorzej — odpowiedział Otto grobowym tonem. — Dokładnie nie wiem, słuchy tylko chodzą. O Irdze.

—Co z nim? — zapytałam, pamiętając, że niedawno nekromanta dostał pałą po głowie. — Coś ze zdrowiem?

—Nie, czuje się dobrze. Szedłem przechwycić cię z dylizansu, żebyś usłyszała to ode mnie.

—Nie męcz mnie dłużej — poprosiłam, zaczynając się denerwować. Kiszki skręciły mi się nieprzyjemnie, serce zaczęło bić jak szalone. Pasztecik poleciał w przydrożne krzaki.

—Irga... on... on mieszka z dziewczyną — wykrztusił półkrasnolud i odwrócił wzrok.

Coś wewnątrz mnie zerwało się i poleciało w kierunku pięt. Kontynuowałam jednak dziarski marsz, choć torba wydała mi się dwa razy cięższa.

—To pewne?

—Pewne. Wiele osób widziało, jak prowadzi ją do siebie, taki grzeczny i delikatny. I razem spacerują wieczorami.

—A...

—Nie pytałem — powiedział szybko Otto. — Nie wtrącam się. Ale ciebie chciałem uprzedzić. Ochłoniesz przed pierwszym spotkaniem z plotkarzami.

—Dzięki, Otto — odpowiedziałam zdrętwiałymi ustami.

—Wszystko w porządku? — Najlepszy przyjaciel zajrzał mi w oczy.

—Tak, oczywiście — powiedziałam fałszywie beztrasko. — Każdy żyje tak, jak chce.

—Złotko... — zaczął półkrasnolud, ale machnęłam ręką i zamilkł.

Czego oczekiwałam? Że Irga dalej będzie się bawił w rycerza? Zapominając o tym, że jest przede wszystkim mężczyzną ze swoimi potrzebami? Już dawno nie miał żadnych dziewczyn...

Nogi ciążyły mi, jakby były z ołowiu. Jakoś doszłam na drugie piętro w akademiku, rzuciłam swoje rzeczy i powlokłam się do knajpy. Stargane nerwy potrzebowały alkoholu, ale nie chciałam upijać się w samotności.

Na ulicy wpadłam na Tomnę.

—Jak ci się podoba mój kapelusz? — zatrajkotała. — Kupiłam specjalnie na ślub!



—Na czyj ślub?

—Nie wiesz? Irga wkrótce się żeni. Żyje z dziewczyną, zrobił jej dziecko i zamierza się zenić.

—Dziecko? — zapytałam oszołomiona. — Nie było mnie półtora tygodnia...

Tomna popatrzyła na mnie z politowaniem.

—Ola, dziecko można zrobić w dziesięć minut. Albo nawet szybciej, wszystko zależy od wprawy.

—I po półtora tygodnia wie o tym całe miasto?

—Przekazuję tylko sprawdzone dane! — obraziła się Tomna. — O dziecku powiedziała mi znajoma uzdrowicielka, a Irgę i jego dziewczynę widziałam osobiście, gdy wychodzili z salonu ślubnego. I Irga wyglądał na bardzo zadowolonego.

Poczułam, że kręci mi się w głowie. Zachciało mi się powiedzieć coś wrednego.

—Można by pomyśleć, że zaprosił cię na ślub.

—Nie. — Tomna się nie zmieszała. — Ale to niczego nie oznacza! Sama przyjdę, żeby popatrzeć. I w ogóle, kto jak kto, ale ty powinnaś siedzieć cicho... Sama w ogóle nic nie wiedziałaś!

—Wiedziałam — powiedziałam stanowczo. — Po prostu Irga prosił mnie o dyskrecję. Nie ma żadnego dziecka! — I pomyślałam: „Jeśli jest, miasto usłyszy o zamordowaniu pewnego przemilego nekromanty”.

Dziewczyna spojrzała na mnie z niedowierzaniem, a ja obdarzyłam ją beztroskim spojrzeniem, wyobrażając sobie proces ćwiartowania Irgi z wszelkimi szczegółami.

—Skoro tak... Miło było cię spotkać.

Na chwiejnych nogach weszłam do najbliższej knajpy i zamówiłam dużą wódkę. Po kieliszku wychylonym duszkiem w głowie nieco mi się rozjaśniło, a kiszki przestały skręcać się w węzeł. Rozmyślałam, zagryzając marynowanym ogórkiem.

A więc Irga znalazł sobie dziewczynę. To niedobrze. Dlaczego niedobrze? Bo kiedy całkiem niedawno leżał nieprzytomny na cmentarzu, zdałam sobie sprawę, że znaczy on w moim życiu bardzo wiele. Świadomość tego spadła na mnie nieoczekiwanie i boleśnie niczym cegła, spadająca na głowę przechodnia, i to mnie raczej nie uszczęśliwiło. Wróciwszy do domu, rozrysowałam sobie schemat „Irga w moim życiu”, żeby łatwiej to wszystko ogarnąć. Wyszło na to, że od chwili mojego wstąpienia na uniwersytet nekromanta był zawsze obok

mnie, nie- nachalnie pomagając, dodając otuchy, a nawet nie raz ratując mi skórę. Jaki miał w tym cel? Na początku byłam święcie przekonana, że traktuje mnie jak młodszą siostrę lub dzieciaka. Oczywiście, było to strasznie wkurzające, biorąc pod uwagę fakt, że jestem najstarsza z rodzeństwa. Ale od jakiegoś czasu Irga odnosił się do mnie zupełnie inaczej — delikatniej, bardziej uważnie, przestał udawać troskliwego tatę, i w ogóle co by tu nie mówić, czułam płynące od niego wprost do mnie fale napiętności. Już od roku nie widziałam go z żadną dziewczyną, choć sama aktywnie próbowałam ułożyć sobie życie. Dziwne, że nekromanta patrzył na te moje ekscesy z wielką wyrozumiałością. Może wiedział, że to tylko nic nieznaczące romansiki, które niedługo się skończą?

Kiedy zdałam sobie sprawę, że Irga jest mi tak bliski? Nie wiem. Na pewno już dawno temu. Dlaczego tak starannie odsuwałam od siebie myśl, że coś między nami jest? Z wrodzonej złośliwości? Bo mówili o tym wszyscy wokół? Ze strachu, że będę musiała sama przed sobą przyznać się do czegoś... straszego, co przywiąże mnie mocniej niż łańcuch, a dążyłam przecież do niezależności?

Nie, oczywiście, że go nie kocham. Miłość — to takie uczucie, że nie możesz bez tego człowieka żyć, myślisz o nim bez przerwy i jeszcze parę tego typu rzeczy. On też mnie nie kocha. Nie mówił o tym ani razu. Cokolwiek by sobie tam nie myślały jakieś półkrasnoludy.

Spojrzałam na pusty kieliszek, ale nie zaryzykowałam jeszcze jednej kolejki. Popijając piwo, zastanawiałam się, co robić.

Ale nawet jeśli się nie kochamy, to jeszcze nie powód, by sprowadzać sobie do domu jakąś pannicę i robić jej dziecko. Kto teraz będzie się o mnie troszczyć? Kto będzie czekał na mnie pod uczelnią z bukietem kwiatów? Kto podaruje mi wszelkie przyjemne prezenciki? Kto będzie robić sobie dowcipy z moich błędów? Rzucac się z pomocą? Zauważać każdą najmniejszą zmianę nastroju? On znalazł sobie dziewczynę!

— A co ze mną? — z żalem spytałam swojego odbicia w lustrze.

O nie, ja tego tak nie zostawię!

Rzuciłam na stół pieniądze i zdecydowanym krokiem ruszyłam do domu Irgi.

Sam położył mnie niedawno na rozkładanym łóżku, a z nią teraz na pewno sypia w swoim. Obejmuje, całuje i... Zabije cholernicę!

Zgodnie z prawem Murbyego, najbardziej pechowego krasnoluda świata, natknęłam się po drodze na Blondasa. Szedł z ponurym wyrazem twarzy — pewnie do pracy. Jednak na mój widok znacznie się ożywił.

— Olgerda! Jakże miło cię widzieć!

— No nie mów! — odpowiedziałam grzecznie.

— Piękną dziś mamy pogodę! — Blondas zaczął konwencjonalną pogawędkę.

Przytaknęłam.

— Jak się miewasz? — zainteresował się Lim.

— Wspaniale! — odrzekłam. W moim żołądku alkohol walczył z pasztecikami o palnę pierwszeństwa.

— Olgerdo! — powiedział Blondyn słodko. — Chodzą tu takie przyjemne słuchy.

Milczałam.

— O tym, że zostałaś porzucona. — Lim nie ukrywał radości. — Pojechano po tobie jak po łysej kobyle. Obrażono cię i poniżono.

— Ciekawe te słuchy — odparłam, leniwie gładząc się po żołądku. — Tyle że nieprawdziwe. Wierzą w nie tylko totalni idioci.

Blondas wykrzywił gębę.

— A ty co, nie zrozumiałaś, że Irga cię rzucił? Nikt cię teraz nie ochroni, kretynko. I w końcu mogę zrobić z tobą wszystko, co zechcę! Wszystko, co zechcę!

— Jaki ty od rana nie dopieszczony — pożałowałam go. — Dalej, spróbuj. No już. Tylko potem nie leć na skargę.

— Ach, ty! — Lim zamachnął się.

Stałam spokojnie. Na końcach moich palców u rąk powstawały iskry. Blondas miał słabiusieńki magiczny dar i doskonale o tym wiedział. Był jednak arystokratą, dobrze władał szpadą, mieczem i nieźle walczył wręcz.

Ale ja też nie wypadłam sroce spod ogona — niekiedy nasze spory z Ottonem kończyły się bójkami, w których ciężki półkrasnolud nie zawsze brał górę — elastyczność i zwinność plus długie paznokcie to też całkiem niezła broń. Teraz pięści świerzbiły mnie jeszcze o tyle, że bardzo chciałam wyładować na kimś swą wściekłość i żal.

Lim zawahał się — zdziwiła go moja reakcja.

—Szkoda by było brudzić ręce — wykręcił się. — Na dodatek jestem już spóźniony do pracy. Ale wieczorem jeszcze się spotkamy.

—Jedyne co potrafisz, to machać kobietom rękoma przed oczami — stwierdziłam z niejakim rozczarowaniem.

Blondas poczerwieniał, a ja pokazałam mu język i poszłam w swoją stronę.

Na drzwiach nekromanty błyszczały ochronne artefakty. To znaczy, że się zamyka! Ach tak! Starczył jeden gest i artefakty spłonęły. Nie szkodzi, jeszcze starczy mi magii, by wyciągnąć kogo trzeba z pościeli!

Kopniakiem otworzyłam drzwi.

Irga siedział przy oknie i majstrował coś przy swoim bucie. Długa czarna grzywka spadała mu na oczy, potrząsał więc od czasu do czasu głową, żeby lepiej widzieć. Na jego łóżku spała rozwalona ciemnowłosa dziewczyna.

—Ola? — Irga spojrział na mnie zdziwiony i wstał. — Zniszczyłaś moje artefakty? Dlaczego? Czy coś się stało?

—O to ja ciebie powinnam zapytać! — wykrzyknęłam. — Ty... Ty... Chamie! Oszuście! Gnojku! Ty... Jeszcze masz czelność patrzeć mi w oczy?! Powinieneś paść przede mną na kolana! Uuu, ty świniou!

Od nadmiaru emocji machnęłam ręką, zaczepiając —półkę z naczyniami. Z rumorem spadły na mnie kubki —talerze. Wylękniony nekromanta cofnął się i przywarł plecami do ściany, zasłaniając się butem. Dziewczyna na łóżku przebudziła się i okrągłymi ze zdziwienia oczami patrzyła na całe zajście.

—Eee... Ola... — zaczął Irga niepewnie.

Kichnęłam ze złością. Cała byłam pokryta warstwą rozsypanej herbaty. Zdjęłam z głowy rozwiązany woreczek i rozdarłam go na dwie części.

—Oto co zrobię teraz z tobą! — zapowiedziałam nekromancie. — Iz nią!

—Irga! — zawołała dziewczyna. Zdażyła już zawinąć się w koc i usiąść na łóżku. — To o niej mi opowiadałeś?

Nekromanta przytaknął, nie spuszczając ze mnie wzroku.

—A ty wstawaj w ogóle! — Podeszłam do łóżka i szarpnęłam ją za rękę. — To moje miejsce! Wynos się stąd, póki ci tych bezczelnych ślepi nie wydrapałam! Ty paskudo! Byś chociaż jakąś przyzwoitą piżamę na siebie włożyła! I jeszcze się za mąż wybiera, tfu!  
Irga nagle parsknął śmiechem.

—Ola — zapytał, dławiąc się. — Ty myślisz, że to moja kochanka?

—Kochanka! — krzyczałam. — Całe miasto już wie, że to twoja narzeczona!

—Całe miasto? — powtórzył. — Narzeczona??

—Tak — powiedziałam i położyłam się na łóżku. — Jesteś ostatni bydlak i świnia.

—Dlaczego?

—Dlatego, że wszystkim się z nią pokazujesz — wskazałam na dziewczynę otulającą się kocem. — I zrobiłeś jej dziecko i będziesz się żenić!

—Co???

—Słyszałeś. Zapomniałeś już wszystko, co mi mówiłeś? Wszyscy jesteście tacy sami! Ale ja stąd nie pójdę, będę tu leżeć, aż jej nie wygonisz.

Dziewczyna nagle się roześmiała. Nekromanta w oszołomieniu spojrzął na mnie, potem na nią, otworzył i zamknął usta, po czym ryknął takim śmiechem, że aż zatoczył się na ścianę. But wypadł mu z rąk.

—Ola... — wyjęczał. — Ola, ja nie mogę jej wygonić. To moja siostra!

—Kim by nie była... Co...? Jak...? Siostra? — Usiadłam, czując się strasznie głupio.

—Siostra — potwierdziła wesoło dziewczyna. — Młodsza.

Przyjrzałam im się dokładnie. Naprawdę byli do siebie podobni — długie nosy, wąskie usta. Tylko oczy mieli inne — ona miała piwne, a on błękitne jak niebo, błyszczące wesoło spod długiej grzywki.

—Skończyła liceum i przyjechała tu studiować. Chwilowo mieszka u mnie — wyjaśnił Irga, ocierając łzy śmiechu.

—Aha. — Wstałam, strzepnęłam z poduszki listki herbaty, które osypały się z moich włosów i ruszyłam do wyjścia.

—Ola, zostań — powiedział Irga. — Na moim łóżku wyglądałaś niczego sobie.

—Lepiej niż ja — dobiła mnie jego siostra. — Co ty tam mówiłaś o mojej piżamie?

Uśmiechnęłam się z przymusem, wyszłam na klatkę schodową i usiadłam pod drzwiami mieszkania Irgi. W pokoju znowu rozległ się wybuch śmiechu. Ależ jestem bezgranicznie głupia! I co teraz Irga sobie o mnie pomyśli? Wolę o tym nawet nie myśleć.

Ktoś uchylił drzwi, które uderzyły mnie w plecy.

—Ola — powiedział Irga przez szparę. — Musimy pogadać.

—O czym?

—O tobie i o mnie. O nas.

—Zostaw mnie w spokoju, dobrze?

Irga zaczął napierać na drzwi, aż jęknęłam.

—Dobrze — powiedział. — Będziesz siedzieć tam do końca świata?

—Tak — odrzekłam.

—Będziesz głodna — uprzedził mnie.

—I umrę, tobie na złość — oznajmiłam. — Żebyś wiedział.

—A ja już ci kiedyś mówiłem, co zrobię, jak umrzesz.

—A ja umrę tak, żebyś nie mógł mnie ożywić. Zostanę duchem i będę ciągle ci się ukazywać, żeby dręczyć twoje sumienie.

—A co ja takiego zrobiłem? — oburzył się Irga. — Przyszłaś rano, zrobiłaś pogrom w moim domu, przestraszyłaś mi siostrę i jeszcze ja jestem winny!

Pchnął drzwi z całej siły.

—Zabij mnie, zabij! — zawylałam, pocierając tył głowy. Miałam tam guza wielkości szyszki.

—Przybiegłaś tu, bo ktoś ci powiedział, że jestem z inną?

—Nie — odgryzłam się. — To taki mój poranny spacer. Trening dla podtrzymania zdrowia.

—Jak mogłaś uwierzyć w takie plotki? — zdziwił się.

—A co miałam myśleć? Jak tylko przyjechałam, wszyscy zaczęli mi opowiadać, że masz dziewczynę, że chodziłaś z nią do salonu ślubnego, że będziecie mieć dziecko. To co mogłam pomyśleć? Tomna widziała cię w ślubnym salonie na własne oczy.

—Rzeczywiście tam poszedłem — powiedział Irga po chwili milczenia.

—Sam widzisz! — chlipnęłam.

—Szukałem dla ciebie pierścionka, a potrzebowałem kobiecej rady.

—Jakiego pierścionka? — wyteńczyłam uwagę. Wśród mnóstwa biżuterii, którą kupił mi Irga, pierścionka do tej pory nie było.

—Żebyś sobie wetknęła w nos — oświadczył śmiertelnie poważnym tonem..

Pogładziłam się po guzie na głowie. Nie chciałam rozmyślać nad tym śliskim tematem.

Tym bardziej, że obrączek do nosa nie sprzedawano w ślubnych salonach — chciałam kiedyś taką, z dzwoneczkiem, więc wiem wszystko na ten temat.

— A dziecko? — zmieniłam temat.

— To nie moja tajemnica — powiedział cicho nekromanta.

W zadumie bębniłam palcami po podłodze. Wiedziałam, że Irga pochodzi z dalekich ziem naszego królestwa. Nigdy nie pytałam, dlaczego przyjechał na studia aż tutaj, zamiast wstąpić na Uniwersytet Magii bliżej domu. Być może jego siostra także miała jakiś istotny powód, by wyjechać jak najdalej od srogich rodziców.

— A co miałam sądzić? — Nastrój wymagał awantury. — Mieszkasz z dziewczyną, o której nikt nie wiedział, że to twoja siostra!

— Miałem sobie plakat przywiesić, żeby wszyscy widzieli?

— Nawet Ottonowi nie powiedziałaś!

— Bo nie pytał! — odparował Irga. — Myślałem, że zauważył nasze podobieństwo.

— Zauważył tylko, że spacerujecie wieczorami! — krzyknęłam.

Z sąsiedniego mieszkania wyjrzała czyjaś niezadowolona twarz. Pokazałam sąsiadowi pięść i drzwi prędko się zatrasnęły.

— Nie wściekaj się już. — Irga przymilnie poskrobał w drzwi. — Jediną kobietą, którą chciałbym widzieć w swoim łóżku, jesteś ty.

Poczułam, jak zalewa mnie rumieniec.

— Przypomnij sobie lepiej o tych wszystkich swoich dziewczętkach — powiedziała złym głosem i uderzyłam głową w drzwi. Guz zabolął przejmująco, więc się skrzywiłam.

— Nigdy ich tu nie przyprowadzałem — odpowiedział Irga spokojnie. — To mój dom. A w ogóle, to już przeszłość. A ty jesteś moją przyszłością.

— Ciekawostka! — ciągle byłam zła. — A może byś mnie chociaż zapytał? Być może mam inne plany na przyszłość?

Po nieskończeniu długiej pauzie Irga zapytał:

— Olu, wyjdiesz za mnie za mąż?

Moje serce uciekło gdzieś w okolice żołądka, gardło wydało ochryply skrzyp. Nekromanta milczał za drzwiami, ja oglądałam swoje trzęsące się ręce.

— A gdzie... — Musiałam przełknąć nerwową gulę w gardle. — Gdzie kareta?

— Jaka kareta? — zapytał Irga w oszołomieniu.

— Zaprzężona w białe konie. Kwiaty. Stodycze. Muzykanci — rozpędzałam się. — A ty powinieneś być w beżowym garniturze. I tylko wtedy powinieneś mnie o to zapytać!

— W jakim garniturze? — zdumiał się Irga. — Nigdy w życiu nie włożę beżowego garnituru! To ohydztwo!

Zamilkliśmy. Bez przerwy się drapałam — albo z nerwów, albo miałam uczulenie na herbaciane listki.

— Oła! — Irga nagle wrzasnął. — Wyjdiesz za mnie czy nie?

— Zostaw mnie w spokoju! — wydarłam się tak, że z sufitu odpadł kawałek sztukaterii.

— Ty wredoto! — krzyknął wzburzony nekromanta. — Jak można ludziom tak szarpać nerwy?!

— To zostaw mnie w spokoju! — Tak, spokojnie, spokojnie, tylko bez hysterii.

Po chwili za drzwiami coś zaszurało, po czym ucichło.

— Irga — rozległ się głos jego siostry. — Zostaw ją w spokoju.

— Jeszcze wrócę — obiecał nekromanta przez szczelinę. — I dokończymy naszą rozmowę.

Upewniłam się, że poszedł na dobre, zdjęłam sandaalki i przemykając pod ścianami, pobiegłam do Gaju Zakochanych.

Usiadłam na brzegu rzeczki i złapałam się za głowę. Dlaczego zawsze pakuję się w jakieś nieprzyjemności? Dlaczego tak zbłądziłam się przed Irgą i jego siostrą? Siostrą! Wyobrażam sobie, co naopowiada ich rodzicom. I co to za durne oświadczyzny? Nie oczekiwałam ich w najmniejszym stopniu. No dobrze, należy być szczerym z samym sobą, oczekiwałam. Każdej dziewczynie byłoby miło, gdyby ktoś ofiarował jej swoje serce i rękę. Ale sam sposób! Nie o takim marzyłam! Nie, nie, muszę zmienić sposób myślenia.

Spojrzałam na swoje brudne od kurzu i herbaty dłonie. Powąchałam je. Herbatę ma drogą! Pachnie tak wspaniale! Nie mogłabym sobie na taką pozwolić, a on, proszę! Przychodzi do mnie do akademika i tylko patrzy, co by tu zjeść. A swoją drogą herbatą nie poczęstował nigdy! Skapiradło.



Zerwałam liść łopianu i zaczęłam ostrożnie strząsać z włosów herbaciany susz — może starczy chociaż na jedną filiżankę. Rezultat mnie zadowolił, zwinęłam liść i wsadziłam do torebki przy pasku, wyciągnawszy przy okazji lusterko.

Mamusiu kochana! Jak ja wyglądam! Na włosach resztki gipsu ze sztukaterii. Herbata zostawiła mi na twarzy brunatne plamy, pokryte dodatkowo kurzem. Ślady też — kiedy już zdążyłam płakać? — wyrysowały na moim brudnym obliczu pionowe smugi. Oto dlaczego przechodnie na ulicach uskakiwali na mój widok!

Zrobiło mi się żal siebie samej. Zaczęłam znów płakać, rozmazując łzy na policzkach. Po jakimś czasie znudziło mi się to zajęcie i postanowiłam się umyć. Brzeg był tu stromy, ale nie chciało mi się wylażyć z krzaków i szukać łagodniejszego zejścia. Jedną ręką oparłam się o muliste dno, drugą zaczęłam się ochlapywać. Nagle ręka mi się osunęła, straciłam równowagę i runęłam twarzą do rzeki. Upadłam bardzo nieszczęśliwie, praktycznie cała wjechałam po śliskim ile do wody. Ciężka, szeroka spódnica natychmiast namokła i pociągnęła mnie razem z prądem. Dno było muliste, nie mogłam oprzeć się na kolanach, ręce też nie znajdowały oparcia. Twarz boleśnie smagały wodorosty. Szamotałam się w panice, łykając wodę i starając się krzyknąć o pomoc. „Na koniec tego podłego ranka jeszcze dodatkowo głupio utonę” — przemknęło mi przez głowę.

Nagle silne szarpnięcie wyciągnęło mnie z wody i zdołałam stanąć na nogach. Kaszłąc i spazmatycznie wciągając do płuc powietrze, odgarnęłam z twarzy mokre włosy, otarłam oczy. Przede mną stał przestraszony Irga, w wodzie po pas.

— A... — wydusiłam z siebie i powlokłam się na brzeg.

Nekromanta w milczeniu podał mi chusteczkę. Wytarłam usta, odeszłam kawałek, lecz zaraz padłam z powrotem na ziemię. Zaczęło mną trząść. Irga usiadł obok, przytulił mnie i zaczął mruzczyć coś po cichu pod nosem. Może to dziwne, ale od razu się uspokoiłam.

— Nie sądziłem, że pójdziesz się przeze mnie topić.

— I co jeszcze?! — Strasznie nie chciałam, żeby wypuścił mnie z objęć. — Chciałam się po prostu umyć.

— Ach, no tak. — Irga odsunął się i spojrzał na mnie uważnie. — Ze też się od razu nie domyśliłem.

— To błotna maseczka upiększająca — odpowiedziałam, czując się jak ostatnia idiotka.

—Ola, ty mi się zawsze podobasz, niezależnie od tego jak wyglądasz, ale radziłbym ci się umyć, ludzie mogą cię opacznie zrozumieć.

Umyć się! Głowę muszę też wymyć i wyprać rzeczy. Przypomniałam sobie o herbacie, zawiniętej w liść łopianu i zanurkowałam do torebki. Łopian rozwinął się, listki walały się po całej torbie. Wszystko zamokło. Ze wstrętem wyciągnęłam ociekający wodą nieforemny zwitek, z którego spływał atrament. Było to moje skierowanie na praktyki, podpisane przez Befa. A więc tutaj było, a tak go szukałam!

—To był ważny dokument? — zapytał Irga ze współczuciem.

—Coś w tym stylu — odpowiedziałam, rzucając mokry papier w krzaki. — Nic to, można postarać się o nowy. Na pewno. W każdym razie...

—To nie takie straszne, jak to, co stało się dziś rano — dokończył nekromanta. — To chciałaś powiedzieć?

Udałam, że oglądam wodorosty, które zdjęłam z twarzy.

—Ola... — zaczął Irga.

Spojrzałam na niego żalonym wzrokiem, który do tej pory wykorzystywałam tylko do brania na litość wykładowców.

Nekromanta westchnął.

—Chodźmy, musisz się umyć.

Przeszliśmy w górę rzeczki do czystego i bezpiecznego miejsca i spróbowałam doprowadzić się do porządku. Irga stał obok i cały czas trzymał mnie za spódnicę.

Po drodze natknęliśmy się w krzakach na słodką parę — Blondasa, który ostatecznie nie dotarł jednak do pracy, i jego kolejną namiętność.

—Mam cię! — widząc mnie, Lim wyskoczył z zarośli.

—Coś nie tak? — zapytał Irga, obejmując mnie ramieniem.

—Co się z wami działo? — zdziwił się Blondas, chwilowo rezygnując z roli wielkiego arystokraty i patrząc na moje przemoczone na wskroś ubranie.

—Krzakoterapia z elementami dewiacji — odpowiedziałam, oblizawszy się.

—Bardzo burzliwymi elementami — dodał nekromanta, usprawiedliwiając mój wygląd.

—Nie wydaje ci się, że dwie dziewczyny na jednego to trochę za wiele? — Blondyn zacisnęła pięści.

—Ja mam jedną — wzruszył ramionami nekromanta. — Ołé. A co? Potrzebujesz treningu?

—A my z Olą uzgodniliśmy dziś rano, że zajmiemy się gimnastyką dla dwojga — odpowiedział Lim niedbale.

—Obawiam się, że to niemożliwe, Ola jest zmęczona — powiedział Irga. — Ale zawsze możesz pogimnastykować się ze mną.

—Ty mnie nie pociągasz — skrzywił się Blondas. — Nie przeszkadzajcie mi, jestem zajęty — i demonstracyjnie objął swoją partnerkę.

—Wybacz nam — powiedział nekromanta. — Nie masz już żadnych pytań do Oli? Aristokrata wymamrotał coś pod nosem.

—Miłego dnia — pożegnał się mój towarzysz.

—Nie odpowiedziałas na moje pytanie — powiedział, gdy podeszliśmy do akademika.

—Odpowiedziałam — patrzyłam na przyrodę wokół, bojąc się spojrzeć mu w oczy.

—Rozumiem — powiedział w zadumie. — Można do ciebie wejść? Przebierzesz się, a potem zapraszam cię do restauracji.

—Do restauracji? — starałam się nie pokazywać swojego podekscytowania. Nigdy jeszcze nie byłam w restauracji.

Nekromanta potwierdził.

—To poczekaj, tylko umyję włosy...

Kiedy wróciłam spod prysznic do pokoju, Irga razem z Ottonem spokojnie popijali sobie moją herbatę. Machnęłam na nich ręką. W restauracji zamówię sobie same najdroższe dania. I największe. Muszę wziąć ze sobą torbę, żeby zabrać wszystko, czego tam nie zjem.

—Ola — rzekł najlepszy przyjaciel. — W ten uroczysty dzień...

Podejrzliwie spojrzałam na nekromantę. Co już zdążył wychłapać?

—...Kiedy jest już jasne, że jeśli wywalą cię z akademika, nie zostaniesz jednak bez dachu nad głową — ciągnął półkrasnodul. — Chcę podzielić się z tobą pewnym pomysłem, który przyniesie nam niezły dochód.

Jęknęłam. Pomysł na pewno niósł ze sobą niemałe ryzyko. Irga roześmiał się wesoło.

—Jutro kupię szersze łóżko — obiecał Ottonowi.



## Podążać za księżycem

Sukinkot! — tylko tyle mogłam wykrztusić, patrząc na rezultaty swoich działań.

Otto potargał się za brodę i rzekł filozoficznie:

— Widać nie skłamał. Silnie magiczny.

Praktyka specjalizacyjna trwała pełną parą. W pracowniach i kuźniach stukali zawzięcie narzędziami rzemieślnicy i przyszli Mistrzowie Artefaktów. Razem z Ottonem zajmowaliśmy się pracą badawczą. Odłożywszy na czas nieokreślony zadany jako pracę artefakt, staraliśmy się za to rozszyfrować, co kryje w sobie mój nowy pierścionek.

Gustowne złote cacko Irga podarował mi w sposób dość oryginalny. Wszedł na akademicki dziedziniec, na którym czekali na opiekunów praktyk wszyscy studenci czwartego roku. Nekromanta podszedł do mnie, wręczył mi wielki bukiet róż, czym zwrócił na nas powszechną uwagę. Na dziedzińcu natychmiast zaległa cisza, a on półgłosem powiedział:

— Najważniejsze w swoim życiu pytanie już zadałem. Teraz chcę ci podarować ten oto pierścionek, żeby nikt nie wątpił, jakie miejsce zajmujesz w moim życiu.

— A jakie zajmuję? — zapytałam, starając się chwycić różę drugą ręką, żeby wygodniej przyjąć pierścionek.

Studenci zmienili się w jedno wielkie ucho. Można było być pewnym, że ta historia będzie opowiadana dziś wieczorem w każdej knajpie.

— To, które może zajmować tylko towarzyszka życia — powiedział Irga, wkładając pierścionek na mój serdeczny palec.

Praktykanci głośno westchnęli. Nekromanta nachylił się do mojej twarzy.

— Jeszcze niczego konkretnego nie odpowiedziałam! — szepnęłam.

— Wiem — uśmiechnął się. — Ale pierścionek noś. Jest magiczny i bardzo cenny.

Prychnęłam.

— To pierścionek mojej matki. — Irga spoważniał.

Westchnęłam. Powiedzieć, że nekromanta uwielbiał matkę — to jakby niczego nie mówić. Rzadko o niej wspominał, ale jeśli już mu się zdarzyło, to w jego głosie brzmiała taka miłość, taka tklivość i taki szacunek, że pozostawało tylko mieć nadzieję, że moje dzieci będą kiedyś choć w połowie tak dobrze wyrażać się o mnie.

— A w dodatku — Irga poweselał — mam mnóstwo magicznych drobiazgów. Kiedyś będziesz chciała dostać je wszystkie.

Nie mogłam stłumić blasku swoich oczu.

— I pamiętaj — Irga pogładził mnie po twarzy. — Droga do ich otrzymania prowadzi tylko przez ołtarz Bogini Rodu.

Delikatnie pocałował mnie w policzek, zamienił parę zdań z Ottonem i odszedł.

Studenci byli pewni, że szepcząc wyznaczaliśmy datę ślubu, ale pierwszego, który o to zapytał, zdzieliłam ciężkim bukietem i potem miałam już spokój.

Teraz zaś wraz z moim najlepszym przyjacielem usiłowaliśmy dociec, cóż to za magia siedzi w pierścionku. Po eksperymentalnym ciosie zaczarowanym młotkiem obrączka zapulsowała niebieskim światłem i stoczyła się z kowadła.

— Musimy go znaleźć — powiedział Otto, oglądając wgniecenie w młocie.

Padłam na klęczki i poczołgałam się po podłodze, zaglądając pod ławy i stoły. Pierścionek zniknął, jakby go diabeł ogonem nakrył.

— Otto!! — zawołałam zrozpaczona.

Teraz po ubitej glinianej polepie łąziliśmy już we dwójkę.

— Nieeezłe widowiskoo — powiedział ktoś, rozciągając samogłoski.

— Lepiej byś pomógł — warknął półkrasnolud, dostał sójkę w bok i zamilkł.

—Cześć, Irga! — uśmiechnęłam się promiennie.  
—Co robicie? — Nekromanta podsunął mi dzbanek z zimnym mlekiem.  
—Pracujemy — powiedział półkrasnolud. — A co to, piwa nie było?  
—Przecież pracujecie — wzruszył ramionami Irga. Jego wzrok zatrzymał się na mnie. — A gdzie pierścionek?  
—Zdjęłam, żeby nie zniszczyć przy pracy — odpowiedziałam.  
Irga przekrzywił na bok głowę i spojrzał na mnie przenikliwie.  
Cofnęłam się i schowałam za Ottonem.  
—Zgubiłaś? — zapytał Irga.  
—Przypadkowo — wykrztusiłam, czując się okropnie winna. — On tak sam z siebie. Jak nie zapłonie...! Jak nie skoczy...! I już.  
Nie ma. Ach, jestem taka nieszczęśliwa!!!  
Irga skrzywił się przy ostatnich słowach mojej opowieści.  
—Znajdę go, tylko obiecaj, że przestaniesz wycić!  
Chlipnęłam. Otto parsknął. Irga coś zaszeptał, wystawił dłoń i w tej chwili znalazł się na niej pierścionek.  
—Też tak chcę! — spróbowałam go zabrać, ale nekromanta schował rękę za siebie.  
—Ja sam — troskliwie wsunął mi obrączkę na palec.  
Otto zachichotał za naszymi plecami.  
—Para gołąbków.  
—Nie znasz dnia ani godziny — uśmiechnął się Irga.  
—Jestem jeszcze zbyt młody, żeby zajmować się takimi bzdurami! — oburzył się półkrasnolud. —Jeszcze się nie dorobiłem, jeszcze się nie nabawiłem. I w ogóle siedzieć z niemowlakami w domu — to nie moje powołanie.  
—Poczekam, kiedy przyjdzie twój czas — powtórzył Irga i pocałował mnie w dłoń. — A tak na marginesie, moja siostra przeniosła się do akademika. Nie chcesz wpaść do mnie na filiżankę herbaty? Pojutrze mam wolne.  
Uśmiechnęłam się, starając się nie słuchać pochrząkiwań Ottona.  
—Oczywiście, że przyjdę! — „I wypiję całą twoją herbatę, choćbym miała pęknać. I zeżrę wszystkie łąkocie, jakie tylko znajdę. Zemszczę się za te czasy, kiedy ty przychodziłeś do mnie do akademika i wyżerałeś mi wszystkie zapasy”.  
Irga z niedowierzaniem pokręcił głową i odgarnął grzywkę spadającą mu na oczy.  
—Mówisz poważnie?  
—Absolutnie! — potwierdziłam. — O której przyjsz?  
—Przyjdę po ciebie wieczorem do „Pij Więcej!” — rzekł nekromanta.  
Nie oczekiwał tak łatwego zwycięstwa, dlatego pożegnał się w niejaki oszołomieniu i poszedł.  
—Co ty wymyśliłaś? — zapytał mnie półkrasnolud groźnie. — Znowu będziesz się nad nim znęcać? Kiedyś cię zdrowo walnę.  
Męczyć takiego chłopaka!  
—Niczego nie knuj! Chcę się herbatki napić — odparowałam. — Co w tym złego?  
Otto bacznie spojrzał mi w oczy.  
—Patrz na mnie!

®

Pojutrze zaczęło się parszywie. Obudziłam się cała we łzach i zrozumiałam, że nigdzie dziś nie pójde.

—Ola, złotko — potar mosił mnie Otto. — Co z tobą? Czekalem na ciebie w pracowni i czekalem...

—Aaaa... — zapłakałam w głos.

Półkrasnolud głaskał mnie po głowie i pocieszał.

—Ale co się stało? — w końcu nie wytrzymał.

—Nie zadawaj głupich pytań — chlipnęłam.

Najlepszy przyjaciel potargał brode, aż się domyślił:

—Podążasz dziś za księżycem? Tak?

Przytaknęłam.

—Poleż sobie — westchnął Otto. — Porozmawiam z opiekunem.

Zwinęłam się w kłębek i zajęczałam.

W samym środku dnia, ponura i zła, pojawiłam się w kuźni. Otto wytarł ławę i położył na niej zwinięty kozuch. Położyłam się i patrzyłam, jak pracuje.

—Zawsze się cieszyłem, że nie jestem kobietą — powiedział półkrasnolud, łapiąc moje spojrzenie.

—Za to latem twarz mi się pod brodą nie poci — nie pozostałam dłużna. — A zimą sople z wąsów do ust mi nie włożą.

—Co ty wiesz o brodzie! — oburzył się najlepszy przyjaciel. — Jak ci się poprawiło, to lepiej podręcznik poczytaj. Musimy skończyć artefakt w terminie.

Zagłębiłam się w książce, mamrocząc pod nosem inwektywy pod adresem wszystkich mężczyzn z naszego królestwa.

Nekromanta zastał nas w „Pij Więcej!” akurat wtedy, kiedy zmuszałam się do zjedzenia kawałka kielbaski. Jeść mi się nie chciało, ale na czczo byłam strasznie zła, a jeśli jeszcze pomnożyć to przez dni podążania za księżycem...

—Irga — zaczął półkrasnolud. — Jesteś pewien, że właśnie dzisiaj chcesz zaprosić Olę na herbatę?

—Tak — Irga się zachmurzył. — A co, coś się stało?

—Stało się — odrzekł półkrasnolud.

—Otto — powiedziałam, odsuwając kielbaskę. — A może byś tak nie wtrącał się w nie swoje sprawy?

—Chciałem pomóc...

—To zjedz lepiej kielbasę.

—Obśtiniłaś ją całą.

—Zapchaj się nią!

—Chyba coś przeoczyłem — skonstatował Irga.

—Wszystko — napadłam na niego. — A jeszcze się chcesz żenić!

—Ja bym cię zabił! — nie wytrzymał półkrasnolud. — I to w okrutny sposób.

—Nikt cię nie pytał! I w ogóle!

—W ogóle to znosiłem cię przez cały dzisiejszy dzień!

—Ach, znosiłeś! Znosiłeś! To znaczy, że tak ci źle spędzać czas ze swoją najlepszą przyjaciółką! Nikt mnie nie kocha!!! — zawylałam.

Opuściłam głowę na stół i rozryczałam się w głos.

—Sam sobie teraz z nią radź — powiedział półkrasnolud. — Muszę ją ścierpieć jeszcze jutro. I pojutrze. I po- pojutrze! Och, Ola! Przystań zawodzić! Gdzie podziłaś moją nalewkę na uspokojenie?

—Rozbiłam ją dzisiaj! Chciałam wypić i stłukłam! Spadła z szafy!

—Stłukłaś! W te dni! — krzyknął Otto. — Pomyślałaś o tym, że muszę z tobą pracować!?

—Dosyc — powiedział Irga ze spokojem. — Każdy miewa czasem złe dni.

—Zaraz mu strzelę w mordę! — zdecydowałam.

—Mordę! Popatrz lepiej na swoją gębę! — odpyskował Otto, wściekły. — Chodź no tutaj, potworze!

Nekromanta schwycił mnie zwinnym ruchem i posadził sobie na kolanach.

—Dosyc, powiedziałem. Otto, masz trzy siostry! Pora by przywyknąć do damskich dni!

—Mieszkały w żeńskiej części domu — burknął półkrasnolud. — A ja jeszcze muszę z nią pracować. Na młot i kowadło!

—Puść mnie! — szarpałam się Irdze na kolanach. Przytrzymał mnie bez większego wysiłku.

—Przyzwyczajaj się. Pierwszy raz widzisz ją w takim stanie? — zapytał nekromanta.

—Nie — odpowiedział półkrasnolud po namyśle. — Tylko że dzisiaj jestem jakiś zły.

—Też podążasz za księżycem? — zapytałam złośliwie.

—Co??? — wściekł się. — Jak ci...

—Jesteście jak dzieci! — stwierdził nekromanta. — Otto, siadaj!

Rozkazujący i władczy ton jego wypowiedzi nakazał Ottonowi zająć swoje miejsce. Schwycił kielbaskę i zaczął ją przeżuwać, chrząkając ze złością.

—I dobrze. Teraz pójdziemy, a ty napij się piwa i jutro wszystko już będzie dobrze.

—Obiecujesz? — spytał półkrasnolud z nadzieją.

—Obiecuję — powiedział twardo nekromanta.

Szłam po ulicy, kopiąc ponuro jakiś śmieć. Irga szedł za mną, pogwizdując coś pod nosem. Uderzyłam w jakiś

kamyk i zdarłam sobie skórę z palców u stóp. Chyba czas najwyższy poszukać mniej twardej ofiary.

—Idziesz sobie — powiedziałam do nekromanty. — I wszystko ci jedno, że mam teraz takie dni, chociaż znaczy to, że nic z tego teraz nie będzie.

—Z czego? Planowałem, że napiję się z tobą herbaty. Czy nie pijesz herbaty w te dni?

—A... e... — wybąkałam.

Irga odsunął grzywkę z oczu.

—Co, kochanie?

— A ty nigdy nie chciałeś — poczułam, że uszy mi płoną — ze mną... no... no wiesz co...  
— Dlaczego tak sądzisz? — zdziwił się. — Teraz też chcę.  
— O właśnie! — zatrzymałam się. — I wszystko ci jedno, że nic dziś z tego nie wyjdzie?  
— Ola! — roześmiał się Irga. Podniósł mnie ostrożnie i okręcił w powietrzu. — To nawet lepiej. Pomyśl tylko, szłabyś teraz ulicą, myślała o tym, jak będę się przystawiać, zaczęłabyś się denerwować, bać, nie wiadomo co byś sobie wyobrażała. I w końcu nic by z tego nie wyszło. A tak, po prostu idziesz napić się herbaty. I wiesz, że nic strasznego cię nie spotka.  
Zamyśliłam się. Faktycznie, Irga miał rację. Iść tak ulicą i wiedzieć, co się wydarzy? I jak to będzie?  
— Ee, Ola! — zawołał mnie. — Jesteśmy na miejscu. Chyba że chcesz iść dalej?  
— Po prostu się zamyśliłam.  
— Mogę mieć nadzieję, że zasmucił cię fakt, że dziś do niczego nie dojdzie? Hej, żartowałem! Nie kop mnie!  
W jego mieszkaniu usiadłam na łóżku i patrzyłam, jak robi herbatę. Jaka to rozkosz — obserwować mężczyznę, który robi coś specjalnie dla ciebie! Mogłabym tak siedzieć i patrzeć do końca świata.  
— Rozplotę ci włosy i zrobię masaż. Moje siostry utrzymują, że to pomaga. — Irga usiadł obok mnie.  
— To masz więcej siostr niż jedną?  
— Dwie. Młodsze.  
— To widać — wymruczałam, poddając się jego dotykowi.  
— Dlaczego?  
— Na pewno zaplatałaś im warkocze, tak wprawnie obchodzisz się z moimi włosami.  
— Owszem — roześmiał się Irga. — Zaplatałem.  
Odwrociłam się. Jego twarz wyrażała niezwykłą tkliwość.  
— Nie wiedziałam, że możesz taki być — wyznałam nieoczekiwanie dla siebie samej. — Taki bliski. Dobry. Kochany. A nie tylko wielki nekromanta. Taki wszystkowiedzący.  
— Nie jestem żadnym wielkim nekromantą. Zwyczajnie, jestem pracowity. W odróżnieniu od niektórych — trzepnął mnie po nosie.  
Uśmiechnęłam się i zrozumiałam, że muszę go natychmiast pocałować. Zamknęłam oczy i nastawiłam usta. Nasze wargi się spotkały, już zamierzałam przytulić się do niego całym ciałem... i wtedy ktoś zastukał do drzwi.  
— Nie ma mnie! — ryknął Irga.  
— Irga! To bardzo pilne! Z wydziału miejskiego! Mają duży problem! Zbierają wszystkich naszych.  
Nekromanta odetchnął głęboko kilka razy.  
— No i widzisz, kochanie. Połóż się spać, a ja idę do pracy.  
Skinęłam głową. Chciało mi się płakać z rozczarowania.  
— Przyjdę jutro! Nie bucz! Twój klucz od mieszkania leży na stole — powiedział. Delikatnie mnie pocałował i wybiegł.  
Zwinęłam się w kłębek i zasnęłam, wtulona w poduszkę, która przyjemnie pachniała — muszę to w końcu powiedzieć — moim narzeczoną.  
Wyspałam się za wszystkie czasy. Mimo wszystko oddzielne mieszkanie to nie akademik, w którym przez cały czas ktoś śpiewa lub tłucze się po nocach, a ściany usłusznie przekazują wszelkie dźwięki do twojego pokoju. Był już ranek, a Irga nie wracał. Poszperałam po szafkach, zjadłam pudełko czekoladek i powlokłam się na praktyki.  
Miasto przywitało mnie ciszą. Na ulicach nie było przechodniów, nie jeździły powozy. Knajpy i sklepy były zamknięte.  
— Stać! — głośny okrzyk sprawił, że zamarłam. — Kim jesteś? Dokumenty!  
Patrol straży miejskiej!  
— Co się stało? — zapytałam.  
— Dokumenty! — powtórzył twardo strażnik.  
Gorączkowo grzebałam w torbie. Gdzieś powinna tu być moja legitymacja studencka. No gdzie ona jest?  
— Proszę przejść na komendę w celu złożenia wyjaśnień.  
— A co ja zrobiłam? Jakich wyjaśnień? Co tu się dzieje?  
— Godzina policyjna! Stan wyjątkowy!  
— Nie wiedziałam...  
— Proszę poczekać! — Do patrolu podbiegł mag, płacząc się w długiej szacie.  
Był to Bringem, mój stary znajomy.  
— Ta pani jest z Uniwersytetu Nauk Magicznych. Znam ją.  
— Na pewno?



—Tak! Nawet teraz może przejść skanowanie aury! Wiecie przecież, że na aurach studentów naniesiona jest pieczęć.

Patrolowy machnął ręką.

—Proszę iść na uczelnię, panienko, jak najprędzej.

—Co się stało? — chwyciłam Bringema za rękę.

—Muszę iść z patrolem... No dobrze, powiem. W mieście wprowadzono stan wyjątkowy. Wczoraj w nocy zaatakowały nas księżycowe martwiaki. W ogromnych ilościach. Zebrali wszystkich naszych — do walki lub na patrole. Ludziom radzą nie wychodzić z domów, ani nikogo do nich nie wpuszczać. Dziwne, że nie słyszałaś, cały ranek krzyczeli o tym głosiciele.

—Spałam... — zmieszalam się. Co to za księżycowe martwiaki?

—Biegnij na uniwersytet, teraz każdy mag się liczy!

Biegnąc, pomyślałam: „Tam jest Irga! Walczy w pierwszych szeregach z jakimiś martwiakami z księżycą! O, Niebiosia!”

Odwrociłam się i co tchu pomknęłam do świątyni Pani Sukcesu.

Wpadłam do środka, zdarłam z uszu duże, dość drogie kolczyki i położyłam je na ołtarzu.

—Proszę, uśmiechnij się do niego w czasie walki. Błagam cię, niech wszystko z nim będzie dobrze.

Statua Pani Sukcesu uśmiechała się chytrze gdzieś w przestrzeń. Westchnęłam i zdjęłam z rąk bransolety. Wczoraj, wybierając się na randkę z Irgą, włożyłam cenną biżuterię. Teraz się przydała.

Ołtarz zapalił się różnobarwnym płomieniem. Prośba została przyjęta.

Strasznie zziębła wbiegłam do pracowni. Na kowadło leżał lakoniczny zapisek od półkrasnodłuda: „314 aud.". Biec do audytorium nie miałam już siły, ale starczyło mi ich na szybki marsz.

W audytorium studenci czwartego roku słuchali Befa, który rysował coś na tablicy.

—Ilu jeszcze nie ma? — zapytał, odprowadzając mnie wzrokiem, póki nie usiadłam obok Ottona.

—Trzech — odpowiedział starosta roku.

—Poślijcie do nich gończych! Żadnej dyscypliny...

Zazwyczaj na uniwersytecie funkcjonował zakaz posyłania tego typu wiadomości, ale skoro wykładowca kazał...

Po kilku minutach w powietrzu unosiły się setki magicznych listów, niosących posłanie do bliskich: Co z wami? Co z tobą?

—Trzy, powiedziałem! — warknął Bef.

Poczekaliśmy na spóźnialskich.

—Powtórzę dla tych, którzy się spóźnili. Przed chwilą opowiedziałem o możliwych sposobach obrony przed księżycowymi martwiakami. Zapytacie potem swoich kolegów. Idziemy dalej. Czym jest księżycowy martwiak?

Sala milczała. Bef popatrzył na wszystkich, a jego wzrok stał się surowszy. Kilka rąk lekko podniosło się do góry.

—Kujony — mruknął Otto. —Jak się czujesz?

—Nie najlepiej — odpowiedziałam. Długa przebież- ka dała mi się we znaki i wszystko mnie teraz bolało.

Położyłam głowę na rękach i przygotowałam się do drzemki.

—Księżycowe m-martwiaki to martwiaki, w k-które wiano magiczną energię, ale ak-tywizuje się ona tylko p-podczas pełni — odpowiedział, jękając się, któryś ze studentów.

—To wszystko? — zapytał Bef. — Mało. Kto może jeszcze coś dodać?

—Potrzebują wielkiej energii przy stworzeniu, za to nie potrzebują jej wcale, będąc w stanie „życia”, ponieważ prowadzi je energia księżycy. Stworzyć coś takiego może tylko nekromanta posiadający bardzo wysoką rangę. A jeszcze lepiej paru. Ten gatunek martwiaków charakteryzuje się zwiększoną agresją i krwiożerczością. Istnieją zapisy, że w ciągu dwóch nocy pełni takie potwory dziesiątkowały całe miasta...

—I to krasnodłud! — skomentował Otto. — Zdrajca. Uczyliby się na nekromantę, a nie obrażał swoją wiedzą porządnych rzemieślników.

—Kiedy po raz ostatni zanotowano pojawienie się księżycowych martwiaków? — zapytał Bef. — Olgierda?

—Nie mam pojęcia — odpowiedziałam z opuszczonym wzrokiem. I tak wiedziałam, że wyraz twarzy opiekuna nie wróży nic dobrego, zruga mnie jednak w cztery oczy, a znaczy to, że nie było co denerwować się zawczasu.

Bef rozdzielił zadania przygotowania amuletów ochronnych w tempie ekspresowym (do rozdania ludności cywilnej jako środek na uspokojenie) i zwolnił studentów.

—Olgierdo — zwrócił się do mnie. Otto siedział obok i z powodzeniem udawał ślepo-głucho-niemego. — Nie próbowałaś, tak dla odmiany, mniej wagarować z zajęć?

—Panie profesorze — patrzyłam na niego najbardziej szczerym spojrzeniem z całego swojego arsenału. — Obiecuję, że na ostatnim roku będę najpilniejszą studentką ze wszystkich!

—Czemu ci nie wierzę? — Bef westchnął. — Ciekawi mnie tylko, jak to możliwe, że wszyscy magowie w mieście, w którym na dodatek znajduje się uniwersytet, nie zauważyli wyrzutu magicznej energii o tak wielkiej sile?

— Są wakacje... — zająknęłam się.

— Olgierdo, wakacje mają tylko studenci, a i tak tylko ostatnie lenie zwalniamy wtedy swoje głowy od myślenia.

Zrozumiałam aluzję i zamknęłam się.

— A jeśli — zaczął półkrasnolud nieśmiało — jeśli nie było wyrzutu energii? A jeśli martwiaki po prostu podeszły do miasta i zaczęły się w najbliższym lasku?

— Dlaczego tak sądzisz?

— To proste! Wy, wielcy magowie, myślicie na wielką skalę. Jeżeli armia — to obowiązkowo teleportować. Jeśli stwarza się martwiaki — to oczywiście z infuzją ogromnej energii. A jeśli najpierw stworzono po prostu zombie?

To przecież łatwe. Przeprowadzić na miejsce i nałożyć aktywacyjne zaklęcie podczas pełni.

— Jak na to wpadłeś?

— Nie będzie się pan śmiać?

Bef najeżył się.

— Nie.

— Lubię czytać kryminały — przyznał się Otto. — I w jednym z nich opisano taką właśnie sytuację.

— Wszystko jedno — Bef zastanowił się. — Do tego potrzeba dużych ilości energii.

— Zabijali magów. — Półkrasnolud wzruszył ramionami.

Wzdrygnęłam się. Mnie także chciano zabić dla uzyskania magicznej energii, i to całkiem niedawno. Wspomnienia nie należały do przyjemnych.

— Otto, masz nas wszystkich za głupców? Wszyscy magowie w królestwie byli sprawdzeni jeszcze w nocy, wysłano do nich posłańców. Umarł tylko jeden, i to ze starości!

— Wszystkich zarejestrowanych magów — powiedział półkrasnolud. — Tych, którzy mają swoje wzorniki aury w Instytucie Magii. A wędrowni niedouczeni magowie? Wiejskie czarownice? Ci wszyscy, których nie ma w spisie i nie płacą podatków? Pamiętam, że w jednym kryminale...

Bef podniósł się, nie czekając, aż półkrasnolud skończy wątek. Był całkowicie pogrążony w rozmyśleniach. Zatrzymał się przy drzwiach, o czymś sobie przypominając.

— Tak, pora byście wzięli się do pracy. — Potarł czoło, ale niczego więcej nie powiedział.

— Ale ty jesteś mądry! — powiedziała do Ottona w zachwycie, kiedy szliśmy do pracowni.

— Bo czytam rozwijającą literaturę — dumnie wyjaśnił półkrasnolud. — Lubię zwłaszcza kryminały z ciągiem dalszym, kiedy trzeba samemu zgadnąć, kto zabił i w jaki sposób. I w ogóle, książki wpływają na osobowość tego, kto je czyta. Weźmy na przykład ciebie, jaką książkę ostatnio czytałaś, prócz podręcznika?

— Literaturę naukową! — rzuciłam niedbale. Niech sobie nie myśli, że jego najlepsza przyjaciółka jest ograniczona przez romansidła i „Zwiastun wyprzedazy”.

— Taaak? — zdziwił się ogromnie. — I co to za książka?

— Nie wierzysz mi?

— Nie.

— Myślisz, że jestem taka bezmyślna? — oburzyłam się. — Nie szanujesz mnie ani trochę! — poczułam, że za chwilę się rozpłaczę.

— Drugi dzień — wyszeptał Otto. — Jeszcze trochę...

— Co?

— Nic. Chciałem tylko dowiedzieć się, co to za książka. Może też powinienem ją przeczytać?

— „Leksykon przekleństw elfów”.

— Co??? Elfy potrafią przeklinać? To niemożliwe!

— Wszyscy potrafią przeklinać, Otto. Niektórzy tylko tak potrafią rozmawiać, ich zasób słów literackich zawęża się tylko do spójników, przyimków i wykrzykników.

— Chętnie bym posłuchał. „Pachnie pani jak odchody mojego śnieżnobiałego konia”, albo „Pani twarz przypomina mi zielonego płaza, zdechłego ze starości”.

— Trochę lakonicznie, ale idzie ci nieźle. Chociaż są słowa, za które w elfickim społeczeństwie wyzwą cię na pojedynek.

— Jakie?

— Na przykład, „paskudna elfia gęba” i „my, krasnoludy, jesteśmy od was sprytniejsi”. Dam ci książkę, to sobie poczytasz.

Wieczorem, odziani w oficjalne szaty, poszliśmy z Ottonem rozdawać świeżo zrobione artefakty. Przypadła nam działka koło Cmentarza Warragińskiego.

—No to nas opiekunowie urządzili — warczał półkrasnolud. — Dlaczego jedni rozdają artefakty na głównych ulicach, a inni muszą przy cmentarzach?

Po drodze zdążyłam uraczyć się piwem u znajomego handlarza, byłam więc senna i melancholijna.

—Dlatego, że dobrze robimy artefakty. A przy cmentarzu to ważne. I w ogóle, mamy już doświadczenia z zombie.

—Żebyś dostała pypcia na języku — rozszalał się mój najlepszy przyjaciel. — Jeszcze coś wykraczesz. Oddawaj piwo, nie możesz pić w te dni.

Obeszliśmy swój sektor i usiedliśmy na ławce, żeby trochę odpocząć. Ja żułam wyrwaną z czyjejs grządki marchewkę, otarłszy ją przedtem o spódnicę, a Otto dopijał piwo.

—Ściemnia się. Chodźmy już, zaraz godzina policyjna. No, złodziejskie rączki! Podzielcie się marcheweczką.

—Piwo już mi zabrałeś, teraz zabierasz się za marchewkę. Gdzie tu sprawiedliwość?

—Nie pyskuj. Jabłek nazrywałem. Widzisz? I pomidory są. A to co takiego? Młot i kowadło, zamiast buraków jakichś kwiatków narwałem.

—Ciekawe, co powiedzą ludzie, kiedy zobaczą, że na ich grządkach tak się przeredziło? — zapytałam po uczciwym podziale zagrabionych warzyw.

—Że przechodzili tędy głodni studenci. A tak w ogóle, to jak sadzisz coś przy ulicy, to to czymś ogrodź. A czy zapłacił nam ktoś za cały dzień pracy?

—Jesteśmy magami, powinniśmy zatroszczyć się o innych obywateli...

—Jeszcze powiedz, że za friko. A nasz rektor ogiery sprowadza dla siebie aż z za morza. I ma karetę ze złotymi okuciami.

Nadgryzłam soczyste jabłko i zgodziłam się z półkrasnoludem w pełni.

Szliśmy powoli w stronę uczelni. Ulice nie straszyły już swoją pustotą, widać było tu i tam przechodniów, ale strasznie było patrzeć na zamknięte knajpy.

—Aaaa! — poniósł się po ulicy krzyk. — Pomocy! Zombie!! Aaaa!!!

—Biegniemy! — rozkazał Otto, zdzierając z siebie szatę. — Nienawidzę długich łańców.

—Powoli i ostrożnie idziemy z pomocą — poprawiłam go. — Może patrol zdąży przed nami?

—Biegniemy w drugą stronę! — wyjaśnił Otto. — Nie jesteśmy magami bojowymi! Jesteśmy pokojowymi rzemieślnikami, którzy chcą jeszcze pożyć. Długo i szczęśliwie.

—Otto!

—Kontakt z pewnymi na wskroś prawymi nekromantami źle na ciebie wpływa!

—Aaaa!

—Ciekawe, skąd w mieście zombie? Wszyscy nekromanci chronią teraz miejskie granice, magowie bojowi też — zastanawiał się Otto, wyłamując ciężką żerdź z czyjegoś płotu. — Kto je stworzył? Pozostałości księżycowej magii?

Wzruszyłam ramionami. Było mi wszystko jedno. Krzyk rozległ się znowu, zawróciliśmy za róg budynku. Widok, który ukazał się naszym oczom, sprawił, że rozdziawiliśmy usta.

Nie było żadnego zombie. Zobaczyliśmy pięciu ludzi o bandyckim wyglądzie, którzy na pewno nie chcieli od nas pomocy, tylko czegoś zgoła innego.

—O, pojawili się maruderzy — skomentował Otto. — Teraz rozumiem, dlaczego tak długo krzyczeli. Normalnie już dawno byliby pożarci przez zombie.

—To magowie! — oburzyła się dziewczyna, grająca ofiarę. — A mówiłeś, że nieźle się wzbogacimy.

—Dyletanci — półkrasnolud pokręcił głową. — Na kim tak się wzbogacie?

—Na tych, którzy przyjdą z pomocą — wyjaśnił wysoki zbir.

—Na patrolu? Szybko was dostaną. A mieszczuchy nawet nosa z domu nie wyściubią.

—Na was się wzbogacimy. — Chłopak zakasał rękawy. — Dawajcie fanty.

—Spróbujcie sami sobie wziąć! — Otto podniósł wielką łagę.

Zastanowiłam się. Chciałam powiedzieć coś przed bójką, żeby potem haniebnie uciec. Nie przychodziło mi do głowy nic, prócz elfickich przekleństw, dlatego postanowiłam błysnąć erudycją i na jednym oddechu wykrzyczałam dwa różne zdania, kwestionujące rodowód członków bandy i ubliżające ich powierzchowności. Niespodziewanie w powietrzu powstała jaskrawożółta kula, która eksplodowała z ogłuszającym hukiem, napastników rozniosło we wszystkie strony, a z ziemi wszędzie po wyrastały zielone kiełki. Otto schwytał mnie za rękę i pociągnął w stronę uniwerku.

Nie zatrzymując się, biegliśmy aż do samych granic uczelnianego terytorium.

—Co to było? — spytał półkrasnolud, gdy już odzyskał oddech.

Oparłam się o płot, żeby nie upaść. Ciągła biegająca dawała o sobie znać i miałam ochotę umrzeć. Koniecznie szybko i bezboleśnie.

— To były przekleństwa z książki, o której ci wcześniej opowiadałam. Ale takiego efektu się nie spodziewałam.

Otto chwycił mnie w pasie, żeby nie bujało mną na wszystkie strony

— Jutro Bef nas zabije.

— Lepiej dziś — poprosiłam. — Chodźmy do niego od razu.

— Przekłeta babo!!! Wykrakałaś!

Naprzeciw nas szedł Bef. Zobaczył nasze miny i od razu wzmógł czujność.

— Coście zmalowali tym razem?

— Nic — powiedział Otto, kopiąc mnie w kostkę.

— Zburzyłam pół ulicy — przyznałam się szczerze.

— Tak właśnie myślałam — powiedział Bef. — Po co nam armia, skoro jest wasza dwójka. I co tam się dzieje, na tej ulicy?

— Uciekliśmy. Tam coś zielonego lazło zewsząd.

Bef zamknął oczy, pomilczał chwilę i zapytał:

— Co to było za zaklęcie?

— Żadnego zaklęcia nie było, tylko elfickie przekleństwa.

— Jutro po obiedzie ma leżeć u mnie na stole referat o magicznych właściwościach elfickiego — zarządził Bef. — Nikogo chociaż nie zabiliście?

— Nie wiemy — odpowiedział półkrasnod. — Też muszę pisać ten referat?

— Nie, ty masz przyprowadzić Olę na rozmowę i być tam obecnym osobiście.

Opiekun chodził po alejce tam i z powrotem.

— Olgierda, czy był chociaż jakiś powód tak destruktywnych zachowań?

— Tak! Chciano nas ograbić! Ze wszystkich cennych rzeczy!

— Wszystkich cennych. A wy nosicie ze sobą królewskie skarby. Tak właśnie powinien postępować mag z grabieżcami — wysadzać ich w powietrze. Czego ty się uczyłaś przez cztery lata?

Trudno było od razu odpowiedzieć na tak postawione pytanie.

— No, wielu rzeczy...

— Dobrze, a czego pożytecznego nauczyłaś się przez te cztery lata?

Zamysliłam się, złożywszy usta w trąbkę. Bef pokręcił głową.

— Idźcie spać. Zajmę się tym, coście tam nabroili.

— Królewskie skarby — wściekałam się w drodze do akademika. — A może oni nastawiali na moją dziewiczą cześć! Wam, facetom, jest dobrze, nigdy nie musicie o tym myśleć!

— A ty za to myślisz tylko o tym — prychnął półkrasnod.

— A żebyś wiedział, że myślę... W sensie ochrony swojej czci.

— Ola, kiedy ta cała historia z martwiakami się zakończy, osobiście wsadzę cię Irdze do łóżka! Żebyś przestała o tym marzyć, tylko zaczęła konstruktywnie myśleć.

— Ach, ty stręczycielu! A tobie co, ten cham pieniądze jakieś dał? Sama tam się położę!

— Obiecuj mi!

— Nie wierzysz mi? Obiecuję! Nie, Otto, stop, stop, stop! Nie chcę...

— Już obiecałaś! — Półkrasnod zarżał tak, że aż zgiął się wpół.

— Nienawidzę cię — wyszczałam.

— Poczekaj — chichotał mój najlepszy przyjaciel. — Jeszcze mnie nie nienawidź. Ale jak powiem to Irdze...

Podkoloryzuję jeszcze trochę. Ej, nie bij mnie! — Otto chwycił moją rękę. — Przed chwilą zamierzałaś umierać. Skąd w tobie tyle żywotności?

— Nic mu nie powiesz, bo inaczej ja powiem coś komuś innemu! — zagroziłam, starając się go kopnąć.

— Nie starczy ci fantazji!

— Starczy, będę myśleć nad tym całą noc.

— Musisz pisać referat! Owocnej nocy. — Otto poszedł, chichocząc to głośno, to nieco ciszej.

Rzuciłam w niego jabłkiem, ale nie trafiłam. Znalazłam w torbie czystą kartkę i szybko napisałam: „Kupię referat na temat języka elfickiego. Ekspresowo. Dobrze płatne. Ola”, powiesiłam na tablicy ogłoszeń i poszłam spać.

Rano jakoś zlepiłam cztery kupione referaty w jeden. Przy tym zajęciu zastał mnie półkrasnod, który przyniósł świeże bułeczki na śniadanie, czym zasłużył na moje wybaczenie.

—Bef powiedział, żebyśmy nie pokazywali mu się na oczy Nikogo nie zamordowałaś, ale tam na ulicy mają teraz niewielki zagajnik. Mieszkańcy w sumie są zadowoleni.

—Już kasę na referat wydałam! — zdenerwowałam się.

—A, referat kazał oddać. Tylko nas nie chce widzieć.

—Czemu?

—Duże straty — odrzekł półkrasnolud.

—W bitwie z martwiakami? — Było mi trudno od dychać. — Na Niebiosa...

Przez otwarte okno wleciała wiadomość.

—Otto... — wyszeptalam wyschniętymi wargami

Ten szarpnął się za brodę i schwytał latawiec drżącą ręką.

—Od Liry. Trochim jest w Domu Uzdrawień. W stanie krytycznym.

Opuściłam głowę na ręce i powiedziałam:

—Co on tam robił?

—W tym roku przeszedł na Wydział Magii Praktycznej. Wrócił do korzeni, jeśli można tak powiedzieć. Wszystkich praktyków z czwartego roku wzięli na pierwszą linię.

Chlipnęłam.

—Złotko, wszystko będzie dobrze. Chodźmy tam.

W Domu Uzdrawień panował chaos. Uzdrawiciele pracowali nieustannie, bladzi ze zmęczenia i braku snu.

—Który rok? — zapytał nas jeden z wykończonych uzdrawicieli.

—Czwarty. Specjalizacja Mistrz Artefaktów.

—Umiesz bandażować? I kierunkować energię?

—Tak.

—Gabinet numer dwa.

—A ja? — zapytał Otto.

—Na izbę przyjęć. Nosić rannych.

Dzień przypominał jazdę na karuzeli. Bandaże. Krew. Jęki. Jęki. Krew. Bandaże.

—Trzymaj, trzymaj ten potok! Wyczerpie się! Trzymaj! — krzyczy do mnie uzdrawiciel. — Dalej, chłopie, trzymaj się, nie umieraj! — do młodego, chudziutkiego maga.

Nocą ległam na ławce dla krewnych, gdzieś w rogu korytarza.

—Pobudka! — krzyknął ktoś nad moim uchem.

—Lira — wyjęczałam. — Zabij mnie.

—Specjalna uzdrawicielska czekolada — oświadczyła radośnie i wepchnęła mi kawałek do ust. — Zaraz będzie lepiej. Wiesz co, Trochim ożył. Już chwytają uzdrawicielki za spódnice.

—Mogę pójść do niego?

—Jasne, przeszłaś chrzest bojowy, należy ci się nagroda.

—Chrzest bojowy?

—Jesteś zuch, wspaniale trzymasz źródła energii — pochwaliła mnie Lira. — Widziałam, jak pracujesz.

—Zajmuję się artefaktami. I uwielbiam magię wykreślną. A tam źródła energii to podstawa — powiedziałam z pełnymi ustami.

Pochwałę oczywiście przyjąłam.

—Nie chciałabyś zmienić specjalizacji? Przejść do nas?

—Nie! — oświadczyłam zdecydowanie. — Od krwi robi mi się niedobrze. A flaki mają nieładny kolor, nie pasują do mojej spódnicy.

Lira roześmiała się.

—O, dziewczyno! — wychrypiął Trochim. — Co słychać?

—Jesteśmy zdrowe, a jak ty się masz?

—Żyję — uśmiechnął się. — Ola, Irga prosił, żeby ci przekazać, że będziecie kontynuować to, co przerwaliście, jak tylko wrócicie.

Uśmiechnęłam się.

—Co to znaczy? — zapytał Trochim.

—To tajemnica.

—Spaliście ze sobą? — prawie się uniósł na łóżku.

— Trochim! — krzyknęła moja przyjaciółka. — Nie wolno ci się ekscytować! Jak stąd wyjdiesz, to wszystkiego się dowiesz. A w ogóle, po co ci taka wiedza?

Wyszliśmy z namiotu i Lira, umierając z ciekawości, zapytała:

— Czy wy...

— Po co ci taka wiedza?

— Jestem twoją przyjaciółką!

— Nie, nie zdążyliśmy.

— To znaczy, że twojemu nekromancie nic się nie stanie — powiedziała Lira z przekonaniem. — Jeśli człowiek ma jakiś wielki cel, to nie może umrzeć.

— Wielki?

— Wszystko zależy od podejścia do życia — wzruszyła ramionami Lira. — Chodźmy, robota czeka.

— Kiedy to się skończy? — jęknęłam.

— Dzisiaj ostatni dzień — powiedziała uzdrowicielka, z którą pracowałam. — Jutro przyjdą ci, którzy mogą chodzić. A pojutrze będzie już spokój.

Dwa dni minęły bardzo szybko.

— Irga nieprędko wróci — powiedział półkrasnodul, odsuwając się od stołu po jedzeniu.

Odpoczywaliśmy w „Pij Więcej!”, pompując w siebie piwo i opychając się kiełbaskami.

— Skąd wiesz? — zapytałam. Otto miał niezwykle dar wyciągania od wszystkich nowości i zawsze wiedział, co w trawie piszczy.

— Bo teraz nekromanci oczyszczają teren, żeby przy następnej pełni nie było więcej żadnych przykrych niespodzianek.

W milczeniu pociągnęliśmy z kufli.

— Wezwał mnie do siebie Bef — pochwalił się Otto. — Prosił, żebym mu przyniósł kryminał. Nie mogą znaleźć śladów maga, który to wszystko zrobił. Postanowili oprzeć się na literaturze. A wszystko ja podpowiedziałem!

— Nie nadyмай się tak — poradziłam. — Bo pęknie.

— Będzie ci mnie brakować?

— Nie. Nie chcę otrępywać ze swoich ciuchów kawałków twojego cielska.

Czekałam na Irgę, drzemiał na jego łóżku. Przyniosłam torcik, przygotowałam jedzenie, uczesałam włosy, założyłam ładną nocną koszulę i leżałam w uwodzicielskiej pozie.

Nekromanta wrócił około północy. Poruszał się powoli, jakby każdy ruch sprawiał mu ból. Miał podarte ubranie. W milczeniu zdjął z siebie brudne rzeczy, pozwalając mi rozkoszować się widokiem jego nagiego ciała w księżycowym świetle, wpadającym do domu przez okno.

— Nie czekałam na próżno — powiedziałam. — Co za widok!

Irga wzdrygnął się.

— Ola? Co ty tutaj robisz?

— Czekam na ciebie. A co? Irga zapalił lampę.

— O, jedzenie!

— Najpierw idź się umyć — popchnęłam go w stronę łazienki. Irga schwycił czystą bieliznę i poszedł pod prysznic.

Podgrzałam wystygłą kolację. Irga wrócił z łazienki, pachnąc świeżością i dosłownie rzucił się na jedzenie, jakby nie miał nic w ustach od tygodnia.

— Ale mi dobrze — powiedział, kładąc się na łóżku. — A mógłbym poprosić o herbatę?

— Już robię.

Zrobiłam herbatę i z delikatnym uśmiechem wróciłam do łóżka. Irga spał z rękami założonymi pod głowę. Na jego twarzy malowało się wyczerpanie.

— Irga! Twoja herbata! — potrząsnęłam go za ramię. Nawet nie zmienił tempa oddechu.

— Irga! Obudź się! Irga! Idę sobie. Idę. Tup-tup-tup. Szybko zrozumiałam, że łatwiej byłoby mi ożywić szkielet, niż obudzić nekromantę.

— W porządku — burknęłam. — Jeszcze będziesz prosił, żebym przysłała!

Przebrałam się, rzuciłam nocną koszulkę na łóżko i poszłam, głośno trzasnąwszy drzwiami.

W „Pij Więcej!” Otto, mrucząc z zadowolenia, delektował się piwem. Razem z nim siedział Trochim, który uciekł z Domu Uzdrawień i teraz ponuro popijał sok.

—Co tak szybko? — zdziwił się półkrasnolud.

—Irga zasnął... — Łzy upokorzenia trysnęły mi z oczu. — Tak się przygotowałam...

—Taka jesteś kiepska w łóżku? — zapytał Trochim.

—Nie!! — krzyknęłam. — Po prostu zasnął! Przyszedł, zjadł wszystko i zasnął! Nawet nie zwrócił uwagi na moją nocną koszulę! A dałam za nią prawie całego złotego!

—No wiesz, Ola — zauważył filozoficznie Otto, podsuwając mi swój nie dopity kufel. — Czasami mężczyzna musi po prostu najęść się i wyspać. Obrażać się za to na niego, to jakby obrażać się na samą siebie, że podążasz za księżycem. Wypij, będzie ci lepiej!

## 21

### **Miłość— to żaden problem?**

Praktyka nareszcie się skończyła. Wylegiwałam się na łóżku i czekałam, aż spłynie na mnie natchnienie. Od czasu, kiedy wyszłam z mieszkania Irgi, rzucając w niego nocną koszulą, minęło już półtora tygodnia. Tak zwany narzeczony nie dawał znaku życia. Miałam tego dosyć i postanowiłam napisać do niego list pełen gniewu i skarg.

List w żaden sposób nie chciał wpasować się w reguły sztuki epistolarnej. Jeśliby wyrzucić z niego wszystkie określenia typu „jesteś świnią”, „cham”, „arogant” i temu podobne, zostałyby zadziwiająco mało treści. Romansidla, do których sięgnęłam w poszukiwaniu przykładów, w niczym mi nie pomogły. Dlaczego według prawideł gatunku należało tylko miłośnie wzdychać i wybaczać kochankowi? Do biblioteki nie chciało mi się iść.

Lira przesiadywała w Domu Uzdrawień, Otto uczestniczył w jakichś zebraniach swojego wydziału. Nie miałam nic do roboty. Owszem, mogłam się pouczyć, ale kto by się uczył, kiedy tak miło świeciło słońeczko w borowiku, ostatnim miesiącu lata?

Spojrzałam na ścienny kalendarz, na którym notowałam wszystkie zadania do wykonania.

Westchnęłam i wzięłam do ręki ołówki.

„Kochana mammo!

U mnie wszystko w porządku, odżywiam się regularnie, praktyki zdałam, żadnych nowych niepotrzebnych ciuchów nie kupiłam. Pozdrów tatę i siostry”. Na tym moje natchnienie zdechło, żałośnie wyciągając do góry łapki.

„Otto także przesyła pozdrowienia” — wydusiłam z siebie mężnie. — „I Lira życzy wszystkiego dobrego”. Nie miałam żadnych nowych wiadomości do przekazania. Po inwazji martwiaków napisałam do domu długi list, w którym przekonywałam, że ze mną wszystko w porządku, nie ucierpiałam i tak dalej. Jednak wylękniona wydarzeniami rodzicielka zażądała częstszych listów, co męczyło mnie bardziej niż zdanie napisanego na odwał projektu na zaliczenie.

„Gołąb narobił na nasze okno” — napisałam i ziewnęłam. Co jeszcze?

A, mam! „Praktykę zdałam nader pomyślnie, a niedługo zacznie się nowy rok akademicki”. I dodałam mściwie: „Wtedy też nie będę miała czasu na pisanie listów, gdyż rok ten będzie przełomowy dla mojej kariery”.

—Ola? — do mojego pokoju zajrzał Otto.

—Wchodź! — krzyknęłam z radością.

„Pozwoli mama, że skończę już pisaninę, ponieważ

właśnie przyszedł Otto i poprosił mnie o pomoc w bardzo ważnej naukowej sprawie". Zwinęłam list, nakleiliśmy znaczek i odwróciłam się.

—O! — zdziwiłam się. — Idziesz na randkę?

—Tak — odrzekł starannie uczesany i elegancko odziany półkrasnodul.

—Kim ona jest? Czemu nic mi nie powiedziałaś?

—Właśnie dziś dopiero zrozumiałem, że się zakochałem! — Mój najlepszy przyjaciel okręcał się przed lustrem. — Jak wyglądam?

—W porządku.

—Tylko w porządku? — złapał się za brodę.

—Wyglądasz wspaniale! — podeszłam do niego i położyłam mu rękę na czole. — Nie jesteś czasem chory?

Otto cofnął się.

—A co, jeśli się fajnie ubrałem i przygotowałem na randkę, to od razu muszę być chory?

—Nie obrażaj się — powiedziałam. — Po prostu to trochę dziwne...

—Ze się zakochałem? Że w końcu zrozumiałem, jak piękny jest świat? Nie spodziewałem się po tobie takiej znieczulicy! — powiedział i wyszedł, głośno trzaskając drzwiami.

Wzruszyłam ramionami i wróciłam do listów.

„Irga! Twoje chamowate zachowanie doprowadza mnie do pasji! Dlaczego nie odzywasz się tyle czasu? A jeśli niespodziewanie umarłam?”

Pomyślałam chwilę i skreśliłam zdanie o śmierci.

„A może zdążyłam się już zakochać i wyjść za mąż? A ty to przeoczyłeś! I wszystko ci jedno! Dłużej tego nie zniosę!”

W porывie natchnienia wzięłam z półki Liry atlas anatomiczny, przerysowałam męskie klejnoty i dorysowałam spadającą na nie siekierę.

Zadowolona, stworzyłam magicznego latawca, doczepiłam do niego wiadomość i wysłałam.

Czym by się tu zająć? Rozejrzałam się po pokoju, ignorując jak zwykle zeschnięty ogryzek na podręczniku kierunkowania energii, pleśń w filizance dla gości i pokrytego kurzem suchara, podpisanego „OZ” czyli O(statnie) Z(apasy). A co słychać w naszej szafie? Może porobić jakieś porządki w ciuchach?

W szafie czekała na mnie niespodzianka — ukryta butelka wódki. Wódkę piję rzadko, a tym bardziej nie w samotności. Wyjęłam butelkę z szafy i zamyśliłam się. Nalałam trochę wódki do kieliszka i postawiłam na stole. W królestwie mieliśmy różne wódki: „Miodową”, „Kwaskową”, „Pieprzową”, „Trawniczkę”, „Mleczną”, „Pokrzywówkę”, „Żurawinówkę”... Tańsze miały tylko iluzję smaku, a droższe były na składnikach naturalnych.

Moja była z gatunku najzwyklejszych i najtańszych. Podejrzewałam, że kupił ją Otto jako walutę wymienną, schował do szafy i zapomniał. Powąchałam. Fui, niezłe świństwo. Trzeba by czymś zagryźć.

Suchar i ogryzek jakoś mnie nie zachwyciły. Musiałam iść do najbliższego sklepu. Na ganku akademika siedział Ptrońka i coś ze smakiem przeżuwał. Nie mogłam minąć go bez słowa.

—Czym tak chrzęścisz? — zapytałam.

—Ogóreczki! — pochwalił się Ptrońka, wyciągając z torby młodziutkiego, zielonego ogórka. — Bierz.



Ugryzłam. Ach, jaki chrupiący! Soczysty! Stop! Skąd w końcu borowika wzięły się młode ogórki w torbie wiecznie niedofinansowanego Ptrońki? Obrabował piwnicę burmistrza? Przyjrzałam się ogórkowi. To przecież iluzja! Świetna, ale iluzja! Przeknęłam i mogłabym przysiąc, że kawałki ogórka poleciały w dół przełyku — tak mój mózg postrzegał magiczny twór.

—Podoba ci się? — Ptrońka nie wytrzymał.

—Bardzo — powiedziałam. — Skąd to masz?

—Moja praca na zaliczenie praktyk — pochwalił się. Ach, no tak! Przecież wybrał iluzję jako specjalizację. — Już dwa lata doprowadzam zakłęcie do ideału. Udało mi się?

—Jeszcze jak! — pozazdrościłam mu.

Do mojej głowy wpadł pewien plan.

—Bardzo bym chciała znać to zakłęcie — westchnęłam. —Chrupać ogórki, czy może być coś lepszego? Szczególnie kiedy nie ma ich w sprzedaży.

Ptrońka wzmógł czujność.

—Sprzedam, ale za duże pieniądze — oznajmił. — Nie mniej niż dwadzieścia złotych.

„To przecież majątek” — przeraziłam się, ale szkoła Ottona dała o sobie znać. Obojętnie wzruszyłam ramionami.

—A dlaczego sprzedajesz? Chciałam poprosić cię jak przyjaciela, żeby czasami sobie spróbować.

—O nie! — Mój domyślny kolega z roku chytrze zmrużył oczy. — Znam cię nie od dziś! Coś wymyśliłaś i to coś się opłaca.

Zrobiłam parę nieokreślonych gestów.

—Zgadzą się, ale za procent od dochodu!

Ptrońka przegiął. Jeszcze przed chwilą chciałam się targować, teraz jednak postanowiłam wyciągnąć przepis za darmo.

—A co? — spytałam obrażona. — Ola zawsze patrzy tylko na zysk? A do własnego użytku to już niczego nie mogę?

Mój kolega twardo trzymał gardę.

—Irga mnie rzucił — powiedziałam, a z moich oczu popłynęły łzy, na samą myśl o tym, że takie cudne ogóreczki trafią do jakichś cudzych rąk.

—Naprawdę? — zdziwił się Ptrońka.

—Naprawdę — chlipnęłam. — Kiedy go ostatnio widziałeś? Rzucił mnie, a w samotności nic mnie nie cieszy!

—Eeeee, no....

—I Otto mnie rzucił, znalazł sobie nową namiętność, i już mu zwyczajna przyjaciółka do niczego nie jest potrzebna!

—No dobra! — zdecydował Ptrońka. — Ale tylko do użytku własnego!

—Jak najbardziej! — obiecałam. A od kiedy to zysk nie jest na mój własny użytek?

Nowe, skomplikowane zakłęcie kosztowało mnie dużo sił, ale dwa równiusieńskie ogóreczki leżały na stole obok wódki. Nie wiedziałam, jak długo potrwa moja iluzja, więc eksperyment musiałam przeprowadzić natychmiast. Słumiłam w sobie chęć chłapięcia sobie dla kurażu, pamiętając, że może to doprowadzić do niespodziewanych wyników, i zjadłam czekoladkę, którą wyciągnęłam spod materaca, próbując sobie przypomnieć czy to już ostatnia, czy może mam jeszcze coś zachomikowane. Położyłam na tacy ogórki, postawiłam kieliszek i butelkę wódki i poszłam do kuchni w poszukiwaniu królików doświadczalnych.

W kuchni Riak ponurym wzrokiem penetrował zawartość rondli.

—O, akurat jesteś mi potrzebny! — ucieszyłam się. — A tak przy okazji, ten rondel jest mój i jeśli jego zawartość zmaleje, zemszczę się.

Riakowi wypadła z rąk pokrywka.

—Troszczę się o ciebie po prostu — powiedział. — A nuż źle się odżywasz, a Irga mnie potem obwini.

—Obwini — potwierdziłam, nalewając wódki do kieliszka. — Powiem mu, że mnie objadasz.

—Nawet bym nie tknął tego świństwa — usprawiedliwiał się Riak.

— Ach, jeszcze będziesz narzekał na moje talenty kulinarne! — podsunęłam mu wódkę i ogórek. — To danie dietetyczne!

— W twoim rondlu coś śmierdzi! — powiedział Riak, zezując z obawą w stronę kieliszka.

— Dojrzewa — próbowałam sobie przypomnieć, kiedy ja to coś gotowałam i co chciałam z tym zrobić. Może to wcale nie był posiłek, tylko klajster albo składnik maści Liry? Jak tylko Riak pójdzie, muszę to sprawdzić. — Pij!

— Nie umrę?

— Tego nie wiem. — Nigdy nie byłam dobra w iluzjach, dlatego pocieszyłam swoją ofiarę:

— Jakby co, Irga cię wskrzesi.

Riak przewrócił oczami, pomilczał chwilę i wychylił zawartość kieliszka.

— Dobre! — powiedział, chrupiąc ogórka. — Tylko ogórek gorzki.

„Pierwsze koty za płoty — pomyślałam. — Przynajmniej nie znikł mu w ustach”.

— Spróbuj tego!

— O, ten jest lepszy!

— Świetnie! Jutro powiesz mi, jak twoje samopoczucie.

— A co może być nie tak? — Riak schwycił się za gardło.

— Może jeszcze będziesz chciał, to ci dam! — nie chciałam go wystraszyć.

Kiedy Riak wyszedł, zajrzałam do rondla. Faj, co to jest? A! Zupa jarzynowa! Przeczytałam gdzieś, że jest bardzo zdrowa. Widać jakoś nie miałam do niej talentu.

®

Następnego ranka Riak, żywy i zdrowy, przyszedł do mnie z chęcią napicia się. Pobiełam do Ottona.

— Nie wiem, gdzie jest — powiedział mi jego współlokator, nie przestając żuć. — Całą noc gdzieś się szlajał, wrócił brudny i nieszczęśliwy i znowu poszedł.

— Nikt go nie pobił? — przestraszyłam się.

— Nie, nie wyglądał na pobitego.

Napisałam karteczkę: „Otto, znalazłam żyłą złota! Jak najszybciej zgłoś się do mnie!” i podzieliłam się z Wąsem paczką cukierków, leżącą od dawna w mojej torbie. Cukierki zdążyły zlepiać się od gorąca, ale szkoda mi było je wyrzucać, a dokładnie wiedziałam, że tłusty krasnolud użyje ich zgodnie z przeznaczeniem.

Zrobiłam jeszcze parę ogórków i ułożyłam je w rzędzie, zapisując godzinę ich stworzenia — chciałam sprawdzić, jak długo iluzja potrwa.

I znowu nie miałam nic do roboty. Chciałam pójść na plażę, ale w połowie drogi potknęłam się o parkę w krzakach, nie zauważyłam ich i poleciałam prosto na pysk. Chłopak podrapał się po plecach, o które zaczepiłam nogą i pokazał mi pięść. Stwierdziłam, że widać plaża nie dana mi dzisiaj i wróciłam do pokoju. Pożyczony od znajomych podręcznik iluzji zafascynował mnie na długo.

Wieczorem zauważyłam, że moje ogórki zbladły i wyglądają żałośnie. Ptrońka mówił, że jego twory mają trwałość jakieś trzy, cztery doby. Byłam bardzo z siebie niezadowolona i wcześniej poszłam spać.

Następnego dnia, kiedy to bacznie obserwowałam nową partię iluzorycznych ogórków, przyszedł do mnie półkrasnolud.

— Otto, sprawa wygląda tak...

— Poczekaj z tym — przerwał mi najlepszy przyjaciel. — Masz perfumy?

— Oczywiście, że mam — wskazałam na szafkę.

— Dobra — Otto przebierał we flakonach — a które dostałaś od Irgi?

— Te, a dlaczego?

— Polegam na jego guście! — Półkrasnolud sownie oblał się perfumami od Irgi. — Pomyślałem, że jeżeli te perfumy daje się w prezencie dziewczynom, to muszą się podobać — wyjaśnił pokrętnie.

— Damskie perfumy działają na facetów, dlatego daruję je kobietom — powiedziałam. — Powinny mężczyźni podniecać. Myślałam, że wiesz o tym.

— Tak? No cóż... — Otto wcale się nie zmieszał. — Nie muszę się chyba teraz iść myć?

Wzruszyłam ramionami. Zachowanie mojego przyjaciela było dość dziwne, ale nie chciałam się wtrącać do czyjegoś życia.

— Otto, możemy nieźle zarobić!

— Możesz sama się tym zająć? — Półkrasnolud okręcał się przed lustrem.

— Właśnie się zajmuję.

— Moja mądra! No, na mnie już pora. Pozwolisz, że wezmę ze sobą ten flakonik?

— Znowu masz randkę?

— Tak. — Otto rozpląnął się w uśmiechu. — Miłość to coś wspaniałego!

— Jasne — wyburczałam, wracając do swoich ogórków.

Miałam stanowczo za mało wiedzy, więc parę kolejnych dni przesiedziałam w bibliotece, przychodząc do domu tylko po to, by się wyspać.

— Otto był tu wczoraj — powiedziała do mnie Lira. — Wziął parę twoich ozdóbek.

— Po co?

Przyjaciółka wzruszyła ramionami.

— Przesadził ze swoim skąpstwem — oświadczyłam. — Swojej miłości postanowił sprezentować moją biżuterię! Odda mi potrójną wartość!

Nocą obudził mnie cichy głos:

— Ola, Ola, obudź się.

Otworzyłam oczy.

— Wynoś się z mojego pokoju.

— Musimy pogadać — powiedział Irga.

— Co ty tu w ogóle jeszcze robisz? Spadaj, nie chcę cię widzieć.

— Obudzisz Lirę!

— Ty zbroczerco — wysyczałam. — Jak do ciebie przychodzę, to zasypiasz. Ja teraz też śpię!

Zamknęłam oczy i odwróciłam się do ściany. Irga ułożył się na skraju łóżka. Posunęłam się bliżej ściany. Irga też. Posunęłam się jeszcze bardziej. Nekromanta za mną. Utknęłam nosem w ścianie i zaczęłam zastanawiać się, co będzie dalej.

— Przeszedłem poważnie porozmawiać, na ważny temat! — wyszeptał mi do ucha. Od tego szeptu zrobiło mi się gorąco i dostałam dreszczy.

— Mów i wynocha.

— Zauważyłaś, że Otto jest jakiś nieswój?

— Zauważyłam.

— Co? — Irga nie dosłyszał.

Odwróciłam się do niego, żeby mógł mnie lepiej słyszeć. Wykorzystał to od razu i mocno mnie do siebie przytulił.

— Mówię, że zauważyłam — wyszeptałam, starając się myśleć o swoich ogórkach, twardych, lekko zakrzywionych.... Oj nie, lepiej nie myśleć o ogórkach. Gorączkowo zaczęłam sobie przypominać litery elfickiego alfabetu. — Jak się tu dostałeś?

— Wleciałem przez okno — wyjaśnił Irga. — Było otwarte.

Lewitacja nigdy mi się nie udawała, dlatego zamiast myśleć o ogórkach wzrosła we mnie zawiść.

—Patrzcie, umie kwitować.

—Umiem — potwierdził Irga bez zbędnej skromności. — Więc co się dzieje z Ottonem?

—Mówił mi, że się zakochał — wyjaśniłam, starając się wyswobodzić z jego ramion.

—Nie szarp się — wyszeptał mi w samo ucho. — W ten sposób strasznie mnie podniecasz.

Zamarłam, żałując, że nie mogę zmienić się w kawał drewna.

—A nie mówił ci, w kim się zakochał?

—Nie — starałam się poruszać tylko ustami. Jak na złość strasznie zaswędziała mnie pięta.

—Bo chodzi o to... — zaczął Irga.

—Odsuń się ode mnie — poprosiłam, sięgnęłam do pięty i z rozkoszą się po niej podrapałam.

—Pomóc ci? — zainteresował się nekromanta. — Mogę podrapać. Gdzie jeszcze? Może cię, na przykład, biodra swędzą? Albo...

—Nigdzie więcej — powiedziałam i spojrzałam na łóżko Liry. Przyjaciółka spokojnie spała.

—Na pewno?

—Na pewno. No to o czym mówiłeś?

—Otto zakochał się we mnie.

—CO??? — Podskoczyłam na łóżku, przy okazji nadepnąwszy na jakąś część Irgi. Jęknął i odruchowo chciał zwinąć się w kłębek, pchając mnie nogami do ściany.

—Boli! — krzyknęłam.

—Obudzisz, och, Lirę, och...

—Była taka zmęczona po całym dniu w Domu Uzdrawień, że teraz nic jej nie obudzi.

Zamilkliśmy. Irga zgrzytał zębami, a ja rozmyślałam, zwijając usta w trąbkę.

—Skąd ci przyszło do głowy, że Otto zakochał się właśnie w tobie? To przecież porządny krasnolud!

—Też tak myślałem — powiedział Irga. — Może położyć się na górze? Masz bardzo wąskie łóżko.

—Specjalnie przyniosłam je niedawno z piwnicy — wyburczałam. — Żeby nikomu nie wpadały do głowy różne myśli.

—A kto to ten „nikt” i co to za „różne” myśli?

—Dobrze wiesz. I na górze się nie położę. Za nic. I tobie też nie radzę.

—Nawet o tym nie pomyślałem — powiedział Irga takim tonem, że od razu było wiadomo, że myślał, i to ze wszelkimi szczegółami.

—Myślałeś — napadłam na niego. — A nie myślałeś czasem o tym, że nie pokazywałeś się przez taki długi czas?

—Byłem zajęty — usprawiedliwiał się Irga. — A potem dostałem twoją wiadomość, z rysunkiem. I postanowiłem nie ryzykować.

—I postanowiłeś przyjść do mnie w nocy, myśląc, że świeżo obudzona będę łaskawsza?

Lira zachrapała. Zamilkliśmy.

—Musiałem się z tobą naradzić — powiedział Irga. — Całkiem niedawno położyłem na łóżku twojego najlepszego przyjaciela. I postanowiłem tu przyjść.

—Przez okno — zawarczałam. Moja gestykulacja była ostro ograniczona rozmiarami łóżka, dlatego znowu położyłam się koło Irgi.

—Czekaj, czekaj... — nagle dotarła do mnie wcześniejsza wypowiedź Irgi. — Co to znaczy, że ułożyłeś do łóżka mojego najlepszego przyjaciela???

—Otto przyszedł do mnie na cmentarz, miałem akurat dyżur. Cały wystrojony, pięknie uczesany. I zaczął robić różne aluzje.

—Jakie? — byłam bardzo ciekawa.

—Różne — odpowiedział Irga mętnie. — I nie spodobały mi się. Zapytałem wprost, o co chodzi, a on się obraził i usiadł w jakieś błocko. A potem urządził mi scenę, typu, że nie będę go kochał, bo jest takim brudasem. Uspokoilem go i odprowadziłem do domu. Następnego dnia przyszedł znowu, tylko że na kilometr pachniał perfumami. Twoimi.

—Wziął je ode mnie — potwierdziłam.

—No ładnie obchodzisz się z prezentami ode mnie!

—Nie wiedziałam, po co mu one.

—A dzisiaj przyszedł z twoimi ozdóbkami, tylko że poprzyczepiał je sobie do brody. I przyniósł mi list.

—Dawaj!

—Jest o wiele łagodniejszy od twojego! — powiedział Irga, poprawił się na łóżku, przyskrzyniając mi nogę i wyciągnął z kieszeni kartkę papieru.

„Kocham cię, Irga! Kocham twój wzrok, twój uśmiech i twoje włosy. Kocham wszystko, co się z tobą wiąże. Proszę, nie odrzucaj mej miłości, inaczej moje życie straci sens. Twój na zawsze. Otto” — przeczytałam.

—I śliczny charakter pisma — dodał nekromanta.

Wściekłam się.

—No to całuj się ze swoim Ottonem!

—Wolałbym z tobą — powiedział Irga i spróbował mnie do siebie przyciągnąć.

—Nie! — oparłam się rękoma o jego pierś. — Zacznę krzyzczeć! Lepiej pomyślmy, co zrobić z Ottonem. Nie podoba mi się, że...

—Że masz konkurencję?

—Nie przerywaj. To zresztą też. Spotkajmy się wieczorem w „Pij Więcej!”. A teraz idź już sobie, muszę pomyśleć.

—A czym ja przeszkadzam ci w myśleniu? — wymruczał Irga, gładząc mnie po plecach.

—Wszystkim — powiedziałam. — A już na pewno mojej współlokatorce.

—Przyjdź do mnie — głaskał moje plecy coraz bardziej delikatnie i miło.

—Przyszłam już kiedyś i było to dla mnie niezbyt przyjemnym doświadczeniem — odepchnęłam jego rękę.

—Niczego nie rozumiesz — westchnął nekromanta. — To nie była moja wina. Byłem strasznie zmęczony, padałem na twarz.

—Teraz ja jestem zmęczona.

—Czasami zachowujesz się bardzo niemądrze — oznajmił Irga.

—Sam jesteś niemądry — powiedziałam, walcząc z pragnieniem, by przytulić się do niego.

—Kiedy się z tobą ożenię... — zaczął.

—Najpierw się ożeń — odgryzłam się.

—Ożenie! — powiedział nekromanta.

—Wydaje mi się, że pojawił się jeszcze jeden pretendent do twojej ręki — przypomniałam mu.

—Uwierz mi, Ola. Ożenię się z tobą!

—Jednego nie mogę zrozumieć — powiedziałam, ziewając. — Mam jakieś zdolności, o których nie wiem? Posiadam super siłę i zostanę kiedyś najsylniejszą magiczką wszech czasów?

Irga patrzył na mnie z uśmiechem.

—To dlatego tak bardzo chcesz się ze mną ożenić?

—Chcę, bo wydaje mi się — powiedział w zadumie — że to jedyny gwarantowany sposób, żeby zaciągnąć cię do łóżka.

—Czyżby? — powiedziałam z powątpiewaniem.

—Tak — odpowiedział. — Zostanę twoim mężem, zwiążę cię i nigdzie mi nie uciekniesz.

—No, wspaniała perspektywa! I naprawdę myślisz, że po tym, co usłyszałam, wyjdę za ciebie?

—Jestem przekonany, kochanie!

Z tymi słowy nekromanta cmoknął mnie w usta i przeskoczył przez parapet. Z cichą nadzieją czekałam na jakiś „bęc”, ale usłyszałam tylko lekki szmer, kiedy nekromanta opadał na dróżkę.

—Co za dzień! — powiedziała Lira i to wcale nie sennie. — Najpierw dostaję ochrzan od mojej opiekunki, gubię ważne dokumenty, a teraz jeszcze wy! Miałam

taką nadzieję, że zaczniecie się kochać, a ja chociaż sobie popatrzę. Zamiast tego musiałam ze wszystkich sił powstrzymywać się od śmiechu!

—Nie wolno podsłuchiwać ani podglądać! — Tylko taki frazes przyszedł mi do głowy.

—Ola, nie pojmuję cię! Po co tak Irdze mącisz w głowie? Wyszłabyś za niego i spokój.

—Nie chcę — wlałam pod kołdrę.

—Jeśli mnie by się trafił taki facet... — rozmarzyła się moja przyjaciółka. — Nigdy bym go nie wypuściła, za nic!

—Jaki „taki”? — wściekłam się. — Chce się ze mną żenić! Też mi wielkie szczęście. Niby czemu tak tego chce,co?

—No...

—No właśnie, no! Nie wiem, dlaczego! Chce! Ma taki program minimum. Nie jestem córką bogacza, nie jestem najlepszym magiem na uniwersytecie, nie jestem też piękną. To czemu chce? A, uczucia! Tylko że on nigdy, rozumiesz, nigdy, nie rozmawiał ze mną o swoich uczuciach! Dobrze, mogę obejść się bez wyznań miłości! Ale mógłby powiedzieć po prostu: „Ola, podobaś mi się!”, poważnie, bez kpiny, wyjaśnić mi, o co chodzi. A tak, czuję się jak lalka, Irga wszystko za mnie postanowił, i pozostało mi tylko na wszystko się zgodzić. A w dodatku ta moja zgoda to tylko pro forma!

—No, już dobrze! — powiedziała Lira, gdyż zobaczyła, że za chwilę się rozplaczę. — Lepiej mi powiedz, co zamierzasz zrobić z Ottonem?

—Nie wiem. W ogóle nie mogę pojąć, co się takiego stało!

—Przeklęto go — powiedziała Lira autorytarnym tonem. — Możesz mi wierzyć!

—A, jeśli tak, to świetnie! — poweselałam. — To wiadomo, co robić!

Jednak rano wstałam z lekka zdołowana. Jeśli ktoś rzucił na Ottona klątwę, to kto to zrobił? I z jakiego powodu? I najważniejsze — jak zareaguje dumny półkrasnolud na wieść, co wyczyniał, gdy klątwa zostanie zdjęta? I czy ze wstydu nie porwie się na własne życie?

—Lira! — szarpnęłam przyjaciółkę. — Można sprawdzić, czy na Ottona na pewno nałożona jest klątwa?

—Tak — wymamrotała przez sen. — A co?

—Zwolnij się z Domu Uzdrawień i czekaj na mnie. Będziemy ratować Ottona.

Weszłam do mieszkania Irgi bez pukania. Jak przypuszczałam, nekromanta spał spokojnie w swoim łóżku. Wylałam mu na głowę szklanekę zimnej wody.

—Ach! — wykrzyknęłam, upadając na podłogę. — Puść mnie, ty bydlaku!

Irga w milczeniu usiadł mi na plecach i zadarł spódnicę do góry. Próbowałam się wyrwać, ale byłam znacznie od niego słabsza. Aiiiiii! — pisałam, gdy ten wyżywał wodę z własnych włosów na moją pupę

—Dzień dobry, Ola — powiedział.

—Twarz mam z drugiej strony — powiedziałam, pękając ze złości.

—Naprawdę? — zdziwił się. Chciałam się odwrócić i go kopnąć, ale mi nie wyszło. — I co porabia u mnie twoja twarz i pozostałe części ciała tak wcześnie rano?

—Kiedyś się doczekasz — obiecałam mu zduszonym głosem. — Połamiesz mi żebra.

—Nie połamię — odpowiedział, gładząc mnie po biodrach. — Tak wychowywałam swoje młodsze siostry.

Czułam, jak jego dłoń przesuwa się łagodnie po mojej skórze.

—Irga, przyszedłam w ważnej sprawie, a ty tu...

Nekromanta westchnął.

—Jeszcze tylko troszeczkę, dobrze?

—Będę krzyżeć!

—Dziewczyny z połamanymi żebrami nie krzyczą.

—Ale ja będę!

Irga wstał lekko, a ja przewróciłam się na plecy. Patrzyłam na jego wyciągniętą rękę i nie chciało mi się wstawać, przyglądałam mu się i z trudem hamowałam uśmiech.

—No co? — nie wytrzymał i zaczerwienił się.

Leżałam na podłodze i z wielką przyjemnością patrzyłam na jego muskularny tors, pięknie zbudowane ciało. I wyobrażałam sobie, co jest schowane pod czarnymi spodenkami.

—No co?

—Nic — wzruszyłam ramionami z udawaną obojętnością, nie odrywając od niego oczu.

Irga spróbował niezauważalnie się obejrzeć. Aha, wpadł! Teraz zemszczę się za swoje nagie uda. Zachichotałam.

Nekromanta ruszył po koszulę.

—Cóż to, zawstydziliś się? — zapytałam ze współczuciem.

—A czego miałbym się wstydzić? — w jego głosie można było wyczuć nutki niepewności.

—O — wywróciłam oczami.

—Nigdy nie widziałaś półgołych mężczyzn?

—Widziałam, ale żaden z nich nie miał takiego... — pokiwałam ze smutkiem głową. — Szkoda, wielka szkoda!

—Czego? — Irga nie wytrzymał.

Zdusiłam przedwczesny śmiech.

—Takiego wyrazu twarzy — powiedziałam i wlałam pod łóżko.

—Ola, wyłaż stamtąd! — Widok Irgi, klęczącego przed łóżkiem w samych tylko spodenkach i koszuli wywołał we mnie salwy śmiechu. — I przestań rzeć!

Usłyszałam skrzyp — to nekromanta odsuwał łóżko od ściany, żeby mnie wydostać.

—Już nie będę — powiedziałam, ocierając łzy — Zgoda?

Irga usiadł na łóżku i zapytał:

—To z czym przyszłaś?

—Pójdziemy do Ottona — powiedziałam. — Trzeba zdecydować, co z nim robimy.

—Przedtem chciałaś spotkać się wieczorem.

—Zmiana planów. Lira nam pomoże.

Znaleźliśmy dobry punkt, skąd było widać wszystkie letnie pracownie. Otto robił coś w samotności, pochyliwszy nad stołem kędzierzawą głowę.

—Niczego nie widzę — wyszeptła Lira. — Nie ma na nim żadnej kłątwy!

—A ty? — zapytałam Irgi.

Pokiwał głową.

—Miałby czarną aurę.

—A jego wewnętrzny przepływ energii byłby spowolniony lub poprzerywany — dodała Lira. — Według mnie Otto jest całkowicie zdrowy.

Zamyśliłam się. Nie wierzyłam w to, że półkrasnodul nagle zaczął interesować się chłopcami, ale zabrakło mi wiedzy — co mogło coś takiego spowodować. Obiecałam sobie po raz setny nie opuszczać więcej zajęć i bardziej przyłożyć się do nauki.

—Szukamy nie tam, gdzie trzeba — powiedziałam.

—Moje zdanie słyszałaś — odpowiedziała Lira.

—Dziękuję — zamknęłam oczy. Co powinnam zrobić? Dlaczego Otto tak się zachowuje? Słyszałam, jak Lira żegna się z Irgą. Zostałam sama.

—Lubczyk? — zapytałam sama siebie. — Jak odkryć i obliczyć zawartość tego eliksiru we krwi?

— Jest taki preparat, który do tego służy — powiedział nekromanta.  
— Nie poszedłeś? — zdziwiłam się.  
— Nie. Wylegujesz się na trawie, a ja miałbym sobie iść?  
Obróciłam się na bok i spjrzałam na Irgę. Jego błękitne oczy patrzyły na mnie spod długiej grzywki poważnie i w zamyśleniu.  
— To rzadki eliksir — powiedział. — Gdzieś coś  
— nim czytałem. Nie jestem pewien, czy tak prędko go znajdziemy i kupimy.  
— Pieniądze to nie problem. I wiem, kto go może  
mieć. Człowiek, który ma wszystko!

@

Bef popatrzył na nas z uwagą, potem podszedł do mnie  
— wyciągnął z moich włosów źdźbło trawy.  
— Po co to pani? I tak widać, co się z panią dzieje.  
— Proszę mi wierzyć, to naprawdę ważne! — powiedziałam błagalnie. — To nadzwyczaj poważna sprawa! Nie mogę  
wszystkiego powiedzieć, ale to sprawa życia i śmierci!  
Bef przeszedł się po gabinecie.  
— Jeśli pani... — zaczął, otwierając szafkę.  
— Nie! — powiedziałam, wycierając spocone dłonie. — Nie! To nie dla mnie! To naprawdę bardzo ważne.  
Bef kiwnął głową i odlał odrobinę do małej buteleczki.  
— Wpuszcza się parę kropli do wody i podaje komu trzeba. Aura nabiera czerwonego koloru. Im czerwień jest intensywniejsza,  
tym więcej eliksiru jest we krwi.  
Ostrożnie włożyłam buteleczkę do torby.  
— Buteleczka nalewki kosztuje dwa złote.  
Bez wahania wyciągnęłam pieniądze z ukrytej kieszeni.  
— Rozumiem — odezwał się Bef — i mam nadzieję, że Otto nie popadł w jakieś kryminalne tarapaty?  
— Skąd pan...?  
Opiekun roześmiał się.  
— Nie znam nikogo innego, dla kogo poświęciłaby pani bez wahania tyle pieniędzy. Proszę iść i uporać się z tymi problemami.  
Pobiegłam korytarzami uczelni. Teraz już wszystko będzie dobrze!  
— Otto, Irga prosił, bym przyniosła ci coś do picia — podałam mojemu przyjacielowi kubek.  
— Irga? — uśmiechnął się i wypił wszystko jednym haustem. — A co on teraz robi? Wczoraj rozstaliśmy się tak niefortunnie. Co  
mówił o mnie?  
— Mówił same miłe rzeczy — powiedziałam z zakłopotaniem. Kolor aury Ottona nie zmieniał się. — Wybacz ciekawość, ale  
uświadom mnie, dlaczego zapalałeś do niego żądzą tak nagle?  
Mój najlepszy przyjaciel przycisnął moją rękę do swojego serca.  
— Wiedziałem, że on kiedyś stanie między nami. Musi tylko wybrać, kogo z nas kocha bardziej!  
„Czy on robi sobie ze mnie jaja?” — pomyślałam. Jego aura uparcie nie zmieniała koloru.  
— Otto! Klnę się na naszą przyjaźń! Oddam ci Irgę! Tylko opowiedz mi wszystko w najdrobniejszych szczegółach!  
— Nawet nie wiem, co ci powiedzieć. Szedłem kiedyś z pracowni i nagle zdałem sobie sprawę, że nie mogę żyć bez Irgi! Ze go  
kocham i zrobię wszystko, żeby on też mnie kochał!  
Popatrzyłam w szczerze oczy półkrasnoluda i zrozumiałam, że mówi prawdę.  
— Ale przecież zawsze podobały ci się kobiety!  
— Kobiety to kłamliwe, tchórzliwe i zdradzieckie stworzenia! Nie to, co mężczyźni!



—Mężczyźni są jeszcze gorsi! — obraziłam się.

—Trudno wyobrazić sobie kogoś gorszego niż elfica. A ludzkie kobiety też nie są dużo lepsze.

Stwierdziłam, że na chorego nie ma co się obrażać.

—Irga prosił, żeby ci przekazać, że jutro go nie będzie, ma wyjazd służbowy. A kiedy wróci, przywiezie ci prezent.

—Prezent? — Otto wyglądał na zdziwionego. — Dla mnie?

—Dla ciebie — pogłaskałam go po idealnie rozczesanej brodzie.

Irga czekał na mnie za rogiem pracowni.

—Kłamliwe i tchórzliwe stworzenia — zamruczał. — Może naprawdę Otto to dla mnie lepszy wariant?

Zawylałam.

—Zmienił się — zauważył nekromanta. — Zawsze uczesany, dobrze ubrany.

—Ważne, żebyśmy tylko my zwrócili nas to uwagę — przestraszyłam się. — Brakuje nam teraz tylko głupich pytań.

Chodnikiem szedł uśmiechnięty Blondas.

—O, słodka parka, czemu nie w łóżku?

—Czekamy na ciebie, żebyś świeczkę trzymał — burknęłam.

—Z radością! A kiedy?

—Kiedy tylko znajdziemy świecę odpowiednią dla twoich arystokratycznych rączek.

—Przyniosę z domu!

—Taka świeca będzie dla mnie za mała i nic z tego nie wyjdzie.

—Ola, dlaczego ciągle mi ubliżasz?

—Ja? Nawet jeszcze nie zaczęłam. Ubliżyć ci?

—Potem, teraz mamy coś do załatwienia. — Irga pociągnął mnie za rękę.

—Dlaczego ciągle się z nim kłócisz? — spytał, kiedy się oddaliliśmy.

—Zwracam jego uwagę na siebie, żeby odciągnąć ją od Ottona.

—Świetna taktyka — uśmiechnął się Irga. — Spróbuj zwrócić na siebie moją uwagę.

—Kopnąć cię czy stuknąć?

Następnego wieczora Lira, Irga i ja szliśmy do domu nekromanty. Lira taszczyła ze sobą podręcznik dla uzdrowicieli — zamierzaliśmy odbyć naradę wojenną.

Po drodze spotkaliśmy Blondasa i jego pięciu ludzi.



—Irga — powiedział Lim buńczucznie. — Dowiedziałem się, że ukradłeś mojej dziewczynie biżuterię, którą dostała ode mnie, i chcesz ją podarować swojej pannie!

—Co to za brednie? — zapytał nekromanta.

—Schowałeś ją u siebie i zamierzasz urządzić dziś orgię.

—Blondas, na mózg ci padło?

—A biżuteria była cenna? — zapytałam.

—Bardzo. Złoty naszyjnik ze szmaragdami, kolczyki i bransoleta.

—I komu to wszystko podarowałeś? Kto zasłużył na akt takiej hojności?

—Nie twoja sprawa.

—Jak najbardziej moja! — Na wszelki wypadek podkasałam nieco spódnicy. — Muszę wiedzieć, po kim donaszam ozdóbki.

—Ola! — zdenerwował się Irga. — Niczego nie wzięłam!

Nie zwróciłam na niego uwagi.

—Po prostu ostatnio spotykasz się z dziewczynami, dla których największym szczęściem jest łańcuszek za parę miedziaków — wytknęłam Blondasowi.

Zalał się rumieńcem z wściekłości i zacisnął pięści.

—Jeszcze ujadasz! Zobaczmy, jak zaśpiewasz już niedługo! Irga! Jeśli nie wpuścisz nas do swojego mieszkania, zawołamy strażników i wszyscy dowiedzą się o tym, że ukradłeś biżuterię. Jaki to cios dla twojej kariery!

Nekromanta był na pozór spokojny, chociaż bardzo mocno ścisnął moją rękę.

—Chodźmy — powiedział. — Nie mam nic do ukrycia.

Poszliśmy do jego mieszkania całą kompanią, Irga otworzył drzwi i zajrzał do pokoju, a jego oczy zrobiły się wielkie jak dwa jeziora. Nekromanta zatarasował sobą przejście. Zajrzałam do pokoju. Na jego łóżku spał Otto, przyodziany tylko w „domowe” majtki w serduszka. Zbaraniałam, ale szybko wzięłam się w garść, wepchnęłam Lirę do pokoju i zatrzaskałam drzwi.

—No co tam? — zapytał Blondas. — Irga, wpuść nas, musimy to zobaczyć!

„Wiedział” — zrozumiałam. Dlatego wymyślił tę głupią bajeczkę o biżuterii. Pokazać szajce Blondasa półkrasnoluda w takim stanie, to jakby podpisać na niego wyrok śmierci. Rozniosą wieść o nietradycyjnych upodobaniach Ottona po całym mieście i będziemy mogli

postawić krzyżyk na interesach. Krasnoludy nigdy już nie będą chciały mieć z nim nic do czynienia!

—Lim — powiedział Irga. — Możesz wezwać patrol. Nie wpuszczę cię do mieszkania, i już.

—Pomyśl o swojej karierze, nekromanto — zapiał Blondas.

Irga zacisnął usta w cienką, bladą linię.

—Dobijmy targu — zaproponowałam. — Nie ruszysz Irgi, a ja nie ruszę ciebie.

—A to co ma znaczyć? Co niby możesz mi zrobić, laleczko?

—Cóż, myślę, że twojemu tacie nie spodoba się, że jego synalek zostanie oskarżony... powiedzmy, o gwałt. I do stolicy na pewno cię nie wyślą — król niby to się bawi, ale swoim urzędnikom bacznie się przygląda. Czy nie z tego powodu wysłano cię aż tutaj, do tej głuszy? Żebyś nie szarpał ojcu nerwów?

Lim tak się wściekł, że zrozumiałam, że trafiłam w sedno.

—Ożeż, ty! — wrzasnęła i rzuciła się na mnie z pięściami.

Sprytna podcinka — i już oboje leżeliśmy na podłodze. Zdarłam sobie skórę o ścianę, uderzyłam się w głowę, a od ciężaru upadającego na mnie Blondasa straciłam oddech. Ale zdobyłam, co chciałam — moja ręka ścisnęła z całej siły jego męskie klejnoty.

—Szmata! — Lim spróbował się podnieść, zawył i upadł z powrotem.

—Ratunku! — krzyknęłam ostatkiem sił. Blondas podniósł się i nabrałam powietrza do płuc. — Pomocy!

Zgraja Lima ruszyła mu na pomoc. Pociągnęli go za plecy, a on zajęczał:

—Zostawcie mnie, idioci!

—Gwałcą! Mamusiu!

Nagle otworzyły się drzwi sąsiedniego mieszkania. Na najwyższym piętrze rozległ się tupot nóg. Wyrzałam zza ramienia Lima, zobaczyłam, że publiczność jest w komplecie i zmusiłam się do rozwarcia swoich palców.

Blondas podniósł się, charcząc.

—AAAAA!! — zaryczałam ile sił w płucach. — Chcieli mnie zgwałcić wszyscy tutaj!

—Irga też? — zdziwił się sąsiad, pomagając mi wstać.

—Nie, on chciał mi pomóc, ale co mógł zrobić?

Nekromanta, który zamienił się dosłownie w słup soli, stał bez ruchu przez cały czas.

Z drugiego piętra schodził jakiś bardzo brodaty starszy pan.

— Lim? — zdziwił się. — Jak pan mógł?

— Gość ze stolicy — szepnął do mnie sąsiad. — Przyjechał na inspekcję i chwilowo tu mieszka.

Blondas spojrzał na mnie z nienawiścią, a ja przyłożyłam palec do ust.

— Złe rozrywki panowie sobie wybrali! — Urzędnik surowo zbeształ Lima i jego zgraję.

Blondyn starał się stać prosto, jednak utrzymanie równowagi nie bardzo mu szło.

— Chce pani wnieść oskarżenie? — zapytał mnie brodac.

— Pomyślę o tym — powiedziałam, płacząc. — Jestem teraz zbyt roztrzęsiona.

— Suka! — rzucił Lim pod moim adresem.

— Jestem uczciwą dziewczyną porządnych rodziców! — złożyłam ręce w geście prośby.

— I chciałabym teraz wystosować ofi...

— Pragnę przeprosić — wybąkał ponuro Lim, trzymając się poręczy schodów.

Spojrzałam na niego i pojęłam, że najwyższy czas skończyć ten spektakl.

— Przeprosiny przyjęte. — Jeszcze raz przyłożyłam palec do ust. Lim niechętnie skinął głową. — Ach — zachwiałam się i zaczęłam osuwać na podłogę — słabo mi...

Sąsiad z przestachem przekazał mnie w zimne ręce Irgi, a ten w milczeniu wniósł mnie do mieszkania.

— Co tam zaszło? — podbiegła do nas zdenerwowana Lira. — Tam takie krzyki były, a ja Ottona nie mogę dobudzić! Ola, krwawisz!

Pokój wirował mi przed oczami. Lira posadziła mnie na krześle i zaczęła opatrywać skaleczenia.

Milczenie przerwał Irga:

— Nie sądziłem, że jesteś w stanie tak mnie zadziwić swoimi talentami bojowymi.

— Stać mnie na wiele, jeśli mam obronić tych, których kocham — wyrwało mi się.

— Tak?

— Miałam na myśli Ottona — wyjaśniłam.

Lira zachichotała.

— Gdzie się nauczyłaś tak walczyć? — Nekromanta usiadł obok mnie na podłodze.

—Mama Ottona mnie nauczyła. Powiedziała, że atrakcyjna dziewczyna musi umieć się bronić.

—Walina to atrakcyjna dziewczyna?

—Mówiła o mnie! — Chciałam go kopnąć, ale przed oczami latały mi złote koła.

Podczas gdy Lira mnie opatrywała, nekromanta opowiedział jej, co zaszło na klatce schodowej.

—Ola, Blondas cię zabije! — przestraszyła się moja przyjaciółka.

—Niech spróbuje — odezwałam się hardo choć naprawdę byłam przerażona. Tak mu jeszcze nigdy się nie

naraziłam. Z drugiej strony, sam był sobie winien. Ale on ma bandę, a ja jedynie Ottona i Irgę. Lira może tylko moralnie nas wspierać i służyć pomocą jako uzdrowicielka, co zresztą na pewno się przyda.

—A co robimy z tą śpiącą królowną? — zapytał Irga.

—Napoili go eliksirem snu — powiedziała Lira. — Do jutra nic ani nikt nie jest w stanie go obudzić. Ola też powinna się położyć, ma wstrząs mózgu i chyba popękane żebra.

Irga wyciągnął rozkładane łóżko.

—A ja mam spać na podłodze? — zapytał żartobliwie.

—Położę się obok Ottona — powiedziałam. — Tylko popchnijcie go do ściany. Dziwne, że nie chrapie.

—Eliksir tak działa. — Lira wzruszyła ramionami.

—Położmy się razem na połówce — powiedział Irga.

—Nie, jestem ranna i potrzebuję spokoju.

Moi przyjaciele we dwójkę ledwo dali radę przesunąć półkrasnoluda pod ścianę.

Przytuliłam się do jego ciepłego boku i zasnęłam.

Rano obudziło mnie ciche sapanie Irgi. Siedział przy stole i starał się narysować coś ołówkiem.

—Dzień dobry — powiedziałam, obciągając spódnice, która zadarła się nieco w czasie snu. W głowie mi waliły bębny, byłam obolała, ale ogólnie czułam się lepiej niż wczoraj.

Irga uśmiechnął się.

—Lubię patrzeć, jak śpisz.

—Naprawdę? A nie podnieciły cię czasem wspaniałe majty w serduszka?

— Oraz włochaty brzuch i gęsta broda — dokończył Irga.

— Za to ma większy obwód piersi.

— Twój jakoś bardziej mi pasuje.

— Co rysujesz?

— Wojuję z magią wykreślną.

Spojrzałam na kartkę.

— Pomyliłeś się! — powiedziałam zdziwiona. Do tej pory Irga wydawał mi się mistrzem magii.

— Gdzie?

— A zrobisz mi śniadanie?

— Zrobię.

— Tu, ta linia. Według twojego wykresu energia powinna biec do tego punktu. A wychodzi na to, że w praktyce będzie płynąć w odwrotnym kierunku. Tu niczego nie należy zmieniać. Tu i tu. A na pierwszy rzut oka niczym się nie różnią... — Mój palec zamarł nad wykresem.

— Co? — Irga się zagubił.

— Wygląda tak samo, tylko energia płynie w odwrotnym kierunku — powtórzyłam i odwróciłam się w stronę sapiącego spokojnie przez sen półkrasnodłuda.

— Energia płynie w odwrotnym kierunku... Zawołaj Lirę, bardzo cię proszę!

Irga, nie pytając o nic, posłał do Liry magicznego latawca.

— Co robić? — rozmyślałam głośno. — Jak zawrócić jeden ze strumieni energii w ciele Ottona, żeby popłynął w dobrą stronę? I najważniejsze — skąd się wzięła ta usterka?

Rozczochrana Lira wpadła do mieszkania. Zadyszana, uważnie popatrzyła na Ottona, potem na Irgę i na mnie.

— Jesteś geniuszem — wysapała. — Jak na to wpadłaś? U Ottona energia serca faktycznie płynie tak, jak u kobiet, a powinna płynąć w odwrotną stronę!

— Zawsze podejrzewałam, że faceci są inni — wymamrotałam pod nosem i powiedziałam głośno: — Przecież go sprawdzałaś! I mówiłaś, że jest zdrowy, prawda?

— Bo jest zdrowy! — powiedziała Lira. — Jest absolutnie zdrowy! Po prostu jeden strumień płynie nie w tę stronę co trzeba, przeoczyłam to! Z punktu widzenia psychologii kobiety jest zdrowy!

— Az punktu widzenia mężczyzny?

— Nie wiem, co robić — przyznała Lira. — Musimy iść do Domu Uzdrawień.

Otto obudził się, podrapał po brodzie i popatrzył na naszą gromadę, która z wielkim zadowoleniem niszczyła zapasy spożywcze.

— Irga! — uśmiechnął się półkrasnolud. — Co ja tutaj robię?

— Postaraj się sobie przypomnieć. — Podałam mu kubek z gorącą herbatą.

Otto zaczął sobie przypominać.

— Szedłem do Irgi i spotkałem po drodze Blondasa, który zaproponował mi omówienie pewnego dochodowego interesu. Wypiliśmy razem. Potem zrobiło mi się jakoś niedobrze i Blondas mnie tu odprowadził.

Wyobraziłam sobie, co mógł nagadać Otto, znajdując się pod działaniem eliksiru snu, i aż się wzdrygnęłam. Dziwne, że Lim nie przyprowadził całego miasta, żeby zrobić z biednego półkrasnoluda prawdziwe pośmiewisko.

— Piłeś ze swoim wrogiem? — zapytałam ze zgorzaniem.

— Był jedynym — powiedział Otto wyzywająco — który zgodził się mnie wysłuchać i mi współczuć.

Zrobiło mi się wstyd.

— Otto, chodźmy do Domu Uzdrawień — poprosiłam. — Błagam cię!

— Po co?

— Proszę cię — odezwał się Irga. — W imię naszej miłości.

Ten argument podziałał.

W Domu Uzdrawień udało mi się zwalczyć uzdrowicieli, chcących dokładniej zbadać fenomen Ottona i zrobić kilka doświadczeń. Złote monety trzymane na czarnej godzinę rozeszły się w gnieniu oka, ale moim przyjacielem zajęła się najbardziej wykwalifikowana kadra.

— Jak mogło do tego dojść? — spytałam starszej uzdrowicielki o dobrych oczach, kiedy Otto spał, wykończony badaniami.

— Myślę, że pani przyjaciel poddał się bardzo silnemu magicznemu działaniu.

— Kto mógł coś takiego zrobić?

— W pojedynkę nikt nie byłby w stanie tego uczynić. Potrzeba do tego minimum pięciu bardzo silnych i doświadczonych magów.



—Skąd pani to wie?

Uzdrowicielka zaczerwieniła się:

—Przeprowadzałam podobne doświadczenia w młodości. Na złych ludziach.

—Czyli można odrzucić, że było to powodowane złymi zamiarami? — zapytałam.

—Chyba że pani przyjaciel wszedł w drogę komuś bardzo wpływowemu.

Usiadłam na łóżku Ottona, wzięłam go za rękę i zamysliłam się. Blondas był zbyt słaby, ponadto skierowałby swoją nienawiść na mnie — mnie nie lubił o wiele bardziej. Co więcej, Lim był pewien, że jeśli wyłączy mnie z alkoholowego biznesu, Otto sam go nie będzie ciągnąć i wróci do rodzinnych interesów.

Półkrasnodziewina ziewnęła rozgłośnie.

—Otto — zapytałam. — A czym ty się właściwie ostatnio zajmowałeś?

—Razem z chłopakami majstrowaliśmy taki jeden artefakt, ale nie wyszedł. Cała magia gdzieś uleciała.

—Gdzieś! — powiedziałam, śmiejąc się z ulgą. — Nie można było mnie zawołać? Powiedziałabym, gdzie wam uleciała. A co robiliście?

—Wielkie serce, dla ochrony miłości i rodzinnego spokoju, na wesele przyjaciela. Powiedz mi prawdę, cała magia weszła we mnie?

—Jaki teraz mądry jesteś — odpowiedziałam. — Czemu wcześniej taki nie byłeś? Przyciągnąłeś do siebie jakimś sposobem całą energię i bzdurami zacząłeś się zajmować.

—Wstyd mi — powiedział Otto i zamknął oczy. — Jak ja się teraz pokażę na oczy moim biznesowym partnerom?

—Nie ma co się dołować — pociągnęłam go za brodę. —Już wszystko w porządku. Dobrze, że nie zakochałeś się w Riaku albo w Befie. A Irga to swój chłopak.

Najlepszy przyjaciel milczał.

—Otto, kocham cię takim, jaki jesteś. No przestań, Otto! Proszę! Nikt o tym nie wie oprócz nas, a my jak grób. Blondas nie ma żadnych dowodów. Jeśli zacznie coś gadać, to powiemy, że wymyśla głupoty, bo nas nie lubi.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, wyszłam na korytarz i odszukałam Irgę, który już flirtował z jakąś młodziutką uzdrowicielką. Nekromanta wszystko zrozumiał i poszedł do Ottona.

O czym rozmawiali tak długo — nie wiem. W każdym razie następnego dnia mój przyjaciel przyszedł do mnie jak gdyby nigdy nic.

—Otto, wysłuchasz mojego pomysłu? — ucieszyłam się. Ogórki wychodziły mi już idealnie.

Półkrasnolud wysłuchał, zjadł parę ogórków i rzekł:

—Nic z tego nie wyjdzie. Prawa do zaklęcia ma tylko Ptrońka, a ty mu obiecałaś korzystać z niego tylko na użytek własny.

Zasmuciłam się.

—Ale — dodał Otto, uśmiechając się chytrze — nikt nie może zabronić handlować nam tym w tajemnicy i tylko trochę.

—Deficyt — powiedziałam — stwarza popyt.

—A popyt powoduje podwyżkę cen! — Mój najlepszy przyjaciel popił ogórki wódką.

—Otto! — powiedziałam z uczuciem. — Tak się cieszę, że do mnie wróciłeś!

## Epilog

### Jai mój przyjaciel nekromanta

Twierdzicie, że miłość to największe szczęście? I nie przeszkadza w życiu?

Jesiennego dżdżystego poranka Irga wszedł do mnie bez pukania. Lira już poszła na zajęcia, a mnie męczył kac.

—Wyjeżdżam — powiedział Irga, siadając na moim łóżku.

—Szczęśliwej drogi — burknęłam i zamknęłam oczy. Pokój wstrzymał swój bieg, ale za to zaczęło się kołysać łóżko.

Irga położył swoją chłodną dłoń na moim czole. Zrobiło mi się lepiej.

—Siedź tak — poprosiłam.

—Długo nie mogę — powiedział cicho. — Wyjeżdżam jeszcze dziś.

- Dokąd? Na długo? A przywieziesz mi jakiś prezencik?
- Na rok. W rodzinne strony. Na staż.
- Na rok?! — Podskoczyłam na łóżku, a głowa zaboląła niemiłosiernie.

Jęcząc, położyłam się z powrotem i zapytałam:

- Dlaczego dopiero teraz mi o tym mówisz? Stop, niczego nie mów!

Zlazłam z łóżka i niepewnym krokiem podeszłam do szafki, w której trzymałam ukrytą butelkę na klina i proszek od Liry. Proszek pomagał momentalnie, ale tylko rano, wieczorem zaś powodował skutki uboczne — słabość, mdłości i pryszcze. Dlatego też brałam go tylko w sytuacjach wyjątkowych.

- Co wczoraj świętowaliście? — zapytał Irga.

—Otto i ja otrzymaliśmy osobną pracownię jako wspaniali przyszli Mistrzowie Artefaktów. — Pomacałam rękami głowę. Mózg nie wyciekał przez uszy, oczy nie wypadały, włosy po burzliwym wieczorze i mrocznej nocy zachowywały nawet resztki fryzury. — Oblewaliśmy ją nową partią alkoholu przeznaczonego na sprzedaż.

- To już raczej nie ma czego sprzedawać, mam rację?

—Masz, masz — wyburczałam, mój wzrok padł na plakat powieszony przy łóżku: „Należy mniej pić!”. Trzeba go przenieść do pracowni, w pokoju to tylko wiszący wyrzut sumienia.

Lek nareszcie podzielał. Usiadłam na łóżku obok Irgi i poprosiłam:

- Powiedz wszystko jeszcze raz, od początku, dobrze?
- Jadę w moje rodzinne strony, do Rorritora, na tamtejszy uniwersytet, na staż.
- Po co?

—Wiesz, że to blisko Zmierzchowych Gór. Praca dla nekromanty znajdzie się zawsze. A ja muszę zdobywać nowe kwalifikacje.

—Cały rok — powiedziałam. To po prostu nie mieściło mi się w głowie. Jak to — proponuje małżeństwo, a potem wyjeżdża na rok? I po prostu mnie zostawia?

—Będę obserwował roczny cykl zachowań tamtejszych martwiaków. Pozwoli mi to zdobyć wiele materiałów do mojej pracy doktorskiej...

—Czemu mi wcześniej o tym nie mówiłeś? — przerwałam mu. — Przecież wiedziałeś o tym od dawna!

Milczał długo.

—Tak, od dawna wiedziałem o moim wyjeździe. Pamiętasz, kiedy wysłałeś do mnie list z rysunkiem? Zbierałem wtedy dokumenty potrzebne do wyjazdu.

Patrzyłam na niego i wydawało mi się, że to jakiś sen.

—Bałem się ci o tym mówić — powiedział ostrożnie. — Bałem się, że się obrazisz, rozgniewasz i nie będziesz mnie chciała widzieć.

— Oczywiście, że jestem zła! — krzyknęłam. — Jestem bardzo zła! Będę krzyzczeń! Ryczeć! Drapać...!

— Pluć jadem — odpowiedział nekromanta.

— Jak mogłeś! Zostawić mnie! Samotną! Po tym wszystkim, co zrobiłeś! Nie chcę cię widzieć!

— Tego właśnie się bałem — powiedział Irga. — Dlatego milczałem. Chciałem spędzić z tobą jak najwięcej czasu.

— Nie jedź, to spędzisz — zaproponowałam.

— Nie mogę, rozumiesz? To dla mnie bardzo ważne!

— Idź stąd! — powiedziała i położyłam się na łóżku, odwracając się twarzą do ściany.

Irga pogłaskał mnie po głowie.

— Wynoś się! — krzyknęłam, starając się ukryć napływające łzy. — Nienawidzę cię! Nienawidzę! I nie wyjdę za ciebie! Nigdy! I listów pisać też nie będę! I w ogóle zapomnę o twoim istnieniu, ty bezlitosny egoisto!

Nekromanta położył się obok i mnie objął. Wyrywałam się, ale gdzie tam! Nie było siły, żeby mnie puścić. Zmęczyłam się i zaczęłam płakać. Irga pocałował mnie w szyję i wyszeptał do ucha:

— Wiesz, że jesteś najśliczniejszą dziewczyną na świecie? I najlepszą?

— Nie chcę tego słuchać! — chlipnęłam. — Jedź już sobie.

— Nie pojedę — wyszeptał Irga — dopóki nie powiem ci tego, co powinienem powiedzieć już dawno.

Ucichłam.

— Kocham cię. — Jego wargi dotykały mojego ucha i dostałam gęsiej skórki. — Bardzo, bardzo cię kocham.

W mojej głowie coś eksplodowało z hukiem. Być może mój mózg wystrzelił odświętne fajerwerki albo po prostu ogłuchłam ze zdziwienia.

— Od tego momentu, kiedy to z mokrego kociątka zaczęłaś zmieniać się w dziewczynę z charakterem — mówił Irga, jedną ręką trzymając mnie przy sobie, a głaszcząc drugą. — I naprawdę chcę się z tobą ożenić. Marzę o tym. Czekałem tylko, kiedy dorosniesz.

— Nie wyjeżdżaj — powiedziała cicho.

— Muszę, to dla mnie bardzo ważne. Bardzo-bar- dzo.

— Ale to tak daleko!

— Tylko trzy dni drogi — powiedział.

— Nie będę do ciebie jeździć — odpowiedziałam zdecydowanie.

— Ja będę przyjeżdżać do ciebie. I pisać. I bardzo tęsknić.

— A ja nie będę.

—Wiem — roześmiał się, wprawnie mnie odwrócił do siebie i przywarł wargami do moich ust. Był to pocałunek, jakiego opisy znajdowałam w romansach. Nigdy bym nie pomyślała, że coś takiego jest możliwe — taki pocałunek, od którego kręci się w głowie, brzuch zalewa fala gorąca i chce się śpiewać ze szczęścia. Delikatny i czuły. Długi, bardzo długi, ale nie męczący. Jednocześnie podniecający i uspokajający. Pocałunek mężczyzny, który cię kocha.

Otworzyłam oczy i spozrzałam w czułe, kochające oczy Irgi.

—Mam nadzieję — powiedział — że wspomnienie tego pocałunku nieco skróci twoją samotność.

Czułam, jak pulsuje we mnie krew.

—Coś ty — powiedziałam zadziornie. — Teraz będę szukać kogoś, kto całuje tak, jak ty!

—Nie wymyślaj bzdur — nekromanta spoważniał — bo inaczej w twoim pokoju pojawią się kilimki z naturalnej skóry.

—Srata-tata — już prawie całkowicie doszłam do siebie. — A dlaczego sądzisz, że będę na ciebie czekać?

Irga przewrócił oczami. Takiego pytania się nie spodziewał.

—No jak to?

—A tak to! Myślisz, że możesz sobie nieoczekiwanie wyjeżdżać, a ja będę płakać i machać ci na pożegnanie chusteczką? A potem założę pas cnoty?

—Całkiem dobry pomysł.

—Akurat — powiedziałam arogancko. Jakby wszedł we mnie jakiś diabeł — chciałam krzyzczeć, łamać krzesła i rzucać w tego aroganckiego faceta odłamkami.

—Dobrze — powiedział Irga. — Przyznaję, źle zrobiłem. Kocham cię, Ola. I kiedy wrócę, będzie i karetą z białymi końmi, i ja w beżowym garniturze, kwiaty, i co tam jeszcze chcesz. Mam nadzieję, że wtedy przyjmiesz moje oświadczenia.

Zamyśliłam się.

—Kocham cię — powiedział Irga, pocałował mnie i wyszedł.

Pozbyłam się tego aroganckiego, egoistycznego typu. Cekał mnie wspaniały rok, podczas którego będę zdobywać specjalizację i prowadzić wesole studenckie życie. Muszę ostatecznie rozprawić się z Blondasem, rozwinąć z Ottonem sieć sprzedawców naszego towaru, nie pozwolić Limowi i jego zgrai na przejęcie naszych handlowych pozycji, nakłonić Befa do tego, żeby nie dawał mi zadań dodatkowych... Czekala jeszcze cała masa innych spraw.

Więc dlaczego, dlaczego w mojej duszy powstała pustka? Dlaczego tak rozpaczliwie chciało mi się płakać... nie, nie płakać, a wyć — jak łańcuchowemu psu, patrzącemu na księżyc? Dlaczego nagle poczułam się taka samotna?

— Będę na ciebie czekać — wyszeptałam, patrząc z okna, jak mężczyzna moich marzeń idzie wolno w stronę dylizansu. — Będę czekać, i tylko spróbuj do mnie nie pisać!

...A mówicie, że miłość to tylko pozytywne emocje!

